

JOHN SANDFORD

PEWNA ZDOBYCZ

Bestsellerowy
thriller
Świetnego
autora

Świat Książki

To książka fascynująca... wszystko działa jak w zegarku.

"USA Today"

Detektyw Lucas Davenport staje do konfrontacji z najbardziej zaskakującym i nieprzejednanym wrogiem w błyskotliwym thrillerze, uznawanym za najbardziej porywający w dorobku Johna Sandforda.

Clara Rinker jest elegancka, miła i atrakcyjna... i jest też najlepszym zawodowym zabójcą w branży. Jako prawdziwy profesjonalista nie dba o pokłask, sprawę załatwia po cichu, pobiera wynagrodzenie i spokojnie wraca do domu.

Kiedy zostaje wynajęta do „roboty” w Minnesocie, jej sytuacja się komplikuje. Pewna pani adwokat chce wyeliminować swoją rywalkę, rzecz z pozoru prosta, ale przy życiu pozostaje świadek, a do działania przystępuje Davenport.

Clara popada w kłopoty. Zna tylko jeden sposób na ich rozwiązanie...

John Sandford to pseudonim dziennikarza, laureata nagrody Pulitzera, Johna Campa. Jest on autorem wielu książek, wśród których największym uznaniem cieszy się cykl o Lucasie Davenportcie.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 83-7391-017-4



9 788373 910171

Cena 24,90 zł

Nr 4184

JOHN SANDFORD

PEWNA ZDOBYCZ

Z angielskiego przełożył

Jan Kabat


Świat Książki

Tytuł oryginału CERTAIN PRAY

Projekt serii

Małgorzata Karkowska

Projekt okładki

Dina Kłos

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja

Jacek Ring

Korekta

Dorota Wojciechowska

Tadeusz Mahrburg

© 1999 by John Sandford All rights reserved

the Polish translation by Jan Kabat 2003

Świat Książki

Warszawa 2003

Skład i łamanie KOLONEL

Druk i oprawa Zakłady Graficzne im. KEN, Bydgoszcz

ISBN 83-7391-017-4 Nr 4184

Dla Toma i Rozanne Andersonów

1

Clara Rinker

Pierwszym z trzech najbardziej pechowych dni w życiu Barbary Allen był ten, kiedy Clarę Rinker zgwałcono na tyłach baru „Zanadu”, który znajdował się w zachodniej części St. Louis, pośród brudnego labiryntu terminali, magazynów i fabryk sprzętu oświetleniowego. „Zanadu”, jak głosił chromowany żółty billboard, zapewniał dobrą rozrywkę. Ale nie Clarze Rinker, wbrew temu, co sądzili klienci baru.

Rinker miała szesnaście lat, kiedy ją zgwałcono, i była niewysoką, dobrze zbudowaną tancerką, która uciekła z prowincji gdzieś w środkowych stanach. Miała jasne włosy z ciemnymi pasemkami i ciało, które wyglądało wspaniale w cienkim bawełnianym sweterku w czerwone groszki i z wycięciem. Jej ciało przyciągało uwagę kowbojów, kierowców ciężarówek i mężczyzn marzących o Nashville.

Rinker zdecydowała się na taniec erotyczny, ponieważ tylko to umiała robić. Chciała przeżyć, a wyboru nie miała żadnego. Do gwałtu doszło o drugiej nad ranem w cudowną kwietniową noc, kiedy dzieci mogą bawić się na dworze do późna, a cykady nucą w swoich

kryjówkach. Tak się złożyło, że to Rinker zamykała tej nocy bar; tańczyła jako ostatnia z dziewcząt.

Przy barze pili jeszcze czterej mężczyźni, kiedy kończyła występ. Trzej byli kierowcami ciężarówek i jeździli zwykle na dalekie trasy. Na ich twarzach objęło się zmęczenie, w kabinach maszyn czekały tylko niewygodne prycze. Jeden był norweskim handlarzem egzotycznych zwierząt, który topił w alkoholu żal z powodu nieudanej transakcji dotyczącej skrzyni z boa dusicielami i ptakami egzotycznymi, wartości trzydziestu sześciu tysięcy dolarów.

Piąty mężczyzna, istny goryl o spadzistych ramionach, zwany Dale Jakiś Tam, wyszedł z baru w połowie ostatniego numeru Clary. Zostawił na kontuarze dwanaście dolarów w zmiętych jednodolarówkach i dwa wilgotne ślady po łokciach. Rinker przesuwiała się powoli w tańcu, zatrzymując się na dziesięć sekund przed każdym z mężczyzn, by odstawić to, co dziewczęta nazywały błyskiem kroczka. Dale Jakiś Tam był pierwszy z kolei i gdy tylko Clara ruszyła do następnego gościa, wstał i wyszedł. Kiedy występ dobiegł końca, Rinker zeskończyła z kontuaru i poszła na zaplecze, żeby się przebrać.

Kilka minut później do drzwi garderoby zapukał właściciel baru, były zapaśnik uniwersytetu w Missouri o imieniu Rick, i spytał:

- Clara? Zamkniesz tylne wyjście?

- W porządku - odparła i wciągnęła przez głowę puszystą różową mini, a potem potrząsnęła biodrami, by materiał ułożył się odpowiednio. Rick szanował prywatność tancerek, a one to doceniały; była to sprawa czysto psychologiczna, ponieważ pracował za barem i pół nocy gapił się na ich...

Tak czy inaczej, szanował ich prywatność.

Rinker ubrała się, zgasiła światła w garderobie, zesza jak zwykle do toalety damskiej, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma, potem zajrzała do toalety męskiej, która też była pusta, tyle że śmierdziała moczem zmieszonym z odorem piwa. Zgasiła przy tylnym wyjściu światła w holu i wyszła w ciepłą wieczorną ciemność. Zatrzasnęła drzwi, usłyszała zgrzyt automatycznego zamka, nacisnęła dla pewności klamkę i ruszyła w stronę samochodu.

Jakiś skorodowany pikap dodge przycupnął na parkingu niedaleko jej wozu. Z tyłu miał doczepioną poobijaną aluminiową przyczepę, której okna zakrywały poplątane zasłonki. Zdarzało się czasem, że ktoś wypijał za dużo i ładował w swoim wozie za barem; widok pikapa nie zaskoczył Rinker, mimo to poczuła dziwny dreszcz na jego widok. Była prawie gotowa obejść budynek i sprawdzić, czy zdąży jeszcze złapać Ricka, który wychodził od frontu.

Prawie. Ale doszła do wniosku, że nie zdąży, że zachowuje się głupio, że Rick się pewnie spieszy i że w ciemnej kabinie pikapa nikogo nie widać...

Dale Jakiś Tam przykucnął po drugiej stronie wozu, wsparty plecami o drzwi kierowcy. Czekał już od dwudziestu minut, coraz bardziej zniecierpliwiony, żując miętową gumę i rozmyślając o dziewczynie. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu guma odświeżająca oddech stanowiła przejaw uprzejmości, jaką należy okazywać kobietom. Żuł ją, by okazać szacunek.

Kiedy usłyszał, jak zamykają się drzwi na tyłach baru, dzwignął się z ziemi, spojrzął ostrożnie przez szybę wozu i zobaczył zbliżającą się samotną kobietę. Czekał skulony za pikapem: był dużym facetem i miał lekką nadwagę, jednak potężna postura napawała go dumą.

Był też szybki, Rinker ani przez chwilę nie miała najmniejszej szansy na ucieczkę.

Kiedy minęła pikapa, podzwaniając kluczykami w dłoni, wynurzył się z ciemności i zaatakował niczym futbolista na boisku. Impet uderzenia pozbawił ją tchu; leżała pod nim, łapiąc spazmatycznie powietrze i czując, jak ostry żwir tnie jej nagie ramiona. Poderwał ją na nogi, wykręcając przy tym ręce. Jedną dłonią, jak imadłem, ścisnął nadgarstki, drugą - szyję. I powiedział, wionąc jej miętowym oddechem w ucho:

- Zacznesz wrzeszczeć, kurwo, to ci skręcę kark.

Nie wrzasnęła, bo to samo przytrafiło się jej już wcześniej z ojczymem. Wtedy wrzasnęła, a on prawie skręcił jej kark. Zamiast krzyczeć, Rinker walczyła zaciekle, pluła, kopała, wrywała się, wykręcała, wiała, próbowała wyswobodzić. Ale dłoń Dale'a Jakiegoś Tam na jej

karku przypominała imadło, więc zaciągnął ją do przyczepy, otworzył drzwi, wpechnął do środka, zdarł jej majtki i w migotliwym blasku lampki pod sufitem zrobił to, co od dawna planował.

Kiedy skończył, wyrzucił ją z przyczepy, napluł na nią i ostrzegł:

- Powiedz o tym komuś, pieprzona dziwko, a zabiję cię.

Pamiętała potem tylko to, że leżała na żwirze i że była opluta; zapamiętała też kręcone włosy na tłustym, rozkołysanym tyłku Dale'a.

Rinker nie zadzwoniła na policję, bo to oznaczałoby koniec jej pracy. Dobrze знаła gliniarzy, odesłaliby ją z powrotem do domu, do ojczyma. Opowiedziała o gwałcie właścicielom „Zanadu”. Bracia Ernie i Ron Batalgia martwili się zarówno o Rinker, jak i licencję na prowadzenie baru. Niepotrzebne im były przestępstwa natury seksualnej na parkingu pod lokalem.

- Jezu - zawołał Ron, kiedy Rinker powiedziała mu wszystko. - To okropne, Claro. Nic ci nie zrobił? Musisz się zbadać, rozumiesz?

Ernie wyjął z kieszeni plik banknotów, odliczył dwie setki, pomyślał przez chwilę, odliczył jeszcze setkę i wetknął jej trzysta dolarów za dekolt.

- Zbadaj się, mała.

Skinęła głową.

- Wiesz, że nie chcę iść na policję. Ale ten dupek musi zapłacić za to, co zrobił.

- Załatwimy to - zaproponował Ernie.

- Ja to załatwię - sprostowała.

Ron uniósł brwi.

- Co chcesz zrobić?

- Ściągnijcie go tylko do piwnicy. Wspominał kiedyś, że jest dekarzem. Pracuje rękami. Skombinuję porządny kij bejsbolowy i rozwalę mu łapę.

Ron spojrział na Erniego, który z kolei spojrział na Rinker.

- Może być. Gdy się zjawi następnym razem, co?

Nie zrobili tego następnym razem, czyli tydzień później. Dale był wyraźnie zdenerwowany i rozglądał się uważnie na boki. Rinker nie zgodziła się występować przed Dale'em i gdy przycisnęła Erniego w kuchni, ten powiedział, że to przecież sam środek sezonu podatkowego i że ani on, ani Ron nie mają głowy do poważnej konfrontacji.

Rinker nie dawała im jednak spokoju i gdy Dale zjawił się następnym razem, dokładnie dwa dni po ostatecznym terminie uregulowania podatku, bracia byli naprawdę wkurzeni. Napoili go alkoholem i nafaszerowali darmowymi orzeszkami, zagadując aż do zamknięcia baru. Barman Rick wyprosił pospiesznie przedostatniego gościa i też wyszedł, nie oglądając się za siebie; wiedział, że coś się święci.

Wtedy Ron obszedł bar i gdy Ernie przyciągnął czymś uwagę Dale'a, zwałił go ze stolka potężnym i niespodziewanym ciosem. Potem runął na niego i przewrócił na brzuch, a Ernie wyskoczył zza baru i założył leżącemu nelsona niczym zawodowy zapaśnik. Razem zaciągnęli ledwie opierającego się Dale'a do piwnicy.

Bracia zdążyli dźwignąć go na nogi i doprowadzić do przytomności, zanim Rinker zesłała na dół, trzymając w dłoni aluminiowy kij bejsbolowy, a właściwie jego młodzieżową wersję, która lepiej leżała w dłoniach drobnej kobiety.

- Kurwa, zapłacicie mi za to - warknął Dale Jakiś Tam, plując krwią przez zmasakrowane usta. - Mój pieprzony adwokat już liczy waszą forszę, skurwiele...

- Pieprz się, nic nam nie zrobisz - przerwał mu Ron. - Zgwałciłeś tę małą.

- Co wolisz, Claro? - spytał Ernie. Stał za Dale'em, trzymając go od tyłu pod pachy i splatając dłonie na karku. - Ramię czy nogę?

Rinker stanęła naprzeciwko Dale'a Jakiegoś Tam, który spoglądał na nią ze złością.

- Ja was... - zaczął.

- Pieprzyć nogi - przerwała mu w pół zdania. Uniosła kij i walnęła Dale'a dokładnie w czubek głowy.

Rozległ się trzask, jakby ktoś nadepnął orzech. Emie, wystraszony, zwolnił swój śmiertelny ucisk i Dale Jakiś Tam osunął się na podłogę niczym stukilowy kłab galarety.

- O w mordę - podsumował sytuację z podziwem Ron i przeżegnał się.

Ernie trącił Dale'a czubkiem buta, a wtedy na ustach leżącego utworzyła się bańka krwi.

- Jeszcze żyje - zauważył.

Rinker uniosła kij i ponownie uderzyła Dale'a, tym razem tuż za lewym uchem. Cios był mocny; ojczym kazał jej kiedyś rąbać drewno do pieca, miała wprawę.

- Chyba wystarczy - oświadczyła.

- Fakt- przytaknął Ernie, a potem wszyscy spojrzeli po sobie w słabym świetle pojedynczej żarówki.

- Kawał ciężkiej pracy, Claro. Jakie masz odczucia? - spytał Ron.

Clara spojrzała na Dale'a Jakiegoś Tam, na niewielki krążek czarnej krwi wokół grubych warg i odparła:

- To był śmieć.

- Nic nie czujesz? - dopytywał się Ernie.

- Nic - zapewniła. Usta zacisnęła w wąską i okrutną linię.

Po minucie Ron spojrzał na wąskie drewniane schody.

- Ciężko będzie wywlec z piwnicy tę jego ciężką dupę - ocenił.

- Święte słowa - zauważył Ernie, po czym dodał filozoficznie: - Mogłem mu powiedzieć, że nawet cipka nie jest za darmo.

Dale Jakiś Tam wylądował w Missisipi, a jego pikap po drugiej stronie rzeki, w Granite City, skąd zniknął po dwóch dniach. Nikt nigdy o niego nawet nie spytał, a Rinker wróciła do tańca na kontuarze baru. Kilka tygodni później Ernie poprosił ją, by posiedziała przy stoliku ze starszym facetem, który wpadł napić się piwa. Rinker popatrzyła krzywo, ale Ernie zapewnił:

- Nie ma strachu, wszystko w porządku. Nic nie musisz robić.

Wzięła butelkę budweisera i podeszła do stolika tego faceta, który przedstawił się jako brat męża ciotki Erniego. Wiedział o Dale'u Jakimś Tam.

- Wciąż nic nie czujesz?

- Nie. Ale jestem trochę wkurzona, że Ernie ci o tym nagadał - wyznała, pociągając z butelki.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się tylko. Miał bardzo mocne białe zęby, czarne oczy i niemal po kobiecemu długie rzęsy. Rinker przyszło nagle do głowy, że mógłby sprawić dziewczynie dużo frajdy, choć musiał być po czterdziestce.

- Strzelałaś kiedyś z jakiejś broni? - spytał.

I tak Rinker została zawodową zabójczynią. Obywało się bez spektakularnych popisów w stylu Szakala czy filmowych bohaterów. Wykonywała robotę cicho i skutecznie, posługując się różnymi pistoletami z tłumikiem, głównie kalibru .22. Jej specjalnością stały się starym planowane uderzenia z bliska.

Rinker nigdy nie uważała się za głupią, była po prostu przekonana, że jeszcze nie dostała swojej szansy. Kiedy zaczęły napływać pieniądze za wykonane zlecenia, zrozumiała od razu, że nie wie, jak nimi obracać. Zapisła się więc do college'u na zajęcia z księgowości i małego biznesu. Kiedy skończyła dwadzieścia lat i była już trochę za stara na taniec, znalazła sobie pracę w hurtowni alkoholu należącej do faceta z mafii. Kiedy skończyła dwadzieścia cztery i miała już pojęcie o interesach, kupiła sobie bar w centrum Wichity w Kansas i nazwała go The Rink.

Bar prosperował nieźle. Mimo to kilka razy do roku Rinker wyjeżdżała z miasta wyposażona w broń, a wracała z plikiem banknotów. Trochę wydawała, ale większość lokowała pod różnymi nazwiskami i w różnych miejscach. Jednego nauczyła się od ojczyma: prędzej czy później, bez względu na to, jak dobrze człowiekowi się akurat powodzi, trzeba będzie wziąć nogi za pas.

Carmel Loan

Carmel Loan była smukła i luksusowa, zupełnie jak nowy jaguar.

Miała niewielką kształtną głowę, blond włosy, idealny nos, cienkie blade wargi, kwadratową brodę i mały spiczasto zakończony język. Pochodziła ze Szwecji - Skandynawka o drobnych piersiach, wąskich

biodrach i długiej talii. Miała oczy drapieżnego ptaka, bezlitosnego stwora. Carmel była z zawodu prawnikiem, jednym z dwu czy trzech najlepszych w Minneapolis. Przez większą część zawodowego życia zarabiała rocznie ponad milion dolarów.

Mieszkała w fantastycznie eleganckim apartamencie wieżowca w centrum Minneapolis - podłogi z jasnego drewna i białe ściany ozdobione biało-czarnymi zdjęciami znanych fotografików, choć może nie tych najmodniejszych. Pośród tej dominującej dwubarwności można było dostrzec idealnie dobrane, krwawoczerwone akcenty w umeblovaniu i dywanie. Nawet jej wóz, jaguar XK8, został pokryty na zamówienie krwawoczerwonym lakierem.

Drugiego z trzech najbardziej pechowych dni w życiu Barbary Allen, Carmel Loan doszła do wniosku, że jest naprawdę i po uszy zakochana w mężu Barbary, Hale'u Allenie. Zakochana na zawsze.

Hale Allen, prawnik, specjalista od nieruchomości i spraw majątkowych, był uosobieniem amanta. Miał niemal czarne włosy, które w naturalny sposób opadały mu na czoło drobnymi kędziorkami, ciepłe piwne oczy, kwadratową brodę z dołkiem, szerokie ramiona, duże dłonie i wąskie biodra. Idealnie zbudowany czterdziestodwulatek, trochę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, leciutko ścięty przedni ząb. Węzeł jego krawata był zawsze przekrzywiony i kobiety lubiły go poprawiać. Dotykanie tego mężczyzny sprawiało im przyjemność. Czuł się przy nich swobodnie, zagadywał je i żartował z nimi.

Hale Allen lubił kobiety, nie chodziło mu tylko o seks. Lubił z nimi rozmawiać, robić zakupy, biegać dla zdrowia - nie tracąc przy tym nic ze swej wilczej męskości. Dał Carmel powody do przypuszczeń, że uważa ją za atrakcyjną. Ilekroć go widziała, coś w niej boleśnie drgało.

Wbrew swym warunkom fizycznym i pozornej swobodzie w obcowaniu z kobietami Hale Allen nie zaliczał się do szczególnych orłów. Był zadowolony z pracy polegającej na załatwianiu rutynowych kontraktów i nie zarabiał nawet w przybliżeniu tyle co Carmel. Nie stanowiło to większego problemu dla kobiety, która znalazła prawdziwą miłość. Na głupotę można przymknąć oko, myślała Carmel, jeśli

czuje się do mężczyzny nieklamany fizyczny pociąg. Poza tym Hale doskonale by wyglądał obok kamiennego kominka podczas jej rocznego przyjęcia gwiazdkowego, stałby ze szklaneczką szkockiej w dłoni i w radośnie krwawym krawacie na szyi, a ona zabawiałaby gości rozmową.

Na nieszczęście Hale okazał się nierozzerwalnie związany ze swoją żoną, Barbarą.

To przez jej pieniądze, pomyślała Carmel. Barbara miała ich mnóstwo dzięki powiązaniom rodzinnym. I choć umysł Hale'a nie świecił być może tak oślepiającym blaskiem jak u innych mężczyzn, człowiek ten wiedział, co to znaczy mieć pieniądze. Wiedział, skąd wziął się jego czarny kaszmirowy płaszcz od Armaniego za tysiąc sześćset dolarów.

Ta więc z żoną - albo jej pieniędzmi - nie pozostawiała kobiecie pokroju Carmel specjalnego wyboru. Nie zamierzała kręcić się w pobliżu i tęsknić albo płakać i rozpaczać, albo wypić dostatecznie dużo, by rzucić się na Hale'a. Musiała zrobić coś innego.

Na przykład zabić jego żonę.

Pięć lat wcześniej Carmel w czasie rozprawy sądowej wypunktowała bezlitośnie wszelkie błędy proceduralne popełnione przez młodego policjanta z St. Paul niedaleko Minneapolis, kiedy to rutynowa kontrola drogowa zamieniła się nagle w historię z narkotykami.

Jej klient, Rolando (Rolo) D'Aquila, wykręcił się od oskarżenia o handel prochami, choć policjanci wyciągnęli spod zapasowego koła w jego ciemnobrązowym lincolnie dziesięć kilogramów kokainy. Co prawda gliniarze zatrzymali mu na mocy prawa samochód, ale Rolo miał to gdzieś. Najgorsze dla niego było to, że spędził w areszcie dokładnie pięć godzin, bo tyle czasu zabrało Carmel zorganizowanie miliona trzystu tysięcy dolarów kaucji.

I potem, kiedy opuszczali budynek sądu po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego, Rolo powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek

potrzebowała pomocy - w naprawę poważnej sprawie - to niech się zgłosi do niego. Wiedzieli oboje, o co chodzi, rozmawiali już o tym. „Jestem winien ci przysługę”, zauważył. Nie powiedziała „Nie”, bo nigdy tego nie robiła. „Do zobaczenia”, rzuciła jeszcze.

W pewien ciepły deszczowy dzień pod koniec maja Carmel jechała swoim drugim wozem - anonimowym czarno-granatowym kombi volvo zarejestrowanym na nazwisko drugiego męża jej matki - do rudery we Frogtown. Potem zatrzymała się przy, krawężniku i spojrziała przez szybę po stronie pasażera.

Drewniany dom zapadał się z wolna w zarośnięty trawnik. Deszczówka przelewała się przez krawędzie zapchanych liśćmi rynien, a spod oblażącej zielonej farby wyzierały łaty poprzedniego koloru, kredowego błękitu. Okna i drzwi nie pasowały ani do otoczenia, ani do samego domu, i wszystkie wydawały się krzywe. Większość okien miała jeszcze szyby, kilka przysłonięto czarnymi roletami.

Carmel wzięła z tylnego siedzenia małą parasolkę, otworzyła nogą drzwi i ruszyła biegiem w stronę domu. Zapukała do drzwi, które zatrzęszczały, i usłyszała z głębi domu głos Rolo:

- Wejź, Carmel. Jestem w kuchni.

Wnętrze prezentowało się równie żałośnie jak fronton. Dywany liczyły ze dwadzieścia lat, cienki materiał znaczyły wydeptane ścieżki. Ściany pomalowano na brudnożółty kolor, meblowanie stanowił bezwartościowy zbiór pokrytej lakierem sklejki o poobijanych krawędziach. Na ścianach nie było obrazów ani jakichkolwiek ozdób. Pozostały tylko gwoździe, ślad po dawnych mieszkańcach. Wszystko cuchnęło nikotyną i smołą.

Kuchnia była nieprawdopodobnie jasna. Okien po obu stronach stołu nie przysłaniały rolety ani zasłony. Stały tu tylko dwa krzesła, jedno pod stołem, drugie wysunięte. Rolo, sprawiający wrażenie niższego niż przed pięcioma laty, miał na sobie dżinsy i t-shirt z zagadkowym napisem „Jezus”. Dłonie trzymał w zlewie.

- Akurat sprzątam - wyjaśnił.

Nie wydawał się zakłopotany, że go na tym przyłapano, i przez prawniczy umysł Carmel przebiegła myśl: coś jest nie tak.

- Siadaj. - Wskazał głową odsunięte krzesło. - Parzę kawę.
- Trochę mi się spieszy - zaczęła.
- Nie masz czasu na kawę z Rolandem?

Strząsnął wodę z dłoni, oderwał z rolki kawałek ręcznika papierowego, wytarł do sucha ręce i rzucił zmietą kulę w kierunku kosza na śmieci stojącego w rogu. Kula odbiła się od ściany i trafiła do kosza.

- Dwa punkty - zauważył.

Spojrzała na zegarek i postanowiła jednak skorzystać z propozycji.

- Pewnie, mam kilka minut.

- Trochę sparszywiałem, co?

Rozejrzała się po kuchni i wzruszyła ramionami.

- Odmieni się.

- Nie wiem - powiedział. - Zacząłem wachać to świństwo.

- Idź na odwyk.

- O tak, odwyk. - Roześmiał się. Po chwili dodał przeproszająco: - Mam tylko zwykłą.

- Innej nie piję - wyznała. - Więc zadzwoniłeś.

To nie było pytanie.

Rolo nalewał kawę do dwóch porcelanowych żółtych kubków, które Carmel kojarzyły się z miejscowościami wypoczynkowymi nad jeziorami.

- Owszem. Okazało się, że ta babka wciąż pracuje i że weźmie robotę.

- Babka? To kobieta?

- Tak. Sam byłem zdziwiony. Nigdy o to nie pytałem, rozumiesz, wiedziałem tylko, do kogo zadzwonić. Ale kiedy spytałem, mój przyjaciel powiedział: „Ona”.

- Musi być dobra - zauważyła Carmel.

- Jest dobra. Ma reputację. Nigdy nie chybia. Skuteczna, szybka. Zawsze strzela z bliska, dlatego nie chybia.

Rolo Dostawił przed Carmel kubek z kawą. Obróciła go w palcach i podniosła.

- Tego potrzebowałam - powiedziała i łyknęła. Dobra kawa, bardzo gorąca.

- Jesteś przekonana? - spytał Rolo. Oparł się o blat szafki

i wykonał gest dłonią, w której trzymał kubek. - Jak już im powiem „tak”, trudno będzie sprawę odwołać. Ta kobieta działa po swojemu, nikt nie wie, gdzie jest ani jakim nazwiskiem się posługuje. Jeśli powiesz „tak”, zabije Barbarę Allen.

Carmel zmarszczyła brwi na dźwięk tego imienia. Nie myślała o tym w kategoriach morderstwa. Traktowała to bardziej abstrakcyjnie, jako rozwiązanie skomplikowanego problemu. Wiedziała oczywiście, że będzie to morderstwo, ale specjalnie się nad tym nie zastanawiała.

- Jestem przekonana - potwierdziła.

- Masz pieniądze?

- W domu. Przywiozłam twoje dziesięć tysięcy. Odstawiła kubek, poszukała w torebce, wyciągnęła cienki plik banknotów i położyła na stole. Rolo podniósł go i przeliczył.

- Posłuchaj uważnie - powiedział. - Kiedy przyjdą i poproszą o resztę, zapłać co do grosza. Co do grosza. Nie kłóć się, po prostu zapłać. Jeśli tego nie zrobisz, nie będą próbowali odzyskać pieniędzy. Zabiją cię dla postrachu.

- Znam zasady - uspokoiła go Carmel z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Dostaną swoje pieniądze. I nikt nie trafi na mój ślad, bo trzymam je od dawna w gotówce. Są absolutnie czyste.

- Więc jeśli powiesz „tak”, zadzwonię do nich wieczorem. - Rolo wzruszył ramionami. - I zabiją Barbarę Allen.

Tym razem nawet nie drgnęła na dźwięk tego nazwiska, tylko wstała.

- Tak - powiedziała. - Zrób to.

Rinker przyjechała do miasta trzy tygodnie później. Najpierw jechała własnym wozem, potem wynajęła dwa różne pod względem koloru i marki samochody w Avisie, posługując się dwoma nazwiskami, autentycznymi prawami jazdy z Missouri i ważnymi kartami kredytowymi.

Śledziła Barbarę Allen przez tydzień i w końcu postanowiła zabić ją na wewnętrznych schodach piętrowego parkingu. W ciągu tego tygodnia Allen korzystała z garażu cztery razy i zawsze wychodziła

schodami. Potem szła prosto do swojego biura. Kiedy Rinker wiedziała, że Allen na pewno nie ma w pracy, zadzwoniła i poprosiła ją.

- Przykro mi, nie ma jej w tej chwili.

- Będzie jeszcze?

- Wpada zwykle na godzinę czy dwie rano, przed samym lunchem.

- Dziękuję, spróbuję ją złapać jutro.

Barbara Allen

Ostatniego z trzech najbardziej pechowych dni w jej życiu Barbara wstała z łóżka, wzięła prysznic i zjadła lekkie śniadanie składające się z otrąb z rodzynkami i truskawek; mając za męża kogoś takiego jak Hale, należało dbać o figurę. Kiedy gosposia sprzątała ze stołu, Allen włączyła telewizję, żeby sprawdzić notowania giełdowe, a następnie usiadła przy biurku i przejrzała propozycje lokat dotyczące jej fundacji charytatywnej, wreszcie, o dziewiątej trzydzięci, zebrała papiery, wsadziła do teczki i ruszyła do miasta.

Rinker jechała za nią czerwonym jeepem cherokee, aż się upewniła, że Allen kieruje się w stronę śródmieścia, potem wyprzedziła ją i popędziła naprzód. Allen prowadziła powoli i ostrożnie, trudno było jednak przewidzieć natężenie ruchu i zmianę świateł na skrzyżowaniach, a Rinker chciała ją wyprzedzić co najmniej o pięć minut, zanim znajdą się w śródmieściu.

Rinker wybrała wcześniej inny garaż, również podziemny, w odległości niespełna dwóch minut szybkiego marszu od miejsca planowanego zabójstwa. Wjechała do garażu, zaparkowała, podeszła do swojego wozu, który zaparkowała wcześniej tego samego ranka, i usadowiła się z tyłu. Obejrzała wjazd i zobaczyła jednego mężczyznę, który kierował się w stronę schodów. Sięgnęła w dół, chwyciła dywanik za fotelem pasażera i otworzyła płytki stalowy pojemnik kryjący na styropianowym podłożu dwa półautomatyczne pistolety Remingtona kalibru .22 z zamontowanymi tłumikami.

Rinker miała na sobie luźną sukienkę, a pod spodem wykonany domowym sposobem plastikowy gorset. Wsunęła pistolety w szerokie kieszenie sukienki, a potem, przez rozcięcia w kieszeniach, do gorsetu. Broń przylegała ściśle do ciała, ale można ją było wyciągnąć w pół sekundy. Tak uzbrojona, Rinker wyskoczyła z samochodu i ruszyła w stronę schodów.

Barbara Allen, silna i zdecydowana kobieta o blond włosach, elegancko uczesana i dyskretnie umalowana, w śnieżnobiałej bluzeczce i granatowych butach na niskim obcasie, weszła do klatki schodowej parkingu przy Szóstej ulicy o 9.58. W połowie drogi spotkała niską rudowłosą kobietę, która szła na górę. Kiedy się mijaly, kobieta uśmiechnęła się, nie podnosząc wzroku, a Allen, która знаła się na tym, spojrzęła na czubek jej głowy i od razu wiedziała: peruka.

Była to ostatnia myśl, jaka przyszła jej do głowy tego najbardziej pechowego dnia w jej życiu.

Rinker, wchodząc na górę, źle obliczyła czas. Wiedziała, że w garażu jest pusto, i chciała załatwić Allen, gdy ta zejdzie już na dół. Lecz Allen schodziła po wąskich stopniach powoli i Rinker, dobrze teraz widoczna, nie chciała się zatrzymywać i czekać na swoją ofiarę. Wspinała się więc po schodach dalej. Allen uśmiechnęła się i skinęła głową, kiedy się mijaly, i w tym momencie Rinker wyciągnęła z prawej kieszeni broń, obróciła się błyskawicznie i strzeliła z odległości pięciu centymetrów kobiecie w potylicę. Włosy ofiary uniosły się nagle, jakby ktoś na nie dmuchnął, i ułamek sekundy później Barbara Allen zaczęła się osuwać.

Tłumiki były dobre. Najgłośniejszym dźwiękiem w klatce schodowej był trzask mechanizmu broni. Rinker oddała drugi strzał, nim Allen upadła zbyt daleko, potem zeszła niżej, do rozciągniętego ciała, i wpakowała jeszcze pięć pocisków w skroń kobiety.

Kiedy się odsunęła, gotowa ruszyć schodami na górę, w drzwiach

klatki ukazał się jakiś policjant. Był w mundurze; duży facet z tekturową tęczką w ręku.

Rinker brała taką możliwość pod uwagę, niespodziankę ze strony jakiegoś gliniarza, choć nigdy jej się to nie przytrafiło. Przecwiczyla to sobie jednak wcześniej.

- Hej! - zawołał policjant i uniósł dłoń, a Rinker do niego strzeliła.

2

Baily Dobbs dowiedział się na swoim pierwszym patrolu, że praca policjanta jest bardziej skomplikowana, niż sądził - i bardziej niebezpieczna, niż mu się zdawało. Baily uważał, że służba pozwoli mu zdobyć pewien szacunek, pewien status. Nie myślał o bójkach z ludźmi większymi od niego, o pijakach rzygających na tylnym siedzeniu radiowozu, o przemarzniętym tyłku pod stadionem, kiedy grały Wilki. Baily postanowił więc zachować bierną postawę, nie pchać się na ochotnika, spóźniać się do wezwań zwiastujących kłopoty i znikać z ulicy jak najszybciej.

Od niespełna dwóch lat siedział za biurkiem.

W czasie Halloween, reagując - z niejakim opóźnieniem - na wezwanie do awantury domowej i podążając ścieżką w stronę domu, natknął się w ciemności na trzykołowy rowerek, upadł i zwicznął nogę w kolanie. Nie doznał właściwie trwałego uszczerbku na zdrowiu, ale stało się jasne, że jeśli nie będzie mógł biegać, odpadnie mu praca na ulicy. Jego kulawy trucht dookoła sali gimnastycznej zaniepokoił lekarzy i rozbawił kolegów. Powiedzonko „wybailować się na czymś” weszło na stałe do żargonu policyjnego Minneapolis.

Baily znalazł się w czterech ścianach komendy i już tam pozostał. Wciąż nosił mundur i broń i zarabiał jako policjant, ale w rzeczywistości był urzędnikiem i czuł się z tym dobrze. Dlatego właśnie nie zareagował dostatecznie szybko, kiedy zobaczył, jak Rinker dokonuje

egzekucji Barbary Allen. Jego policyjny refleks już przygasł.

Baily jadał lunch o jedenastej, ale tego dnia postanowił wyrwać się trochę wcześniej. Przekradł się z komendy do budynku władz okręgowych, w rękę niósł szarą teczkę z kilkoma dokumentami zaadresowanymi do strażnika sądowego. Była to jego przykrywka na wypadek spotkania z przełożonym.

Kiedy już znalazł się w budynku, rozejrzał się szybko, a potem wskoczył do przejścia naziemnego, które prowadziło do parkingu przy Szóstej ulicy. Stamtąd zamierzał zejść schodami na ulicę i dotrzeć do centrum medycznego, gdzie mieściła się miła, spokojna kawiarenka, rzadko odwiedzana przez policjantów. Chciał zjeść hamburgera z frytkami, wypić kilka filiżanek kawy, poczytać gazety, a potem przekraść się z powrotem do komendy, w samą porę na lunch.

Ten, zdawało się, doskonale plan wziął w łeb, kiedy Baily stanął na schodach prowadzących do garażu.

Niżej zobaczył dwie kobiety. Jedna z nich, rudowłosa, zdawała się wypchać coś do ucha tej drugiej, która leżała na schodach.

- Hej! - zawołał.

Rudowłosa podniosła głowę i w ułamek sekundy później Baily uświadomił sobie, że kobieta trzyma w ręku pistolet. Pistolet powędrował w górę i Baily uniósł dłoń, a rudowłosa strzeliła do niego. Nie usłyszał ogłuszającego huku, ale poczuł, jak coś uderzyło go w pierś, i poleciał do tyłu.

Upadł w drzwiach i to uratowało mu życie: Rinker, stojąca niżej, widziała ponad muszką swej broni tylko podeszwy jego butów. Baily upadł z jękiem, a gdzieś z dali dobiegł go męski głos: „Nic się panu nie stało?”.

Rinker zdążyła już zrobić dwa szybkie kroki w jego stronę, by dokończyć robotę, kiedy usłyszała głos intruza. Sprawy zaczynały się komplikować. W mgnieniu oka zadecydowała: na dole jest bezpiecznie. Zeszła więc schodami, nie biegła, ale poruszała się dostatecznie szybko.

Baily próbował usiąść i odczołgać się od schodów. Po chwili

usłyszał trzask drzwi na dole. Bolała go klatka piersiowa, podobnie jak ręka. Popatrzył na nią, była cała otarta, najwidoczniej od upadku. A potem odkrył powiększającą się plamę krwi na kieszeni białej koszuli od munduru.

- O rany - jęknął.

- Hej, w porządku? - znów odezwał się ten drugi głos.

- O Jezu, o Boże, dobry Jezu - zawodził Baily, który nie był zbyt religijnym człowiekiem. Ponownie spróbował się podnieść, zobaczył przy tym, że ma rękę śliską od krwi, i zaczął płakać. - O Jezu...

Spojrzał w górę i zobaczył mężczyznę z teczką, który na niego patrzył, a dalej zbliżającą się kobietę; wyczuwał jej wahanie.

- Pomóżcie mi - poprosił płaczliwie. - Pomóżcie mi, zostałem postrzelony...

Do gabinetu Lucasa Davenporta wpadł jak burza Sloan.

- Postrzelili Baily'ego Dobbsa - rzucił i spojrzał na zegarek. - Dwanaście minut temu.

Lucas spoglądał zrozpaczony na liczący sześćset stron raport w niebieskiej obwolucie i z białą nalepką, na której widniał tytuł: Komisja do spraw Odmienności Kulturowej i Innych Postaw Życiowych w Wydziale Policji Miasta Minneapolis: Opracowanie Wstępne. Zaznaczał wybrane fragmenty żółtym markerem. Dotarł do siódmej strony.

Odłożył raport i spytał z niedowierzaniem w głosie:

- Naszego Baily'ego Dobbsa?

- A ilu ich mamy? - odpowiedział pytaniem Sloan.

Lucas wstał i sięgnął po granatową marynarkę wiszącą na służbowym wieszaku.

- Żyje?

- Tak.

- Wypadek? Sam się postrzelil?

Sloan potrząsnął głową. Był chudym mężczyzną o ostrych, nieprzyjemnych rysach; miał na sobie ciemne ubranie. Detektyw z wydziału zabójstw, najlepszy fachowiec w mieście, stary przyjaciel.

- Wygląda na to, że natknął się przypadkiem na strzelaninę w garażu przy Szóstej - wyjaśnił. - Strzelec zabił kobietę, a potem stuknął Baily'ego. Rose Mary i Lestera nie ma w mieście, a nikt nie może znaleźć Thorny, więc lepiej zawlecz swój tyłek do szpitala.

Lucas mruknął coś i włożył marynarkę. Rose Marie Roux była szefem policji; Lester, Thorn i on pełnili funkcję zastępców.

- Wiadomo coś o zabójcy?

- Nie. Chociaż Baily mówił coś o kobiecie. Kobieta, którą postrzeliła, nie żyje, a Baily oberwał dwa razy w cycek.

- Ostami pieprzony gość, któremu mogło się to przytrafić - zauważył Lucas.

Lucas był wysoki, szczupły, ale nie chudy, miał szerokie ramiona i ciemną karnację. Od brwi jednego oka do policzka biegła blizna, blada linia wycierająca spod letniej opalenizny, niczym niesforna nić z białego kłębka. Druga blizna widniała na szyi, tuż nad tchawicą i zapięciem niebieskiej koszuli. Wyciągnął z szuflady biurka czterdziestkępiątkę w kaburze i przypiął do paska pod marynarką. Zrobił to odruchowo, jakby chował portfel do tylnej kieszeni spodni.

- Co z nim?

- Biorą go na operację - odparł Sloan. - Swanson tam jest, ale to wszystko, co wiem.

- Chodźmy - powiedział Lucas. - Wie ktoś, co Dobbs robił w tym garażu?

- Ludzie z biura mówią, że się pewnie przekradał do tego centrum medycznego na cheeseburgera. Zawsze udawał, że chodzi do budynku władz okręgowych, a potem przekradał się do szpitala, żeby łyknąć kawy i poczytać gazety.

- Cały Baily, jakiego znamy i kochamy - skomentował Lucas.

Szpital znajdował się o cztery minuty szybkiego marszu od komendy. Postrzelono policjanta, i to poważnie, ale życie toczyło się dalej. Chodniki zapełniał tłum ludzi robiących zakupy, ulice były zakorkowane. Sloan w drodze do szpitala o mało nie został rozjechany

na skrzyżowaniu - Lucas musiał chwycić go za ramię i odciągnąć.

- Za brzydki jesteś na ozdobę maski - mruknął.

Lucas pomyślał, że na izbie przyjęć panuje dziwny spokój. Kiedy obrywał policjant, kręciło się tu zazwyczaj ze trzydziestu ludzi, nieważne, o kogo chodziło. Tutaj zobaczył tylko trzech innych funkcjonariuszy, dwie pielęgniarki i lekarza. Wszyscy stali przy kontuarze, gdzie przyjmuje się pacjentów. Pachniało środkiem dezynfekcyjnym. Nikt się specjalnie nie przemęczał.

- Pusto tu - zauważył Sloan, jakby odgadując myśli Lucasa.

- Jeszcze się nie rozniosło - wyjaśnił Lucas.

Jeden z trzech policjantów rozmawiał przez telefon, podczas gdy drugi, sierżant w mundurze, szeptał mu coś do ucha. Swanson z wydziału zabójstw, otyły detektyw o pozbawionej wyrazu twarzy, ubrany w szary garnitur, opierał się o kontuar, na którym leżał otwarty notatnik, i rozmawiał z pielęgniarką. Zobaczył Lucasa, a tuż za nim Sloana. Uniósł dłoń na powitanie.

- Gdzie Baily? - spytał Lucas.

- Zaraz go zabierają- odparł Swanson, mając na myśli salę operacyjną. - Dostał już narkozę, więc za chwilę wetkną mu w gardło tę cholerną rurę. Nie będzie mógł gadać. Chirurg już myje ręce. Jest na końcu korytarza, jeśli chcecie z nim pomówić.

- Ktoś powiadomił jego żonę? - spytał Lucas.

- Szukamy kapelana - wyjaśnił Swanson. - Jest na jakimś kościelnym zebraniu w północnej części miasta, aukcja dobroczynna czy coś w tym rodzaju. Dick próbuje się z nim właśnie skontaktować. Ściągniemy go w ciągu paru minut.

Lucas zwrócił się do Sloana:

- Wyślijcie po niego wóz. Na sygnale.

Sloan skinął głową i ruszył w stronę funkcjonariusza z telefonem. Lucas zwrócił się z powrotem do Swansona i spytał:

- Co się wydarzyło na parkingu?

- Coś najgorszego. Chyba egzekucja. Na kobiecie.

- Egzekucja?

- Dostała przynajmniej cztery albo pięć razy w głowę z pistoletu małokalibrowego z bliska. Widać osmalenia na skroni - wyjaśnił

Swanson. - Nikt nic nie słyszał, co może oznaczać, że posłużyła się tłumikiem. Każdy dźwięk odbija się w tej betonowej klatce cholernym echem, a Baily powiedział mi, że nie przypomina sobie strzałów. Baily widział zamachowca, ale pamięta tylko, że była to rudowłosa kobieta. Nic więcej. Ani wieku, ani wagi, w ogóle niczego. Zakładamy, że była biała, skoro miała rude włosy, ale do śródmieścia każdego dnia zjeżdża pewnie z pięć tysięcy rudych kobiet.

- Kto się zajmuje tą sprawą?

- Sherrill i Black. Pojechałem tam, gdy tylko do mnie zadzwonili. Rzuciłem okiem na zwłoki, a potem przyjechałem tu z Baily i sanitariuszami.

- Więc denatka wciąż leży w garażu.

Swanson przytaknął.

- Tak. Była już od dawna martwa. Nawet nie przyszło nam do głowy, żeby ją tu przywozić.

- No dobra... mówisz, że chirurg myje ręce?

- Dan Wong, na końcu korytarza. Aha, Baily utrzymuje, że został postrzelony tylko raz, ale lekarze twierdzą, że siedzą w nim dwie kule.

- Doskonały świadek, jak widzę - mruknął Lucas.

- Tak. Ale to oznacza, że ta babka jest szybka i precyzyjna. Dziury po kulach są w odstępach centymetra. Na szczęście nie trafiła w serce.

- Widocznie nie chciała. Bo jeśli to była dwudziestkadwójka...

- Na to wygląda.

- ...to może bała się, że kula utkwi w mostku.

Swanson potrząsnął głową.

- Nikt nie jest tak dobry.

- Mam nadzieję - mruknął Lucas.

Lucas przecisnął się obok pielęgniarki, która bezskutecznie próbowała go zatrzymać, i zobaczył Wonga z rękami po łokcie w zielonym mydle.

Lekarz się odwrócił.

- Oho, gliny - zauważył.
- Jak to wygląda? - spytał Lucas.
- Nie najgorzej - odparł Wong, szorując paznokcie. - Będzie kontuzjowany przez jakiś czas, ale widziałem już gorsze rzeczy. Dwa po-
ciski - na zdjęciu wyglądają na nieźle zdeformowane, miały więc
pewnie wydrążony czubek. Dostał w prawy sutek, utkwily pod prawą
łopatką. Dwie małe dziurki, prawie nie krwawił, choć z powodu jego
otyłości trudno powiedzieć, jak sprawa wygląda. Ciśnienie krwi w
normie. Chyba jakiś zabójca z dwudziestkądwójką.

- Czyli się wylize? - spytał Lucas, który poczuł, jak napięcie powoli
go opuszcza.

- Jeśli nie dostanie ataku serca albo wylewu - odparł Wong. - Ma
dużą nadwagę, poza tym wpadł w panikę, kiedy go przywieźli. Sama
operacja to małe piwo.

- Więc co mam powiedzieć prasie? Że operacja to małe piwo?

Wong wzruszył ramionami, susząc dłoń.

- Jest na chirurgii, stan poważny, ale dojdzie do siebie, jeśli nie
pojawią się jakieś komplikacje.

- Pogadasz z nimi potem?

- Jestem zaproszony na drugą do Wayzaty - wyjaśnił Wong.
Strząsnął dłoń i odsunął się od zlewu.

- Mógłbyś sobie darować - podsunął Lucas.

- Nic z tego. Nie zapraszają mnie tak często.

- Danny...

- Poświęcę im pięć minut - zgodził się Wong. - A teraz, jeśli ze-
chcesz łaskawie zabrać stąd swój zarobaczony tyłek, przystąpię do
pracy.

Randal Thorn, nowo mianowany szef służby patrolowej, pojawił
się dziesięć minut później. W izbie przyjęć stało teraz piętnastu poli-
cjantów. Zaczęło się robić tłoczno.

- Przyjechałem prosto z cholernego lotniska - poinformował Lu-
casa. Pod pachami jego munduru widać było krążki potu. - Co z nim?

Lucas zapoznał go szybko ze szczegółami, a po chwili zbliżył się Sloan.

- Kapelan już jedzie do domu Baily'ego. Za jakieś pięć minut powie jego starej.

Lucas skinął głową i ponownie zwrócił się do Thorn:

- Zajmiesz się tym bałaganem? Przyjechałem, bo Rose Marie nie ma, a ciebie i Lestera nie było w domu. A Baily to właściwie twój gość.

- Załatwione - zgodził się Thorn. - Jedziesz na miejsce zbrodni?

- Za chwilę - odparł Lucas. - Chcę na to popatrzeć z bliska, utrwalić obraz.

Thorn pokiwał głową.

- A wiesz, jakiego obrazu nie potrafię sobie utrwalić? - spytał. - Baily Dobbs postrzelony. Ostatni facet...

- Jakiemu mogło się to przytrafić - dokończył Lucas.

Jeśli izba przyjęć sprawiała wrażenie nienaturalnie cichej, to wjazd do garażu przy Szóstej ulicy przypominał punkt zborny wszystkich przedstawicieli prawa w mieście: z tuzin funkcjonariuszy z wydziału zabójstw i mundurowych, pracownicy sądowni, zastępca burmistrza, właściciel garażu i dwaj przypuszczalni świadkowie. Wszyscy stali przy windzie i klatce schodowej.

Lucas skinął głową jednemu z policjantów pilnujących porządku i razem ze Sloanem zajrzeli na schody. Marcy Sherrill i Tom Black przeglądali zawartość torebki ofiary. Denatka leżała na stopniach, u ich stóp. Spódnicę miała podciągniętą aż za obfite uda, widać było majtki. Jedna ręka była zgięta pod dziwnym kątem, z dala od twarzy - mogła ją złamać, kiedy upadała, pomyślał Lucas - spojrzenie półprzymkniętych oczu dawno zastygło. Kałuża krwi pod wciąż nieskazitelnie ułożonymi włosami już gęstniała. Jej twarz wydawała się jakby znajoma; denatka wyglądała na sympatyczną osobę.

Sherrill odwróciła się i zobaczyła Lucasa.

- Cześć - rzuciła nieśmiało.

- Cześć - odparł Lucas. Właśnie zakończyli trwający sześć tygodni

romans czy też, jak określała to Sherrill, czterdzieści dni i czterdzieści nocy seksu i nieporozumień. Przechodzili teraz kłopotliwy okres, kiedy to nie spotykali się więcej, ale nadal razem pracowali. - Wygląda paskudnie.

Klatka schodowa cuchnęła wilgotnym betonem, miedzianą wonią krwi i odorem ludzkich jelit, który wydobywał się z ciała.

Sherrill zerknęła na zwłoki.

- Ciężko będzie - przyznała.

- Swanson powiedział, że to egzekucja - wtrącił Sloan.

- Owszem, bez dwóch zdań - przyznał Black i wszyscy popatrzyli na ciało, które przypominało wielką kałużę u ich stóp. - Naliczyłem siedem ran wlotowych, ale nie widzę dziur z drugiej strony. Nie trzeba specjalisty od sądówki, żeby wiedzieć, że broń przystawiono prosto do głowy.

- Kto to jest? - spytał Lucas.

- Barbara Paine Allen. Ma identyfikator w torebce, jej mąż to chyba prawnik.

- Znam skądś tę twarz, nazwisko też nie jest mi obce - powiedział Lucas. - Myślę, że to może być ktoś ważny.

Sherrill i Black przytaknęli.

- Wspaniale - mruknęła Sherrill.

Lucas przykucnął na chwilę przy ciele martwej kobiety, przyglądając się jej głowie. Rany po kulach były małe i zgrabne, jakby ktoś ponakłuwał ją ołówkiem. Dwie wyżej, na potylicy, i wianuszek pięciu na skroni. Serce pracowało jeszcze przez moment, kiedy upadła; cienki strumyczek zasychającej krwi wypływał z wszystkich otworów. Siedem cienkich strużek miało wyraźny bieg, co znaczyło, że nie poruszyła się po upadku. Zawodowiec, i to pedantyczny, pomyślał Lucas. Podniósł się i spytał dwójkę policjantów:

- Macie jakichś świadków? Oprócz Bailly'ego?

- Bailly powiedział, że strzelała rudowłosa kobieta, mamy też dwoje ludzi, którzy utrzymują, że widzieli rudowłosą kobietę oddalającą się z miejsca zbrodni krótko po strzelaninie. Brak wiarygodnego

rysopisu. Mówią, że miała ciemne okulary. I zgodnie twierdzą, że wycierała nos albo kichała w chusteczkę.

- Zakrywała twarz - zauważył Lucas.

- Nie wierzę w te bzdury - powiedział Sloan, spoglądając na Barbarę Allen. - Zwykłych ludzi tak się nie załatwia.

- Nie w Minneapolis - dodała Sherrill.

- I nie robi tego zawodowiec - dorzucił Black.

Lucas podrapał się w brodę.

- Ale ta kobieta zrobiła - to. Zastanawiam się dlaczego - powiedział.

- Wchodzisz w to? - spytała Sherrill. - Może być z tego ciekawa sprawa.

- Nie mam czasu - odparł Lucas. - Jestem w tej cholерnej komisji do spraw różnic kulturowych.

- Jakbyśmy znaleźli zabójczynię, to może udałoby się ją namówić, żeby załatwiła tę komisję.

- Są niezniszczalni - zauważył ponuro Lucas. - Pochodzą z samego piekła.

- Będziemy cię informować na bieżąco - obiecała Sherrill.

- Nie zapomnijcie. - Lucas potrząsnął głową i znów spojrzął na stygnące ciało. A potem powtórzył głośno: - Zastanawiam się dlaczego.

3

Barbara Allen została zabita dokładnie miesiąc po tym, jak Carmel Loan zawarła kontrakt za pośrednictwem Rola. Kiedy wieść o morderstwie rozniosła się po kancelarii, Carmel od razu sobie powiedziała, że nie ma z tym nic wspólnego. Załatwiła sprawę tak dawno temu, że nieomal o niej zapomniała.

Carmel dowiedziała się o zabójstwie podczas czytania zeznań pewnego mężczyzny, który wyprowadził późnym wieczorem psa i utrzymywał, że widział, jak Rockwell Miller - jej klient - wszedł do podpadającej restauracji z dwudziestolitrowym kanistrem benzyny.

Oskarżenie utrzymywało, że to ten sam kanister, który rzeczoznawcy od podpaień znaleźli w zgłiszczach lokalu. Pożar był tak gwałtowny, że gaśnica w kuchni całkowicie się stopiła.

Carmel szukała w zeznaniach czegoś, co nazywała obierką. Gdyby udało jej się dotrzeć do jakiegoś szczególnego aspektu historii albo relacji świadka - czyli „obrać” go - mogłaby podać w wątpliwość zeznanie i tym samym obalić wiarygodność świadka. Zaczęła przypuszczać, że uda jej się „obrać” tego nocnego psiarza. Był rozwiedziony i miał dwa wyroki za przemoc w rodzinie, co kompromitowało każdego świadka, jeśli tylko w ławie przysięgłych zasiadało choć kilka kobiet. Z nimi poszłoby łatwo. Gorzej było z ujawnieniem wyroków przed ławą, gdyż przeciętny sędzia mógł omyłkowo uznać ów fakt za nieistotny dla sprawy.

Psiarz mieszkał niedaleko restauracji i znał jej właściciela z widzenia. Czy psiarz i jego była żona jedli kiedykolwiek w tym lokalu? Czy gdy się rozstawali, dochodziło między nimi do kłótni w restauracji? Czy psiarz mógł żywić niechęć do lokalu i do jego właściciela, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy?

Carmel wiedziała, że to w gruncie rzeczy brednie, ale gdyby mogła ogólnie spytać dwanaście prawych kobiet: Czy wierzycie zeznaniom brutalnego mężczyzny maltretującego własną żonę... byłaby to klasyczna „obierka”.

Dzwoniła właśnie do swojego klienta, kiedy do gabinetu wsadziła bez uprzedzenia głowę sekretarka i spytała:

- Słyszałaś o żonie Hale'a Allena?

Carmel podskoczyło serce do gardła i czym prędzej odłożyła słuchawkę.

- Nie, a co się stało?

Była jedną z trzech najlepszych obrończyń w Minneapolis i St. Paul, dlatego jej twarz przypominała w tym momencie oblicze kobiety, którą ktoś pyta akurat o pogodę.

- Nie żyje. Została zamordowana. - Sekretarka nie mogła ukryć satysfakcji w głosie. - W garażu w śródmieściu. Policja mówi, że to sprawa zawodowca. Jak zabójstwo na zlecenie.

Carmel ściszyła głos, okazując jednocześnie zrozumiałe w takim wypadku zainteresowanie:

- Barbara Allen?

Sekretarka weszła do gabinetu, nie przytrzymując drzwi, które się za nią zamknęły.

- Jane Roberts powiedziała, że policjanci przyjechali po Hale'a, a potem popędzili do szpitala, ale było za późno. Już nie żyła.

- O mój Boże, biedna kobieta - powiedziała Carmel, a jej dłoń powędrowała do gardła. I pomyślała: Nie zrobiłam tego. A po chwili druga myśl: Siedziałam tu, wszyscy mnie widzieli.

- Przyszło nam do głowy, żeby zebrać trochę pieniędzy i przesłać na pogrzeb kwiaty - poinformowała sekretarka.

- Dobry pomysł - pochwaliła Carmel. Sięgnęła do torebki leżącej obok biurka, pogrzebała w środku i rozpostarła przed sobą banknot.

— Dam na początek setkę. Starczy?

Później, tego samego popołudnia, Carmel stała ze szklaneczką ginu z tonikiem na balkonie swego olśniewającego apartamentu i zamartwiała się, obgryzając paznokieć aż do skóry. Był to zły nawyk, który wyniosła jeszcze ze szkoły podstawowej. Po raz pierwszy od chwili, gdy zadurzyła się w Hale'u Allenie, spojrzała na siebie trzeźwo i z dystansem.

Często mówiła swoim klientom, w mniejszym lub większym stopniu zawodowym przestępcom, że nie da się uniknąć błędów podczas dokonywania przestępstwa, że choćby nie wiadomo jak człowiek się starał, i tak pozostawi po sobie jakiś ślad.

Carmel rozważała nawet możliwość zgładzenia Barbary Allen własnymi rękami. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiła, ale ta myśl nie zaprzętała jej specjalnie. Mogła nacisnąć spust, czemu nie. Ale diabeł tkwił w szczegółach, a tych było za dużo. Skąd miała wziąć broń? Gdyby ją kupiła, istniałby dowód sprzedaży. Mogła się nią posłużyć, a potem wyrzucić, ale gdyby zjawiała się u niej policja, to tłumaczenie, że pistolet zjadł pies, okazałoby się mało wiarygodne.

Mogła też ją ukraść, ale istniało ryzyko, że zostanie na tym przyłapaną. No i musiałyby ukraść ją komuś, o kim wiedziała, że posiada broń, a to mogłoby ją zdradzić. Mogłaby jeszcze spróbować numeru

z fałszywym dowodem tożsamości - co samo w sobie już stanowiło przestępstwo - ale ona, Carmel, była na tyle charakterystyczną postacią, że sprzedawca, pytany o nabywcę, od razu by ją sobie przypomniał, zwłaszcza gdyby mu podsunięto zdjęcie.

Pozostawał sam akt zabójstwa. Dokonałaby go. Zawsze robiła to, co postanowiła. Ale, jak wielokrotnie ostrzegwała swoich klientów, najstaranniej nawet zaplanowaną zbrodnię mogły pokrzyżować błędy, przypadki czy po prostu zwykły pech. A jeśli chodziło o morderstwo, to błąd, przypadek czy pech oznaczał w stanie Minnesota spędzenie następnych trzydziestu lat życia w niezbyt komfortowym pomieszczeniu wielkości łazienki.

W końcu doszła do wniosku, że najmniejsze ryzyko wiąże się z wynajęciem zawodowca. Miała mnóstwo gotówki w bankowym depozycie, absolutnie bezpieczne banknoty, miała też Rolanda D'Aquila, innymi słowy kontakt. Dysponowała również marginesem bezpieczeństwa, gdyż ani Rolando, ani zabójca nie mogli wspomnieć policji o swoim udziale, ponieważ to by oznaczało, że są tak samo winni morderstwa pierwszego stopnia jak Carmel. Egzekutorka, nawet gdyby ją w końcu wytropiono, mogłaby się w sądzie wybronić: jako zawodowiec nie pozostawiłaby znaczących śladów, poza tym nic ją wcześniej nie łączyło z ofiarą.

Tak więc Carmel była prawdopodobnie bezpieczna; ale po krótkim namyśle, stojąc z drinkiem w dłoni, postanowiła przez jakiś czas trzymać się z daleka od Hale'a Allena. Niech się, otrząśnię po zabójstwie żony; niech pogada z nim policja - oczywiście zrobi to. Ponieważ Carmel nigdy nie okazywała swego zauroczenia Hale'em, nikt by nie podejrzewał, że może być zaplątana w sprawę.

Zastanawiała się nad różnymi wariantami, obgryzając do żywego mięsa paznokcie, kiedy zadzwoniła Rinker.

Telefon był zastrzeżony i nikt nieznanymy nie mógł zadzwonić.

- Tak? - spytała, podnosząc słuchawkę.

- Muszę dostać od ciebie trochę pieniędzy.

Kobieta po drugiej stronie miała akcent środkowego południa albo Teksasu, końcówki słów były jakby ucięte. Wyczuwało się w nim też nutkę dobrego humoru.

- Wszystko w porządku? - upewniła się Carmel.

- U mnie jak najbardziej.

- Trochę się ciebie boję - wyznała Carmel. - Wolalabym spotkać się w jakimś publicznym miejscu.

Kobieta zachichotała, był to przyjemny, swojski dźwięk biegnący po drucie telefonicznym.

- Wy, prawnicy, za bardzo się przejmujecie. Nie możesz mnie zobaczyć, kotku.

- W porządku - powiedziała Carmel. - Jak to załatwimy?

- Masz pieniądze przy sobie?

- Tak, zgodnie z tym, co mówił Rolo.

- Dobrze. Wsiądź do swojego volvo i podjedź na parking uniwersytecki przy Huron i Czwartej. To wielki plac, kręci się tam mnóstwo studentów. Przy wjeździe stoi automat z kartami. Zaparkuj jak najdalej od budki parkingowego, ale w takim miejscu, gdzie jest dużo samochodów. Zostaw pieniądze w torbie - najlepiej w szarej torbie na zakupy - na podłodze po stronie kierowcy. Potem idź na Washington Avenue... znasz tę okolicę?

- Tak. Chodziłam tam do szkoły.

Spędziła siedem lat na uniwersytecie.

- Dobrze. Idź w stronę Washington, potem zjedź nad rzekę. A później możesz robić, co chcesz. Gdy tylko będziesz miała ochotę, wracaj do samochodu. Zamknę go na odchodnym. A ty przez cały czas będziesz na widoku. Nic ci nie grozi.

- A jak ktoś weźmie pieniądze, zanim podejdiesz do samochodu? Znów rozległ się chichot.

- Nikt nie weźmie pieniędzy, Carmel.

Kobieta wymawiała jej imię „Karmul”, podczas gdy sama Carmel zawsze wymawiała je „Karmel”, z akcentem na ostatniej sylabie.

- Kiedy mam wyjechać?

- Od razu.

- Skąd wiesz, że mam volvo?
- Obserwuję cię od jakiegoś tygodnia. Podjechałaś nim przedwczoraj pod sklep. Nie kupowałabym na twoim miejscu tej słodkiej kukurydzy. Wyglądała na przeterminowaną.
- Była przeterminowana - powiedziała Carmel. - Będę za kwadrans.

Carmel zrobiła dokładnie tak, jak prosiła Rinker, pospacerowała jeszcze kilka minut wzdłuż rzeki. Kiedy wróciła do samochodu, drzwi były zamknięte, a pieniądze zniknęły. Pojechała prosto do siebie, a kiedy weszła do mieszkania, zadzwonił telefon.

- To ja - odezwał się znajomy głos.
 - Mam nadzieję, że wszystko poszło jak trzeba - rzekła Carmel.
 - Poszło doskonale. Wyjeżdżam z miasta, ale chciałam ci powiedzieć, że wszystko jest okej. Masz coś do pisania?
 - Tak.
 - Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała, zapisz sobie ten numer. - Kobieta podała numer telefonu z kodem 202, w którym Carmel rozpoznała stolicę, Waszyngton. - Zostaw wiadomość na poczcie głosowej z hasłem „Patricia Case”.
 - Patricia Case.
 - Oddzwonię w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.
 - Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek chciała z tego skorzystać.
 - Nie bądź taka pewna; wy, prawnicy, potraficie czasem zaskoczyć człowieka...
 - W porządku. I dzięki.
 - To ja dziękuję.
- Potem znajomy głos umilkł.

Telefon zadzwonił, zanim zdążyła się odwrócić.

- Carmel?

Po raz drugi tego dnia serce podskoczyło jej do gardła.

- Tak?
- Tu Hale. - A po chwili, jakby nie wierzył, że rozpozna swego Hale'a, dodał: - Allen.
- Hale. Mój Boże, słyszałam o Barbarze. Jakie to straszne.
- Niemal nachyliła się do telefonu, drżąc z nieskrywanej emocji. W kąciку oczu pojawiły się łzy. Biedna Barbara. Biedny Hale. Tragedia.
- Carmel... Boże, nie wiem, jestem taki zdruzgotany - wyznał Hale Allen. - Policja podejrzewa, że mogę mieć z tym coś wspólnego. Z tym morderstwem.
- To idiotyzm - zawołała Carmel.
- Absolutnie. Wciąż pytają, ile pieniędzy odziedziczę, a rodzice Barbary powtarzają te wszystkie bzdury...
- To okropne!
- Potrzebował pomocy. I kontaktował się właśnie z nią.
- Posłuchaj, dzwonię, żeby cię o coś prosić. Mogłabyś się tym zająć w moim imieniu? Rozmawiać z policją? Jesteś najlepszym adwokatem, jakiego znam...
- Oczywiście - odparła szybko. - Gdzie w tej chwili jesteś?
- W domu. Siedzę tu z tymi wszystkimi rzeczami Barb... nie wiem, co robić.
- Zostań tam - nakazała Carmel. - Przyjadę za pół godziny. Nie rozmawiaj już z policją. Jeśli ktoś zadzwoni, kieruj go do mnie.
- Nie nabiorą podejrzeń? - spytał.
- Nie należał do najmądrzejszych facetów na świecie.
- Już nabrali podejrzeń, Hale. Znam ich jak zły szeląg. To głupie, ale tak właśnie rozumują. Daj im w razie czego mój numer do biura i domowy, ale pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z nimi.
- Okej. - Był już spokojniejszy. - Pół godziny?

O Boże. Wszystko przez te dłonie Hale'a Allena, pomyślała. Miał duże, budzące zaufanie dłonie o czystych kwadratowych paznokciach i rzadkich ciemnych włoskach na pierwszym stawie palców; wszystko to sugerowało męskość. Miał też piękne, gęste włosy i wspaniałe

ramiona, a piwne oczy tak pełne wyrazu, że gdy skupiały swe spojrzenie na Carmel, robiło jej się miękko.

Najwspanialsze były jednak dłonie. Pewnego popołudnia, w miłym barze odwiedzanym przez prawników, z mnóstwem roślin w mosiężnych garnkach i z antycznymi komodami służącymi za stoły, siedzieli we trójkę czy czwórkę, wszyscy z różnych kancelarii, i nie rozmawiali o sprawach zawodowych, ale po prostu plotkowali. Allen śmiał się, ukazując duże białe zęby, i kilka razy tak na nią spojrzał, że czuła, jak jego wzrok sięga aż do samych majtek. Ale jej uwagę przykuło coś innego - pił jakiś lekki biały trunek, może był to kalifornijski chardonnay, obracał przy tym kieliszek w tych mocnych palcach, i Carmel doznała wewnętrznych wibracji. Od tamtej pory spotkali się ze dwadzieścia razy, ale zawsze w większym towarzystwie, nigdy też nie trwało to zbyt długo.

Uważała jednak, że Hale musi w głębi serca wiedzieć. A teraz ten telefon...

Pracowała przez piętnaście minut nad makijażem - chodziło o to, by nie rzucił się w oczy - potem musnęła się odrobinką chanel nr 7 za uszami i zeszła do garażu.

Zapomniała o swym postanowieniu, by trzymać się jakiś czas z daleka od Hale'a Allena.

Hale Allen jej potrzebował.

4

Lucas czuł się lekko: wewnętrznie lekko. Nie miał chwilowo nic do stracenia.

Nie rozmawiał poważnie z kobietą od czasu zerwania z Marcy Sherrill. I teraz czuł się dobrze; utrzymywał formę, grał w kosza, biegał po okolicy, choć dokuczały mu kolana, jeśli zaliczał ponad osiem kilometrów. No cóż, wiek robił swoje...

Pieniądze na koncie. Rachunki popłacone. W pracy wszystko pod

kontrolą, z wyjątkiem tej komisji do spraw kulturowych. Choć i to zajęcie miało na niego kojący wpływ. Jak nudny koncert, kiedy to muzyka nigdy się nie zmienia, posiedzenia sprowadzały się do trzech godzin tygodniowo, podczas których musiał siedzieć nieruchomo na zwolnionych obrotach, nie angażując umysłu. Nie udawało mu się spać w trakcie posiedzeń, ale przynajmniej nadrabiał braki w lekturze.

Wcześniej tego samego roku, przed epizodem Czterdziestu Dni i Nocy, nie czuł pewnego gruntu pod nogami, jakby był zawieszony między normalnością a kolejnym atakiem depresji. Musiał oddać Marcy Sherrill sprawiedliwość. Zmieniła to. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak dobrze, choć trochę był wyobcowany, rozkojarzony. Stara przyjaciółka jeszcze ze szkolnej ławy, zakonnica i jednocześnie wykładowca w St. Anne's College, wybrała się na letnią wyprawę do Gwatemali, by okazać Bogu wdzięczność za powrót do zdrowia po ciężkim pobiciu. Połowa przyjaciół na wakacjach. Przystępczość, w co trudno uwierzyć, zmniejszyła się w całym kraju.

Poza tym trwało lato, i to piękne.

Lucas pracował przez cztery dni w tygodniu, a weekend spędzał w swojej drewnianej chacie w Wisconsin. Pięć lat wcześniej jego sąsiad z North Woods zarybił staw okoniem. Zaczął się czas połowów. Każdego ranka, jeszcze przed świtem, Lucas pokonywał kilometrowy dystans dzielący go od chaty sąsiada, spuszczał na wodę starą zieloną łódź płaskodenną i zarzucał wędkę pośród lilii wodnych, dopóki słońce nie wzeszło wysoko. Ciężar świata rozplywał się w lustrzanych refleksach gładkiej czarnej wody, w woni letnich pyłków, tak rozgrzanych od słońca - czuł je na swych ramionach - i bezruchu drzew.

Barbara Allen została zamordowana w czwartek. Lucas wepchnął wspomnienie jej leżącego bezwładnie ciała do archiwum pamięci, pełnego podobnych obrazów, i zatrzasnął wieko. Wieczorem tego samego dnia wyjechał do chaty. Ominęła go piątkowa gazeta, ale w sobotni poranek zobaczył w oknie sklepowym w Hayward wydanie „Pioneer Press”. Na pierwszej stronie widniał wielki tytuł: *Mąż*

przesłuchiwany w sprawie zabójstwa dziedziczki fortuny.

W niedzielę na pierwszej stronie „Star-Tribune” pojawił się nagłówek: *Zabójstwo Allen - zagadka dla policji*, podczas gdy „Pioneer Press” kontynuował historię artykułem zatytułowanym *Zabójstwo Allen - niewiadomą dla policji*. Lucas mruknął tylko pod nosem.

W poniedziałek rano wszedł, pogwizdując, do komendy i wpadł na Sherrill i Blacka.

- Mielicie mnie informować - przypomniał im.

- Zgadza się - powiedział Black, kiedy stanęli na korytarzu. - No to cię informujemy: ni cholery nic nie mamy.

- To niezupełnie tak - zauważyła z pewnym zniecierpliwieniem Sherrill. - Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że zrobił to Hale Allen. Zapłacił za to.

- Świetnie - skomentował Lucas, podzwaniając kluczami do swojego gabinetu. W końcu to była robota dla kogoś innego. - Przewieźcie jego dupę do więzienia w Stillwater. Zadzwoń wcześniej i zarezerwuję dla niego celę.

- Mówię poważnie - uprzedziła Sherrill. - Obserwowaliśmy go przez cały weekend i ustaliliśmy trzy rzeczy. Po pierwsze zadzwonił do Carmel Loan. Zaraz po rozmowie z nami.

- Oho - mruknął Lucas. Znał Carmel. Jeśli jakiś glina prowadził śledztwo w niepewnej albo trudnej sprawie, to modlił się, by nie mieć przeciwko sobie tej kobiety.

- Co nie znaczy, że jest czemukolwiek winien, zachowuje jedynie zdrowy rozsądek - wtrącił łagodnie Black.

- Po drugie odziedziczy jakieś trzydzieści, czterdzieści milionów dolarów wolnych od podatku - ciągnęła Sherrill. - Nie wiemy nawet, ile tego dokładnie będzie. Jej rodzice utrzymują, że małżeństwo córki nie należało do udanych i że mogło dojść do rozwodu.

- Ale to nic pewnego? - spytał Lucas. - Wyczułem z twoich słów...

- Nic pewnego - przyznała Sherrill z niechęcią.

- Chodzi o to, że jak Hale'a Allena skażą za zamordowanie żony, nie może odziedziczyć ani grosza. Pieniądze powędrują prawdopodobnie

do jej rodziców, którzy ich nie potrzebują, ale na pewno by się nie pogniewali - wyjaśnił Black. - Człowiek nigdy nie jest za bogaty ani za chudy, jak to się mawia.

- Pieniądze nie pochodzą bezpośrednio od nich? - zdziwił się Lucas.

Black potrząsnął głową.

- Nie. Jej dziadkowie byli wielkimi właścicielami tartaków i posiadaczami ziemskimi na Florydzie. Źródłem pieniędzy są liczne trusty. Forsa należała do niej. Rodzice mieli swoją z tego samego źródła. Żadne z nich nie przepracowało nawet dnia w życiu.

- A ta trzecia rzecz? - spytał Lucas, patrząc na Sherrill. - Dwie pierwsze to żadna rewelacja.

- Dmuchał pewną sekretarkę w swojej kancelarii - wyjaśniła. - Robi to od dwóch lat, ale sprawa stanęła ostatecznie na ostrzu noża. Zamierzała spotkać się z jego starą i powiedzieć o romansie. Allen się wahał, ale rzecz była raczej przesądzona.

Lucas popatrzył na Blacka.

- No, to już coś.

- Owszem, coś. - Black wzruszył ramionami.

- Choć zazwyczaj zabija się kochankę, nie żonę - zauważył Lucas, ponownie zwracając się do Sherrill.

- Nie zawsze - zbyła tę uwagę.

- Przyjrzelście się dziewczynie?

- Tak. Była zajęta, kiedy stuknęli Barbarę Allen. Stenografowała podczas jakiegoś spotkania w sprawie spadkowej. Ma na koncie około sześciuset pięćdziesięciu dolarów, zakładamy więc, że prawdopodobnie nie wynajęła zawodowca.

- Może zobaczyła na jakimś filmie, jak to się robi - podsunął Lucas.

- Albo przeczytała jeden z tych podręczników, typu „Morderstwo dla opornych” - zauważył Black.

- A co z Allenem? Skonfrontowaliście go z dziewczyną? - spytał Lucas.

- Jeszcze nie - odparła Sherrill i spojrzała na zegarek. - Zrobimy to za jakieś dziesięć minut.

- A tak przy okazji - wtrącił Black. - Powinieneś też wiedzieć o FBI.

- Federalni? Są zaangażowani w śledztwo? - Lucas uniósł brwi zdumiony.

- Może. Chcą się spotkać, jesteście umówieni na popołudnie - wyjaśnił Black. - Z jakimś gościem z Waszyngtonu.

- To stolica kraju - zauważyła ironicznie Sherrill.

- Chcesz przyjść? - spytała Black Lucasa. - Przyda nam się twoja obecność. Doda blasku.

- I tak cię kochają - skomentowała Sherrill.

- Zadzwońcie do mnie - powiedział Lucas. - Będę się tu kręcił całe popołudnie.

Carmel Loan zjawiała się w komendzie umalowana krwawo-czerwoną szminką i zastała Hale'a Allena w wydziale zabójstw, siedział przy szarym stalowym biurku naprzeciwko Blacka i Sherrill. Pomieszczenie wydziału przypominało redakcję lokalnej gazety z jakiegoś filmu.

- Dlaczego tu jesteśmy? - spytała, przejmując inicjatywę. Położyła torebkę na biurku Blacka, odsuwając przy tym na bok jakieś papiery; starannie wyreżyserowany ruch, który oznaczał, że to ona jest najważniejsza. - Wydawało mi się, że ustaliliśmy wszystko w piątek. Chciałabym też wiedzieć, kiedy wydacie ciało pani Allen. Musimy poczynić przygotowania do pogrzebu.

- Jak tylko przyjdzie raport z sądówki, to znaczy dziś po południu albo jutro - wyjaśnił Black. - Poganiamy ich.

- Rozumiecie, jakie to ważne - przypomniała Carmel, nachylając się ku niemu. Umiała zrobić wrażenie na większości mężczyzn. Black był jednak homoseksualistą i próba spaliła na panewce.

- Oczywiście - odparł z całym spokojem. - Robimy co w naszej mocy.

- To dlaczego tu siedzimy? - spytała Carmel. Potem przysunęła sobie krzesło od sąsiedniego biurka, usiadła i zwróciła się do Allena, zanim Sherrill i Black zdążyli odpowiedzieć: - Jak się czujesz?

Wzruszył ramionami.

- Nie za dobrze. Duszę się tutaj. Musimy zrobić coś z pogrzebem.

Jest absolutnie wspaniały, pomyślała Carmel. Znużenie wokół oczu dodało mu głębi, która wcześniej się nie uwidaczniała, jakiegoś fascynującego smutku.

- A więc? - zwróciła się do Sherrill. - O co chodzi?

Sherrill nachyliła się nad biurkiem i spytała Allena:

- Zamierza pan ożenić się z Louise Clark?

Allen wyprostował się jak spoliczkowany. Carmel spojrzała na niego, w lot pojęła sens pytania, stłumiła nagłą falę gniewu i wypaliła:

- Pięknie. Żadnych więcej pytań. Wyjdź ze mną na korytarz, Hale.

Kiedy zniknęli za drzwiami, Sherrill popatrzyła na Blacka i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie powiedział jej.

Carmel zamigotały przed oczami czerwone plamy, jakby źrenice zaszyły jej skrzepami krwi. Kiedy znaleźli się na korytarzu, chwyciła Hale'a Allena za kłapy marynarki i cisnęła nim o ścianę. Nie była dużą kobietą, ale naparła na niego z całej siły i Allen poczuł na łopatkach impet uderzenia.

- Co oni mówią? - syknęła. - Kto to jest Louise Clark?

- Jedna sekretarka - wymamrotał Allen. - Ja... chyba z nią sypiam.

- Chyba? - dopytywała się nieustępliwie Carmel. - To nie wiesz na pewno?

- Tak, wiem, powinienem ci powiedzieć - wyznał. - Ale myślałem, że nikt się nie dowie.

- Jezu Chryste, jak możesz być taki głupi. Taki głupi. Czego mi jeszcze nie powiedziałeś? Pieprzysz jeszcze kogoś?

- Nie, nie, nie. Boże, nienawidzę tego słowa. Pieprzyć.

Carmel zamknęła na chwilę oczy: nie mogła w to uwierzyć. Nie mogła uwierzyć, że sypiał z inną kobietą. A także w to, że prawnik może być tak cholernie głupi.

- I ty masz dyplom z prawa? - spytała, otwierając oczy. - Prawdziwej uczelni?

- Carmel, ja...

- Och, zamknij się - przerwała mu ostro. Odwróciła się, zrobiła kilka kroków, potem znów na niego spojrzała. - Powinnam się wycofać. Gdybym się nie przyjaźniła z tobą i Barbarą, wycofałabym się.

- Przepraszam - wyjąkał Allen. - Niczego więcej przed tobą nie ukrywałem, przysięgam na Boga.

Carmel odetchnęła głęboko.

- W porządku. Potem mogę na ciebie nawrzeszczyć. I zrobię to. A teraz powiedz mi o tej Louise Clark. Zamierzasz się z nią ożenić?

Allen potrząsnął głową.

- Nie, nie, to nigdy nie wchodziło w rachubę. To sprawa czysto fizyczna. Ona naprawdę... uwielbia seks. To cholerna seksmaszyna. Co więcej mogę ci powiedzieć? Dostawiała się do mnie, w końcu pewnego dnia, kiedy finalizowaliśmy jedną transakcję w motelu w Little Canada, znaleźliśmy wolny pokój...

- O rany. - Carmel przycisnęła dłoń do czoła.

- Co?

- Słyszałeś kiedyś takie słowo „motyw”? To termin prawniczy, często używany przez prokuratorów?

- Na litość boską, nie wiedziałem, że Barbarę mają zamordować - odparł Allen, podnosząc głos. Był teraz trochę rozgniewany, do twarzy napłynęła mu krew, zmierzwiłone włosy opadły na czoło.

- Okej, okej. Z tą kobietą to już skończone?

- Skoro tak mówisz...

- Tak mówię - potwierdziła stanowczo Carmel. - Ale muszę z nią pogadać.

- Dobrze, zadzwonię do niej.

- Trzeba będzie prędzej czy później pomówić o tym z policją, ale nie w tej chwili. Może jutro.

- Jak to załatwimy?

- Musimy nad nimi popracować - odparła Carmel. Zagryzła pa-nzkieć, poczuła w ustach krew, splunęła i znów zagryzła.

Carmel weszła z powrotem do biura wydziału zabójstw. Allen dreptał za nią. Black i Sherrill wciąż siedzieli za biurkiem, Black opierał stopy o blat. Zanim Carmel zdążyła otworzyć usta, Sherrill spytała:

- Chcecie usłyszeć dowcip z serii „przychodzi koń do baru”?

- Pewnie - odparła Carmel.

- Przychodzi koń do baru, siada i mówi smutnym głosem: „Daj mi burbona, bez lodu”. Barman nalewa, podsuwa koniowi i pyta: „Hej, kolego, dlaczego tak ci się twarz wydłużyła?”.

Carmel uśmiechnęła się nieznacznie i zauważyła beznamiętnie:

- Kurewsko zabawne.

- Nie rozumiem - wyznał Allen ze zmartwioną miną.

- Siadaj - nakazała Carmel, po czym zwróciła się do Blacka i Sherrill: - Mój klient przyznał się, że miał ostatnio romans z Louise Clark. Nie powiedział mi wcześniej, ponieważ uznał, że to nieistotne. Ma rację: to nieistotne. Z drugiej strony rozumiemy, jak to interpretujecie. Muszę jeszcze pomówić z moim klientem, a także z Louise Clark. Jeśli nie dopuścicie, by cokolwiek przedostało się do prasy, wrócimy jutro i odpowiemy na wasze pytania. Jeśli pozwolicie na przeciek, to pieprzcie się. Koniec ze współpracą.

- W takim razie przyjdźcie jutro - zgodził się Black. - Od nas nikt niczego nie usłyszy.

- Jutro, dziesiąta rano - zaproponowała Carmel. - Przypuszczam, że już rozmawialiście z Louise Clark i zasugerowaliście jej, żeby z nikim o sprawie nie rozmawiała. Nie wyłączając mojej osoby.

- Oczywiście - przytaknęła Sherrill.

- Oczywiście - powtórzyła jak echo Carmel.

Sherrill zadzwoniła do Lucasa krótko po trzeciej.

- Idziemy na spotkanie, przyłącz się, jeśli masz ochotę.

- Dobra - powiedział i rzucił na biurko raport komisji. - Tylko włożę marynarkę.

Słońce było oślepiające; jeszcze jeden ładny dzień, pomyślał Lucas,

nakładając ciemne okulary. Na północy musiało być wręcz wspaniale - położyć się teraz na łodzi, słuchać meczu z radjka tranzystorowego, a wydarzenia niech biegą swoim torem.

- ...myślałam, że go zabije - mówiła właśnie Sherrill, kiedy Lucas wszedł do wydziału.

- Więc Carmel nie wiedziała? - spytał, gdy się już dowiedział, o co chodzi.

- Nie. I była szczerze zaskoczona. Jak jej powiedzieliśmy, czy o mało jej z orbit nie wyszły - obwieściła z zadowoleniem Sherrill. - Nie wiem, co wydarzyło się między nimi na korytarzu, ale kiedy wrócili, Allen wyglądał jak wyżęta ścierka.

- Hm... nie zdradził się wcześniej? Starał się to ukryć?

Sherrill wzruszyła ramionami, ale Black potrząsnął głową.

- Nie kapuję. Robił wrażenie zaskoczonego, że w ogóle o to spyta-
liśmy. I nie wydawał się specjalnie wystraszony, nie wyglądało, że chce coś zataić...

Uzbrojony recepcjonista w białej koszuli i krawacie wprowadził ich do zamkniętego sanktuarium FBI, gdzie zastali już trochę spoczonego agenta. Siedział w pokoju konferencyjnym z jakimś mężczyzną, który wyglądał jak profesor ekonomii. Odrobinię zmęczony, odrobinię niechlujny. Miał okulary o nieco zbyt grubych szklach. Z drugiej strony odznaczał się dość okazałym karkiem. Uśmiechnął się do Lucasa, spojrzął uważnie na Sherrill i skinął głową Blackowi.

- Jestem Louis Mallard - przedstawił się, wymawiając imię z francuska. - Znać Billa.

Bill Benson, miejscowy przedstawiciel FBI, skinął głową.

- Cześć, Lucas - rzucił.

- O co chodzi? - spytał Lucas.

- O zabójstwo Allen - wyjaśnił Mallard. - Macie coś nowego?

Lucas popatrzył na Sherrill, która z kolei spojrzała na Mallarda.

- Pracujemy nad jej mężem, miejscowym prawnikiem.

- Jakież powiązania z mafią? - spytał Mallard.

- Nic o tym nie wiemy. Macie informacje...?

- Nigdy się u nas nie przewinał - odparł Mallard. - Nie widnieje w naszych kartotekach. Nie służył nawet w wojsku. Nigdy nie dostał mandatu, o ile się orientuję. Chłopiec bez skazy.

- Jego żonę też prześwietlamy - wyjaśniła Sherrill. - Próbujemy znaleźć w jej życiorysie coś, co mogłoby zwrócić uwagę zawodowca, jeśli to zrobił zawodowiec...

- To był zawodowiec - przerwał jej Mallard.

- Co...?

- Proszę powiedzieć mi wszystko, co wie pani o jego żonie.

Miał precyzyjny sposób wyrażania się, zupełnie jak profesor ekonomii.

- Sprawdziliśmy ją dokładnie - przejął pałeczkę Black. - Nasi chłopcy od biznesu przejrzeni jej finanse, ale nic tam nie znaleźli. Jej pieniądze to stara historia. Nie było wielkich strat ani zysków, stały dochód roczny w wysokości jedenastu procent. Żadnych gwałtownych zmian. Przyjrzelśmy się również tej fundacji charytatywnej, którą zarządzała. To jej dziadek ją założył, była z rodzicami w zarządzie, inni krewni też. Chodziło głównie o opiekę nad starszymi ludźmi. Możemy wam przekazać materiały, ale niczego tam nie znaleźliśmy.

Mallard spojrział na Lucasa, potem na Bensona, wreszcie mruknął:

- Do licha.

- Powiedz - poprosił Lucas.

- Kobieta, która to zrobiła, jest zawodowcem - wyjaśnił Mallard. - Niezbyt wysoka, jakieś sto pięćdziesiąt pięć, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Mieszkała kiedyś w St. Louis albo w okolicy St. Louis. Może mówić z południowym akcentem. Zaczęła działać mniej więcej dwanaście albo trzynaście lat temu, przypuszczamy, że zabiła dwadzieścia siedem osób, w tym i waszą panią Allen. Sądzimy, że może mieć powiązania z kimś - niewykluczone, że to tylko jedna osoba - z mafijnego światka St. Louis. To wszystko, co wiemy. Naprawdę chcielibyśmy wiedzieć więcej.

- Dwadzieścia siedem - zauważył Lucas, wyraźnie poruszony.

- Może jeszcze więcej, jeśli zdołała usunąć niektóre ciała albo jeśli upłynęło trochę czasu, zanim wyrobiła sobie podpis - pistolety z tłumikiem, strzał z bliska. Ale tych co najmniej dwudziestu siedmiu jesteśmy pewni. Przeprowadza staranne rozpoznanie, dopada ofiarę gdzieś na osobności, zabija i znika. Przypuszczamy, że prowadzi rozpoznanie do momentu, kiedy może wybrać idealne miejsce na egzekucję, i to z wyprzedzeniem...

- Skąd to wszystko wiecie? - spytał Black.

- Kaliber broni jest zawsze odpowiednio dobrany do miejsca zbrodni. Jeśli zabija ofiarę na otwartej przestrzeni, posługuje się zazwyczaj czterdziestką albo dziewiątką. Jeśli miejsce jest osłonięte, jak w tym wypadku, a także w kilku innych, to zawsze wybiera dwudziestkędwójkę. Nikomu się nie uśmiecha tkwić w betonowej klatce, kiedy wokół latają odłamki jak osy. Używa standardowej amunicji z wydrążonym czubkiem, która robi z mózgu kaszę, ale pozostaje w czasie.

- I to wszystko? Tylko tyle macie? - zdziwił się Black.

- Niezupełnie. Przypuszczamy, że do miasta, gdzie ma wykonać robotę, zawsze przyjeżdża samochodem. Przejrzeliśmy listy pasażerów linii lotniczych, tam gdzie dochodziło do zabójstw, szukając jakiegokolwiek prawidłowości.

- I nic - domyślił się Black.

- O nie. Ustaliliśmy prawidłowości - wyjaśnił Mallard. - Całe mnóstwo. Ale nic, co by pasowało do niej. Prześwietliliśmy kilkaset osób, bez rezultatu.

- Zawsze pracuje za pieniądze? - spytała Sherrill.

- Nie wiemy, jakie są jej motywy. W kilku przypadkach chodziło o wewnętrzne sprawy mafii, ale niektóre - mniej więcej połowa - wyglądają na robotę czysto zarobkową. Po prostu nie wiemy. Dwadzieścia siedem zabójstw i ani jednego wyroku skazującego - powiedział Mallard. - Kilka razy zamordowano kobiety, podejrzewaliśmy, że mogą w to być zamieszani mężowie, ale nic z tego nie wyszło. Nic. Ani razu nie istniało nawet niewielkie prawdopodobieństwo, by mąż był obecny przy zabójstwie. Wszyscy mieli alibi.

- Możemy dostać wasze materiały?

- Po to tu jestem - oświadczył Mallard. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kwadratową kopertę, którą podsunął Sherrill. - Przegrajcie to sobie na CD; wszystko, co wiemy o każdej sprawie, w jaką była zamieszana. Nazwiska, daty, technika zabójstwa, podejrzani, zdjęcia ofiar i miejsc zbrodni. Pierwszy materiał to indeks.

- Dzięki.

- Jak tylko coś będziecie mieli, nieważne co, dzwońcie do mnie. Chcę dorwać tę babkę.

Louise Clark zdecydowała się pomówić z Carmel dopiero wtedy, gdy Hale Allen przekonał ją, że to konieczne.

- Jestem prawnikiem, Louise - powiedział. - Rozmowa z Carmel jest jak najbardziej wskazana, policja siedzi nam na głowie.

- Jeśli tak uważasz - zgodziła się z wahaniem Clark. Była chudą, mysią kobietą o kasztanowych, pozbawionych blasku włosach, grubym nosie i nerwowych, kościstych dłoniach. - Chodzi tylko o to, że policjanci mówili...

Clark nie przypominała żadnej z seksmasynek, jakie Carmel widywała; ale w końcu nigdy nie wiadomo, pomyślała sobie.

- Tak właśnie uważa - powiedziała bez ogródek Carmel.

Siedzieli u Denny'ego ledwie dziesięć minut, kiedy kobieta zaczęła pochlipywać. Carmel nie znosiła, kiedy ktoś się mazał.

Popatrzyła na Hale'a Allena. - Może przejdiesz się trochę? Chcę pomówić z Louise sam na sam.

Tak więc Hale Allen poszedł na spacer, wsadzając dłonie do kieszeni wełnianych spodni. Był ubrany w obszerną, podkreślającą szerokość ramion sportową marynarkę w niebieską kratę i czarny t-shirt. Obie kobiety odprowadziły go wzrokiem. Przytrzymał drzwi jakiejś kobiecie z dzieckiem, która przyszła do restauracji; kobieta powiedziała coś do Allena, ten uśmiechnął się szeroko, a potem zamienili kilka słów.

Po chwili Allen wyszedł; Carmel i Louise pograżyły się w szczerej rozmowie.

*

Carmel miała podwójne łóżko z dwiema zwykłymi poduszkami i trzecią, długą na półtora metra, którą mogła w nocy obejmować nogami. Choć mówiła ludziom, że śpi nago - co stanowiło część jej starannie budowanego wizerunku - tak naprawdę sypiała w obszernej koszuli i szortach. Leżąc tej nocy w łóżku, okryta luźną koszulą, z poduszką między nogami, zastanawiała się nad myślą Louise Clark.

Jej opowieść była stara jak świat. Czuli się w pracy samotni. Przeżywali te same stesy. Żona go nie rozumiała. Zbliżył ich wzajemny szacunek i tak dalej. Wylądowali w hotelowym łóżku. I wtedy Mysz powiedziała coś, co wzbudziło zazdrość Carmel.

„Pierwszy raz zobaczyłam go nagiego, w motelu, już po wszystkim. Naprawdę. Był taki... piękny. To wspaniały mężczyzna. - Oczy jej błysnęły i wyznała, niemal szeptem, jak to dziewczyna dziewczynie: - I jest duży. Piękny i naprawdę duży. Wypełnił mnie całkowicie”.

Carmel ścisnęła poduszkę nogami i starała się wymazać ten obraz. Hale Allen i Mysz. Duży Hale Allen.

Budzik zadzwonił punktualnie o siódmej. Carmel zwlokła się leniwie z łóżka. Kiepsko spała i była w złym humorze. Duży? Jak duży? Podrapała się w pośladek, ziewnęła, rozprostowała kości i ruszyła do łazienki. Pół godziny później, kiedy piła pierwszą tego dnia kawę, jadła drugiego tosta i przeglądała gazetę w poszukiwaniu przecieków na temat Allena i Clark, zadzwonił telefon.

- Tak?
 - Pani Loan? Tu Bill, z dołu. Bill był portierem.
 - Co? - spytała opryskliwie. Zły humor nie przemijał.
 - Mam paczkę dla pani, z adnotacją „pilne”. Chciałem wiedzieć, czy mam ją zanieść na górę.
 - Co to za paczka?
 - Nieduża. Chyba... wygląda jak... kasetę wideo.
 - W porządku, przynieś ją.
- Bill przyniósł przesyłkę, a Carmel dała mu banknot pięciodolarowy

i zamknęła za nim drzwi. Obróciła paczkę w dłoniach. Portier miał rację, chyba kasetę. Zwykły papier do pakowania. Ściągnęła go i znalazła w środku wiadomość napisaną długopisem na karteczce wyrwanej z notatnika. Dwa słowa: „Przykro mi”.

Carmel zmarszczyła brwi, zaniósła kasetę do pokoju, wsunęła do magnetowidu i włączyła.

Na ekranie pojawiła się kobieta i Carmel rozpoznała ją natychmiast. Patrzyła na samą siebie, siedzącą w jasno oświetlonej - wiedziała już dlaczego - kuchni Rolanda, niespełna miesiąc wcześniej.

Carmel na ekranie powiedziała:

- Innej nie piję. - A po chwili: - Więc zadzwoniłeś.

- Owszem - odpowiedział męski głos zza kadru. - Okazało się, że ta babka wciąż pracuje i że weźmie tę robotę.

- Babka? To kobieta?

- Tak. Sam byłem zdziwiony. Nigdy o to nie pytałem, rozumiesz, wiedziałem tylko, do kogo zadzwonić. Ale kiedy spytałem, mój przyjaciel powiedział: „Ona”.

- Musi być dobra - zauważyła Carmel na ekranie. Carmel poza ekranem doszła do wniosku, że kamerę umieszczono w szafce kuchennej, rejestrując obraz przez uchylone drzwiczki.

- Jest dobra. Ma reputację. Nigdy nie chybia - poinformował męski głos. - Skuteczna, szybka. Zawsze strzela z bliska, dlatego nie chybi.

Na ekranie pojawiła się dłoń z kubkiem kawy. Carmel przyglądała się swemu sobowtórowi, jak obraca go w palcach, a potem podnosi.

- Tego potrzebowałam - powiedziała na ekranie i łyknęła kawę. Carmel przypomniała sobie, że była doskonała. Bardzo gorąca.

- Jesteś przekonana? - spytał męski głos. - Jak już im powiem „tak”, trudno będzie sprawę odwołać. Ta kobieta działa po swojemu, nikt nie wie, gdzie jest ani jakim nazwiskiem się posługuje. Jeśli powiesz: „tak”, zabije Barbarę Allen.

Carmel na ekranie zmarszczyła brwi.

- Jestem przekonana - odparła. Carmel poza ekranem skrzywiła się na dźwięk słów „Barbara Allen”. Zapomniała o tym.

- Masz pieniądze? - spytał mężczyzna.

- W domu. Przywiozłam twoje dziesięć tysięcy.

Carmel na ekranie odstawiała kubek, pogrzebała w torebce, wyciągnęła cienki plik banknotów i położyła na stole. W kadrze pojawiła się męska dłoń, która wzięła pieniądze.

- Posłuchaj uważnie - powiedział głos. - Kiedy przyjdą i poproszą o resztę, zapłać co do grosza. Co do grosza. Nie kłóć się, tylko zapłać. Jeśli tego nie zrobisz, nie będą próbowali odzyskać pieniędzy. Zabiją cię dla postrachu.

- Znam zasady - uspokoiła go Carmel na ekranie. - Dostaną swoje pieniądze. I nikt nie trafi na mój ślad, bo trzymam je od dawna w gotówce. Są absolutnie czyste.

- Więc jeśli powiesz: „tak”, zadzwonię do nich wieczorem. I zabiją Barbarę Allen.

Carmel poza ekranem z podziwem patrzyła na swą ekranową bliźniaczkę, która nawet nie drgnęła, tylko wstała i powiedziała:

- Tak. Zrób to.

Taśma przeskoczyła odrobinę, potem w obiektywie ukazał się czarny telefon.

- Jest mi naprawdę przykro, ale znasz mój problem. Potrzebuję dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, powiedzmy na jutro - oświadczył męski głos. - Zadzwonię i powiem ci, gdzie je dostarczyć.

Taśma się skończyła. Carmel łyknęła kawy, poszła do kuchni, wylała resztę do zlewu, a potem cisnęła filiżanką w jedno z wielkich okien wychodzących na balkon. Filiżanka odbiła się od szyby, nie tłukąc się. Carmel nawet tego nie zauważyła; miotała się po kuchni, zrzucając na podłogę szklanki, półmiski, stojak z nożami, toster, sztućce, potem kopała je wściekle na wszystkie strony; i cały czas warczała przez zaciśnięte zęby, wydając chrapliwy dźwięk niczym monstrualny szerszeń.

Zaśmieciła całą kuchnię i aneks jadalny, w końcu skaleczyła się

kawałkiem szkła. Widok krwi na wierzchu dłoni przywrócił jej poczucie rzeczywistości.

- Pieprzony Rolo - syknęła. Krew kapiała na podłogę. - Pieprzony Rolo, pieprzony Rolo, pieprzony Rolo...

5

Przez resztę dnia Carmel doznawała na przemian ataków wściekłości i chwil spokoju; wyobrażała sobie bolesny koniec Rolanda D'Aquili. Wreszcie musiała przyznać, że jest w potrzasku.

Zadzwoiła do Rinker, zostawiła jej swój numer i powiedziała: „To bardzo pilne. Mamy problem”.

Następnego dnia, krótko po pierwszej po południu, Rinker zadzwoniła na supernowoczesny telefon komórkowy Carmel. Nie przedstawiła się, powiedziała tylko sucho:

- To ja. Nienawidzę problemów.

- Poczekaj, zamknę drzwi - rzuciła szybko Carmel. Potem wsunęła głowę do sekretariatu, powiedziała do sekretarki: „Chcę mieć spokój przez dziesięć minut”, cofnęła się i zamknęła drzwi.

- W porządku... - zaczęła, ale Rinker jej przerwała:

- Możemy rozmawiać?

- Tak. Telefon jest na moją matkę. Wyszła ponownie za męża i ma teraz inne nazwisko. Tak jak volvo. To komórka... na specjalne kontakty.

- A często z nich korzystasz?

- Dość często - odparła Carmel. - Tak czy inaczej, chodzi o Rolanda D'Aquile. To ten gość, który mnie z tobą skontaktował.

- Co się stało? - spytała Rinker.

Carmel wyjaśniła szybko, a potem dodała:

- Wydawało mi się, że twoi znajomi woleliby unikać takich sytuacji. Przyciskacie kogoś do muru i...

- Co to znaczy? Co chcesz zrobić?

Carmel wyczuła w głosie kobiety groźbę.

- Nie mam zamiaru donieść na ciebie ani gadać z policją, jeśli o to ci chodzi - wyjaśniła pospiesznie Carmel. - Ale coś trzeba z tym zrobić. Rolo to ćpun. Jeśli dam mu forszę, wyda ją prędej czy później. Nawet jak dostanie pieniądze, wciąż będzie miał taśmę i zacznie szukać kogoś, komu mógłby ją sprzedać. Chociażby telewizji. A wtedy jestem załatwiona, i ty też. Gliny przepuszczą Rolo przez wyżymaczkę, zanim mu cokolwiek obiecają. Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

- Może niepotrzebnie się martwisz - zauważyła Rinker. - W końcu nie ma o niczym pojęcia.

- Gówno prawda. Prędej czy później wyda im gościa, który cię polecił - przekonywała Carmel. - A wtedy go przycisną. Wiesz, jak to jest. Chodzi o morderstwo; to trzydzieści lat więzienia dla każdego, kto jest zamieszany w sprawę. To nie żarty. Wierz mi, jestem tu dobrze znana, zacznie się prawdziwa burza, jak wszystko wyjdzie na jaw. Policja czegoś takiego nie przepuści.

- Kiedy masz mu zapłacić? Temu całemu Rolo? - spytała Rinker.

- Jestem z nim umówiona w Crystal Court jutro o piątej. Zwodziłam go tak długo, jak tylko mogłam, powiedziałam, że potrzebuję czasu na zebranie forsy. Crystal Court to taki duży wewnętrzny dziedziniec...

- Wiem, gdzie to jest - przerwała jej Rinker.

- Okej. W każdym razie mam mu dać pieniądze, a on mi taśmę. Nalegałam, by zjawił się osobiście. W najlepszym razie da mi kopię. Mówi, że jest tylko jedna, ale kłamie. Po jakimś czasie znów zażąda pieniędzy.

- Jesteś pewna?

- Przecież to pieprzony dealer, na litość boską.

Zapadła cisza, a po chwili Rinker powiedziała:

- Jutro rano jest samolot do Minneapolis. Mogę tam być o jedenastej pięćdziesiąt pięć.

- Nie wiem... - zaczęła z wahaniem Carmel. A po chwili dodała pospiesznie: - Wcale nie jestem pewna, czy chcę zobaczyć twoją twarz. Boję się, że będziesz musiała mnie zabić.

- Kotku, ze dwudziestu ludzi zna moją twarz - uspokoiła ją Rinker.

- Jedna osoba więcej nie robi mi żadnej różnicy, zwłaszcza że zapłaciłaś mi za robotę. Wolałabym, żebyś mnie nie widziała, ale musimy obgadać sprawę. Będę potrzebowała twojej pomocy.

Carmel nie wahała się dłużej.

- Wiem.

- Trzeba z nim pomówić i zorientować się, gdzie jest ta kasetka.

Rinker położyła nacisk na słowo „pomówić”.

- Tak. Pomówić z nim prywatnie - zgodziła się Carmel. - Też tak pomyślałam.

- Zgadza się... Dlaczego nalegałaś, żeby spotkał się z tobą osobiście?

- Bo myślałam, że może zechcesz go... w takim momencie - wyjaśniła Carmel.

Rinker parsknęła śmiechem.

- Rozumiem. Zabiłaś już kogoś?

- Nie.

- Nadawałabyś się do tego. Przy odrobinie treningu.

- Prawdopodobnie - przyznała Carmel. - Ale to nie popłaca.

Rinker znów się roześmiała.

- Do zobaczenia o jedenastej pięćdziesiąt pięć - powiedziała. - Weź jaguara. I włóż dzinsy i wygodne buty.

Carmel nie widziała, kogo ma się spodziewać. Twardej mieszkanki górzystych stanów o kwadratowej twarzy i kościstych nadgarstkach, czy też kogoś umięśnionego, w typie strażnika z obozu koncentracyjnego? Nazajutrz wypatrywała wśród pasażerów samolotu z Kansas City kogoś, kto pasowałby do jej wyobrażeń. Drgnęła wystraszona, kiedy przemówiła do niej znajomym głosem elegancko ubrana młoda kobieta o starannej fryzurze i dyskretnie umalowanych ustach. Miała skórzany plecak i pojawiła się nagle przy jej boku.

- Hej.

- Co?

Rinker uśmiechnęła się do niej szeroko.

- Szukasz kogoś innego?
Carmel potrząsnęła głową i spytała:
- To ty?
- To ja, kotku. Odbierałam bagaż.
Kiedy ruszyły do wyjścia, Carmel wyznała:
- Boże, naprawdę nie wyglądasz na... siebie.
- Cóż mogę ci odpowiedzieć? - spytała wesoło Rinker. Spojrzała w prawo, na wysokiego, opalonego mężczyznę, który zbliżał się w ich stronę.
- Carmel! - zawołał przeciągle.
- James. - Carmel nadstawiła policzek do pocałowania i spytała: - Dokąd się wybierasz?
- Do Los Angeles... Mój Boże, wyglądasz jak atletka. Nigdy nie podejrzewałem, że masz dzinsy albo adidas.
Facet miał ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, był przystojny i zaczynał łysieć. Przypominał sportowca. Spojrzał na Rinker.
- Jest pani naprawdę urocza. Mam nadzieję, że nie zalicza się pani do lewicowych feministek jak Carmel.
- Różnie bywa - odparła Rinker. - Pan też jest uroczy.
Położył dłoń na sercu i westchnął.
- O mój Boże, ten akcent. Myślę, że powinniśmy wziąć ślub.
- Już i tak za często to robieś, James - zauważyła sucho Carmel i wzięła Rinker za ramię. - Zagada nas na śmierć, jeśli się stąd nie ruszymy.
- Carmel...
Minęły go, a Rinker obejrzała się za siebie.
- Przystojny facet. Czym się zajmuje?
- To księgowy - wyjaśniła Carmel.
- Hm - mruknęła Rinker.
Carmel wychwyciła w jej głosie nutę rozczarowania.
- Ale to gość z ikra - powiedziała. - Ukradł prawie cztery miliony dolarów miejscowej firmie, która zajmuje się oprogramowaniem komputerowym.
- Jezu. - Rinker znów się obejrzała. - Złapali go?
- Prawie. Doszli do wniosku, że tylko on mógł coś takiego zrobić - odparła Carmel. - Zaangażował mnie, żebym go broniła, ale ani przez

chwilę się nie martwił. W końcu ci z firmy poszli po rozum do głowy i oświadczyli, że jeśli odda pieniądze, to wycofają pozew. On natomiast powiedział, że jeśli wycofają oskarżenie i przeproszą go za pomyłkę, to zdradzi im, jaki błąd tkwi w ich oprogramowaniu, żeby zdążyli go usunąć, nim ktoś oskubie ich klientów, którzy z kolei zażądają miliardowych odszkodowań.

- Poszli na to?

- Zastanawiali się przez tydzień - wyjaśniła Carmel. - Nie mieli najmniejszej ochoty przeproszać, ale zrobili to. A wtedy on się uparł, żeby podpisali z nim kontrakt i zapłacili mu za usunięcie błędu z oprogramowania. Powiedział, że to będzie jego odprawa i że na nią zasłużył. W końcu się zgodzili. Chyba im się opłaciło.

Rinker potrząsnęła głową.

- Czy ludzie już w ogóle nie pracują za pieniądze?

Carmel nie miała ochoty się nad tym zastanawiać.

- Słuchaj, jak mam się do ciebie zwracać? - spytała.

- Pamela Stone - odparła Rinker. - Wiesz, jak dojechać do South Washington County Park?

- Nie, chyba nie.

- Pokażę ci na mapie - powiedziała Rinker. - Musimy zabrać moją broń. Nie mogę przewozić jej samolotem, sama rozumiesz.

Carmel przyglądała się Rinker, kiedy szły w stronę parkingu; szukała jakiejś oznaki, która by świadczyła, że ma do czynienia z zabójczynią pracującą dla mafii. Ale Rinker nie była potworem, tylko zwykłą dziewczyną. Gawędziła beztrosko o podróży, o jakimś artykule na temat przekłuwania ciała, który przeczytała w samolocie, i o jaguarze, kiedy płaciły za parkowanie. „Sama jeździę chevroletem”, wyjaśniła.

Carmel słuchała tylko. Po chwili Rinker położyła jej dłoń na ramieniu i powiedziała:

- Carmel, musisz się odprężyć. Jesteś napięta jak struna. Za chwilę eksplodujesz.

- Nie mam ochoty spędzić najbliższych trzydziestu lat zamknięta

w klatce jak jakaś pieprzona wiewiórka - wyjaśniła Carmel.

- To teraz zamykają wiewiórki? - spytała Rinker.

Carmel nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, a uścisk jej dłoni na kierownicy nieco zelżał.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nic się nie stanie - uspokoiła ją Rinker. - Ściągniemy tego Rola w jakieś spokojne miejsce, wyjaśnimy mu sytuację i odbierzemy taśmę.

- I zabijemy go?

Rinker wzruszyła ramionami.

- Może zrobił trzy albo cztery kopie. Jeśli powie nam o dwóch, a trzecia jest gdzieś schowana... to może nikt jej nigdy nie znajdzie, jak Rolo zniknie.

- Nie wolno nam ryzykować. Musimy się upewnić, że odzyskamy wszystkie, zanim to zrobimy. To znaczy zabijemy go.

- W każdym razie go przestraszymy - zapewniła Rinker. - Gwarantuję. Ale pewności nie możemy mieć nigdy.

- Jak to rozegramy?

- Ja się tym zajmę. Rozmówicie się najpierw, a potem pojedą za nim i dorwę go przy pierwszej okazji. Jest tu w okolicy jakiś sklep rolniczy? Albo motoryzacyjny? Jakiś duży supermarket?

- Chyba tak.

- Musimy kupić łańcuch, dwie kłódki i parę innych rzeczy...

South Washington County Park - kompleks rekreacyjny -leżał trzydzieści kilometrów na południe od St. Paul. Przy wjeździe parkowały tylko dwa samochody, ale nie widać było kierowców.

- Zatrzymaj się na samym końcu. - Rinker pokazała miejsce.

Carmel wykonała polecenie i obie wysiadły. Rinker, trzymając skórzany plecak w dłoni, ruszyła ścieżką, która biegła dnem niewielkiej doliny, a potem w górę zbocza porośniętego dębami o potężnych pniach. Kiedy dotarły na szczyt wzgórza, Rinker rozejrzała się uważnie wokół i zeszła ze szlaku, zagłębiając się między drzewa. Po minucie

dotarły do ogrodzenia, które oddzielało park od jakiegoś pola. Rinker ruszyła wzdłuż siatki, wreszcie przystanęła ze słowami „To tutaj”.

Odeszła na bok, uklękła obok dębu i pogrzebała między dwoma wystającymi korzeniami. Gleba była miękka i ustępowała z łatwością. Po chwili Rinker wyciągnęła dwa oblepione ziemią pistolety automatyczne.

Carmel uświadomiła sobie, że znajduje się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku, w niemal wyludnionym parku, sam na sam z uzbrojoną zabójczynią. Gdyby Rinker ją zastrzeliła, tutaj i teraz, pies z kulawą nogą by się o tym nie dowiedział. Może dopiero jakiś piechur, który akurat oddalił się od wytyczonego szlaku, znalazłby w końcu jej ciało? Rinker mogła odjechać jaguarem i zaparkować go gdzieś w mieście. A jeśli wcześniej podjechała tu którymsz z tych dwóch samochodów?

Wszystko to przemknęło przez głowę Carmel w okamgnieniu. Rinker oczyściła broń z brudu i schowała do skórzanego plecaka.

- Za bardzo się martwisz.

- Po prostu staram się przewidywać rozwój wydarzeń - wyjaśniła Carmel.

- Dlaczego nie przewidziałaś, że Rolo cię sfilmuje? - spytała grzecznie Rinker.

Carmel nie miała zamiaru wykręcać się od odpowiedzi.

- Spieprzyłam sprawę - przyznała z kwaśną miną. - Wiedziałam, że coś nie gra. Przypominam sobie, jak mnie zaskoczyło, że w ogóle nie wstydzi się warunków, w jakich mieszka. Nie był zakłopotany. To właśnie było podejrzenie.

- Wiesz przynajmniej, że nawaliłaś - przyznała jej Rinker. Pistolety stuknęły metalicznie, kiedy zarzuciła sobie plecak na ramię. - Musimy zdobyć trochę oleju. Jak już będziemy miały łańcuch i kłódki. Takiego do broni.

- Czy jak się je zakopuje, to... się nie niszczą?

- Owszem, gdyby poleżały tak kilka dni. Za tydzień zamieniłyby się w złom. Nawet gdyby ktoś je znalazł, nie dałoby się ich przebadać. Brak związku z Allen.

- Więc chciałaś je tu po prostu zostawić?

- Pewnie. Można je bez trudu dostać, dwieście dolarów za sztukę. Nie miałam po prostu czasu kombinować, jak przewieźć broń samolotem i tak dalej. - Spojrzała na zegarek. - Cztery godziny do spotkania z Rolem. Wracajmy do miasta.

The Crystal Court to wewnętrzny dziedziniec najwyższego, pokrytego szkłem wieżowca w Minneapolis. Carmel spotkała Rola na parterze: nie kryła wściekłości. Rinker uznała, że odgrywa to doskonale.

- Jeśli nie będziesz wkurzona, nabierze podejrzeń - powiedziała wcześniej. - Im bardziej się wściekniesz, tym lepiej.

- Potrafię udawać, jeśli trzeba, ale tym razem nie będę musiała się nawet starać - zapewniła Carmel. - Nienawidzę, jak ktoś mnie wykorzystuje, przypiera do muru, a ja jestem bezsilna.

Zacisnęła zęby. Czuła, że traci panowanie nad sobą; z trudem odzyskała spokój.

- Nie jesteś bezsilna - przypomniała jej Rinker. - Tak ci się tylko wydaje.

- Ale on pewnie myśli, że tak właśnie jest. Cholerny skurwieli...

Nie musiała udawać gniewu, kiedy Rolo się pojawił z kasetą w zwykłej papierowej torbie na zakupy. Carmel trzymała pieniądze w torebce.

- Ty palancie - syknęła na niego. - Ty gnoju. Szkoda, że cię wtedy wybroniłam, pieprzony Latynosie.

Rolo przyjął jej inwektywy ze spokojem.

- Daj mi tylko pieniądze, Carmel. Mam w torbie ten twój film. Załatwmy interes i będziemy kwita.

- Lepiej, żeby tak się stało - warknęła. Jakiś siwowłosy mężczyzna w białym golfie zerknął zaciekawiony na jej twarz i Carmel przyszło do głowy, że wygląda pewnie jak zaszczuty wilk - twarz wykrzywiona nienawiścią, gniewem, może nawet strachem. Odetchnęła głęboko i wyprostowała się, próbując zapanować nad sobą. - Oddaj taśmę.

- Najpierw daj mi pieniądze.

- Na litość boską, Rolo, nie mogę tak po prostu zabrać ci tej kasy

i zwać, prawda? Jeśli policja się dowie, jestem załatwiona na amen.

Rolo zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Pokaż pieniądze - zażądał.

Carmel otworzyła torebkę, żeby mógł zobaczyć forszę. Skinął niechętnie głową i wręczył jej papierowy pakunek. Zajrzała do środka i potrząsnęła głową.

- Ty skurwielu - powiedziała.

- Pieniądze, Carmel - przypomniał, a ona dała mu paczuszkę.

- Lepiej się już nie pokazuj - doradziła. - Następnym razem mogę się wkurzyć.

- Sprawdź taśmę - rzucił Rolo, a potem wmieszał się w tłum ludzi, który zmierzał w stronę ruchomych schodów, i wjechał na górę. Po chwili zniknął.

Od domu dzieliło ją pięć minut marszu. Carmel nie wzięła wozu, ponieważ zaparkowanie zabrałoby jej tyle samo czasu co spacer. Ruszyła czym prędzej przed siebie, nie zwracając uwagi na czerwone światła. Zastanawiała się, co robi Rinker.

Rolando D'Aquila zostawił swojego poobijanego dodge'a na trzecim poziomie parkingu przy Trzeciej ulicy, tego samego, gdzie zastrzelono Barbarę Allen. Rinker była z tego nawet zadowolona: dostrzegła w tej sytuacji jakąś intrygującą zbieżność, poza tym знаła już to miejsce. Niosąc dużą zieloną torbę na sprawunki, trzymała się za Rolem w bezpiecznej odległości, wmieszana w tłum ludzi powracających z zakupów i urzędników. Po chwili zmniejszyła dystans, a gdy dotarli do wejścia na parking, podążała za Rolem w odległości dwunastu kroków. Dzieliło go od niej teraz tylko dwóch ludzi.

Szła za nim wzdłuż wjazdu, nie starając się kryć, uważała tylko, by nie wyprzedzić mężczyzny w szarym garniturze z teczką w ręku. Po chwili elegant skręcił w stronę czarnego buicka, a oni ruszyli dalej. Rolo zerknął raz za siebie, ledwie ją dostrzegając. Spojrzała na zegarek i skierowała wzrok gdzie indziej, jakby zamierzała podejść do wozu, który stał na końcu kondygnacji. Lecz gdy Rolo ruszył w stronę

brązowego dodge'a, dzieliły ją od niego już tylko dwa kroki. Zauważył ją dopiero wtedy, gdy stanęła tuż za nim. Odwrócił się, trzymając kluczyki w dłoni, i zanim zdążył otworzyć usta, Rinker wysunęła z torby lufę broni.

- Spróbuj tylko pisnąć, a strzelę ci w twoje pieprzone serce - uprzedziła. - Jak dobrze pomyślisz, to skapujesz, kim jestem. I że nie żartuję.

Rolo stał nieruchomo przez dobrą chwilę, potem powiedział cicho:

- Możesz zabrać pieniądze.

- I tak je zabierzemy, ale najpierw musimy pogadać. Ty, Carmel i ja.

- Weźcie tylko forszę.

- Wsiądziemy teraz do samochodu, Rolo, ja wsunę się na siedzenie pierwsza, a ty będziesz stał przy drzwiach i jeśli piśniesz albo się ruszysz, to cię zastrzelę.

- Nie wierzę - powiedział Rolo, próbując odzyskać spokój. - Za dużo tu ludzi.

Strzeliła mu w lewą nogę. Mała dwudziestkadwójka z tłumikiem wydała dźwięk przypominający klaśnięcie dłońmi i noga Rola ugięła się pod ciężarem jego ciała. Latynos otworzył szeroko oczy.

- Postrzeliłaś mnie - zauważył zdumiony niemal szeptem.

Pod pachą trzymał torbę z pieniędzmi, drugą ręką pomacał się po lewej nodze i uniósł do twarzy dłoń szkarłatną od krwi; czuł, jak ścieka mu po spodniach.

Rinker rozejrzała się wokół. Do garażu weszło jeszcze dwóch ludzi, żaden nie zwracał na nich uwagi. Broń trzymała nisko, nikt nie mógł jej zauważyć.

- Otwórz drzwi, Rolo - nakazała cicho, ale w jej głosie czaiła się groźba śmierci. - Albo następną kulą trafi cię w oko.

Czarny otwór na końcu tłumika uniósł się na wysokość jego twarzy, a D'Aquila mógłby przysiąc, że widzi nabój w komorze broni. Wetknął kluczyk do zamka i otworzył drzwi.

- Nie ruszaj się - nakazała Rinker. Potem przysunęła się do niego tak blisko, że mogliby uchodzić za kochanków, którzy oddają się

pocałunkowi przed powrotem do domu, i wepchnęła mu lufę pistoletu pod żebro. - Teraz wsiądę do samochodu. Jeśli się odezwiesz albo spróbujesz uciec, zabiję cię. Rozumiesz?

- I tak mnie zabijesz.

Rinker potrząsnęła głową.

- Nie wiemy, co z tą taśmą, ile kopii zrobiłeś. Ale zakładamy, że masz przynajmniej jedną, i chcemy ją dostać. Potem cię puścimy, ale pamiętaj: jeśli kiedykolwiek pojawi się gdzieś trzecia taśma, zabijemy cię, jak dwa razy dwa cztery. Jasne?

- Jezu, ta noga mnie wykańcza.

- Ja mogę cię wykończyć. Właż za mną do wozu - nakazała Rinker. Potem usiadła, ani na chwilę nie odrywając lufy od jego żebra. Przesunęła się na swoje miejsce, Rolo wgramolił się za nią. - Jedziemy.

- Dokąd?

- Do domu - odparła. - Do ciebie.

Carmel zastała ich w pokoju frontowym. Rolo siedział w wielkim fotelu, lewą nogę miał mocno obwiązaną kawałkiem prześcieradła. Rinker usadowiła się na kanapie, pistolety trzymała na kolanach. Carmel dostrzegła, że są zaopatrzone w tłumiki.

- Musiałam go trochę skarcić - wyjaśniła beznamiętnym tonem, jakby chodziło o drobnostkę. - Obejrzałeś taśmę?

- Tak, obejrzałam - odparła Carmel. Trzymała torebkę i jakąś paczkę z supermarketu, którą rzuciła na podłogę. Paczka brzęknęła metalicznie. - Na samym początku taśmy mówi, że to tylko kopia, że ma jeszcze jedną i że potrzebuje więcej pieniędzy.

- Dam wam tę taśmę - odezwał się Rolo. - Tylko zawieźcie mnie do szpitala.

Carmel przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko fotela.

- Popatrz na mnie, Rolo. Ile jest kopii?

- Tylko dwie - zapewnił. - Słowo daję, chciałem ci dać oryginał, ale potem pomyślałem sobie... i zrobiłem kopię. Dlaczego miałbym robić więcej? Skoro mam oryginał, mogę zrobić tyle kopii, ile mi się podoba.

- Gdzie ona jest? Ta druga?
- Nie tutaj - odparł. - Jest w banku, w mojej skrytce. Wykombi-
nowałem sobie, że jak coś takiego się stanie, to nie będziecie mogli
mnie zabić. Musicie mnie zawieźć do banku.
- Włożyłeś ją do skrytki bankowej? - spytała Carmel.
- Tak, w US Bank.
- Spójrz na mnie, Rolo.
Spojrzał na nią, jego oczy wydawały się czyste i szczerze.
- Gdzie są klucze do tej skrytki?
- No... dałem je pewnej przyjaciółce na przechowanie, jednej
dziewczynie...
- Gówno prawda, Rolo. - Carmel spojrzała na Rinker. - Kłamie.
- Nie kłamię - zapewnił Rolo.
Carmel obróciła się do niego.
- Owszem, kłamiesz. Nie dałbyś kluczy nikomu. Schowałeś je
gdzieś.
- Nie kłamię - upierał się Rolo. - Posłuchaj, mogę zadzwonić do
tej przyjaciółki...
- Jak się nazywa? - spytała Carmel. - Szybko. Rolo spojrzał w bok,
jakby się zastanawiając.
- Uhm... Mary - powiedział w końcu.
- Niepokalana Dziewica? - odezwała się ironicznie Carmel i zwró-
ciła się do Rinker: - Kłamie.
- Mam go postrzelić? Trochę poważniej? - spytała Rinker.
Carmel przyglądała się przez chwilę Rolowi, wysunęła dolną war-
gę, w końcu potrząsnęła wolno głową.
- Nie. Myślę, że trzeba go zakuć... - Trąciła nogą torbę na podło-
dze. - Dowiedzieć się czegoś więcej o tej Mary. Przetrzęsnać dom.
Poszukać kluczy do skrytki.
- Nie wierzę w tę historię z bankiem - oświadczyła Rinker. - Chy-
ba powinnam go jeszcze raz postrzelić.
- Jezu Chryste - jęknął Rolo, przysłuchując się tej wymianie zdań.
- Zaciągnijmy go na łóżko, żeby nie trzeba było go pilnować, i za-
cznijmy szukać - zaproponowała Carmel. Znów trąciła torbę i popa-
trzyła na Rola. - Przykujemy cię do łóżka i przeszukamy mieszkanie.

Jak nie będziesz grzeczny, to Pamela znów cię postrzeli, i dopiero wtedy przeszukamy mieszkanie. Chcesz nam narobić kłopotu?

- I tak mnie zabijecie - oświadczył.
- Nie zabijemy, jeśli nas nie zmusisz - obiecała Carmel.
- Jesteście stuknięte.
- Nie zapominaj o tym.
- Do sypialni - nakazała Rinker, gestykulując lufą pistoletu.
- Ta noga mnie wykańcza - poskarżył się Rolo.

Rinker wycelowała mu w drugą nogę i Rolo podniósł się z trudem.

- Dobra, na litość boską, już idę.

Rinker ruszyła tuż za nim, celując w kręgosłup.

- Wyciągnij się na łóżku - rozkazała, kiedy dotarli do sypialni. -

Bez numerów.

W sklepie kupiły lekkie łańcuch, na jakim zawiesza się dziecięce huśtawki, rolkę taśmy samoprzylepnej, cztery kłódki i dwie pary gumowych rękawiczek. Rinker oparła się o krawędź łóżka, trzymając broń w pogotowiu, a Carmel obwiązała kilkakrotnie łańcuchem szyję Rolo, owinęła koniec wokół nogi łóżka i zatrzasnęła kłódkę.

- Teraz nogi - oświadczyła i unieruchomiła mu stopy.

- Ramiona - przypomniała Rinker.

- Hm - mruknęła Carmel, patrząc na mężczyznę. Potem obwiązała mu łańcuchem nadgarstek, zatrzasnęła na nim kłódkę, nachyliła się nad łóżkiem, wrzuciła łańcuch pod spód, wyciągnęła koniec z drugiej strony i też zabezpieczyła kłódką. - Gotowe.

Potem wróciła do pokoju po taśmę.

- Po co to? - spytał Rolo.

- Aby zakleić ci usta - wyjaśniła Carmel.

Rolo naprężył się, ale łańcuch wpił mu się w szyję, znieruchomiał więc i popatrzył z dołu na Carmel.

- Nie róbcie mi krzywdy - poprosił zaskakująco spokojnym głosem.

- Ile kopii? - spytała Carmel.

- Tylko jedna - odparł Rolo.

- I jest w skrytce?
- Tak. Dostaniecie ją.
- Zamknij się - nakazała Carmel. Oderwała z rolki pół metra taśmy i obwiązała mu głowę, zaklejając przy okazji usta.

Carmel i Rinker przez następną godzinę przetrząsały niewielki dom, pracując w żółtych gumowych rękawiczkach. Opróżniły szafki kuchenne, garderoby i komody, przeszukały małą, wilgotną i pustą piwnicę, zaglądając w kąty pełne pajęczyn i robactwa; sprawdziły też na poddaszu wyłożonym różową izolacją z włókna szklanego, które przyczepiało im się do ubrań i włosów. Opróżniły tacki z lodem w zamrażalniku, pudła z kredensu, zajrzały do rezerwuaru przy ubikacji, zerwały osłony kontaktów i przełączników. Pod telewizorem znalazły sześć kaset wideo, rzekomo z filmami pornograficznymi, co okazało się prawdą, kiedy odtworzyły je na tanim magnetowidzie Rola. Znalazły też dwa notesy z adresami; sprawdziły jego portfel i znalazły kolejne adresy. Kamera wideo leżała na podłodze garderoby. Rinker otworzyła ją, zobaczyła, że jest pusta, i rzuciła nią o drewnianą podłogę. Znalazły też kilka narzędzi, dużo ubrań i trochę taniej biżuterii.

Zagłądały co kilka minut do sypialni. Łańcuchy skutecznie unieruchamiały Rola i choć mruczał coś pod ich adresem, ignorowały go i wracały do poszukiwań, wywracając dom do góry nogami. Po godzinie zrozumiały, że nie znajdą kasety.

- Wciąż może gdzieś być - zauważyła w końcu Rinker, kiedy już zerwała obicie kanapy i fotela. - Nie jesteśmy w stanie zajrzeć wszędzie. Trzeba by rozwalić całą tę rudere.

Carmel stała w drzwiach sypialni, patrząc na Rola. Po chwili podeszła do łóżka i zerwała mu z ust taśmę. Zakrztusił się.

- Ostatnia szansa, Rolo - powiedziała. - Powiedz mi, gdzie to, kurwa, jest.

- W banku - warknął. Przyszło mu nagle do głowy, że wygrał z nimi.

- Pieprz się.

Wzięła rolkę taśmy i sięgnęła mu do ust, ale odwrócił głowę.

- Odwróć się do mnie - nakazała.
- Sama się pieprz - rzucił; wyczuwało się stanowczość w jego głosie.

- Aż się prosi, żeby go znów postrzelić - zauważyła Rinker z progu sypialni.

- Zabijesz mnie, jeśli to zrobisz - uprzedził Rolo. - Wciąż krwawię. A jak mnie zabijesz, gliny otworzą skrytkę w banku... hej, co ty wyprawiasz!?

Carmel wgramoliła się na łóżko i usiadła mu na piersi. Potem chwyciła go za włosy i szarpnęła z całej siły, łańcuch zacisnął mu się na szyi. Opierał się trochę, w końcu z jego gardła dobyło się charczenie, kiedy puściła mu głowę.

- Trzymaj łeb prosto - nakazała, gdy zaczął łapać spazmatycznie powietrze. - Ty pieprzony...

Posłuchał i Carmel znów obwiązała mu usta taśmą.

- I co dalej? - spytała Rinker.

- Przesłucham go, znam się na tym - odparła Carmel. - Skombinuj mopa i miotłę, a potem przeleć dokładnie wszystkie miejsca, które przeszukałyśmy.

- To kupa roboty. Wywróciłyśmy ten dom do góry nogami - zauważyła Rinker.

- Nie musisz sprzątać, tylko porozrzucaj wszystko jeszcze bardziej. Jak zjawią się technicy policyjni, nie połapią się w tym bałaganie.

- Technicy policyjni?

- Tak - potwierdziła Carmel i nachyliła się do Rinker. - To jasne, że trzeba będzie go zabić. W końcu go znajdą.

- Co z taśmą? - spytała Rinker.

- Dostaniemy ją - zapewniła Carmel, a kiedy wróciły do kuchni, podeszła do szuflady z narzędziami, którą wcześniej opróżniły, i podniosła z podłogi wiertarkę. - Dostaniemy ją.

Carmel wróciła do sypialni i podłączyła wiertarkę do kontaktu. Rolo próbował bezskutecznie zobaczyć, co robi.

- Mówiłam ci kiedykolwiek, że jestem szalona? To znaczy, absolutnie, kurewsko stuknięta? No cóż, zamierzam ci to udowodnić -

oświadczyła i znów weszła na łóżko, a potem usiadła mu na nogach. - To jest dwudziestocentymetrowe wiertło. Zaraz zrobię ci dziurę w kolanie.

Rolo wyprężył się i jęknął, ale Carmel potrząsnęła głową.

- Nie, nie, nie. Żadnych negocjacji. To strata czasu. Najpierw cię trochę przewiercę.

I zrobiła to. Szarpał się, ale mając skrępowany kark i stopy, nie mógł jej zrzucić z siebie. Siadła mu okrakiem na nogach i z bezlitosną skutecznością wjechała wiertłem w kolano. Wiertło zawodziło i krztusiło się, rozrzucając wkoło drobinki białej kości i czarnej krwi, w końcu uchwyt mocujący dotknął jego dżinsów. Rolo wygiął się, jego krzyk tłumiała taśma na ustach; wreszcie, kiedy wiertarka umilkła, wydał z siebie niesamowity odgłos konającego zwierzęcia, wysoki, pełen lamentu jęk. Stojąca na progu Rinker odwróciła się, poszła do salonu, usiadła na krześle i zasłoniła sobie uszy dłońmi.

Kiedy już wiertło weszło maksymalnie głęboko, Carmel wyciągnęła je i powiedziała:

- Dobrze się czujesz, pojebańcu? Dobrze się czujesz? Taśma jest w banku? Co za pieprzona bzdura...

W kąciку ust pojawiła się kropelka białej śliny; Rolo zemdłał.

- Pewnie myślisz, że zdejmę ci taśmę i znów cię spytam; nic z tego - poinformowała go rzeczowo Carmel, kiedy znów odzyskał przytomność. - Po prostu wywiercę ci dziurę w drugiej nodze.

I znów to zrobiła. Rolo szarpał się w łańcuchach, wierzgając stopami, a ona siedziała mu na nogach.

- Wiesz, co naprawdę będzie boleć? - spytała potem. - Dziury w piętach.

I przewierciła mu obie pięty, nie spiesząc się tym razem, doskonając technikę tortur. W połowie pierwszej stopy Rolo znów zemdłał; potem jeszcze raz, kiedy doszła do połowy drugiej.

- Przynieś mi trochę kostek lodu ze zlewu, może się jeszcze nie rozpuściły - zawołała do Rinker.

Zostało kilka i Carmel chlusnęła mu w twarz zimną wodą z kawałkami lodu. Minutę później zadrgały mu powieki.

- Taki gość jak ty powinien wiedzieć, co boli najbardziej, prawda? - spytała. - No, co najbardziej boli?

Jej palce powędrowały do jego paska i rozluźniły klamerkę, potem rozpięły mu spodnie i zaczęły je ściągać z nóg. Rolo leżał bezwładnie, nie opierając się. Carmel ściągnęła mu nogawki do połowy ud. Z ust mężczyzny dobyło się zwierzęce zawodzenie. Wstrzymała się na chwilę i spytała:

- Co? Nie chcesz, żebym ci przewierciła ptaszka? Zrobię to z radością.

- Uhm, uhm, uhm - powtarzał.

- Powiesz nam, gdzie jest taśma? - spytała Carmel.

- Uhm, uhm.

Zerwała mu taśmę z ust, a on obrócił głowę w jej stronę. Miał szklisty wzrok.

- Umieram - jęknął. - Serce mi walnęło.

- Posłuchaj, jeśli chcesz wciskać nam kit, zaklej ci usta i znów zacznę wiercić. Mogę robić to całą noc.

- Kasetą jest w samochodzie - wyznał Rolo. - W kole zapasowym.

Carmel spojrzała na Rinker.

- O rany. Jak mogłyśmy być takie głupie?

- Pójdę po nią - zaproponowała Rinker. - Masz krew na sobie...

Carmel popatrzyła na swoją bluzkę: kropelki krwi przypominały mikroskopijny haft.

Rinker wyszła na dwór; jeszcze jeden ładny wieczór, pomyślała. Gdzieś niedaleko słychać było muzykę, dobiegała pewnie z otwartego okna. Przystanęła, ale nie mogła rozpoznać melodii, potem poszła do garażu, podniosła klapę bagażnika i zdjęła pokrywę z koła zapasowego. Kasetą była wetknięta za oponę. Przyjrzała się jej uważnie, westchnęła i weszła z powrotem do domu.

- Masz? - spytała Carmel.

- Mam - odparła Rinker i wsunęła kasetę do magnetowidu. Obraz pojawił się momentalnie. Po chwili do pokoju weszła Carmel, żeby popatrzeć.

- Dobrze światło - mruknęła Rinker.

- Otworzył wszystkie okna. To też powinnam zauważyć. To nie było w jego stylu.

- Jezu... - westchnęła Rinker, kiedy taśma doszła do końca. - Byłabyś załatwiona na amen, gdyby gliniarze to dorwali.

- Dlatego musiałam ją odzyskać - powiedziała Carmel.

- Myślisz, że to ta? - spytała Rinker.

- Nie wiem, mogę go jeszcze trochę podziurawić - zaproponowała Carmel.

Rinker spojrzała w stronę sypialni.

- Cały czas był twardy... nie wydaje mi się, by długo jeszcze wytrzymał, ale chyba niewiele już z niego wyciągniemy.

- No to kończymy.

- Na taśmie widać twoją twarz - przypomniała Rinker.

Carmel patrzyła przez chwilę w stronę sypialni.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Zwijamy się. Jeśli istnieje jeszcze jedna kopia, zajmiemy się nią później. Ale uważam, że trzeba go zabić. Po tym wszystkim jest pewnie tak wkurzony, że pójdzie na policję.

- Chcesz to zrobić? - spytała Rinker. - To znaczy sama?

- Pewnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu - zapewniła Carmel.

- Żebyś się potem tylko źle nie czuła - ostrzegła Rinker.

- Nie wydaje mi się - uspokoiła ją Carmel. - Co mam robić?

Rinker wyjaśniła wszystko w drodze do sypialni. Rolo zobaczył, jak nadchodzą z bronią w ręku. Nawet nie drgnął.

- Do zobaczenia w piekle - powiedział tylko.

- Nie ma nic równie głupiego jak piekło. Nie wiesz tego jeszcze? - zauważyła Carmel i zwróciła się do Rinker. - I co, mam po prostu przyłożyć mu to do głowy i pociągnąć za spust?

- Właśnie.

Rolo przekręcił głowę na bok, a Carmel przystawiła mu wylot lufy do skroni i odczekała kilka sekund.

- Zrób to - poprosił Rolo.

- Napędziłam ci strachu, co? - spytała.

Rolo zaczął obracać głowę w jej stronę; odrobina nadziei? Ostrzegła to w jego oczach.

Carmel wypaliła sześć razy; potem skończyły się naboje.

Rinker i Carmel spędziły w domu kolejne dziesięć minut, zaciera-
jąc wszelkie ślady, jakie mogły po sobie pozostawić.

- Broń wrzucimy do Missisipi, znam dobre miejsce niedaleko ta-
my - zaproponowała Carmel.

- I spalimy taśmę - dodała Rinker.

- Jak tylko wrócimy do mnie. Musimy się przebrać, pozbyć się
tych ciuchów i wziąć prysznic.

- Może wyskoczymy gdzieś wieczorem? - podsunęła Rinker. -
Mam samolot dopiero pojutrze.

- Czemu nie - zgodziła się Carmel. - Może wypożyczymy sobie ja-
kiś film albo...

Urwała w połowie zdania, spoglądając w stronę kuchni.

- Co się stało? - spytała Rinker.

Carmel wróciła bez słowa do kuchni, kucnęła przy kamerze, którą
Rinker rzuciła na podłogę. Dotknęła jej, potem odwróciła.

- Co się stało? - powtórzyła Rinker.

- Pieprzony Rolo. Ta kamera to VHS-C. A taśma... - pokazała ka-
setę, którą znalazły. - A taśma to pełnowymiarowy VHS. Gdyby ktoś
chciał zrobić kopię, korzystając z jakiegoś gównianego magnetowidu i
kamery, to użyłby takiej właśnie taśmy. Istnieje więc jeszcze jedna, w
systemie VHS-C.

- Jesteś pewna? - spytała Rinker.

- Spójrz - pokazała jej Carmel. Podniosła kamerę, odwróciła i
otworzyła wieko komory na kasetę. Ta, którą dał im Rolo, była niemal
dwa razy za duża.

- Niedobrze - mruknęła Rinker.

Carmel zerknęła na nią z ukosa: gdyby Rinker ją teraz zastrzeliła,
pozbyłaby się z miejsca wszystkich kłopotów. Mogłaby spokojnie
odejść i o nic więcej się nie martwić.

- Za bardzo się przejmujesz - zauważyła Rinker.

- Staram się przewidywać - odparła Carmel i popatrzyła na towa-
rzyszkę. - Wracajmy do domu. Masz te notatniki z adresami?

- Tak.

- Trzeba zabrać jego portfel, książkę telefoniczną i wszystko, co
może zawierać spis nazwisk... muszę spokojnie pomyśleć.

- Nie wierzysz, że trzyma kasetę w skrytce?
- To dealer. Nigdy nie miał żadnej skrytki w banku, w każdym razie nie na swoje nazwisko. Nie znalazłyśmy żadnego fałszywego dowodu tożsamości, jakim mógłby się posłużyć, by wynająć skrytkę w banku, nie znalazłyśmy też kluczy. Podejrzewam, że zrobił to, co zazwyczaj robią w takich sytuacjach dealerzy: zostawił kasetę u kogoś zaufanego.

- Na przykład?

- Na przykład u adwokata. Tyle że to ja byłam jego adwokatem. Chociaż mógł mieć jeszcze jednego, jak mi się zdaje; sprawdzę to. Rolo był Latynosem, więc ten ktoś to pewnie jeden z jego krewnych. Tak czy inaczej, trzeba będzie się rozejrzeć. I to szybko...

- Przebukuję bilet - oświadczyła Rinker. - Chyba zatrzymamy broń.

Kiedy jechały do domu, Rinker zerknęła na Carmel.

- Dobrze się bawiłaś? Tam, u niego w domu? - spytała.

Carmel już miała odpowiedzieć, ale po chwili się rozmyśliła i sama zadała pytanie:

- Chodziłaś do szkoły? Byłaś w college'u?

- No, owszem.

- Naprawdę? Nie sądziłam, że... no wiesz.

- Zawodowy zabójca i tak dalej - domyśliła się Rinker.

- Właśnie - przyznała Carmel. - W czym będziesz się specjalizować?

- W psychologii. Prawdę mówiąc, pozostało mi jeszcze kilka zaliczeń do dyplomu. Powinno się udać na wiosnę przyszłego roku.

- Dobra szkoła?

- Może być.

- Ale nie powiesz mi która?

- No...

- W porządku - powiedziała Carmel. - A jeśli chodzi o tamto, to w pewnym sensie mi się podobało, może trochę. Tak czy siak, musiał zginąć.

- Trochę ci się podobało? Nie jesteś pewna?
- A tobie? - odpowiedziała pytaniem Carmel.
- Nie. Nie mogłam tego słuchać. I ten zapach, kiedy... no wiesz. W ogóle mi się nie podobało.

Carmel oderwała na chwilę wzrok od drogi i spojrzała na Rinker.

- Nie martw się, jestem po prostu socjopatką. Jak ty. Nie jakąś psychopatką czy kimś w tym rodzaju.

- Skąd wiesz, że nie jestem psychopatką?

- Wywnioskowałam z tego, co mówił mi Rolo, co o tobie słyszał. Spokojna, profesjonalna, schludna. Robisz to, bo potrafisz, bo umiesz na tym zarabiać, bo jesteś w tym dobra, a nie dlatego, że przejawiasz chorobliwe pragnienie zabijania ludzi.

- Chorobliwe pragnienie? Istnieje w ogóle coś takiego?

- Wierz mi, prowadziłam kilka takich spraw...

Carmel szczerze rozbawiła Rinker, zanim dotarły na miejsce. Kiedy wysiadły z wozu, Rinker popatrzyła na nią z drugiej strony wozu.

- Wichita State - powiedziała.

- Co?

- Moja szkoła.

Carmel wyczuła, że Rinker zdradziła jej coś ważnego. Po chwili zrozumiała. Rinker powiedziała jej po prostu, gdzie można ją znaleźć.

Gdzie był jej dom.

6

Gdy Lucas zjawił się pod domem we Frogtown, stały już tam trzy radiowozy z St. Paul i wóz ekipy technicznej. Wzdłuż całej ulicy na niewielkich drewnianych gankach siedzieli ludzie i obserwowali dom Rola i kręcących się policjantów. Lucas zaparkował, wysiadł z porsche i ruszył w stronę domu. Jakiś mundurowy już chciał zastąpić mu drogę, ale z domu wyjrzał policjant po cywilnemu i zawołał:

- Hej, Dick, wpuść tego gościa.

- Może pan wejść - oświadczył Dick, a Lucas skinął mu głową i wszedł na schody. Sherrill stała w drzwiach. Pomyślał, że przypominała jakąś ciemnowłosą, ciemnoooką madonnę w tej żółtej bluzce, szarej spódnicy zamiast zwykłych w takiej sytuacji spodni, i ciemnej jedwabnej marynarce kryjącej broń pod pachą.

- Wystrojona jak na bal - zauważył Lucas.

- Dziewczyna musi się starać, jeśli chce złapać faceta - odparła i zatrzepotała żartobliwie rzęsami.

- Trochę za wcześnie na takie dyrdymałki - mruknął Lucas. Zajrzał do wnętrza domu, który został dokładnie splądrowany. - Co jest?

- Wejdz i sam zobacz. Spodoba ci się.

- Za wcześnie - powtórzył Lucas, ale wszedł do środka.

Policjant wydziału zabójstw z St. Paul, LeMaster, pokazał mu ciało na łóżku. Łańcuch na szyi, kostkach u nóg i dłoniach, spodnie spuszczone do połowy uda.

- Znalazł go jeden z miejscowych ćpunów. Jakieś dwie godziny temu. Wpadł, żeby dostać jakiś towar na dobry początek dnia. Ten martwy gość był kiedyś poważnym dealerem.

- Kiedyś? A ostatnio?

LeMaster potrząsnął głową.

- Sam zaczął wachać. Doszło do tego, że sprzedawał ludziom gówno.

- Tak to bywa. Jednego dnia upłynnia się kilogramy, a następnego sprzedaje działkę, i to na cały miesiąc - zauważył i przykucnął przy łóżku. - Wianuszek kulek z dwudziestkidwójki w głowie.

- Tak. To może być ten twój zabójca od Barbary Allen. Albo ktoś, kto przeczytał o tym w gazetach i uznał, że to fajne.

Lucas skinął głową, wstał i popatrzył na wciąż wilgotne kałuże krwi wokół stóp i kolan mężczyzny.

- Skąd ta krew? I kto to jest?

- Nazywał się Rolando D'Aquila, ale wszyscy nazywali go Rolo. A krew jest z dziur po wiertarce w kolanach i piętach. Krwawiła mu też noga, być może postrzał...

- Wywiercone dziury w piętach?

- Na to wygląda.

Przy łóżku, na podłodze, leżała wiertarka, w głowicy wciąż tkwiło dwudziestocentymetrowe wiertło. Stalowa końcówka nosiła ślady zaschniętej krwi.

- Jezu Chryste - mruknął Lucas i popatrzył na ciało. - Ktoś go przewiercał?

- Chyba tak. Trzeba mu ściągnąć spodnie i skarpetki, żeby się upewnić, a facet z sądówki jeszcze nie przyjechał... ale na pierwszy rzut oka to robota wiertarki.

- Założę się, że musiało go boleć - zauważył Lucas, przyglądając się twarzy Rola. Wydawała się skurczona, sparciała, jak głowa mumii, którą Lucas widział kiedyś w telewizji. Zastygł na niej grymas niekłamanego cierpienia.

- Widzisz te kawałki taśmy na podłodze? Można jeszcze na nich zobaczyć ślady po zębach, tak to przynajmniej wygląda. Zakleili mu pewnie usta, kiedy go przewiercali.

- Dom jest przewrócony do góry nogami, więc czegoś pewnie szukali - domyślił się Lucas. - Na przykład kokainy.

- Tak, może być, ale zwróć uwagę - strzały w głowę, tak jak w przypadku Allen. Żaden z sąsiadów niczego nie słyszał, a noce są gorące, ludzie otwierają okna. Wtedy też nikt nic nie słyszał. Tortury wskazują na zawodowców. Mieli taśmę, łańcuchy, kłódki i wiertarkę. Wiedzieli, co chcą zrobić, zanim się tu zjawili. Robota profesjonalistów. Jak w przypadku Allen.

- Cały czas mówisz w liczbie mnogiej - zauważył Lucas.

- Nie mieści mi się w głowie, żeby jeden facet zaciągnął go na łóżko i zakuł. Gość nie byłby tak elegancko owinięty. Po mojemu musiało być ich co najmniej dwóch. Jeden trzymał go na muszce, a drugi zajął się łańcuchami.

- Oddaj kule do laboratorium, trzeba zrobić analizę metalurgiczną. Jeśli są takie same jak w przypadku Allen, to się cholernie odkształciły. Będzie kłopot z porównaniem.

- Załatwimy to - obiecał LeMaster. - Jeśli są takie same...

- To mamy problem - dokończył Lucas.

*

Sherrill wertowała magazyn dla mężczyzn, kiedy Lucas przedzierał się przez pobjowisko w salonie.

- Co myślisz? - spytał.

- Myślę, że to magazyn gejowski - odparła. - Z pozoru katalog ubrań, pełen zdjęć facetów, którzy są gejami.

- Poznajesz po zdjęciach?

- Pewnie, popatrz tylko na tego faceta. - Pokazała fotografię szczupłego i pokrytego potem motocyklisty bez koszuli, z czupryną ciemnych włosów opadających na smutne czarne oczy. - Albo jest gejem, albo chce, żeby tak o nim myśleć. Wszyscy oni są podobni. Alpiniści, kajakarze... i spójrz na ubrania. Widzisz takiego faceta na ulicy i mówisz...

- Tak właśnie wyglądałem, kiedy byłem dzieciakiem - zauważył Lucas.

Skrzywiła się i przewróciła oczami.

- Lucas, wierz mi, wcale tak nie wyglądałeś. Ten tutaj sprawia wrażenie, jakby ktoś go skrzywdził. Popatrz na te posiniaczone wargi. A ty zawsze wyglądasz, jakbyś właśnie sam kogoś skrzywdził. Na przykład kobietę.

- Dzięki.

- Tylko bez aluzji.

- Nie wydaje mi się, żebyś mogła oceniać takie rzeczy po fotografiach.

Spojrzała na niego uważnie, a potem się uśmiechnęła.

- Ach, już łapię. Czytałeś ten nieszczęsny raport o odmiennościach czy jak się tam to nazywa. Daj sobie spokój z tymi bredniami, robią ci wodę w mózgu.

- Może i tak... nie wiem. A co myślisz o tym? - Wskazał kciukiem pokój za plecami. - Jakiś naśladowca? Zbieg okoliczności? Jeszcze się nie wciągnąłem na dobre.

- Nie wydaje mi się, żeby to był naśladowca. Nie przekazaliśmy do prasy żadnych szczegółów. Nie powiedzieliśmy, że strzelano z dwudziestkidwójki ani że ustaliliśmy taki, a nie inny rozrzut pocisków. Nie powiedzieliśmy, że strzelano z bardzo bliska. Widać poza tym identyczne ślady osmalenia na czaszce. I zamordowano go z zimną krwią.

- Nikt nie jest zimniejszy od wkurzonego dealera - zauważył

Lucas. - Może ten Rolo doniósł na kogoś, może chciał wrócić do biznesu.

- Niewykluczone, ale tu nie chodzi tylko o bezwzględność. To po prostu nie wygląda na naśladownictwo.

- Może przypadek - zastanawiał się Lucas. - Co prawda wyjątkowo zadziwiający.

- Znasz zasadę dotyczącą przypadków.

- Tak. Prawdopodobnie przypadek, chyba że to nie przypadek.

- Chcesz się teraz włączyć? - spytała z uśmiechem. - Nie daj się prosić. Nie pracowaliśmy razem od czasu, gdy stary Audrey McDonald próbował nas załatwić.

- Ale parę razy gadaliśmy.

- Tak to nazywasz? - drażniła się z nim.

- Może się włączyć, jeśli ty i Black nie będziecie mieli nic przeciwko temu - rzekł Lucas. - Ta cholerna komisja doprowadza mnie do szału. Miałbym wymówkę...

- Witaj na pokładzie - oświadczyła Sherrill. - Dlatego cię tu wezwałam.

- Po pierwsze musimy przycisnąć tego prawnika, Allena. Czy zna Rolanda jakiegoś tam? Czy zażywa kokainę? Czy zażywał w przeszłości?

- Jego adwokatka zabierze się do nas jak kura do glisty.

- Jak co?

- Jak kura do glisty - powtórzyła Sherrill.

- Jezu, już prawie zapomniałem, jak się z tobą gada. - Lucas westchnął. - A o Carmel się nie martw. Dam sobie z nią radę.

- Pytanie jest następujące - powiedziała Carmel, kiedy razem z Rinker pochylały się w sklepie Neimana Marcusa nad wystawą z chustami. - Czy ten, który ma kasetę, obejrzy ją i czy przyjdzie do mnie, czy też zwróci się do policji.

W ich stronę zmierzał już sprzedawca.

- Ktokolwiek to jest, mogę się założyć, że jego nazwisko widnieje w notatniku Rola.

- Może znał go tak dobrze, że nie musiał zapisywać numeru - zastanawiała się Carmel.

- Mogę paniom w czymś pomóc? - spytał uprzejmie sprzedawca. Rinker postukała palcem w oszkloną witrynę.
- Proszę mi pokazać tę złoto-czarną. W groszki.
- Spędziły pięć minut na oglądaniu chust, w końcu Rinker wybrała złoto-czarną, płacąc firmową kartą.
- Robisz tu tak często zakupy, że masz kartę? - zainteresowała się Carmel, kiedy sprzedawca odszedł zapakować chustę.
- Zaglądam do ich sklepów raz czy dwa w roku i wydaję kilkaset dolarów - odparła Rinker. - Nazwisko na karcie nie jest moje, ale mam przy sobie odpowiednie dokumenty, poza tym zawsze uzupełniam konto. Tak na wszelki wypadek. Na tej samej zasadzie posługuję się kilkoma kartami Visa i MasterCard. Tak na wszelki wypadek.
- Na wszelki wypadek?
- Gdybym musiała wiać.
- Nigdy o tym nie myślałam - wyznała Carmel. - O ucieczce.
- Ja bym związała, i to od razu. Gdyby jakiś gliniarz zbliżył się do mnie na tyle blisko, żeby mi się przyjrzeć, byłabym załatwiona.
- Myślisz, że potrafiłabym rzucić wszystko i uciec?
- Rinker przyjrzała się jej uważnie i po chwili skinęła głową.
- Bez problemu. Pytanie tylko, czy zniosłabyś to psychicznie.
- Pojawił się sprzedawca z zapakowaną chustą i kartą kredytową.
- Dziękuję bardzo, pani Blake.
- To ja dziękuję panu - odparła Rinker i schowała kartę do torebki.
- Bez problemu? Ale psychicznie... - Carmel była wyraźnie zainteresowana.
- Pewnie. Lubisz super wyglądać. Jasne ciuchy, blond włosy, dobry makijaż i perfumy, świetne buty. - Rinker cofnęła się o krok i przyjrzała jej się z uwagą. - Gdybyś ubrała się kiepsko, no wiesz, rzeczy z lumpeksu, które do siebie nie pasują, jakaś ciemna pstrokaczna. Gdybyś jeszcze zapuściła włosy, ufarbowała na brązowo, przygarbiła ramiona i zaczęła powłóczyć nogami, może nawet założyła sobie protezy na biust, żeby zrobił się obwisły...

- Mój Boże - zawołała Carmel ze śmiechem.

Rinker nie żartowała.

- Nawet znajomi nie rozpoznaliby cię z odległości dwóch kroków. Mogłabyś robić jako sprzątaczką we własnej firmie i nikt by się nie domyślił, że to ty. Ale nie wiem, czybyś to zniosła. Wydaje mi się, że lubisz zainteresowanie; jest ci potrzebne do życia.

- Może - przyznała Carmel. - Pewnie każdemu jest potrzebne.

- Ja nie chcę, żeby ludzie na mnie patrzyli. Właśnie dlatego jestem dobra w tym, co robię.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała Carmel.

- Tańczyłam w barze dla facetów przez trzy i pół roku, aż do dwudziestki. Człowiek ma dosyć, kiedy się na niego ciągle gapią. Pragnie się prywatności.

Carmel nie kryła zafascynowania.

- Byłaś... - zaczęła, ale z wnętrza jej torebki odezwał się dyskretną melodyjką pager. - Oho.

Sprawdziła wiadomość, schowała pager z powrotem do torebki, wyjęła komórkę i wystukała numer.

- Może coś ważnego. Moja sekretarka nie dzwoni na pager bez powodu - wyjaśniła i powiedziała do słuchawki: - Marcia? Wzywałaś mnie? Mhm. Mhm. Okej. Daj mi numer. W porządku. - Wyłączyła telefon. - Dzwonił do mnie pewien policjant. Chce rozmawiać z moim klientem.

- Nie wkurza cię, że musisz cały czas gadać z gliniarzami?

- A niby dlaczego? - zdziwiła się. - Nie jestem o nic oskarżona.

Wykonuję po prostu swoją pracę.

- Musimy poszukać tej kasety, nie mamy czasu...

- Prawdę mówiąc, mój klient to Hale Allen - wyznała Carmel.

Rinker zmarszczyła brwi.

- Jakiś związek z Barbarą Allen?

- To jej mąż.

- Jezu - nie kryła zdumienia Rinker. - Jak to możliwe?

- Jest moim przyjacielem, a ja dobrym adwokatem. Prawdę mówiąc, jednym z najlepszych w całym stanie. Policja podejrzewa, że mógł ją zabić.

- Jesteś więc zaangażowana w sprawę - zauważyła Rinker.
- W pewnym stopniu. - Carmel się uśmiechnęła. - Uznałam, że to będzie ciekawe.

- Na pewno można to jakoś wykorzystać - przyznała Rinker. - Dlatego zgodziłaś się go reprezentować?

- Niezupełnie - odparła Carmel, a jej uśmiech zniknął. - Ale ten gliniarz, który dzwonił, nie zajmował się tym wcześniej. To zastępca szefa policji, Lucas Davenport. Z politycznej nominacji. Był kiedyś zwykłym gliniarzem, ale go odsunęli za brutalność czy coś w tym rodzaju. Ściągnęli go z powrotem, bo jest dobry. Kawał drania, ale bystry.

- Nie ma się czym przejmować, dopóki uważa, że to jej mąż zrobił...

- Ale to oznacza, że musimy znaleźć tę cholerną taśmę - zastrzegła Carmel. - Jeśli Davenport coś zważa... Powiem ci szczerze, Pamelu, to jedyny facet na świecie, który mógłby cię załatwić. Jedyny.

- Dopóki masz dostęp do sprawy, nie powinno być z nim problemów. - Rinker wzruszyła ramionami. - A jak zacznie sprawiać kłopoty, wykończymy go.

Carmel przyjrzała jej się badawczo.

- O co chodzi? - spytała Rinker.

- Nie znasz go - uprzedziła Carmel.

- Posłuchaj, jeśli facet niczego się nie spodziewa, a ty przez jakiś czas będziesz go namierzała i wszystko dokładnie zaplanujesz, to możesz go wykończyć. Po prostu.

Carmel przemierzała rozkołysanym krokiem korytarz wydziału zabójstw, kiedy ujrzała nadchodzącego z naprzeciwka Lucasa. Niósł jakiś duży raport spięty metalową żabką.

- Davenport, do diabła, znów naruszasz prawa mojego klienta?

- Jak się masz, Carmel? - spytał wesoło.

- Co to za księga?

- Och, sprawozdanie komisji do spraw doskonałości.

- O Boże, próbowałam czytać o tym w „Star-Tribune”. Czułam się jak przy narkozie.

Podstawiła mu policzek i Lucas ją cmoknął. Potem ujął jej dłoń, cofnął się o krok i popatrzył krytycznie.

- Wyglądasz absolutnie... bosko.

- Dzięki. Jak to się stało, że jeszcze ze sobą nie spaliśmy? Zdążyłeś się już pouganiać za każdą babką w mieście.

- Tylko się uganiem... nie, to nie tak.

- Co?

- Chciałem powiedzieć, że uganiem się tylko za tymi kobietami, które mnie nie przerażają - wyjaśnił Lucas. - Ale w końcu wszystkie mnie przerażają.

- Słyszałam, że chodziłeś z panną cycatką, tą policjantką, ale w końcu zerwałeś.

- Masz na myśli sierżant Sherrill?

- O co poszło? Miała większą sfluwę od twojej?

- Carmel, Carmel...

Lucas otworzył jej drzwi wydziału zabójstw. Carmel weszła i zobaczyła w głębi pokoju Hale'a Allena. Opierał się o szafkę na dokumenty i był zatopiony w rozmowie z Marcy Sherrill. Marcy stała o kilka centymetrów za blisko i patrzyła mu w oczy z niezwykłą uwagą.

- Oho - mruknęła.

- A tak na marginesie - rzucił Lucas przyciszonym głosem, by tylko Carmel go słyszała. - Podobno twój klient jest głupszy niż but z lewej nogi.

- Ale jaki przystojny - zauważyła. Potem zagryzła ostentacyjnie wargę, westchnęła i ruszyła w stronę Sherrill i Allena. Zupełnie jak lampart, pomyślał Lucas.

Lucas uprzedził Allena, że muszą powrócić do pewnych spraw, ponieważ dopiero teraz włączył się w śledztwo. Wyrzucił nadzieję, że nie sprawi tym kłopotu.

- Rozumiem, że ciało pańskiej żony zostało już wydane...

- Tak, nareszcie - przyznał Allen.

- Za długo to trwało - dodała Carmel. - Nie rozumiem, dlaczego trzeba było przeprowadzać dwadzieścia różnych testów, skoro kobieta została postrzelona siedem razy w głowę.

- Rutyna - wyjaśnił Lucas.
- Do diabła z taką rutyną. - Carmel przyjęła adwokacki ton. - Powinniście mieć na uwadze uczucia bliskich. Krzywdzicie Boga ducha winnych ludzi.

- Dobra, dobra - przyznał Lucas. - To potrwa tylko kilka minut.
- Gdzie ten drugi gość? Black? - zainteresowała się Carmel.
- Zajmuje się w tej chwili czymś innym - wyjaśnił Lucas i spojrzął na Allena. - Niech pan mi opowie o swoim związku z żoną.

- Jezu - westchnęła Carmel.

Dziesięć minut później Lucas nachylił się do Allena i spytał:

- Jak dobrze znał pan Rolanda D'Aquila?

Allen nie krył zdumienia.

- Jakiego Rolanda?

- D'Aquila. Znanego również jako Rolo, o ile się orientuję.

- Nie znam nikogo o takim nazwisku - zapewnił Allen.

- Nigdy nie kupował pan od niego działki? - spytał Lucas.

- Nie, nigdy. - Potrząsnął głową. - Działki?

Kiedy Lucas wymienił nazwisko D'Aquila, Carmel drgnęła i dokonała w myślach szybkiej analizy sytuacji. Znaleźli ciało, to pewne. Jeśli zbadali historię D'Aquili - co zrobili na pewno - to musieli natknąć się na jej nazwisko. Mogłoby ich zastanowić, że nie wspomniała o tym fackie.

- Dlaczego interesujecie się tym Rolandem D'Aquila? - spytała.

- Został zamordowany zeszłej nocy - wyjaśnił Lucas. - Zabito go w taki sam sposób jak panią Allen, metoda była identyczna. - Znów spojrzął na Allena. - A więc nigdy go pan nie reprezentował ani żadnego z jego znajomych, czy to w sprawach kryminalnych, czy cywilnych?

- Nie, nie przypominam sobie. Reprezentowałem tysiące ludzi w sprawach dotyczących nieruchomości, więc to niewykluczone, choć nie przypominam sobie żadnego Rolanda.

- Daj mu spokój - warknęła Carmel. - Nigdy w żadnej sprawie nie reprezentował Rolanda D'Aquili.

- Skąd wiesz? - spytał Lucas.

- Ponieważ Rolo miał tylko jednego adwokata.

Wszyscy spojrzeli na nią, a ona skinęła głową.

- Mnie - powiedziała.

Po przesłuchaniu Allena, kiedy pili kawę z automatu, Lucas zwrócił się do Sherrill:

- Byłaś dziwnie spokojna. To mnie zawsze zbija z tropu.

- Musiałam być tym dobrym gliniarzem, skoro ty udawałeś złego - wyjaśniła Sherrill.

- Zgadzam się, jest bardzo przystojny - przyznał Lucas.

Sherrill wybuchnęła śmiechem.

- Ma takie zadziwiająco piwne oczy - powiedziała. - Zupełnie jak mały szczeniak.

- I jest równie bystry - dodał Lucas. - I sypia ze swoją sekretarką.

- Z jakąś sekretarką, nie ze swoją. Poza tym jego małżeństwo było raczej oziębłe, jak rozumiem. Sądzę też, że jego inteligencja może przejawiać się inaczej niż w...

- Niż w czym?

- No, w bystrości.

Lucas się zakrzuszył.

- Cholera, o mało kawa nie poszła mi nosem.

- Dobrze ci tak - rzuciła złośliwie Sherrill.

7

Kiedy Carmel wróciła do domu, zastała Rinker na kanapie, z poduszką pod głową, zagłębioną w lekturze podręcznika wymowy.

- Wiedziałaś, że francuski bar z gołymi panienkami nazywa się Foli Ber Żer?

Carmel wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.

- Widzisz, co ludzie zyskują, kiedy uczą się francuskiego - powiedziała Rinker, rzucając podręcznik na stolik do kawy. - Dowiadują

się, jak wymawiać ładne słowa. Musiałam pójść na lektorat hiszpańskiego w college'u, ale w jego wymowie nie ma nic ładnego. Inaczej niż we francuskim. Zawsze myślałam, że to się wymawia Foli Ber Żeraj.

- Nie wiem, uczyłam się tylko hiszpańskiego. - Carmel wzruszyła ramionami.

Rinker usiadła i spuściła nogi na podłogę.

- Co z glinami? - spytała.

- Pytali Hale'a o Rola. Znaleźli dziś rano jego ciało. Jakiś ćpun przyszedł do niego po kokę.

- Powiedziałaś im, że kiedyś go broniała? - zainteresowała się Rinker.

Przez chwilę Carmel miała na końcu języka „nie”. Rozmyśliła się jednak, nie chcąc kłamać.

- Tak, musiałam. Prędzej czy później i tak by się dowiedzieli.

- W porządku. Więc teraz mogą cię powiązać z Rolem, ale nie z zabójstwem, ponieważ nikt nie wie, że... masz oko na Hale'a. Nawet Hale o tym nie wie. Zgadza się?

- Zgadza się - przyznała Carmel, podeszła do okna i spojrzała na miasto; dzień był gorący, na wschodzie zwieszała się cieniutka mgiełka. - Gdyby nie ta pieprzona taśma, miałybyśmy spokój. Zastanawiam się, czy nie należało udusić Rola, zamiast strzelać do niego. Nie pozostałby żaden ślad.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Rinker. - Broń wydawała się czymś naturalnym, była po prostu pod ręką.

- No tak, ale czekają na wyniki analizy pocisków. Będą mogli stwierdzić, czy te, które zabiły Barbarę Allen, i te od Rola zostały wyprodukowane z tej samej partii ołowiu.

- W porządku... trzeba się szybko pozbyć broni. Albo kupić nową paczkę amunicji.

- Masz jakiś pomysł z taśmą? - spytała Carmel.

- Owszem - odparła Rinker. Wstała, podeszła do narożnego stolika i wzięła do ręki notatnik Rola. - Pamiętasz, jak powiedział, że dał kasety jakiejś Mary?

- Tak, ale w notatniku nie ma żadnych imion, tylko...

- Inicjały - dokończyła Rinker. - Ale miałam trochę czasu

i przejrzałam go. Znalazłam cztery osoby zaczynające się na M. Skorzystałam więc z twojej biblioteczki i zajrzałam do książki telefonicznej... i wtedy skapowałam się, że Rolo używał głupiego i prostego szyfru przy zapisywaniu numerów telefonicznych. Stawiał ostatnią cyfrę na początku. Na przykład numer 123 kreska 4567, zapisywał jako 712 kreska 3456.

Carmel nie kryła podziwu.

- Jak na to wpadłaś?

- Niektóre z numerów kierunkowych były błędne, w ogóle takich nie ma, a prawidłowe stały na złym miejscu. Jeden z numerów na przykład dotyczył salonu fryzjerskiego dla psów. Po co miałby go zapisywać w notatniku? Faceci, dla których pracowałam, siedzieli kiedyś w więzieniu i wyjaśnili mi, jak stosuje się proste szyfry. Więc zaczęłam przestawiać cyfry, aż w końcu znalazłam prawidłowy numer kierunkowy. Wszystko się zgadza - dotyczą telefonów miejscowych. Dwa, te oznaczone inicjałem M, należą do kobiet, jak się okazuje. Jedna to Marta Koch, ale druga widnieje w książce telefonicznej jako M-M. Blanca. Kiedy zamiast imienia jest inicjał, oznacza to zazwyczaj kobietę niezamężną. I to z reguły młodszą.

- Mary?

- Nie, ma inaczej na imię. Zadzwoiłam i odebrała jakaś kobieta. Poprosiłam Mary Blanę, a ona powiedziała, że to pomyłka. Mówiła z lekkim akcentem, może meksykańskim. Przyszło mi do głowy, że Rolo był cholernie przerażony, co by tłumaczyło, dlaczego użył imienia Mary. Założę się, że jak spytałaś go o nie i powiedziałaś „szybko”, to przyszło mu do głowy to prawdziwe i prawie je wymówił, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język i podał nam inne. Może chodzić o tę Martę albo o tę drugą „M”.

Carmel nie była do końca przekonana.

- Coś za dużo tych być może - zauważyła. - Skąd wiesz, czy nie chodzi o jakąś inną M albo kogoś, kto ma inaczej na imię?

- Nie wiem, ale na razie to wszystko, co mamy.

- Jutro rano w gazetach pojawi się nazwisko Rola - powiedziała Carmel. - Jeśli ta M nie wie jeszcze, że on nie żyje, to jutro się dowie.

Wtedy obejrzy taśmę, jeśli już tego nie zrobiła. I przekaże ją policji.

- Więc pogadajmy z M. Blanką. I Martą Koch.
- Po zmroku.
- Tak.
- Wisimy na cienkim włosku - zauważyła Carmel.

Życie Marcie Koch ocaliło przyjęcie na cześć dziecka, którego właśnie oczekiwała; nigdy się miała o tym nie dowiedzieć.

- Mnóstwo wozów - mruknęła Carmel, kiedy razem z Rinker ruszyły w stronę domu Marty Koch.

Na ulicy parkowało ze dwanaście samochodów. Dom był ładny, choć skromny - niewielki bungalow usytuowany naprzeciwko pola golfowego. Kolista rzędek kamiennych stopni prowadził przez pochyły trawnik do drzwi frontowych. Na ganku paliło się światło, okna w salonie były niezastłonięte. Kiedy dotarły do szczytu schodów, Carmel przystanąła. W pokoju siedziały dwie roześmiane kobiety, jedna z nich patrzyła przez ramię, zwracając się najwidoczniej do trzeciej. W domu było prawdopodobnie jeszcze więcej ludzi.

- Zapomnij o tym - powiedziała Rinker. - Wrócimy później.

Zeszły po schodach, wsiadły do volvo i odjechały.

Jak się okazało, dom M. Blanki prezentował się znacznie gorzej - szeregowiec kryty azbestem, zlokalizowany na północ od uniwersytetu, w okolicy zwanej Dinkytown. Przy drzwiach wisiały cztery skrzynki na listy.

- To osobne mieszkanie - zauważyła cicho Rinker.
- Jak większość tutaj - poinformowała Carmel.
- Trzeba uważać, w okolicy kręci się sporo ludzi. Masz pieniądze?
- Tak - odparła Carmel i spytała: - Jak wyglądam?

Rinker włożyła swoją rudą perukę; obie zawiązały na głowach ciemne jedwabne chustki.

- Jak jedna z tych pobożnych kobiet, które zawsze zakrywają głowy - odparła.

- W porządku - przytaknęła Carmel i dodała: - Ty też.

Pod drzwiami wejściowymi Carmel skierowała światło latarki kieszonkowej na skrzynki z listami. Na lewej widniało nazwisko Howell; na drugiej pozostał tylko strzęp po oderwanym papierze. Na trzeciej napisano żółtym tuszem: Jan i Howard Davis, obok widniał nakreślony dziecinna ręką dopisek, tym razem na zielono: „i Heather”. Czwarta informowała po prostu: mieszkanie A. Carmel otworzyła skrzynkę po lewej stronie, tę z nazwiskiem Howell, ale nic nie znalazła w środku. Skrzynka ze strzępem papieru kryła rachunek telefoniczny na nazwisko David Pence, mieszkanie C. Pominęła skrzynkę Davisów i sprawdziła czwartą po prawej. Była pusta.

- Wydaje mi się, choć nie mam pewności, że interesuje nas mieszkanie A - szepnęła do Rinker.

Rinker przytaknęła i obie weszły do krótkiego holu. Schody prowadziły na prawo, do poręczy ktoś przypiął łańcuchem rower wycyznowy.

- Kiedy byłam mała, mogłam tylko o takim marzyć - mruknęła Rinker.

W głębi holu, po lewej, zobaczyły bladeżółte drzwi. Drugie, dla odmiany bladezielone, znajdowały się na samym końcu. Na pierwszych widniało duże metalowe B, na drugich A. Rinker wsunęła dłoń do kieszeni z bronią, a Carmel podeszła do drzwi i zapukała.

Odpowiedzią była długa cisza; Carmel zapukała ponownie, o wiele głośniejsz. Tym razem rozległo się głucho tupnięcie, jakby ktoś wstawał z kanapy albo łóżka. Chwilę później drzwi się uchyliły i przez wąską szczelinę wyrzwał zaspany Latynos.

- Co?

- Chcemy pomówić z panną Blanca - wyjaśniła cicho Carmel.

- Śpi - powiedział mężczyzna, a szczelina zaczęła się zmniejszać.

- Mamy dla niej pieniądze - dodała szybko Carmel.

Szczelina przestała się zmniejszać i w polu widzenia znów pojawiły się oczy. Mężczyzna nie zamierzał dyskutować.

- Wezmę je - powiedział po prostu.

- Nie. Rolo powiedział, że mamy je przekazać tylko pani Blanca, gdyby coś mu się stało.

- Och - mruknął. Zastanawiał się przez chwilę, jakby rozumiał, o co chodzi.

Carmel poczuła przyspieszone bicie serca.

- Co się stało z Rolem? - spytał w końcu.

- To dużo forsy - powiedziała tylko Carmel. Starła się udawać zdenerwowaną.

- Chwilę - rzucił mężczyzna. Drzwi się zamknęły i obie kobiety usłyszały, jak woła: „Hej, Marta!”.

- Marta Blanca - mruknęła Rinker.

Po chwili mężczyzna wrócił i otworzył drzwi. Przyglądał im się dokładnie przez chwilę, jakby oceniając, wreszcie powiedział:

- Dobra, wchodźcie.

Carmel weszła pierwsza. Dominującym kolorem w mieszkaniu był brudny beż; paliła się pojedyncza lampa z nikotynowożółtym kloszem, oświetlając stos magazynów „Hustler”. Zasłony wydziały odór marihuany.

- Ile pieniędzy? - spytał mężczyzna.

- Musimy poprosić o... - zaczęła Carmel, ale od strony kuchni pojawiła się jakaś kobieta. Wyszła pewnie z sypialni na tyłach mieszkania. Chowiała właśnie bluzkę w spodnie. Carmel spytała: - Pani nazywa się Marta?

- Tak - odparła. Wciąż była zaspana. - Co się stało z Rolem?

- Nie żyje - wyjaśniła beznamiętnie Carmel. - Ktoś go zastrzelił.

Kobieta stanęła jak wryta, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nie żyje? Niemożliwe. Rozmawiałam z nim wczoraj.

- Policja znalazła go dziś rano - wyjaśniła Rinker, wychodząc z cienia Carmel. - Był pani przyjacielem?

- Był, był, był... - powtarzała łamiącym się głosem.

- Jej bratem - dokończył mężczyzna.

Rinker zerknęła na Carmel, która przytaknęła prawie niedostrzeżalnie. Jej dłoń poruszyła się w kieszeni.

- Przyrodnim bratem - sprostowała kobieta i opadła na krzesło. - O Jezu.

- Powiedział, że dał pani taśmę na przechowanie i że gdyby coś mu się stało, to mamy przyjść do pani i zabrać ją, bo gdyby ją pani zatrzymała, to ktoś mógłby się tu zjawić i zrobić pani krzywdę -

wyjaśniła Carmel, nachylając się, by spojrzeć kobiecie w twarz. - Dał nam kopertę dla pani. Z pieniędzmi.

- Nie mamy taśmy - oświadczył stanowczo mężczyzna, ale kobieta spytała odruchowo:

- Ile?

Mają taśmę, pomyślała Carmel i poczuła, jak napięcie powoli ją opuszcza.

- Pięć tysięcy dolarów - zwróciła się do kobiety, która spojrzała na mężczyznę.

- No, nie wiem - powiedział.

Carmel wyjęła z kieszeni kopertę.

- Możemy dostać taśmę?

Kobieta wstała z krzesła, ale mężczyzna powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Trzeba ją chyba najpierw obejrzyć - oświadczył.

- Rolando mówił, że nie wolno - zauważyła kobieta, ocierając nerwowo dłonie o nogawki spodni.

- Musimy dostać taśmę...

Kobieta uniosła dłonie i zaczęła tłumaczyć Carmel:

- To taka mała śmieszna taśma, trzeba mieć specjalne urządzenie, żeby ją puścić...

- Musimy obejrzyć taśmę - zawyrokował zdecydowanie mężczyzna i uśmiechnął się pogodnie. - Skoro tu przyszłyście, żeby dać nam pięć tysięcy, to mogę się założyć, że jest warta o wiele więcej.

- Potrzebujemy tej taśmy. Rolando dostał ją przez pomyłkę. Lepiej nie zadawajcie się z ludźmi, do których należy - ostrzegła Rinker. Miała beznamiętny ton, który w uszach Carmel brzmiał groźnie. Ale ta wyczuwalna wibracja umknęła najwidoczniej uwadze Latynosa, który uśmiechnął się złośliwie.

- A kto to niby jest, cholerna mafia? Może ci z Kolumbii? Pieprzyć ich. - Zwrócił się do kobiety. - Obejrzymy taśmę. - Podciągnął spodnie i popatrzył na Carmel i Rinker. - Możecie zostawić kopertę, dziwki. Jeśli jest w niej dość forsy, dostaniecie taśmę. Jak nie, to ustalimy cenę.

- Cholera, to nie jest konieczne - zauważyła uspokajającym tonem

Carmel, zasłaniając Rinker swoim ciałem. Dostrzegła kątem oka, jak jej towarzyszka wysuwa dłoń z kieszeni.

- Owszem, to kurewsko konieczne - upierał się podniesionym głosem Latynos. - Jak mówię, że coś jest, kurwa, konieczne, to jest, kurwa, konieczne. - Spojrzał na Martę. - Dobrze gadam?

Odwróciła wzrok, a Carmel wzruszyła ramionami.

- Skoro pan tak uważa - powiedziała i odsunęła się na bok, dostrzegając kątem oka, że Rinker podnosi uzbrojoną rękę.

Mężczyzna cofnął się zdziwiony, ale słaby uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

- Mam się tego przestraszyć?

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Rinker strzeliła mu w sam środek czoła. Runął tam, gdzie stał. Kobieta o imieniu Marta przycisnęła dłonie do twarzy, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom, ale zanim zdążyła krzyknąć czy wydać jakikolwiek dźwięk, Rinker przesunęła broń w stronę jej głowy.

- Jak krzykniesz, zabiję cię.

- Dasz nam taśmę, dostaniesz pieniądze - obiecała Carmel.

- O Boże, o Boże, o Boże...

- Gdzie ta pieprzona taśma!? - warknęła Rinker. Kobieta wysunęła rękę w stronę lufy, jakby mogła w ten sposób powstrzymać kule, i zaczęła się z wolna cofać, wciąż patrząc na leżącego mężczyznę.

Taśma była schowana w kuchni, w szafce, wewnątrz patelni z przykrywką. Marta wręczyła ją Rinker, która z kolei oddała ją Carmel. Ta popatrzyła na kasetę i skinęła głową.

- Nie zrobiłaś żadnych kopii?

- Nie, nie, nie...

Kobieta patrzyła teraz jak urzeczona na Rinker. Po chwili z pokoju dobiegł jęk mężczyzny. Rinker odwróciła się i podeszła do niego.

- Żyje? - spytała Marta Blanca.

- Tak, zdarza się - odparła Rinker. - Czasem kula nie przechodzi nawet przez czaszkę.

Nachyliła się jak gdyby nic, przysunęła wylot lufy niemal do samej głowy leżącego i strzeliła szybko trzy razy. Latynos wierzgnął tylko stopami i znieruchomiał.

Marta przeżegnała się, nie odrywając wzroku od Rinker.

- Zabijesz mnie, prawda? - spytała z nutą pewności w głosie.

- Nie, ja nie - odparła Rinker ze słabym uśmiechem.

Carmel, która miała drugi pistolet, strzeliła kobiecie w potylicę. Kiedy Marta upadła, Carmel podeszła bliżej i wypaliła jeszcze pięć razy. Potem uśmiechnęła się do Rinker, oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Mamy cholerną taśmę. Mamy ją.

Rinker schowała broń z powrotem do kieszeni.

- Chodźmy gdzieś na drinka - zaproponowała.

- Najpierw sprawdzimy, czy taśma jest w porządku - powiedziała Carmel.

Wychodząc na korytarz, zamknęły za sobą drzwi; zdążyły jednak zrobić zaledwie trzy kroki, gdy nagle na twarze padł im strumień światła. Obie spojrzały w prawo, potem w dół. Przed nimi stała mała dziewczynka, przyglądając im się z wysokości swego niewielkiego wzrostu. Blask z wnętrza mieszkania wydobyl ich sylwetki z mroku.

- Heather, zamykaj drzwi! - dobiegł zza pleców małej zirytowany głos matki.

Carmel zaczęła szukać w kieszeni pistoletu, ale wtedy otworzyły się kolejne drzwi, tym razem na piętrze, i jakiś męski głos wypowiedział kilka niezrozumiałych słów; obie spojrzały w górę, a dziewczynka zamknęła drzwi.

- Musimy się zmywać - rzuciła pospiesznie Rinker.

- Widziała nas - powiedziała Carmel.

Na półpiętrze rozległy się kroki i Rinker pchnęła Carmel w stronę drzwi. Wyszły czym prędzej na dwór, Rinker tuż za Carmel, po czym ruszyły pospiesznie chodnikiem.

- To dzieciak - zauważyła uspokajająco Rinker. - Niczego nie będzie pamiętać. A zwłok mogą nie znaleźć nawet przez tydzień.

- Jezu, dlaczego tak musi być? - narzekała Carmel, kiedy podążały szybko ciemnym chodnikiem w stronę światła Dinkytown. - Ciągle mi się to śniło, kiedy byłam mała. Jestem w szkole, nie mogę znaleźć

swojej szafki, zaraz mają dzwonić na lekcję, już mi się zdaje, że ją znalazłam, ale znów coś mnie zatrzymuje...

- Wszystkim to się śni - powiedziała Rinker. - A nam już nic nie grozi.

- Może - przyznała Carmel i odwróciła się; jakaś ciemna sylwetka mężczyzny usadowiła się na rowerze i odjechała w przeciwną stronę. - Ale nie zapominaj, że siedzę w tym po uszy; jeśli ten dzieciak coś chłapnie, trzeba będzie wrócić i zrobić porządek.

- Napijmy się - zaproponowała Rinker.

Wypiły kilka drinków i zjadły dwa steki w mieszkaniu Carmel. Na balkonie stał rzadko używany grill i Rinker bawiła się w gospodynię, smażąc mięso w wprawą zawodowego kucharza.

- Pracowałam kiedyś w barze z grillem - wyjaśniła. - Przychodzili tam kowboje, zawsze chcieli steki. Porządnie wypieczone.

- Dla mnie średnio - poprosiła Carmel. - Bez krwi.

Siedziała w pokoju z telewizorem i oglądała taśmę, która zawierała pełną wersję z udziałem Rola, podczas gdy pozostałe kasety tylko końcową sekwencję.

- A więc to jest oryginał - zauważyła z zadowoleniem. Jeśli istnieje gdzieś jakaś kopia, to teoretycznie mogą mnie oskarżyć, ale udowodniłabym, że to właśnie kopia i że mogła być spreparowana. Wykręciłabym się sianem.

- Lepiej, żeby nie było więcej kopii - zauważyła Rinker.

- Jak steki?

- Gotowe. Podano do stołu.

- Dobrze. Ale przedtem muszę coś zrobić.

Carmel wyciągnęła z kasety taśmę, kasetę wrzuciła do kosza na śmieci, a splątany zwój ugniotła w kulę i położyła na rozżarzonych węglach grilla.

- Zniknie raz na zawsze - powiedziała, spoglądając na płomień, które pochłaniały taśmę.

- Troje ludzi przez to zginęło. - Rinker potrząsnęła głową.

- To były zera, banda épunów. Nikt nie będzie po nich płakał.
- Nawet épuny mają czasem rodziny - przypomniała Rinker. - Nienawidziłam swojego ojczyma i starszego brata, matki też nie lubię, ale mam młodszego brata, jest w Los Angeles i zażywa narkotyki, czasem musi spać na plaży... zrobiłabym dla niego wszystko. Robię dla niego wszystko.

- No, no - nie kryła zdumienia Carmel. Przeniosły steki na stół w jadalni. - Nigdy nie byłam z nikim tak blisko. Wiesz, daję pieniądze na biednych i tak dalej, bo muszę. Ale nigdy nie byłam w sytuacji, żebym... mogła zrobić dla kogoś wszystko.

- Nawet dla Hale'a?

Carmel przytaknęła.

- Nawet dla Hale'a.

- Zabijałaś dla niego - przypomniała Rinker.

- Nie, nieprawda. - Carmel potrząsnęła głową. - Zabijałam dla siebie, żeby zdobyć to, czego pragnęłam. To znaczy Hale'a. Gdyby miał wybór, to kto wie? Może zdecydowałby się zostać z Barbarą.

- Hm - mruknęła Rinker, przeżuując mięso. Przełknęła i przyglądała się chwilę, jak Carmel je swój stek. - Zabiłabyś tę dziewczynkę?

- Chyba uważasz, że jestem potworem.

- Nie, jestem po prostu ciekawa - wyjaśniła Rinker. - Zabiłabym ją, gdyby nie było innego wyjścia. Choć z obrzydzeniem.

- Dlaczego?

- Bo to dzieciak.

- I co z tego? To bez znaczenia, to... - Carmel rozejrzała się wokół - to życie. Jesteśmy po prostu kawałami mięsa. Kiedy o czymś myślimy, zachodzi zwykła reakcja chemiczna. Kiedy coś kochamy, reakcja jest po prostu silniejsza. A kiedy umieramy, cała ta chemia wraca z powrotem do ziemi i koniec. Nic nie zostaje. Nigdzie się nie idzie, z wyjątkiem właśnie ziemi. Nie ma nieba, piekła, Boga, niczego. Niczego.

- To raczej smutne - przyznała. - Spotykałam ludzi takich jak ty, filozoficznych nihilistów. Ludzi, którzy naprawdę wierzą w to, co mówią... w końcu nie mogą tego dłużej znieść. Większość popełnia samobójstwo.

Carmel skinęła głową.

- Doskonale to rozumiem. Sama prawdopodobnie to zrobię, kiedy się zestarzeję. Jeśli oczywiście doczekam takiego wieku.

- Dlaczego nie zrobić tego od razu? - spytała Rinker. - Jeśli nic nie ma znaczenia, to na co czekać?

- Nie umiem podać ci konkretnego powodu z wyjątkiem ciekawości. Chcę zobaczyć, jak się potoczą sprawy. Chodzi mi o to, że zabić się jest równie pozbawione znaczenia jak nie zabić się. Absolutnie bez różnicy, czy zrobisz to, czy nie. Więc dopóki nie odczuwa się nudy, dopóki jest komuś dobrze... po co to robić?

- Ale zrobiłabyś to, gdybyś musiała. Zabiłabyś się.

- Cholera, mogłabym się zabić, gdybym nie musiała.

- Naprawdę?

- Pewnie. Z tego samego powodu, dla którego wciąż żyję. Z ciekawości. Nie mogę być w stu procentach przekonana, że po śmierci niczego nie ma, więc dopóki istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że coś jest, to dlaczego się o tym nie przekonać?

- Jezu, to wystarczy, żeby mnie wyleczyć z takiej ciekawości - przyznała Rinker.

- Mnie też - powiedziała Carmel. - Szybko umiem się otrząsnąć. Jestem ponad to.

- Chemicznie.

- Zgadza się. - Carmel kiwnęła głową, a po paru kęsach spytała: - A ty? Jak tłumaczysz sobie to wszystko?

- Jestem religijna, tak mi się przynajmniej wydaje - wyznała Rinker.

- Naprawdę?

- Tak. Nie wierzę, by to, co dzieje się na świecie, nie było częścią boskiego planu. I jeśli Bóg chce, by ktoś umarł, właśnie teraz, jeśli tak jest mu pisane, nie mogę temu zaprzeczać.

- Więc jesteś po prostu... czym? Ręką Boga?

- Nie określiłabym tego w ten sposób. To brzmi... chyba zarozumiale. Ale w pewnym sensie spełniam wolę bożą.

- Jezu - jęknęła Carmel i szybko dodała: - Przepraszam, jeśli to cię obraża, to...

- Nie, nie, wierz mi, mam do czynienia z Włochami. Katolikami. Nikt nie gada tak jak katolicy. Nie jestem religijna na taką modłę... w końcu rozbierałam się w barze. Chodzi o to, że wierzę... w jakiegoś Boga. Nie w niebo albo piekło, po prostu w Boga. Wszyscy jesteśmy częścią jego planu.

- Słuchaj, opowiedz mi o broni. Gdzie się tego nauczyłaś?

- Jak byłam mała, w domu zawsze trzymaliśmy broń, mój ojczym lubił polować, a właściwie kłusować. Wiedziałam więc wszystko o karabinach i strzelbach. Potem faceci z mafii nauczyli mnie podstawowych rzeczy o rewolwerach i pistoletach, choć wielu z nich nie orientuje się w tym specjalnie - wyjaśniła Rinker. - Pomyślałam sobie, że jak mam to robić - wykonywać egzekucje - to lepiej, żebym dobrze się z tym zapoznała. Prawie wszystkiego można nauczyć się z książek. Lektury na ten temat jest mnóstwo.

- Masz więc pojęcie o pociskach, prędkości wylotowej...

- I to niemałe. Choć nie zawracam sobie głowy robieniem własnej amunicji, to jest jak podpis. Prędeż czy później wpadliby na mój trop. Amunicja fabryczna w zupełności mi wystarcza.

- Czy broń jest naprawdę specjalna? To znaczy...

- Skąd. Na ogół pochodzi z kradzieży i przez dłuższy czas była w obiegu. Mam przyjaciela, który zdobywa ją dla mnie i wycina gwint na tłumik. Sprawdza sprzęt technicznie, a ja przestrzeliwuję go kilka razy, na wszelki wypadek, choć zwykle mój cel jest w zasięgu mniej więcej trzech metrów. Bardzo blisko. Posługuję się więc małym kalibrem i oddaję tylko kilka strzałów.

- Tłumiki nosisz osobno?

- Tak, w małym plastikowym pudełku z dwoma kluczami francuskimi i kombinerkami. W rentgenie wygląda jak zestaw narzędzi. Ale nie ma sposobu, żeby ukryć broń. W każdym razie nie tę zwykłą.

Rozmawiały długo o nihilizmie i religii, o broni i amunicji. Carmel, zasypiając późno w nocy, uśmiechała się na wspomnienie tej rozmowy. Chodziła do college'u ze studentami prawa i finansów. Nie mieli czasu na rozmowy, bez przerwy się uczyli.

Ten wieczór, myślała, przypominał czasy szkoły średniej - kilka piw w gronie przyjaciół i rozmowy o Bogu i śmierci.

Odplynęła w nocny niebyt i być może śniła o zwoju taśmy pochłanianej przez płomienie. I o broni.

8

Lucas i Black weszli za lekarzem do pomieszczenia pracowni, gdzie na nierdzewnym stole spoczywało ciało Rolanda D'Aquili.

- Słowo daję, załatwili chłopaka - zauważył Black, gwiżdżąc cicho ze zdumienia. Słyszał o wszystkim, ale dopiero teraz zobaczył zwłoki. - Spójrzcie na jego kolana.

- Lepiej na pięty, jak masz ochotę zobaczyć coś, co naprawdę musiało boleć - poradził lekarz. Był to mężczyzna o ciemnej karnacji i gęstej czuprynie, miał też brodę. Prawdziwy Rasputin o bostońskim akcencie.

- Więc co z tymi literami? - spytał Lucas.

- Mam dla was zdjęcie, ale pomyślałem, że zechcecie to zobaczyć na własne oczy - wyjaśnił lekarz, podnosząc dłoń mężczyzny i obracając, żeby mogli zobaczyć. Na jej wierzchu widniały krwawe zadrapania, które wyglądały jak



Lucas i Black pochylili się, by lepiej widzieć.

- Co to jest? - spytał Black.

- Nie wiem - odparł lekarz. - Ale sam to sobie zrobił, bo znaleźliśmy skórę pod jego paznokciami. Musiał to sobie wydrapać na krótko przed śmiercią - miał krew na opuszkach palców. Starłaby się, gdyby nie był skrepowany albo coś nimi robił. Jednym słowem spodziewał się, że zostanie zabity, i próbował pozostawić jakiś ślad.

- Na przykład nazwisko mordercy - podsunął Black. - Które brzmi pewnie Dew.

- Naprawdę? - spytał lekarz i nachylił się nad zwłokami. - Ani razu nie dostrzegłem w tym „Dew”. Patrzyłem z drugiej strony. Dla mnie to coś jakby „Mop”.

Black spojrzął na Lucasa.

- Jak myślisz? Mop czy Dew?

- Cholera wie - odparł Lucas i wyprostował się. - Może będzie lepiej widać na zdjęciu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że zrobił to sobie przypadkowo? Bądź co bądź, wiercili mu dziury w kolanach...

- Kto wie, skoro był torturowany. Ale te zadrapania wyglądają na celowe, skóra jest niemal wydarta z wierzchu dłoni. I kształt też nie jest przypadkowy, nie zrobiłby sobie tego, wijąc się na łóżku czy przebierając dłońmi... uważam, że zrobił to specjalnie.

- Tak. - Lucas podrapał się w głowę. - Facet z jajami.

- Nie widzisz tu „Dew”? - spytał Black.

- Owszem, widzę, ale widzę też „Mop” i coś jeszcze, tylko że za cholerę nie wiem, co to znaczy - przyznał Lucas.

- Co?

Black i lekarz wykręcili głowy, starając się spojrzeć na zadrapania pod nowym kątem.

- Widzę Clew, jakby „clue” - klucz - odparł Lucas. - Ale nie ma żadnego klucza. Chyba że chodziło o coś u niego w domu, co miał w pobliżu dłoni.

- Jezu, człowieku, to przesada - zaprotestował Black. - Clew to ma być klucz?

- Nie widzisz tego? - upierał się Lucas.

- Widzę, ale nie wydaje mi się, żeby o to mu chodziło. Sądzę, że to inicjały... hej, słuchajcie!

- Co?

Teraz Black drapał się po głowie.

- Gadałem z chłopakami z St. Paul. Szukają siostry Rolanda, mieszka niedaleko uniwersytetu, ale nie zastali jej w domu. Nazywa się Marta Blanca. Jeśli przeczyta się te zadrapania od tyłu, to może być M zamiast W i B zamiast D...

- W takim razie co znaczy to cholerstwo w środku? - spytał lekarz, wskazując na zadrapania.

- Nie mam pojęcia, to tylko teoria - powiedział Black. - Ale przecież miał skrepowane łańcuchem dłonie... w jakiej pozycji?
- Tak - zademonstrował Lucas. - Nad głową.
- Więc nie widział, co robi, cierpiał strasznie i panikował, bo wiedział, co go czeka. Zastanawiam się, czy chciał nas nakierować na siostrę?
- Albo dać nam do zrozumienia, że siostra miała z tym coś wspólnego - zauważył Lucas.
- To jest właśnie ten klucz - powiedział Black. - Trzeba ją odwiedzić.

W holu budynku, gdzie mieszkała Marta Blanca, przed otwartymi drzwiami siedziała mała dziewczynka i bawiła się plastikową wywrotką.

- Cześć - przywitał się Lucas.
- Kto to jest? - dobiegł z głębi mieszkania matczyzny głos. Lucas nachylił się nad dziewczynką i zapukał we framugę.
- Policja, Minneapolis, proszę pani. Szukamy Marty Blanca.
- W głębi holu. Mieszkanie A.

Black ruszył korytarzem i zapukał do zielonych drzwi na samym końcu. Na progu otwartego mieszkania pokazała się kobieta ze ścierką i patelnią w ręku.

- Jakież problemy?
- Lucas skinął głową.
- Owszem. Jej brat został zamordowany. Musimy ją przesłuchać; normalna procedura.

Kobieta uniosła brwi, jakby coś sobie przypomiała.

- Nie słyszałam ich dziś rano; Heather ma zwykle otwarte drzwi, żeby mogła bawić się w holu, a Marta, wychodząc z domu, przystaje czasem, żeby z nią porozmawiać. - Popatrzyła na Blacka, potem na Lucasa. - Macie jakieś legitymacje?

- Oczywiście - odparł Lucas z uśmiechem, siląc się na uprzejmość, i pokazał jej legitymację policyjną.

Obejrzała ją, potem podniosła wzrok.

- Słyszałam o panu. Zajmuje się pan tylko morderstwami.

- Co to jest, mamusiu? - spytała Heather.
- Później ci powiem - rzekła matka do dziewczynki, oddając Lucasowi legitymację. - To policjant. Łapie złych panów.
- Nie widziałam żadnych panów u Marty - oświadczyła mała.
- Okej - przytaknął Lucas.
- Nie ma nikogo - zawołał z głębi holu Black.
- Mieli wczoraj wieczorem przyjęcie - przypomniała sobie Heather.

Jej matka zmarszczyła brwi.

- Nic nie słyszałam. Nie widziałam też, żeby ktoś tam wchodził albo stamtąd wychodził.

- A ja słyszałam, że przebijali baloniki. Jak na przyjęciu urodzinowym - powiedziała dziewczynka.

Lucas popatrzył na Blacka, którego twarz zdradzała napięcie.

- To wystarczy, żebyśmy weszli do środka - zauważył Black.

- Owszem - przyznał Lucas i zwrócił się do matki: - Niech pani lepiej zabierze Heather do mieszkania.

- Co? Dlaczego?

Obróciła wzrok w stronę drugich drzwi. Black wyjął pistolet z kabury i trzymał broń przy boku, żeby dziewczynka nie mogła jej zobaczyć. Kobieta spojrzała ponownie na Lucasa i nagle zrozumiała.

- Och, nie, nie... szybko, Heather. Wejdz z mamusią do mieszkania.

Kiedy zniknęły, Lucas skinął głową Blackowi, który stanął przed drzwiami i kopnął w nie poniżej klamki. Stare drewno ustąpiło i Lucas z czterdziestkąpiątką w dłoni przecisnął się obok Blacka. Zrobił tylko jeden krok i zobaczył Latynosa rozciągniętego na podłodze. Kolejny krok i ujrzał nieco dalej kobietę. Oboje leżeli twarzami do dołu.

- Okej - odezwał się z tyłu Black. - Uważaj...

Ruszyli ostrożnie w głąb mieszkania, szukając dalej, ale nie znaleźli nikogo żywego, tylko ciała. Lucas wrócił do salonu. Nie było śladów walki, dziewczynka też niczego najwyraźniej nie słyszała, a jednak wspomniała o strzelających balonikach. A więc egzekucja z

użyciem tłumika. Widział w swoim życiu tyle zwłok, że dwa ciała więcej nie powinny zrobić na nim wrażenia, stało się jednak inaczej. Pomyślał o zimnej skuteczności tego zabójcy, który pozbył się dwojga ludzi niczym komarów.

Potrząsnął głową i spytał Blacka:

- Masz przy sobie telefon?

- Tak, zadzwonię - odparł Black, który stał nad martwym mężczyzną. - Cholera, popatrz na głowę tego faceta. Ta sama historia: sześć kul.

Lucas przyklęknął przy ciele kobiety, chowając broń do kabury. Przyszło mu na myśl, że ma starą twarz jak na swoje lata. Wydawała się zniszczona troską, choć widać też było zmarszczki wokół ust, jakie pozostawił uśmiech. Zarys nozdrzy był nierówny i zaczerwieniony. Kokaina, pomyślał.

- To samo - powiedział. - Hale Allen jest czysty. Może i chciał zabić dla forsy swoją starą, ale tu chodzi o coś innego.

- Tak - zgodził się Black, trzymając przy uchu telefon komórkowy. - Zresztą i tak był na to za głupi. Marcy? To ja... Tak, tak, zamknij się na chwilę, dobra? Właśnie stoimy z Lucasem nad dwoma trupami w jednym mieszkaniu w Dinkytown... Nie. Ja nie. Przyślij tu ekipę. Tak...

W tym czasie Lucas rozejrzał się szybko po mieszkaniu. Przeglądał właśnie rozrzucone na szafce kuchennej papiery, kiedy usłyszał, jak ktoś cicho puka do drzwi. Raz. Podniósł wzrok i zobaczył matkę Heather, która zdążyła wejść do mieszkania.

- Czy pan... - zaczęła i ujrzała zwłoki. - O Boże. Lucas zrobił krok w jej stronę.

- Proszę tu nie wchodzić.

Cofnęła się za próg, przyciskając prawą dłoń do ust, a lewą szukając framugi.

- Niech pani niczego nie dotyka, proszę nie dotykać drzwi - ostrzegł pospiesznie Lucas. - Niczego nie dotykać.

Kobieta wycofała się do holu, Lucas za nią.

- Nie zbadaliśmy jeszcze pokoju, musimy tu sprowadzić specjalistów - wyjaśnił, a ona przytaknęła odruchowo. - Chciałbym z panią

pomówić. Muszę tu poczekać, zanim zjawi się ekipa, ale muszę porozmawiać z panią i pani córeczką.

- Heather? - spytała z nagłym przestraszeniem.

- To potrwa tylko kilka minut - uspokoił ją Lucas. - Może u pani w mieszkaniu, tam będzie wygodniej.

- Dlaczego chce pan rozmawiać z Heather?

- Mówiła o pękających balonikach. Przypuszczam, że słyszała strzały. Może uda nam się przy waszej pomocy ustalić godzinę, kiedy to się... stało.

Kobieta nazywała się Jan Davis. Była niska, szczupła, miała jasne włosy i wysokie kości policzkowe. W jej mieszkaniu panował swojski bałagan: rozrzucone książki, pisma naukowe, kilka kompaktów, wszystkie z muzyką klasyczną. Kiedy Lucas do niej przyszedł, zaczęła dreptać pośpiesznie - zbierała gazety, ustawiała krzesła, robiła lemoniadę. Heather kołysała się w wielkim fotelu, obserwując go. Uśmiechała się, kiedy na nią patrzył. Za drzwiami, w holu, policjanci odgradzali miejsce zbrodni taśmą.

- Mam córkę w twoim wieku - powiedział Lucas do Heather. - Chodzisz już do szkoły?

- Tak - odparła. - Skończyłam zerówkę. Jestem teraz w pierwszej klasie. To znaczy, jak zacznie się szkoła.

- Więc nie należysz już do tych najmłodszych... będą jeszcze mniejsze dzieci od ciebie.

- Tak - potwierdziła, ale ponieważ nie myślała o tym wcześniej, zsunęła się z fotela i pobiegła do kuchni. - Hej, mammo, pan Davenport mówi, że w szkole będą mniejsze dzieci ode mnie...

W chwilę później pojawiła się pani Davis z dwiema szklankami w dłoniach.

- Zostało jeszcze dużo lemoniady, gdyby pana koledzy chcieli się napić.

Lucas przytaknął i wziął od niej szklankę.

- Zauważyłem na skrzynce imię pani męża, Howarda...

- Howard już tu nie mieszka - oświadczyła zdecydowanie.

- Od jak dawna? - spytał Lucas.

- Od siedmiu tygodni. Nie zdążyłam jeszcze usunąć ze skrzynki jego imienia.

- Więc... co? Rozwód?

- Tak. Kończę właśnie pisać pracę magisterską na uniwersytecie - wyjaśniła. - Mam już ofertę pracy z Baltimore, przeprowadzamy się z Heather w grudniu. Howard nie jedzie.

- No cóż, przykro mi - powiedział Lucas szczerze. Po chwili milczenia spojrzął na Heather. - Co robiłaś wczoraj wieczorem, kiedy u Marty było to przyjęcie? Byłaś w holu?

Dziewczynka popatrzyła pełnym winy wzrokiem na matkę.

- Tylko przez chwilę. Zostałam tam ciężarówkę.

- Nie wolno jej wychodzić na korytarz po zmroku - wyjaśniła Davis. - Ale zdarza jej się.

- Pamięta pani, która to mogła być godzina?

- Już pytałam małą, jeszcze zanim pan przyszedł - powiedziała. - Bawiła się w holu, kiedy kazałam jej wracać. Ale zostawiła ciężarówkę i kilka minut później usłyszałam, jak kręci się za progiem, poszłam więc i zabrałam ją do mieszkania. To było gdzieś między ósmą a dziewiątą.

- Między ósmą a dziewiątą - powtórzył Lucas. - Oglądała pani telewizję? Nie wie pani, jaki program akurat leciał?

Davis potrząsnęła głową.

- Nie, przepisuję w tej chwili pracę, taka końcowa redakcja, więc wyłączyłam... - urwała, zastanawiając się przez chwilę, wreszcie zawołała: - Zaraz, zaraz, komputer podaje chyba czas zamknięcia pliku.

Zeskoczyła z kanapy i ruszyła w stronę gabinetu. Lucas i Heather podążyli za nią.

Gabinet był kiedyś sypialnią, wciąż stało w nim pojedyncze łóżko.

- Howard spał tu przez ostatnie tygodnie - rzuciła mimochodem. Włączyła komputer i zaczęła przesuwać wskaźnikiem myszy po pulpicie z Windowsem 98, wreszcie kliknęła edytor tekstów. Potem postukała palcem w ekran i zakołysała się na krześle, zupełnie jak córka. - Plik został zamknięty o ósmej dwadzieścia dwie. Wstałam i usłyszałam, że Heather jest w holu.

Kazałam jej wracać do domu.

- Doskonale, to już coś. Ósma dwadzieścia dwie. - Popatrzył na Heather. - Widziałaś kogoś, kiedy bawiłaś się w holu?

Potrząsnęła główką.

- Nie. - Potem dodała: - Wyjrzałam, kiedy mama poszła, i zobaczyłam dwie panie.

- Dwie panie? To było już po tych balonikach?

Przytaknęła z powagą wobec zainteresowania okazywanego jej przez Lucasa.

- Jak je zobaczyłaś?

- Kiedy usłyszałam, że ktoś idzie, uchyliłam troszkę drzwi, żeby wyjrzeć - odparła. - Myślałam, że to Marta.

- Ale to nie była Marta?

Znów potrząsnęła głową.

- Znasz te panie?

- Nie.

- Nigdy ich wcześniej nie widziałaś?

Potrząsnęła głową.

- Pamiętasz, jak wyglądały? - spytał Lucas.

Przekrzywiła głowę, bezbłędnie naśladując matkę.

- Może pamiętam - powiedziała po dwóch czy trzech sekundach.

9

Carmel Loan dowiedziała się o znalezieniu zwłok z TV3. Szła z Rinker w stronę swojego biura, zającując mrożony jogurt, kiedy dostrzegła napis pod jakąś gadającą głową na ekranie telewizora stojącego w witrynie delikatesów: Znalezione dwa ciała niedaleko uniwersytetu. Trąciła Rinker łokciem.

- Szybko - zauważyła z uznaniem tamta, patrząc w telewizor.

- Tak jak wcześniej, z Rolem. Miałam nadzieję, że zyskamy kilka dni.

- Martwi mnie ten dzieciak - powiedziała Rinker. - Mam nadzieję, że nic z tego nie wyniknie.

Carmel przytaknęła.

- Dowiem się, kiedy znaleziono ich ciała. Jeśli policja ujawniła jakiegokolwiek informację, pójdę do nich i spytam, jak to wpłynie na sprawę Hale'a... i może dowiem się przy okazji, co mają.

- Zbyttnia ciekawość może wzbudzić podejrzenia - ostrzegła Rinker.

- Znam się na tym - powiedziała z pewnością siebie Carmel.

Carmel poszła prosto do Lucasa.

- Rozumiem, że to ty ich znalazłeś - rzuciła na wstępie. - To znaczy osobiście.

- Tak. Nie była to najprzyjemniejsza chwila w tym dniu - przyznał. Siedział odchylony w nowym fotelu, opierając nogi o biurko, i czytał nieszczęsny raport. Kupił fotel osobiście, szarą stalowo-skórzaną konstrukcję, w której czuł się znakomicie.

- Coś ci powiem - oświadczyła Carmel. - Mamy martwą kobietę z klasy wyższej i trzech brudasów, zasugerowałabym w takim razie, że chodzi o coś więcej niż faceta mordującego dla forsy własną żonę. Jesteś chyba dostatecznie bystry, by na to wpaść.

- Oczywiście - zapewnił Lucas. - Twój cholerny klient to podstępny wąż. Opłacał lokalny kartel kokainowy z pieniędzy żony, a ona się o tym dowiedziała. Zabił ją, a potem załatwił resztę bandy, zanim zdążyli cokolwiek chlapanąć.

- Nie mówisz chyba... - zaczęła Carmel i urwała. Po chwili wycelowała w niego palec. - Żarty sobie stroisz.

- Może - odparł Lucas.

- Po prostu nie rozumiem, jakim cudem jeszcze ze sobą nie spaliśmy. - Carmel pokiwała głową. - Pomijając, że moje serce należy do kogoś innego.

- Moje też - wyznał Lucas. - Chciałbym tylko tego kogoś spotkać.

Carmel wybuchnęła śmiechem.

- Mogę więc powiedzieć swojemu klientowi, żeby przestał zażywać prochy i spróbował normalnie zasnąć.

- Czyżby miał jakiś problem? - spytał złośliwie Lucas. Ziewnął i spojrzął na zegarek.

- Wierci mu dziurę w tyłku banda cholernych gliniarzy. Cierpi na syndrom powiększonego odbytu.

- No dobrze... - Lucas westchnął z rezygnacją. - Nie mów mu, że jest już czysty, bo wciąż wszystkich sprawdzamy. Ale tak między nami...

- No?

- ...należy go wykluczyć. Ale jeśli zaciągniemy go do sądu i oskarżymy o morderstwo, a ty mnie spytasz, czy ci to powiedziałem, to dopuszczę się krzywoprzysięstwa i powiem: „Nie, skądże”.

- To byłoby coś nowego, glina popełniający krzywoprzysięstwo - zauważyła Carmel. - W porządku. Powiem mu, że odkręcicie trochę śrubę.

- I pewnie będziesz miała rację - zauważył.

Carmel odwróciła się, jakby zamierzała wyjść, a potem spytała ze szczerym zainteresowaniem:

- Macie coś nowego w sprawie tych morderstw? Jakichś potencjalnych klientów dla mnie?

- Owszem, pomógł nam jeden dzieciak - odparł Lucas. Pochylił się na swoim nowym fotelu, wysunął szufladę biurka i wyjął portret komputerowy. - Zamieścimy to w gazecie.

Podał kartkę Carmel, która oglądała ją przez chwilę.

- Co to jest? - spytała.

- To, co widział dzieciak.

- Przecież to gówno - skomentowała. - Zero.

- Wiem, ale nic innego nie mamy.

- Wyglądają jak dwaj kosmici, wysoki i niski.

- A ja myślałem, że wyglądają jak kostuchy. Przez te nakrycia głowy.

Jedwabne chusty to był doskonały pomysł. Carmel podziękowała by Bogu, gdyby w niego wierzyła. Na portrecie głowy były nienaturalnie wydłużone. Dzieciak musiał widzieć tylko dwie niewyraźne sylwetki. Wygenerowane przez komputer twarze nie miały ładnego wyrazu i charakteru.

- Co mają na głowach? - zainteresowała się Carmel.

- Dzieciak nie potrafił powiedzieć. Pewnie jakieś kapelusze. A może to były dwie zakonnice.

- Dobra myśl - pochwaliła ironicznie Carmel.

- W każdym razie to kobiety - rzekł Lucas. - Tak przynajmniej utrzymuje dzieciak.

- W garażu też strzelała kobieta - przypomniała Carmel.

- Triumf feminizmu. - Lucas się uśmiechnął. - Mamy równouprawnienie nawet wśród zawodowych zabójców.

- Wiesz co, rozmyślałam się. Jak znajdziesz tę facetkę, zadzwoń do kogoś innego. - Carmel rzuciła zdjęcie na biurko. Lepiej się z nią nie zadawać.

- Zwłaszcza gdybyś przegrała sprawę.

Carmel prychnęła pogardliwie, zmierzając w stronę drzwi.

- Jeszcze się nie zdarzyło - rzuciła na pożegnanie.

Kiedy Carmel weszła do mieszkania, zobaczyła w przedpokoju walizkę. Rinker wyszła właśnie z łazienki, wycierając włosy.

- No i co nowego?

- Jesteśmy czyste - odparła Carmel i streściła rozmowę z Luca-sem.

Rinker była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- Zmywam się stąd - oświadczyła. - Muszę wracać do roboty.

- Masz rezerwację na samolot?

- Tak, na czwartą.

- Odwiozę cię na lotnisko - zaproponowała Carmel. - Słuchaj, co porabiasz zimą?

- Głównie pracuję - odparła Rinker, układając włosy. - Tam gdzie mieszkam, niewiele jest rozrywek.

- Tak jak tutaj... Byłaś kiedyś w Cancun? Albo Cozumel?

- W Cozumel. I Acapulco. Kilka razy. Doszlifować hiszpański.

- Załatwiam sobie co najmniej trzy tygodnie wolnego, kiedy robi się zimno. Jeden tydzień w listopadzie, jeden w styczniu i jeden w marcu - zwierzyła się Carmel. - Warto by się gdzieś wybrać razem.

Mam znajomości, wiesz, w hotelach i tak dalej. Można się nieźle zabawić.

- Jezu - westchnęła Rinker. Sprawiała wrażenie dziwnie zadowolonej i Carmel przyszło do głowy, że rzadko ją gdziekolwiek zapraszano. - To miło z twojej strony.

- Zadzwoń do mnie w październiku. Jak uda ci się wyrwać, załatwię hotel i całą resztę. Będziesz musiała tylko dojechać. Spotkamy się na miejscu.

- Bardzo chętnie. - Rinker nie kryła zadowolenia. - Co robisz na wakacjach? Leżysz na plaży? Chodzisz po sklepach? Lubię sobie połańczyć...

- Posłuchaj, znam tam kilku facetów, zawsze się w pobliżu kręcą... zabawimy się.

Rinker uniosła palec.

- Żebym nie zapomniała. Broń jest w garderobie. Musisz ją zabrać i wrzucić do rzeki albo gdzieś zakopać. I pudełko z amunicją, leży obok broni. To ostatnia rzecz, jaka może nam jeszcze sprawić kłopoty.

- Trochę ją polubiłam - wyznała Carmel.

- Świetnie. Wydadź kilkaset dolarów i spraw sobie nowiutką, czystą broń. Mogę zadzwonić gdzie trzeba i załatwić, żeby ci przysłali jedną sztukę: nowiutką, pewną, nie będzie żadnych kłopotów z zarejestrowaniem. Jeśli chcesz tłumik, też mogę załatwić. Ale spluwy z garderoby muszą zniknąć. Po prostu się denerwuję. Musisz to zrobić; będę dzwoniła co dziesięć minut, dopóki tego nie załatwisz.

- Możemy wrzucić je do rzeki przy lotnisku - zaproponowała Carmel. - Znam jedno miejsce, nie martw się.

- Doskonale - pochwaliła Rinker i przekrzywiła leciutko głowę. - Posłuchaj, jeśli się wybierzemy do Cancun, to co mam zrobić z włosami? Zawsze mi się wydawało, że wyglądam trochę prowincjonalnie, no wiesz, jakbym miała już swoje lata. Pomyślałam...

Carmel westchnęła przesadnie głęboko i położyła dłoń na piersi.

- Znam tam jedną fryzjerkę, zawsze do niej zaglądam po przyjeździe. Jest genialna...

Zajęte rozmową o wakacjach w Meksyku, niemal zapomniwały o broni. Kiedy otworzyły drzwi i Rinker stanęła w przedpokoju z walizką w rękę, Carmel strzeliła palcami i wyszeptwała:

- Broń.

Podeszła do garderoby, wzięła broń, wymacała też pudełko z amunicją. Było w nim ponad trzydzieści naboji, rozsypały się po podłodze. Carmel pozbierała je czym prędzej, schowała z powrotem do pudełka i pobiegła do drzwi.

Najpierw pojechały nad rzekę, poniżej Fortu Snelling.

- To zabytek - wyjaśniła Carmel, kiedy spoglądały na skarpe. - Pierwsza budowla, jaką tu wzniesiono, w dodatku nadal stoi. Armia urządziła tu obóz śmierci dla Indian, dokładnie w miejscu, gdzie stóimy. To było zaraz po buncie... powiesili trzydziestu ośmiu w Mankato. A tutaj trzymali tych, którzy ocalili, głównie kobiety. Połowa zmarła w zimie; większość żołnierze zgwałcili.

- Wesoła historia - zauważyła Rinker.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś mnie zgwałcił, ale facet by pożałował - wyznała Carmel.

- Nie wątpię - mruknęła Rinker. Nie wspomniała o osobniku, który się nazywał Dale Jakiś Tam.

Po chwili znalazły odludną ścieżkę przy samej rzece, sprawdziły, czy nikogo nie ma w pobliżu, i wrzuciły broń do wody.

- Załatwione - oświadczyła Rinker. - Po sprawie.

W drodze powrotnej z lotniska Carmel zadzwoniła do Hale'a Allena.

- Boże, próbowałem złapać cię przed południem - powiedział. - Idziesz jutro na pogrzeb?

- Staralam się z tobą skontaktować, ale cały czas odzywała się sekretarka - wyjaśniła Carmel. - Mamy parę spraw do omówienia. Rozmawiałam dziś z Lucasem Davenportem...

- Tak? Co powiedział? - dopytywał się zaniepokojony Allen.

- Posłuchaj, jestem akurat w samochodzie, a nie znoszę rozmawiać przez komórkę. Może wpadnę do ciebie? Będę za dwadzieścia minut.

- Dwadzieścia minut - powtórzył z nutą niepewności w głosie. - Okej. Do zobaczenia.

Nie jest to najgorętszy kochanek, jakiego kiedykolwiek miałam, pomyślała Carmel, wyłączając komórkę. Z drugiej strony Hale nie wiedział nawet, że są kochankami. Jeszcze nie wiedział.

Za kilka godzin miał się dowiedzieć. Niektórzy mężczyźni, zwłaszcza urodzeni podrywacze, najczęściej prawnicy, będąc sam na sam z Carmel, zaczęli ją podrywać. Czasem, zależnie od nastroju i adoratora, Carmel reagowała pozytywnie na zaloty i rzeczy biegły dalej swoim torem. Nie była święta, ale nigdy też nie związała się z nikim na dłużej. Pewna kobieta, niemal przyjaciółka, powtórzyła kiedyś Carmel, co jeden z jej byłych wielbicieli powiedział publicznie na przyjęciu - że Carmel go przeraża, że czuł się przy niej jak mucha w sieci pająka.

Carmel udawała zaskoczenie, ale ten komentarz nie, sprawił jej przykrości; uważała, że warto czasem zaszcześcić w mężczyźnie strach, zwłaszcza że w tym wypadku dotyczyło to niezłego drania. Mimo wszystko starała się potem nieco złagodzić swój erotyczny wizerunek, odrobinę zwolnić. Ale tak naprawdę nie lubiła, kiedy mężczyzna ją przygniatał, nie przepadała za tym poczuciem uwięzienia, gdy spoglądała w sufit ponad jego ramieniem, a on kołysał się nad nią. I była też odrobinę wybredna, jeśli chodzi o męską urodę. Nie lubiła owłosionych ramion, a jeszcze bardziej włochatych pleców. Nie podobały jej się włosy na piersi, które łączyły się z łonowymi. Nie lubiła mężczyzn łysych ani nieobrzezanych, z ich brakiem higieny; nie lubiła takich, którym się odbijało albo których oddech był przesiąknięty odorem zjedzonych potraw, ani takich, którzy siusiali przy otwartych drzwiach od łazienki czy głośno puszczały bąki.

Orgazmy miewała rzadko, i nie z mężczyznami; tych prawdziwych doznawała w samotności, w wannie, w czasie kąpieli. Hale to zmieni, pomyślała. Jeśli nie od razu, to z czasem. Ona go nauczy.

*

Hale Allen mieszkał przy cichej, eleganckiej ulicy w pobliżu jeziora, dostatecznie daleko od zgiełku miasta, by cieszyć się wieczornym spokojem i nie oglądać tłumów chudych dziewcząt krążących z walkmanami w towarzystwie chłopaków; a jednocześnie dostatecznie blisko, by można było wybrać się na spacer i zagłębić w miejski gwar, jeśli ktoś miał na to ochotę. Dom był wąski i biały, miał zielone okiennice, żółtą lampę nad drzwiami wejściowymi, a także długi podjazd, który okrążał wzniesienia porośnięte pięćdziesięcioletnimi dębami. Niewielka biała tabliczka na skraju podjazdu ostrzegała potencjalnych włamywaczy, że dom znajduje się pod opieką agencji ochronnej.

Carmel zaparkowała jaguara pod rozłożystymi konarami dębu i nacisnęła dzwonek. Usłyszała stłumione kroki stóp w skarpetkach i po chwili drzwi otworzył Hale, w dłoni trzymał biały puszysty ręcznik. Uśmiechnął się, cofnął o krok, powiedział „wejź” i wytarł wilgotne włosy ręcznikiem. Wyglądał jak wyjęty żywcem z jakiegoś Żurnala.

Nigdy nie była u niego w domu - w domu urządzonym ręką Barbary Allen, stanowiącym gustowne i umiejętne połączenie nowoczesności i tradycji, bez przesadnej jednak ostentacji: Carmel poczuła z miejsca chłód bijący od wyższej klasy. Weszła do salonu, odwróciła się i powiedziała:

- Rozmawiałam z Davenportem.

- Tak? - nie krył zainteresowania.

- Sprawa jest właściwie wyjaśniona. Mają trzy kolejne ofiary zastrzelone przez tę samą osobę - prawdopodobnie tę samą osobę - a twój udział jest wykluczony.

- I co teraz zrobią? Porozmawiają z prasą, wyjaśnią wszystko...

- Tak się tego nie załatwia - przerwała mu Carmel i przesunęła spojrzeniem po niewielkiej akwareli. Nie rozpoznała autora, ale wyczuła wibracje płynące z obrazu - prosta scena uliczna, najpewniej nowojorska - i zrozumiała, że patrzy na niezłe dzieło sztuki. Po chwili odwróciła się i spojrzała na Hale'a. - Nikomu niczego nie tłumacz. Po prostu się wycofują. Jeśli się potem okaże, że byłeś w to jednak zamieszany, nie wychodzą na idiotów.

- To niesprawiedliwie - oburzył się Allen, a Carmel znów nie mogła pojąć, jakim cudem został prawnikiem.

- Oczywiście, że to niesprawiedliwie. Ale zastanów się, jaki mieli wybór: albo zachować się fair wobec Hale'a Allena, albo ryzykować, że wyjdą na durniów. Jak ci się wydaje, na co mogą się zdecydować biurokraci z komendy?

- Jezu, ale mnie to wkurza. - Rzucił ręcznik na kanapę.

- Hej, jeśli nic nowego się nie pojawi, sprawa jest skończona - próbowała go uspokoić. - A wracając do Barbary... pogrzeb o drugiej?

- Tak, u Morganthausu.

- Nie zdążę na nabożeństwo, ale przyjdę na cmentarz.

- Dzięki, ja... - Urwał, usiadł ciężko na kanapie, wziął do ręki wilgotny ręcznik i zaczął obracać go w swych wielkich dłoniach. - Miałem tyle pytań do Barbary, tyle rzeczy chciałem z nią omówić, a ona nie żyje. Nie mogę się z tym pogodzić.

- Co chciałeś jej powiedzieć? - spytała Carmel z nieklamana ciekawością.

- Chociażby o Louise.

Carmel nie kryła zaskoczenia.

- Po co? Tylko byś ją zranił.

- Nieprawda. To bardziej skomplikowane.

- W porządku - zgodziła się Carmel i usiadła obok niego na kanapie. - Opowiedz mi o tym. Opowiedz mi o Louise.

Louise lubiła seks, Hale również. Barbara lubiła go bardziej niż, na przykład, sandwicza z jajkiem, ale nie tak bardzo jak delikatne drapanie po plecach.

- Kiedy się kochaliśmy, zawsze miałem wrażenie, że nie uprawia ze mną seksu, tylko się mną opiekuje. Zawsze czekała, aż skończę. Chciała, żeby było mi dobrze, ale potem brała książkę i czytała przed zaśnięciem...

- Hm, znam to uczucie - zwierzyła się Carmel.

Pokój zacieśniał się wokół nich, stawał się coraz mniejszy, ściany przesuwały się z wolna, aż w całym domu nie pozostało już nic, tylko ich dwoje. Mówił o Barbarze, o Louise; opowiadał ze śmiechem o dziwactwach Louise, a z płaczem o obsesjach Barbary. Carmel klepała go po łopatkach, potem głaskała po plecach. Ujął jej dłoń, obrócił, zaczął pieścić.

Pokój zamknął się wokół nich na dobre. Carmel odchyliła się do

tyłu i oto miała go przed sobą: idealną delikatność włosów na piersi, schludność, jaką daje tylko obrzezanie.

Niestety, pomyślała później, wykazuje pewne braki, jeśli chodzi o higienę.

Westchnęła. Miała przed sobą trudne zadanie.

10

Sloan był ubrany w zielone szorty i różową koszulę z golfem, na brzuchu nosił czarną saszetkę ze sztucznej skóry. Jego nogi miały kolor śmietanki i były kościste jak u strusia.

- Żona kazała mi je włożyć - powiedział, spoglądając na swoje szorty. - Powiedziała, że mógłbym dostać udaru, a to nie ma sensu w czasie wakacji.

Lucas przyglądał mu się zza biurka.

- Masz tam broń?

- Tak. Kupiłem ten pasek u Brinkhoffa. Jest na rzepy, nie na zamek błyskawiczny. Chcesz zobaczyć?

Wstał, pociągnął za przód saszetki. Schowany w środku rewolwer przytwierdzony był zapinką, która obejmowała kolbę. Wystarczyło tylko lekko szarpnąć.

- Sprytne - przyznał Lucas i rozsiadł się wygodnie. - Ale głupio wygląda.

- Moja żona mówi...

- Twoja żona ma gust karalucha.

- Powtórzę jej to.

- Jeśli to zrobisz, będę musiał cię zabić.

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi.

- Wejść - zawołał Lucas.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Hale Allen, ale przystanął na widok Sloana w zielonych szortach, różowym golfie i z bronią w ręku.

- Chce pan pomówić z Lucasem? - spytał Sloan.

- Jeśli nie jest zajęty - odparł Allen.

- Miałem go właśnie zastrzelić - wyjaśnił Sloan. - Może zechce pan zaczekać.

- No... może zajrzę koło południa.

- Zmykaj - powiedział Lucas do Sloana i zwrócił się grzecznie do Allena: - Proszę, niech pan siada.

- Czy jest coś nowego w sprawie? - spytał Allen, rozglądając się niespokojnie po gabinecie; co chwila zakładał nogę na nogę.

- Pracujemy nad nią, ale trochę utknęliśmy - przyznał Lucas.

Minął tydzień, od kiedy rozmawiał z Carmel Loan. Wszelkie ślady znalezione na miejscu zbrodni zostały dokładnie zbadane, ale nic się nie wyjaśniło. W tym samym czasie zawalił się diabelski młyn w wesołym miasteczku, dwoje dzieci zginęło, siedmioro odniosło poważne obrażenia. Sprawa egzekucji zniknęła z gazet, a dziennikarze i inspektorzy zaczęli tłumnie nawiedzać wszystkie wesołe miasteczka w stanie. Brak postępów i zainteresowania z zewnątrz pozbawił śledztwo rozpędu. Lucas miał wrażenie, że cała sprawa zostanie wkrótce odłożona ad acta.

- Słyszał pan o rodzicach Barbary? - spytał Allen.

- Obiło mi się coś o uszy.

- Zamierzali mnie skarżyć o spowodowanie śmierci, utrzymując, że byłem zamieszany w zabójstwo Barbary, jak O.J. Simpson - wyjaśnił z oburzeniem Allen. - Nie chcieli, żebym odziedziczył pieniądze, bo sami mieli na nie ochotę. A potem się okazało, że dziewięćdziesiąt procent idzie na rzecz fundacji. Gdyby wygrali w sądzie, fundacja dostałaby wszystko. Nie zobaczyliby nawet centa.

- Fiu - gwizdnął Lucas.

- Tak. Pieprzyć to, powiedzieli, nie skarżymy, jak nie ma forszy. Wycofali wszystko.

- Coś takiego.

- Prawda?

Allen nie krył oburzenia, ale co chwila odwracał wzrok, jakby nie chciał patrzeć Lucasowi w oczy. Lucas znał to - typowe zachowanie kogoś, kto czuje się winien i chce się przyznać. Pomyślał, że Allen nie zjawił się u niego, żeby pogadać o teściach.

- I co jeszcze słyhać? - spytał, odchylając się w fotelu i starając się zachować uprzejmość. Żałował, że nie ma tu Sloana. Sloan był prawdziwym mistrzem w takich sprawach. Jak się panu powodzi? Wszystko w porządku? Trochę pana wymaglowaliśmy.

- No... - Allen się uśmiechnął, a Lucas pomyślał: teraz się zaczniesz. - Przyszedłem do pana, bo zna pan dokładnie sprawę i wygląda na porządnego faceta, wszyscy też mówią, że jest pan naprawdę bystry i doświadczony...

- Okej... - Lucas nie zamierzał mu przerywać.

- Coś mi nie daje spokoju. Coś związanego ze sprawą.

- Ma pan na myśli jakieś kłopoty natury psychologicznej? Ja...

- Niezupełnie - pospieszył z wyjaśnieniem Allen. Nachylił się, ożywny. - Wie pan, kochałem Barbarę. Naprawdę. Była na swój sposób miła. Ale różniliśmy się, a ten romans... wie pan, że miałem romans?

- Tak - odparł Lucas i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: I co z tego? Każdemu się zdarza.

Na twarzy Allena znów pojawił się niepewny uśmiech.

- Kiedy zamordowano Barbarę, poczułem się okropnie. Dowiedzieliście się o tym romansie, a ja nic nie powiedziałem Carmel. Jak to do niej doszło, naprawdę się wściekła. Poszła i pogadała z Louise, i teraz wszyscy mają za złe...

Lucas przytaknął.

- Rozumiem, dlaczego Carmel była niezadowolona. W sytuacji, kiedy miała bronić pana w sądzie...

- Tak, tak - przyznał zdawkowo Allen, jakby szło o drobnostkę.

A więc nie o to chodzi, pomyślał Lucas.

- Tego dnia, kiedy powiedział jej pan, że już nie jest zainteresowany moją osobą... - zaczął Allen.

Lucas zerknął na kalendarz ścienny.

- Dzisiaj minął tydzień...

- Dokładnie tydzień - powiedział Allen. - Carmel przyszła do mnie, żeby przekazać nowiny. Napiliśmy się, pogadaliśmy o niczym, a potem wystartowała do mnie.

- Naprawdę? - Lucas uniósł brwi.

- Tak. Na całego. A zna pan Carmel. Umie postawić na swoim.

Lucas przywołał na twarz nieznaczny uśmiech męskiego porozumienia.

- I po chwili zauważył pan, że wasza współpraca niezwykle się zacieśniła.

- Dała mi popalić. Od tego czasu była u mnie trzy razy. Czy to coś złego? Czy to normalne? Spędza mi to sen z powiek, ale przecież nie mogę o tym pogadać z przyjaciółmi. Wkurzyliby się. Większość przyjaźniła się też z Barbarą, znali ją z klubu.

Lucas potrząsnął głową.

- Tak bardzo bym się tym nie przejmował. Widywałem już różne reakcje na śmierć współmałżonka i proszę mi wierzyć, nie jest pan pierwszym facetem, który łąduje w łóżku z inną kobietą, kiedy ktoś zamordował mu żonę. Może to jakaś potrzeba intymności.

- Tak pan myśli? - spytał Allen i rozchmurzył się momentalnie. Ulga? Lucas nie był pewien.

- Coś w tym rodzaju - zapewnił. - Skoro jest pan taki szczerzy, to niech mi pan powie... dlaczego Carmel? Nie wydaje się w pańskim typie. Detektyw Sherrill mówiła mi, że jest pan dość beztroskim facetem. Natomiast Carmel...

- Detektyw Sherrill to ta... Nakreślił dłońmi sylwetkę.

- Tak.

- Wygląda na miłą. - Znów gdzieś powędrował spojrzeniem i wychylił się na krześle. - Carmel... lubi zwierzenia w łóżku. Powiedziała mi, że kocha się we mnie od dwóch lat i że to ukrywała, bo nie miała szans, jak się jej zdawało, skoro byłem żonaty z bogatą kobietą. Powiedziała mi, że Louise - ta sekretarka, z którą miałem romans - to żaloszna dziwka, której chodzi tylko o forszę, i frajerka. Naprawdę się o to wścieka.

- Naprawdę? - zdziwił się Lucas i pomyślał: niech gada dalej.

- Mówię poważnie. Raz chwyciła mnie za fiuta i ostrzegła, że go utnie, jeśli jeszcze raz wsadzę go Louise.

- No, no... i powiedziała, że kocha się w panu od dwóch lat?
- Tak, od czasu jakiegoś spotkania w restauracji. Nawet tego nie pamiętam.

- Wierzy jej pan? Że jest zakochana?

- Wiem, że wychodzę na zarozumialca, ale wierzę. Gdyby jej pan posłuchał. Pamięta, co mówiłem, co robiłem, miejsca, gdzie na siebie wpadaliśmy, okazje, kiedy zamieniliśmy słowo.

Lucas zastanawiał się przez chwilę.

- Jest pan z nią umówiony dziś wieczorem?

- Oczywiście. Spotykamy się teraz codziennie. Mówi, że się za parę lat pobierzemy.

- Aha. - Lucas obrócił się na swoim krześle, przyciskając palce do ust, i wyjrzał przez okno. Miał nadzieję, że wygląda jak Sherlock Holmes. Potem wrócił do dawnej pozycji. - Jak pan myśli, gdyby zaproponował pan wieczór w „Penelopie”, tej restauracji, to by się zgodziła?

- W „Penelopie”? Pewnie, uwielbia takie miejsca nad jeziorem, modne i drogie...

- Niech pan do niej zadzwoni. Mieszka gdzieś w centrum? Ma jakieś ekstramieszkanie, o którym pisali w „Star-Tribune”?

Lucas doskonale wiedział, gdzie mieszka Carmel. Robił sobie na ten temat żarty z przyjacielem bankierem, który mieszkał w tym samym budynku.

- Zgadza się. Jest niesamowite - potwierdził Allen.

- Proszę do niej zadzwonić, zaproponować „Penelope”, a kiedy się u pana zjawi, niech pan zasugeruje, żeby prowadziła. Coś pan wymyśli. Że naciągnął pan sobie ścięgno w prawej nodze czy coś w tym rodzaju. Nic poważnego, musi pan tylko kuleć. Ale niech ona prowadzi samochód.

- I tak ona najczęściej prowadzi - powiedział Allen. - Nie lubi mojego wozu. Mam jasnobeżowego lexusa, nazywa go japońcem. Sama jeździ czerwonym jaguarem.

- Dobrze. Tak na marginesie, niech pan jej nic nie mówi - uprzedził Lucas. - Niech pan jej nie wspomina, że rozmawialiśmy. Proszę ją tam zabrać i spędzić miło czas przy długiej kolacji.

- Zgoda. Co pan zamierza zrobić?

- Pobawić się w obserwację - odparł Lucas. - Nie ja, inny gość.
- Obserwację czego? - spytał Allen.
- Cała ta historia wygląda mi dziwnie. Proszę pamiętać, czy się to panu podoba, czy nie, jest pan bogatym człowiekiem. I przystojnym. Kobiety będą się za panem uganiać i trudno powiedzieć, która ma uczciwe zamiary, a która nie. Mam w swojej ekipie jednego faceta, specjalizuje się w... jak by to określić? Chyba jako odczytywanie emocjonalne. Powiem mu, żeby się wam przyjrzał i powiedział mi, co o tym myśli. Przeanalizuje jej język ciała, tego typu rzeczy. A ja potem wszystko panu przekażę.

- Zamierza siedzieć z nami przy stoliku? - spytał niezbyt inteligentnie Allen.

- Nie, nie. Po prostu tam będzie - uspokoił go Lucas. - Niech się pan nie rozgląda ani nic takiego - proszę się dobrze bawić i posiedzieć tam dostatecznie długo, żeby mój człowiek miał dość czasu na analizę.

- Odczytywanie emocjonalne? Lucas rozłożył ręce.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Po wyjściu Allena Lucas odchylił się na krzesło i przez kilka chwil patrzył w sufit, rozmyślając o Carmel Loan. Odtworzył w pamięci wszystko, co powiedziała od czasu zabójstwa Barbary Allen, wszystkie rozmowy, jakie prowadzili, i natrafił na jeden zastanawiający punkt. Kiedy ostatni raz się spotkali, pozwoliła sobie na pogardliwą uwagę pod adresem trzech Latynosów i kobiety z wyższych sfer. Tak to w każdym razie zapamiętał; zapamiętał też, że nie mogli znaleźć nikogo, kto chciałby zająć się pogrzebem, ani też nikogo, kto przyznałby się do tego, że zna tych ludzi.

Czy ujawnili nazwiska, zanim spotkał się z Carmel? Przypuszczał, że nie. Lecz kto wie, może ci z telewizji rozmawiali z policjantami przed budynkiem, i ktoś coś powiedział. Albo jakiś dziennikarz pogadał z sąsiadem i tym sposobem ujawniono nazwiska. To by wyjaśniało, skąd Carmel wiedziała, że dwoje zamordowanych z Dinkytown to Latynosi.

Carmel Loan. Nakreślił jej nazwisko na bloczku, przyjrzał mu się z uwagą, potem narysował strzałkę i napisał kolejne: Rolando D'Aquila. Następna strzałka, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, od Carmel do innej osoby, Hale'a Allena. Popatrzył przez moment, narysował kolejną strzałkę od Carmel do Barbary Allen, i jeszcze jedną, od Carmel do martwych Latynosów. Oczywiście jej związek z Martą Blanca i jej zabitym chłopakiem stanowił wyłącznie owoc jego wyobraźni i nie mógł być uznany za jakikolwiek dowód...

Lucas poczuł chłód w piersi. Wiedział, co zamierza zrobić - wiedział nawet, jak zamierza to zrobić, do najdrobniejszego szczegółu - ale ta myśl przyprawiała go o dreszcz. Czuł się jak bogacz, który ma właśnie ukraść w sklepie coś kosztownego. A konfrontacja z Carmel to nie była zabawa z jakimś ćpunem, dealerem czy zwykłym bandzirem. Gdyby spieprzył sprawę, mógłby trafić do więzienia.

Po kilku minutach podniósł się z fotela i ruszył korytarzem w stronę wydziału zabójstw. Natknął się na wychodzącego Sloana.

- Ta cholerna klimatyzacja przyprawia mnie o gęsią skórkę - wyznał Sloan.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytał Lucas.

- Może zabiorę starą do kina.

- Jak ją zabierzesz do „Penelopy”, to zapłacę za kolację i wpiszę ci nadgodziny.

- Załatwione - rzucił szybko Sloan. - Po pierwsze, gdybym odmówił, stara by mnie zamordowała.

Sloan miał córkę w college'u i czesne do płacenia, nie stać go było na luksusy.

- Co mam robić? - spytał na koniec rzeczowo.

Kiedy Sloan poszedł, Lucas zadzwonił do Jima Bone'a, dyrektora Polaris Bank.

- Posłuchaj, Jim, będziesz w domu między ósmą a dziewiątą?

- Tak, potrzebujesz czegoś?

- Pogadać. Z dziesięć minut. Ganiam jak wściekły pies, nie mogę

w ogóle znaleźć czasu w ciągu dnia, ty też jesteś zajęty...

- Wpadnij. Kerin się ucieszy.
- Jak się czuje?
- Żona Bone'a była w ciąży.
- Zaczyna się zaokrąglać.
- Nie marnowaliście czasu.
- No tak, jesteśmy już dwa starszki.

Myron Bunnson opowiadał wszystkim, że jego matka była hipiską i zaprzysięgłą narkomanką, i że w rzeczywistości nadano mu imię Bullet Blue, i że jego ojciec należał do Aniołów Piekieł, zanim wyszli z mody. Wszystko to była bujda. Rodzice nazywali się Myron i Adele Bunnson i prowadzili farmę mleczną niedaleko Eau Claire w Wisconsin.

Bullet obsługiwał parking przy „Penelopie”. Kiedy zobaczył czerwonego jaguara, który zbliżał się do restauracji, zwrócił się do dwóch pozostałych kolegów po fachu:

- Dobra, ten jest mój.
- Napiwek dzielimy na trzech - przypomniał mu kumpel, Richard Schmid, który starał się przekonać przyjaciół, by nazywali go Korba. Trzeci z obsługi kiwnął głową.
- Do podziału.
- Nie ma sprawy - zgodził się Blue Bullet. - Ale ja obsługuję panienkę.
- Zgoda.

Korba rozpoznał jaguara. Szanse Bulleta z tą panienką, zwłaszcza gdy był ubrany jak teraz, niczym mała kataryniarza, były nikłe. Ale Bullet Blue chciał przejechać się wozem, każdy miał swoją ulubioną maszynę.

Blue wziął kluczyki i dziesięć dolców od Carmel, która błysnęła uśmiechem.

- Dziękuję, proszę pani - wyraził wdzięczność i posłał jej najbardziej zniewalające spojrzenie. Nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi i weszła do restauracji ze swoim towarzyszem, który Bulletowi wydał

się o wiele za porządny. Machnął ręką, wskoczył do jaguara i podjechał na parking z boku restauracji. Lucas opierał się o minivana, rozmawiając z mężczyzną, który siedział za kierownicą.

- Masz pieniądze? - spytał Bullet Lucasa.

- Klucze?

Bullet oddał klucze, a Lucas podał je przez boczne okno mężczyźnie za kierownicą, który z miejsca precyzyjnie się na tył wozu. Potem Lucas wręczył Bulletowi mały zwitek banknotów.

- Pogadam z McKinleyem - obiecał.

- Gdyby dało się ją zwolnić tym razem... - Bullet wsunął zwitek do kieszeni spodni. Podział dochodów obejmował wyłącznie dziesięć dolarów od Carmel.

- Nie powiedziałem, że to się da zrobić - przypomniał bez ogródek Lucas. Z wnętrza minivana dochodził jazgotliwy dźwięk sprzętu do dorabiania kluczy. - Można tylko zmienić oskarżenie na coś lżejszego kalibru. Ale będzie musiała swoje odsiedzieć.

- Już siedzi - zaprotestował Bullet. Chodziło o jego siostrę, która porzuciła farmę dwa lata po nim i zaczęła się nazywać Baby Blue. - Siedzi już od miesiąca i czeka na rozprawę. Nie można jej tego zaliczyć?

- Nie w tym wypadku - poinformował go Lucas. - Gdyby nie miała broni...

- To nie była jej broń, tylko Eddiego - zapewnił żarliwie Bullet.

- Ale ona ją trzymała. Zobaczę, czy McKinley i reszta przystaną na dwa albo trzy miesiące. Jak na razie, grozi jej rok, może więcej.

- Zrób, co się da, człowieku.

- A ty nie pakuj się w kłopoty, baranie - upomniął go Lucas. - Wracaj do domu, jak tylko będziesz mógł.

- Pewnie, żeby spędzić resztę życia na macaniu krowich cyczków.

- No to wracaj do Dunwoody... ile musiałbyś się jeszcze uczyć? - spytał Lucas.

- Semestr.

- Semestr. Kończysz szkołę, zaczynasz robić forszę i jesteś ustawiony.

- Tak, tak. - Bullet machnął ręką.

- Nie posłuchasz mnie?

- Tak samo nadaję się do naprawy wozów jak do krowich cycków; jestem stworzony do rock'n'rolla.

- Jesteś stworzony do...

- Gotowe - rzucił mężczyzna w minivanie i wręczył mu brelok z kluczami Carmel. Lucas oddał je Blue.

- Dunwoody - przypomniał.

- Rock'n'roll - odparł Blue i oddalił się.

Lucas, ubrany w ciemnogrnatowy garnitur, ze skórzaną teczką w dłoni, podszedł do portiera w holu i powiedział „Jim Bone”. Mężczyzna spojrział na swoją listę.

- Pańskie nazwisko, sir?

- Lucas Davenport.

- Proszę wejść na górę, panie Davenport - powiedział portier, odhaczając nazwisko Lucasa.

Lucas zarobił niewielką fortunę, kiedy sprzedał swoją firmę od symulacji komputerowych; zarządzał nią teraz bank Bone'a.

- ...to naprawdę ryzykowne - mówił Bone, kiedy już przeszli do interesów. - Sytuacja gospodarcza może się nagle załamać i kto wtedy będzie miał ochotę płacić sto dolarów za rundkę na polu golfowym?

Lucas przytaknął.

- Owszem, ale nie musiałbym od razu brać stówy, zadowolilibym się sześćdziesięcioma dolarami.

- Nie masz pojęcia o prowadzeniu pola golfowego - zauważył Bone.

- Oczywiście, że nie; nawet bym nie próbował. Prawdę powiedziawszy, nie przepadam za golfem. Dlatego mówię o profesjonalnym zarządzaniu.

- Nie jest to w końcu taki zły pomysł - zawyrokował po namyśle Bone.

- Chodzi o to, że przekazalibyśmy córce większość pieniędzy, za

resztę spłaciłbym hipotekę, a nadwyżkę przeznaczał na utrzymanie pola i budynków. Zanim skończy dwadzieścia pięć albo trzydzieści lat, stanie się właścicielką wszystkich udziałów, dziewięćdziesiąt dziewięć procent, a ja będę posiadał udział głównego partnera, jeden procent, potem to sprzedamy i będzie ustawiona. Weźmie cztery albo pięć milionów, minimum. Kto zresztą wie? Może nawet pięć albo dziesięć?

- Pomyśl niezły, ale tak prawdę mówiąc, mógłbyś wyjść lepiej przy inwestowaniu długoterminowym. Podatki...

Kiedy skończyli, Lucas pożegnał się z Kerin, która sprawiała wrażenie o wiele łagodniejszej niż wówczas, gdy się poznali; była jakby powolniejsza, szczęśliwsza, zadowolona z siebie.

- Każę swoim ludziom opracować projekt. Za tydzień coś już będę wiedział.

- Dzięki, Jim.

Na piętrze Bone'a znajdowało się pięćdziesiąt drzwi. Do jego mieszkania, do trzech innych i drzwi prowadzące na schody pożarowe. Nie widać było kamer. Lucas wszedł do windy i nacisnął guzik dwudziestego szóstego piętra. Kiedy winda ruszyła w górę, wyciągnął z kieszeni nylonową skarpetę, rozciągnął i włożył na czubek głowy jak czapkę. Gdyby natknął się na kogoś w holu, mógłby ją szybko ściągnąć i schować.

Jednak korytarz dwudziestego szóstego piętra był jak wymarły. Jeszcze w windzie, blokując stopą drzwi, naciągnął nylon na twarz, podniósł kołnierz marynarki, który przypominał teraz koloratkę, i wyrztał ostrożnie. Ani śladu kamer. Zbliżył się zdecydowanym krokiem do drzwi mieszkania Carmel i wsunął do zamka pierwszy klucz. Klucz obrócił się bez oporu - drugi jest pewnie od biura, pomyślał Lucas.

Gdzieś w głębi mieszkania paliło się pojedyncze światło.

- Halo? - zawołał. Cisza. - Halo?

Spenetrował szybko teren, sprawdzając wszystko po kolei. Nerwy miał napięte. Robił już wcześniej takie rzeczy, ale był z niego kiepski włamywacz.

Zaczął od jej kolonotatnika. Mnóstwo nazwisk, większość

związanych z jakąś firmą albo korporacją - zawodowe znajomości. Było też kilka nazwisk z imionami, przy nich numer, zazwyczaj dwa. Biuro i dom, pomyślał Lucas. Nie wierzył, by mógł to być numer zabójcy. Znalazł dziesięć osób, tylko numer i nazwisko, i te przepisał do swojego notatnika.

W kuchni znalazł następny notatnik, wyłącznie osobisty, jak przypuszczał. Wyjął z teczki małego nikon, zrobił szesnaście zdjęć, zmienił film, zrobił jeszcze osiem i schował aparat z powrotem do teczki.

Potem zaczął przeszukiwać mieszkanie.

W gabinecie znalazł komputer z wbudowanym napędem do dysków o dużej pojemności. Przyniósł własną nagrywarkę, razem z dyskietkami. Potem włączył komputer, kliknął ikonę komputera i przeciągnął wszystkie dokumenty do ikony dysku. Kiedy komputer zaczął przenosić zawartość dysku na jego dysk, Lucas zajął się szeregiem szafek po przeciwległej stronie pokoju. Wysuwał po kolei szuflady i w ostatniej znalazł plik zapłaconych rachunków - nic poważnego, zwykle miesięczne opłaty. Przejrzał je szybko, odłożył na bok rachunki telefoniczne za ubiegłe cztery miesiące i znów posłużył się aparatem. Ale ostatni rachunek był niemal sprzed miesiąca...

Poszedł do kuchni, gdzie wcześniej zauważył starannie ułożony stos kopert, przewertował je, znalazł jeszcze jeden rachunek telefoniczny. Znów czując drżenie nerwów, wziął do ręki czajnik na kuchence, przechylił, by się upewnić, że w środku jest woda, i włączył kuchenkę.

Czekając, aż się woda zagotuje, zajrzał do sypialni. Nic szczególnego. Przejrzał bardzo ostrożnie szuflady, by się nie zorientowała, że w nich grzebał. Niczego nie znalazł. Szybko sprawdził garderobę i właśnie zamykał drzwi, gdy jego wzrok uchwycił jakiś metaliczny błysk na podłodze. Ten błysk miał w sobie coś bardzo charakterystycznego i Lucas podświadomie go poznał. Schylił się, przesunął dłonią po dywan, wyczuł przedmiot i podniósł go: nabój kalibru .22. Wyjął z kieszeni wąską latarkę, obejrzał dokładnie dno garderoby, ale nie znalazł już więcej pocisków.

Zastanawiał się przez chwilę, potem schował nabój do kieszeni.

Zamykał drzwi garderoby, kiedy usłyszał szum czajnika. Pobiegł do kuchni, podstawił kopertę pod strumień pary, otworzył ją, wyjął ze środka rachunek, sfotografował szybko wykaz rozmów zamiejscowych i zakleił z powrotem kopertę, zanim klej zdążył wyschnąć. Odstawił czajnik i pociągnął nosem; woń kleju wciąż utrzymywała się w powietrzu, była nieznaczna, ale mimo wszystko wyczuwalna. Miał nadzieję, że Carmel nie będzie się spieszyć.

Komputer w gabinecie czuwał sobie po cichu; Lucas przejrzał szybko pozostałe foldery, przeciągnął kilka na swój dysk, odczekał parę sekund, by wszystko się skopiowało, i wyłączył komputer.

W porządku. Co jeszcze? Był gotów do wyjścia; rozejrzył się po raz ostatni.

Mieszkanie było niesamowite. Ale pomijając zawartość szafek i szuflad, praktycznie wyglądało na nieużywane: panował tu obsesyjny porządek, wszystko na swoim miejscu, jak na scenie teatralnej.

Zadzwoiła mu komórka w kieszeni. Sloan.

- Wychodzą - powiedział. - Właśnie dostałem koktajl z krewetek. Mam nadzieję, że nie każesz mi za nimi łązić.

- Skąd, niech się zmywają. No i co myślisz?

- Są ze sobą blisko. Gruchotali cały wieczór jak dwa gołąbki. Ale ten facet chyba na kogoś jeszcze czekał. Cały czas się rozglądał.

- Hm, ciekawe, o co mu chodziło? - zastanawiał się Lucas, odczuwając niejaki wyrzuty sumienia. Nagle coś sobie uświadomił. - Jakim cudem jesz dopiero koktajl z krewetek, a oni już wychodzą? Zamówiłeś go sobie na deser?

- No... tak - przyznał Sloan i dodał nieco chrapliwym głosem: - Uwielbiam te rzeczy.

Kiedy Carmel wróciła do domu, krótko po jedenastej - nazajutrz czekała ją praca - przystanęła na progu mieszkania i zmarszczyła nos. Pomyślała, że coś jest nie w porządku. Nie mogła się zorientować: powietrze czy może coś innego. Atmosfera mieszkania została w jakiś

tajemniczy sposób zakłócona. Ruszyła na poszukiwania, zostawiając drzwi wejściowe otwarte na oścież, żeby nie odcinać sobie drogi ucieczki w razie kłopotów, ale niczego nie znalazła.

- Hm - mruknęła, zamykając drzwi wejściowe.

Nim nadszedł ranek, o wszystkim zapomniała.

11

Kiedy Lucas dotarł do domu, wyjął z kieszeni kartę magnetyczną z nikoną i wprowadził do swojego komputera. Po przeniesieniu zawartości do fotoshopu wyostrzył maksymalnie zdjęcia i wydrukował. Potem zadzwonił do Davenport Simulations i czekał cierpliwie, aż odezwał się jakiś mężczyzna, wyraźnie niezadowolony.

- Steve? Tu Lucas Davenport.

- Cześć, Lucas! Gdzie się podziewałeś, człowieku? - spytał Steve. Steve popalał od czasu do czasu trawkę, w weekendy brał LSD i zapuszczał brodę. Kiedy był na haju, umiał programować w trzech wymiarach. - Nie zagładasz już do nas.

- Byłbym jak duch, były właściciel, który krąży po dawnych włościach - wyjaśnił Lucas. - Ale potrzebuję kogoś, kto mi pomoże rozwiązać pewien problem komputerowy. Pomyślałem o tobie... lubiłeś się w to bawić w starych dobrych czasach.

- Nie zajmuję się już tym głównem - wyznał Steve. - Uhm... czego ci trzeba?

- Masz kogoś w Internecie, kto umiałby ustalić anonimowe numery telefonów? - spytał Lucas. - A jeśli tak, to czy masz z nim kontakt?

Steve zniżył głos, choć najprawdopodobniej był sam:

- Zależy od numerów i od tego, jakie z tego mogą wynikać kłopoty. I czy zechcesz za to zapłacić.

- A ile by to kosztowało?

- Jeśli chcesz wszystkie numery i nie będziesz zadawał pytań...

to znam gościa, który się w to bawi. Wyśle ci je e-mailem, kilka docłów za sztukę. Ile ich masz?

- Może z pięćdziesiąt - odparł Lucas.

- Jezu, myślałem, że chodzi ci o setki. Albo tysiące. Nie wiem, czy zainteresuje go taka drobnostka.

- Zapłacę więcej - obiecał Lucas.

- Mogę go spytać - zgodził się Steve. - Powiedzmy pięćset docłów?

- Niech będzie.

- Ręczę za to osobiście, człowieku. Będę do tyłu na pięćset, jeśli nawalisz.

- Steve...

- Dobra, dobra.

- Przydałyby mi się wszelkie informacje na temat abonentów - jeśli, oczywiście, ten gość sobie z tym poradzi.

- To będzie kosztowało ekstra.

- Podnieśmy do tysiąca.

- Zgoda. Prześlij mi numery e-mailem. Przekażę je, gdzie trzeba. Dostaniesz nazwiska tą samą drogą.

Lucas skopiował dziwne albo niezidentyfikowane numery ze zdjęć i poprosił o nazwiska i adresy. Wysłał Steve'owi e-mail, potem sprawdził zawartość swojej poczty i znalazł dwa listy, jeden reklamujący zdjęcia pornograficzne dzieci - ten usunął - i drugi od córki.

Sara była w pierwszej klasie, zaczynała dopiero czytać i pisać, ale matka, producentka wiadomości telewizyjnych, pokazała jej, jak obsługiwać się pocztą elektroniczną. Sara, korzystając z tego udogodnienia, pisała do Lucasa kilka razy w tygodniu.

Lucas przez następny kwadrans rozgryzał tekst, a potem odpisał, starając się dobierać słowa, z którymi Sara mogła sobie poradzić. Nie chciał jednak, by wyglądało to jak z elementarza. Właśnie kończył, kiedy komputer przemówił cienkim kobiecym głosem: Masz pocztę.

Przesłał wiadomość Sarze i kliknął swój e-mail. Przesyłka zawierała listę nazwisk i adresów wraz z numerami, które przesłał. Wszystkie

nazwiska, z wyjątkiem dwóch, były uzupełnione o dodatkowe informacje. Lucas przejrzał je szybko: pochodziły z firm kredytowych, choć niektóre mogły też dotyczyć stanowych wydziałów komunikacji. Na końcu widniało polecenie: Przesłać 1000 dolarów.

- Szybko - mruknął i spojrzął na zegarek. Niecałe pół godziny.

Wydrukował numery z nazwiskami abonentów, a potem zabrał się do dokumentów, które ściągnął z komputera Carmel. Choć poświęcił większości zaledwie pięć sekund - wszystkie bez wyjątku dotyczyły jej pracy - było już po trzeciej nad ranem, kiedy wyczyścił dysk, wyłączył komputer i poszedł spać.

Nazajutrz porąbał dyskiety tasakiem, a kawałki wrzucił do dwóch różnych śmietników: czuł niemal zabobonny lęk przed plikami komputerowymi, które pojawiają się w najmniej odpowiednim momencie.

Potem, już na ulicy, dostrzegł jakąś kobietę w pozbawionej kroju czarnej sukni, z białą chustą na głowie, z rodzaju tych, które noszą babuszki w Rosji. Odwrócił się i odprowadził ją wzrokiem; jakieś wyznanie albo narodowość, pomyślał. Wszedł, pogwizdując, do komendy i zadzwonił do Sherrill.

- Może któreś z was wpaść do mnie na minutę? Ty albo Black? - spytał.

- A kogo byś wolał? Mnie czy Toma?

- Daj spokój - zirytował się. - Chcę się dowiedzieć, co nowego w sprawie Allen. Mam też kilka spraw do was.

Sherrill zesłała kilka minut później i opadła na krzesło po drugiej stronie biurka.

- Zaczyna nam brakować materiału do śledztwa - oświadczyła.

- Posłuchaj tylko, co Hale Allen mi wczoraj powiedział. - Zrelacjonował ich spotkanie, a potem wspomniał o kobiecie widzianej na ulicy. - Wyglądała jak ci kosmici, których opisała dziewczynka, kiedy układała portret pamięciowy. Musimy skombinować zrobione z żabiej perspektywy zdjęcie kogoś w czarnej sukni i z chustą na głowie; potem dopasujemy do postaci kilka twarzy, w tym i Carmel.

- Carmel Loan - rzuciła sucho Sherrill. - Byłoby nieciekawie, gdybyśmy wywlekli to na wierzch, a okazałoby się, że nie mamy wystarczających dowodów.

- Dlatego nie może wiedzieć, że ją prześwieciliśmy. Dopóki nie będziemy mieli jakichś konkretów.

- Dobra - zgodziła się Sherrill i wstała. - Uda mi się pewnie ściągnąć zdjęcie Carmel od twojej panienki z archiwum „Star-Tribune”, jeśli tam nadal pracuje.

- Pracuje - potwierdził Lucas.

- Powiem chłopakom od identyfikacji, żeby załatwili to zdjęcie. Możemy wzorować się na opisie dziewczynki. Kiedy chcesz z nią pogadać? To znaczy z małą?

- Jak najprędzej - odparł Lucas. - Nie wiem, jak długo dzieciaki pamiętają takie rzeczy.

- Spróbuję umówić cię jeszcze na dzisiaj.

- Zapomniałbym o czymś. - Sięgnął do kieszeni. - Możesz załatwić w laboratorium, żeby obejrzel ten nabój?

Rzucił jej ładunek kalibru .22. Sherrill złapała go w powietrzu i obejrzała dokładnie.

- O co tu chodzi, Lucas?

- O nic; to jedna z moich dwudziestekdwójek. Chcę po prostu porównać przypadkową amunicję z tą, którą wyjęli ze zwłok. Sprawdzić, czy analiza w ogóle wyjdzie.

Przyglądała mu się podejrzliwie, obracając ładunek w dłoni.

- A więc, gdybym przypadkiem zgubiła ten nabój, to nic by się nie stało, jakbym oddała do ekspertyzy inny? - spytała.

- Oddaj ten - powiedział z naciskiem Lucas. - Po prostu przekaż go do analizy.

- Właśnie ten.

- Właśnie ten.

- Lucas...

- Daj już spokój, Marcy - poprosił.

Uśmiechnęła się do niego.

- Czuję jesteś. Zależy ci, co?

- Przekaż im ten pieprzony nabój - powiedział.

*

Lucas spędził poranek na przeglądaniu numerów, które spisał z notatnika Carmel, i rachunków telefonicznych: zaznaczył do sprawdzenia pięćdziesiąt pięć. W ciągu trzech godzin wypełnił cały bloczek notatkami, ale nie znalazł nic konkretnego.

Kilka minut przed dwunastą w południe doszedł do ostatniej rozmowy zamiejscowej, która odbyła się dwa tygodnie wcześniej, jak zauważył, kilka dni po śmierci Barbary Allen. Informacja od hakera z Internetu była zwięzła - telefon firmy kurierskiej Tennex. Lucas wykręcił numer, jakaś kobieta odebrała po pierwszym sygnale.

- Usługi kurierskie, Tennex.

- Mogę mówić z szefem Tenneksu? Albo z kimś, kto prowadzi te usługi?

- Przykro mi, pana Wilsona nie ma. Mogę pana przełączyć na pocztę głosową.

- Chciałem nawiązać kontakt z firmą.

- Przykro mi, obsługujemy tylko telesekretną. Mogę przełączyć pana na pocztę głosową.

- No dobrze, trudno, gdyby pani zechciała...

Przełączyła go i usłyszał wiadomość na poczcie głosowej, trochę niewyraźną, być może od jakiegoś nabuzowanego nastolatka: „Połączyłeś się z usługami kurierskimi Tennex, twoim... hm... najszybszym kurierem w Waszyngtonie. Jesteśmy pod telefonem, uhm, albo dostarczamy akurat przesyłkę. Proszę zostawić nazwisko i uhm... numer telefonu, oddzwonimy. Dziękuję”.

Nie mając ochoty rozmawiać z jakimś zadyszczanym kurierem-rowerzystą, Lucas odłożył słuchawkę, ziewnął, wstał, przeciągnął się i poszedł do wydziału zabójstw. Black siedział przy biurku, grzebiąc w papierach; Sloan czytał gazetę.

- Lunch? - zaproponował Lucas.

- Owszem, czemu nie - zgodził się Sloan.

W drzwiach stanęła Sherrill. Zobaczyła Lucasa i poinformowała:

- Przekazałam ten nabój do ekspertyzy, a jeśli chodzi o dzieciaka, jesteśmy umówieni na czwartą dziś po południu. Matka nie jest z tego powodu szczęśliwa. W gazetach pisali o zawodowych zabójcach.

- No to będziesz musiała ją trochę uspokoić, jak się tam zjawimy - powiedział Lucas. - Szczera więc kobieca, bliskość, pogawędka, tego typu historyjki.

- Seksizm - wtrącił Sloan, potrząsając smutno głową. - I to u kogo? U członka komisji do spraw odmienności.

Lucas uderzył się w czoło.

- Jezu, zapomniałem. Mam dziś wieczorem zebranie.

Popatrzyli na niego ze współczuciem, a Sherrill poklepała go po ramieniu.

- Mogłoby być gorzej.

- Jak?

- Nie wiem. Mogliby cię zastrzelić.

- Już go zastrzelili - sprostował Sloan. - Musiałoby być coś naprawdę gorszego.

Lucas popłotkował sobie ze Sloanem podczas lunchu, wymienili też parę uwag na temat obowiązującego stylu przestępczości. Zabójstw było mniej, nawet biorąc pod uwagę sprawę Allen i dwojga zabitych z Dinkytown. Czwarty, Rolo, pasował do statystyk St. Paul. Liczba gwałtów też spadła, podobnie jak napady z bronią w rękę, obniżyło się spożycie koki, wzrosło za to amfetaminy i heroiny.

- Guetierrez wyznał mi, że dzień, kiedy znów pojawiła się heroina, był najszcześniejszy w jego życiu - powiedział Sloan, mając na myśli jednego z detektywów wydziału narkotyków. - Mówi, że cholernie nasila się kradzieże w domach towarowych, ale przynajmniej będą mieli spokój ze stukniętymi ćpunami od koki, którzy biegają ze spluwami i wierzą, że są nietykalni.

Lucas przytaknął.

- Daj facetowi odrobinę heroiny, a pójdzie spać. Daj mu trochę więcej, to umrze. Nie ma problemu.

- Ale w supermarketach kradną jak diabli - zauważył Sloan.

- Umiejętność kulturowa - skomentował Lucas, podnosząc wierzch cheeseburgera, by obejrzeć pojedynczy, podejrzenie błady kawałek ogórka. - Przejęli to od swoich narkotykowych guru. Ktoś powinien to przeanalizować. Jakiś antropolog.

- Albo proktolog - zauważył Sloan. - Przez to zebranie tej twojej komisji nie postrzelasz sobie dzisiaj.

- I tak się zastanawiam, czy nie zrezygnować. - Lucas machnął ręką. - Ten młody chłopak z Iowy załatwił mnie ostatnim razem na amen.

- To cholerny napaleniec - przyznał Sloan. - Przyczepił do swojej szafki tarczę. Wszystkie strzały w dziesiątkę. W jeden punkt.

- Jest dobry. - Lucas skinął głową. - W moim wieku już się nie daje rady. Brak kontroli nad mięśniami.

- Tak, tak. Tępy gnojek - powiedział Sloan.

- Słyszałem, że to całkiem bystry gnojek.

- No tak, tępy bystry gnojek. - Sloan spojrział na zegarek. - Muszę lecieć. Mam spotkanie z jednym facetem.

Wracając do komendy, Lucas uświadomił sobie, że coś mu nie daje spokoju, coś, o czym powiedział mu Sloan w czasie lunchu, nie wiedział jednak co. To jednak ważne, pomyślał. Zaczął się zastanawiać i doszedł do wniosku, że ma to jakiś związek z chłopakiem z Iowy. Wciąż był tylko mundurowym, ale zgłaszał się na ochotnika do trudnych zadań i miał hopla na punkcie broni, i to wszelkiego typu: gadał o niej, używał, naprawiał, porównywał, kupował i sprzedawał. Powrót do idei rewolwerowca z westernu, pomyślał Lucas.

Starł się skupić uwagę na czekającej go rozmowie z Jane oraz Heather Davis i na zdjęciach, które miała zebrać Sherrill. Wiązało się to z pewnym ryzykiem. Gdyby dziecko zidentyfikowało Carmel jako jedną z zabójczyń i sprawa trafiła do sądu, obrońca mógłby zakwestionować znaczenie tej identyfikacji, dowodząc, że policja zakłóciła proces pamięciowy świadka przy użyciu fotografii. Należało zachować wyjątkową ostrożność.

Choć próbował myśleć wyłącznie o zbliżającej się rozmowie, strzelec z Iowy uparcie powracał. Coś, co o nim powiedział Sloan. Coś niezbyt istotnego. Lucas nie mógł tego po prostu wyłowić.

Tak właśnie wygląda obłęd, pomyślał. Masz to w głowie, tylko nie możesz tego wyciągnąć na wierzch. W końcu zszedł do szatni i zaczął szukać szafki chłopaka z Iowy. Znalazł ją, z tarczą na drzwiach, tak jak mówił Sloan.

- Sprawdza pan przeciwników? - zainteresował się wysoki jasnowłosy policjant. Kolejny strzelec.

Lucas skinął mu głową.

- Słyszałem o tym wyczynie - powiedział i nachylił się ku tarczy. Dokładnie w jej centrum była dziesiątka, ale wewnątrz znajdowało się jeszcze jedno, znacznie mniejsze kółko: tak zwane kółko X, o średnicy niewiele większej niż pocisku .22. Na tarczy widniało dziesięć sylwetek twarzy, miały pośrodku kółko X, w każdym widniała dziura po pocisku o nieco postrzępionej krawędzi. Linia wokół dziur była nienaruszona. Lucas gwizdnął.

- Ten facet jest nienormalny - zauważył policjant, który wkładał właśnie kamizelkę kuloodporną, zapinając ją na rzepy. - Mam świetny wzrok, a nawet nie widzę tych iksów w twarzach. Trafić w dziesiątkę to jedno, ale wałnąć wszystkie iksy... Jezu, to nienormalne.

- Trzeba się namęczyć - przyznał Lucas. - Mnie się nigdy nie udało.

Rzucił po raz ostatni okiem na tarczę, potrząsnął głową i ruszył z powrotem do biura. Trafić w dziesiątkę to jedno, ale w iksy...

Wrócił do siebie i przejrzał listę numerów, którą dostał z Internetu. To, co go najbardziej interesowało, znalazł na samym końcu.

Tennex. Usługi kurierskie. Ten-x. Dziesiątka z iksem.

- Sukinsyn - powiedział Lucas głośno. To musiał być przypadek.

Wciąż o tym rozmyślał, kiedy pojawiła się Sherrill z Blackiem. Przynieśli teczkę z kolorowymi zdjęciami kobiet w chustach na głowie i ciemnych płaszczach. Nadano im dwanaście różnych twarzy. Wyglądały jak wydobyte nagle z mroku przez światło płynące z otwartego mieszkania.

- Nieźle - ocenił Lucas, przeglądając je po kolei. - A ta to Carmel?

- Tak. Zdumiewające, że jedna i ta sama osoba może wyglądać inaczej w zależności od otoczenia i stroju; nie poznałabym jej w tych ciuchach za żadne skarby świata - wyznała Sherrill.

Sherrill i Black pojechali razem, Lucas za nimi. Davis przywitała ich w drzwiach wejściowych do budynku.

- Mam nadzieję, że mała się nie wystraszy - powiedziała. Była wyraźnie zaniepokojona.

- Nie ma powodu do obaw - uspokoił ją Lucas. - Jeśli nie uda jej się wybrać odpowiedniego zdjęcia, damy spokój.

- A jeśli kogoś rozpozna? Jeśli ta zabójczyni się o tym dowie?

- Od nas niczego się nie dowie - zapewnił Lucas. - Nie ujawnimy nazwiska pani córki, dopóki obrońca nie zażąda okazania dowodów, a do tego czasu będziemy mieli już pod kluczem kogoś oskarżonego o morderstwo pierwszego stopnia. Nic już jej nie będzie grozić.

- To wszystko spędza mi sen z powiek - wyznała Davis, obejmując się ramionami, jakby poczuła nagły chłód.

Heather bawiła się w sypialni kawalkadą ciężarówek.

- Wiesz, co by ci się przydało? - spytała Sherrill. - Traktor. Razem z kultywátorem.

- Miałam traktor, ale się zgubił - wyjaśniła Heather i zmrużyła oczy. - Traktor był w porządku, ale wiesz, co mi jest naprawdę potrzebne?

- Co?

- Traktor był razem z kombajnem, ale nie miałam niczego do przewozu ziarna. Przydałaby mi się nowa ciężarówka.

- No... dobrze. - Sherrill wyraźnie zabrakło konceptu. - Obejrzymy te zdjęcia, a potem wrócisz do swoich ciężarówek.

- Mama powiedziała, że pozwolicie mi się przejechać radiowozem policyjnym - przypomniała sobie Heather.

- Hm, jak poprosisz grzecznie wujka Lucasa...

- On nie jest moim wujkiem - sprostowała Heather.

- I tak to załatwię - obiecał Lucas. - Chodź obejrzyć zdjęcia.

*

Obejrzała: wszystkie po kolei, uważnie, a kiedy doszła do końca, oświadczyła:

- Nie.

- Nie? Popatrzyła na matkę.

- Nie wyglądają jak trzeba.

- Skoro nie wyglądają jak trzeba, to pewnie tak musi być.

Jej matka westchnęła.

- Jesteś pewna, że żadne nie wygląda jak trzeba... - naciskał Lucas.

- No, wyglądają niby jak trzeba, ale nie całkiem.

- Trudno - powiedział z rezygnacją Black.

Wszyscy wstali.

- Czy wujek Lucas da mi się przejechać radiowozem?

- Kłapa - oświadczyła Sherrill, kiedy wyszli na ulicę.

- Fakt - zgodził się Black. - Choć wcale nie jestem pewien, czy chciałbym powoływać takiego dzieciaka na świadka. Carmel Loan starłaby tę małą na miazgę.

- Ja bym w tej chwili powołał każdego - wyznał ponuro Lucas. - Nawet szympansa, gdyby tylko mógł ją załatwić.

- Co chcesz zrobić? - spytała Sherrill.

- Pojechać do domu - odparł Lucas. - Napić się piwa. Pomyśleć. I ukołysać się do snu.

12

Lucas zjawił się w komendzie tuż po dziesiątej rano - wcześniej jak na siebie - zamknął drzwi gabinetu, napisał notatkę służbową, opatrzył nagłówkiem „poufne” i dołączył zapis rozmowy z Hale'em Allenem. Potem zaniósł to osobiście Rose Marie Roux, szefowej policji.

- Jak podróż? - spytał.

- Zjazd w Las Vegas w samym środku lata - było tak gorąco, że bałam się wychodzić na dwór.

- Upał.
- Jak w piecu - zapewniła. - Tak się nudziłam, że prawie zaczęłam palić. Co tam masz?
- Wręczył jej notatkę służbową, a ona zaczęła czytać.
- Cholera, Lucas, to koszmar. Dlaczego nigdy nie możesz zająć się czymś prostym?
- Zajmuję się, tylko nie zawracam ci wtedy głowy. Posłuchaj, nie chcę, by ktokolwiek miał do tego dostęp z wyjątkiem ciebie, mnie, Sherrill i Blacka. I może jednego sędziego. Schowaj to do teczki i zapomnij o tym, dopóki nie trzeba będzie tego wyciągnąć.
- Chronisz własny tyłek - zauważyła Roux.
- Chronię każdy tyłek - sprostował Lucas. - Muszę zdobyć wykaz jej rozmów telefonicznych za kilka ostatnich miesięcy, potrzebuję tej notatki, żeby uzyskać zezwolenie sądowe.
- Pogadaj z Rossem Bentonem - doradziła Roux. - Da ci nakaz i będzie trzymał gębę na kłódkę. Z radością ukrzyżowałby Carmel. Carmel lubi bawić się z nim w sądzie. Miał jakieś kłopoty proceduralne w tej sprawie Prolle'a, a ona nazwała go Klownem Schizo i dostało się to do gazety.
- Dobra. Zaniosę mu kopię i wezmę nakaz.
- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - uprzedziła Roux. Jestem za stara i zbyt zmęczona, żeby Carmel Loan miała mnie spalić na stosie.
- Lucas pogadał z sędzią Bentonem i dostał nakaz sądowy.
- Daj mi znać, co z tego wynikło - poprosił Benton z błyskiem w oku.
- Pewnie nic nie wyniknie. - Lucas pokiwał głową. - Tylko błagam, nie mów nikomu.
- Nie martw się. Jeśli nic nie zyskasz, a Carmel dowie się o tym nakazie, to palną sobie w łeb.

Lucas zaniósł nakaz do firmy telekomunikacyjnej, przedstawił odpowiedniemu zastępcy dyrektora i przypomniał, jak ważne jest zachowanie dyskrecji i co grozi za jej naruszenie. Wicedyrektor wyraził całkowite zrozumienie, po czym obaj udali się do centrum technicznego,

gdzie wydrukowano listę połączeń. Lucas poprosił wicedyrektora o umieszczenie na wydruku daty i godziny, a także własnoręcznego podpisu.

- Mam nadzieję, że nie będę miał z tego powodu kłopotów - powiedział wicedyrektor.

- Próbujemy namierzyć zawodowego zabójcę na usługach mafii - wyjaśnił Lucas.

- Bardzo śmieszne - mruknął urzędnik, podpisując wydruk.

Po powrocie do komendy Lucas zaczął się zastanawiać, czy nie poprosić o pomoc FBI. Zaburczało mu w brzuchu, zszedł więc do knajpki na dole, zamówił sandwicza, zjadł, poczytał gazetę i wrócił do siebie. Sięgnął do szuflady i wygrzebał wizytówkę Mallarda.

Problem z FBI polegał na tym, że jak jego agenci wkraczali już do akcji, to wykazywali nadmierną gorliwość i entuzjazm: broń maszynowa z celownikami laserowymi, helikoptery, opracowane komputerowo sylwetki psychologiczne podejrzanych. Zdradzali też brak pewnego doświadczenia. Facet, który po studiach trafił do Biura, a potem spędził następne dwadzieścia lat jako agent, miał tyle do czynienia z prawdziwymi przestępcami, ile zwykły gliniarz w rok po ukończeniu akademii policyjnej. Człowiek widział przed sobą lekko siwiejącego czterdziestopięciolatka - kogoś w wieku Lucasa - i myślał sobie, hm, nieźle. Potem odkrywał, że doświadczeniem policyjnym odpowiada dwudziestopięciolatkowi.

Z drugiej jednak strony zajmowali się często najcięższym kalibrem...

Po chwili wahania pomyślał o zachowaniu Mallarda podczas ich spotkania i doszedł do wniosku, że agent zalicza się do tych bystrzejszych.

Mallard podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Słucham.

- Mam pewne przecucie - wyznał Lucas, kiedy już się przedstawił.

- Przypuszczam, że muszę cię wysłuchać. - Mallard westchnął. - Zrobiłeś wrażenie na naszych chłopcach z Minneapolis. A może się boją albo co innego.

- Podziękuj im ode mnie, jak się z nimi zobaczysz następnym razem.

- Nie powiedziałem, że cię lubią- podkreślił z naciskiem Mallard. - Twierdzą, że nazywasz ich agencikami.

- No, wiesz... pozostałość dawnej rywalizacji.

- Pewnie - zauważył ironicznie Mallard. - No więc co z tym przecuciem?

- Mamy podejrzanego. Nie chodzi o zabójczynię, ale o kobietę, która ją wynajęła. Będę z tobą szczery. Nie chcę podawać jej nazwiska, bo to nie byle kto, i jeśli się mylę, to mnie załatwi na amen. Nie-wykluczone, że będę musiał poszukać sobie roboty daleko poza granicami stanu.

- I to byłoby tytułem wstępu - skomentował Mallard. - A przecucie?

- Udało nam się, hm, ustalić kontakty telefoniczne, jakie nasza podejrzana nawiązała w okresie zabójstw. Jeden z nich dotyczył Waszyngtonu...

- Rozumiem, że chodzi o miasto, nie stan.

- ...i kiedy to sprawdziłem, okazało się, że to Tennex, firma kurierska. Bez siedziby, nie ma nikogo w domu. Tylko poczta głosowa. Ustaliłem prawie na pewno, że tak jest zawsze. A wczoraj gadałem z kumplem o strzelaniu do tarczy, a on mi powiedział o jednym chłopaku z Iowy w naszej komendzie, który podczas jednej rundy nie tylko miał same dziesiątki, ale za każdym razem trafiał w iksa.

- Tennex. Dziesiątka iks - zauważył Mallard. - Daleko posunięte przypuszczenie.

- Też tak pomyślałem.

- Prawdopodobieństwo, że się nie mylisz, jest jak dwadzieścia do jednego.

- A ja sądziłem, że jak pięćdziesiąt do jednego - wyznał Lucas.

- W przypadku tej kobiety jest jak tysiąc do jednego - powiedział Mallard.

- Musisz działać ostrożnie - przypomniał Lucas. - Nie ma mowy o ciężkiej artylerii. Ani czarnych helikopterach.

- Nikt się nie dowie - zapewnił go Mallard. - Chyba że sami powiemy. Jak mogę się z tobą łączyć bezpośrednio?

Lucas podał mu numer.

- Zadzwoń jutro rano - obiecał Mallard.

Lucas odłożył słuchawkę, odchylił się w fotelu i spojrzał na telefon. Mallard, agent o wyglądzie profesora ekonomii, wykazał przeblask zainteresowania. Jakby podzielał to przecucie...

Sherrill weszła bez pukania, usiadła nieproszone i powiedziała ponuro:

- Problem w tym, że jestem policjantką.

- Ładną - skomentował Lucas. - I nosisz dużą spluwę.

- Nie mam ochoty na żarty - uprzedziła. - Pojawił się kłopot.

Lucas zmarszczył brwi, dostrzegając powagę na jej twarzy.

- Co się stało?

- Chodzi o ten nabój, który mi dałeś - odparła. - Właśnie wrócił z laboratorium.

- No i?

- Posłuchaj, Lucas, wynik analizy jest identyczny z wynikiem analizy amunicji z zabójstw D'Aquili i Marty Blanca. Ale nie Allen.

- Hm - mruknął, ale poczuł nagły przypływ zadowolenia.

- Wracając do tego, że jestem policjantką i całej reszty, muszę cię spytać - skąd miałeś ten nabój?

- Mógłbym ci powiedzieć, że znalazłem go na podłodze mieszkania Marty Blanca, tylko że zapomniałem o tym.

- Bzdura.

- Takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym - zapewnił ją.

- Nie tobie. I nie mnie - odparła.

- Powiem ci, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Ale jeśli komuś powtórzysz, to mogą mnie wsadzić do więzienia. Lecz skoro się upierasz...

- Dajesz słowo, że powiesz?

- Tak.

Zastanawiała się dziesięć sekund, wreszcie oświadczyła:

- Muszę wiedzieć.

Lucas przytaknął.

- Włamałem się do mieszkania Carmel Loan, przeszukałem je, znalazłem nabój w garderobie. Był tylko jeden. Zastanawiałem się, czy go nie zostawić, postarać się o nakaz rewizji i dopiero wtedy go znaleźć. I gdyby analiza poszła po naszej myśli, mielibyśmy w rękę poważny materiał. Ale nie miałem pojęcia, jak moglibyśmy uzyskać ten nakaz rewizji. Za to mogłem sobie wyobrazić, jak Carmel czy jakikolwiek dobry obrońca rozprawia się z takim dowodem. Wiesz, znaleźliśmy przypadkowo tylko jeden nabój, w jej garderobie, i akurat pasuje, a tylko my mieliśmy do czynienia z pozostałą amunicją... mocny materiał, ale nic pewnego.

- Więc wziąłeś ten nabój.

- I parę innych rzeczy - przyznał Lucas. - Dane z komputera, numery telefonów.

- Nie zorientuje się?

- Nie, chyba nie.

- Lucas, cholera...

Nachylił się nad biurkiem.

- Posłuchaj. Teraz wiemy o niej. Dzięki temu pociskowi. To najważniejsza rzecz, jaka mogła przytrafić się w takiej sprawie. Złapaliśmy trop. Możemy poskładać wszystko do kupy. Utknęliśmy w miejscu, ale mamy wreszcie punkt zaczepienia.

- Wolałabym, żebyś mnie uprzedził, zanim wlałeś do jej mieszkania - wyznała Sherrill.

- Nie mogłem. Lepiej, że nie wiedziałaś. Jeśli ktoś mnie spyta, to nic ci nie mówiłem, nawet teraz.

- Przypuszczam... - Wstała i westchnęła ciężko. - W porządku. Właśnie zapomniałam o tym, co mi powiedziałeś.

- Oczywiście, że nie zapomniałaś - powiedział Lucas.

- Cholera... - Patrzyła przez chwilę gniewnie, potem znów usiadła. - Co dalej?

- Zdobyłem właśnie nakaz sądowy, żeby mieć wgląd w połączenia telefoniczne Carmel. Poszedłem do firmy telekomunikacyjnej i

dostałem wydruk. Sprawdziłem je już wcześniej, pomagając sobie tym, co u niej znalazłem, ale dzięki nakazowi jesteśmy kryci.

- Znalazłeś coś ciekawego?

- Tak. Jedną rozmowę. Tuż przed zabójstwem D'Aquili. Opowiedział jej o firmie kurierskiej i swoim telefonie do FBI.

- Tennex... to brzmi jak nazwa jakiegoś zespołu rockowego.

- Masz pewnie na myśli Quicksilver Messenger Service.

- Nigdy o niej nie słyszałam - przyznała i pochyliła się, by przejrzeć wydruk z rozmowami telefonicznymi. - Nie ma niczego przed egzekucją Allen.

- Nie...

- Słyszałaś, co przed chwilą powiedziałam? - spytała zaskoczona. - Powiedziałam „egzekucja”. Jezu, jak w telewizji.

- Wiesz, co mi przychodzi do głowy? - spytał Lucas. - A jeśli to Rolando D'Aquila był jej kontaktem z zabójcą? Ustaliliście przecież, że miał kiedyś powiązania z mafią, a ta zabójczyni... wykonywała wyroki na zlecenie mafii.

- I wiesz co? - przypomniała sobie Sherrill, prostując się na krześle. - Powiązania Rola, towar, który dostawał, o dziwo były związane z St. Louis. Narkotyki szły wtedy głównie z Los Angeles; zaraz potem handel przeniósł się do Chicago. St. Louis było narkotykowym zerem, i to od niepamiętnych czasów. Zwłaszcza gdy Rolo zszedł na psy.

- A ta zabójczyni...

- Ma powiązania z mafią w St. Louis. Tak utrzymują federalni.

- To już coś - przyznał Lucas. - Może warto nad tym popracować.

Carmel Loan siedziała w swoim biurze; wciąż czuła dotyk Hale'a Allena, jakim obdarzył ją minionej nocy, opuszki kciuków na plecach... próbowała przeczytać zeznanie, ale jej wzrok stracił ostrość i nagle zachichotała. Ten mężczyzna był niebywale seksualny; nagle coś sobie przypomniała, chyba z jakiegoś filmu - kobieta mówiąca do mężczyzny: „Kobiety nie pragną seksu. Kobiety pragną miłości”.

Co za brednia, pomyślała. Kobiety pragną seksu, a przy okazji pragną też miłości. Tak musi być, przyszło jej do głowy i znów zachichotała. Przypomniała sobie, jak brał ją w...

Nagle zadzwonił telefon, prywatna linia. Carmel drgnęła, ale po chwili opanowała się, wzięła głęboki oddech i wróciła do rzeczywistości.

- Carmel - powiedziała do słuchawki. Niewielu ludzi znało ten numer.

- Pamiętasz mnie? - spytał jakiś głos.

- Oczywiście.

- Może byś mi przysłała parę dolców?

- Wedle życzenia, chłopcze. Na dwadzieścia procent?

- Carmel-rekin, co? - Roześmiał się z własnego dowcipu. - Tyle że ja sprzedaję, nie pożyczam.

- Nie sądzę, bym chciała coś w tej chwili kupić. Ale co oferujesz?

- Przede wszystkim nie wolno ci nic robić przez dzień czy dwa. Niewielu o tym jeszcze wie i jak za bardzo się pospieszysz, to mogą mnie namierzyć jako twoje źródło.

- Okej. O co więc chodzi?

- Lucas Davenport, Tommy Black i Marcy Sherrill przygotowali dla pewnego świadka zdjęcia podejrzanych. Chodzi o to zabójstwo w Dinkytown.

- Okej...

Mówiła od niechcenia, ale czuła lodowaty chłód.

- Zgadnij, czyją między innymi podobiznę tam umieścili?

- Pewnie Matki Boskiej.

- Blisko, ale nie trafiłaś. Twoją.

- Moją? - spytała, nie kryjąc osłupienia.

Facet po drugiej stronie linii był gliniarzem i nie żartował.

- Tak. Nie wiem dlaczego. Może mieli po prostu twoje zdjęcie, tak jak inne. Była tam nawet ta dziewczyna, która zapowiada pogodę na kanale trzecim... chodziło im o wysokie blondynki.

- Pewnie tak - zgodziła się Carmel. - Ale to wkurzające.

- Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

- Zaglądam do skrzynki na listy - poradziła.

- Nie omieszka - odparł, mrucząc z zadowolenia.

Carmel odłożyła słuchawkę i pomyślała, że niektórzy ludzie napalali się na myśl o forsie. Nie dlatego, że mogli coś za nią kupić albo że coś symbolizowała, tylko z powodu czystego, gładkiego, lekko oleistego dotyku banknotów. Ten policjant też do nich należał. Nie rozumiała tego, ale też prawdę mówiąc, nie starała się za wszelką cenę zrozumieć. Była zadowolona, że niektórzy odczuwają taką potrzebę i że ona może ich zadowolić. Kilku gliniarzy oddało jej w ciągu tych lat pewne usługi.

Rozmyślała o tym przez chwilę, a potem poszła do najbliższej budki telefonicznej, wystukała numer kontaktowy Rinker i zostawiła wiadomość.

13

O świcie następnego ranka, którego chłód zapowiadał upał po południu i bezkres błękitnego nieba, Mallard zadzwonił z Waszyngtonu do Lucasa. Lucas zamierzał wstać dopiero godzinę później; odebrał telefon w kuchni.

- Mam informacje na temat firmy kurierskiej - powiedział Mallard, podczas gdy Lucas ziewał i czochrał się. - Mam też do ciebie pytanie. Dwa pytania.

- Najpierw informacje.

- Nie istnieje firma Tennex, i o ile się zorientowaliśmy, nigdy nie istniała.

- Nieźle - gwizdnął Lucas.

- Tak podejrzewałem. Linia jest podłączona do dużego apartamentu składającego się z biur wynajmowanych na krótki termin. Przy wejściu siedzą dwie recepcjonistki, od ósmej rano do siódmej wieczór. Na tyłach znajduje się wysokiej klasy centralka, obsługiwana przez dwie inne kobiety. Działa przez całą dobę. Biura są wynajmowane na tydzień albo miesiąc, głównie przez biznesmenów, którzy przyjeżdżają do Waszyngtonu załatwiać interesy. Praktycznie o każdej porze roku biura są zajęte mniej więcej w dwóch trzecich. Każde z

nich ma własny numer. Kiedy ktoś dzwoni, telefonistka odpowiada nazwiskiem aktualnego użytkownika. Telesekreterka ma inne numery, a telefonistki odpowiadają, podając konkretną nazwę firmy, zależnie od numeru. Tennex nie ma biura, funkcjonuje tylko telesekreterka.

- Kto w takim razie płaci rachunki? Skąd przychodzą dowody wpłat?

- Nie wiemy jeszcze, ale chcemy przez kilka dni posłuchać, co dzieje się na tej linii, zanim zdecydujemy się pogadać z właścicielem firmy. A teraz czas na moje pytania. Czy ktoś z twoich ludzi, mówiąc ściśle kobieta, dzwonił do nich wczoraj wieczorem z jakiegoś automatu?

- Nie.

- Ktoś z Minneapolis dzwonił - wyjaśnił Mallard. - Jedyne telefon tego dnia.

- Hm... o której godzinie?

- Około wpół do szóstej naszego czasu.

- Czekał... Pokazaliśmy zdjęcia podejrzanych małej dziewczynce, która widziała zabójców... czytałeś o niej pewnie w dokumentach.

- Tak.

- Umieściliśmy tam między innymi zdjęcie naszej podejrzanej. Nic z tego nie wyszło, ale to było krótko przed tym telefonem. Powiem ci jedno: ta kobieta ma wtyczkę w naszym wydziale. Niewykluczone, że i w twoim, jeśli już o tym mówimy.

- Ludzie od nas nic nie wiedzieli o zdjęciach.

- W porządku... jeśli był przeciek, to u nas. Jeśli był przeciek... cholera, gdybym podejrzewał, że może zadzwonić, sam bym jej podsunął przynętę. Macie nagranie jej głosu?

Zapadła cisza, jakby Mallard zastanawiał się nad absurdalnością pytania.

- Oczywiście - odparł w końcu.

- Chcę go posłuchać - powiedział Lucas. - Znam podejrzaną osobieście, rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu. Może uda mi się ją rozpoznać.

- Tym samym przechodzimy do mojego drugiego pytania - oświadczył Mallard. - Jak ona się nazywa?

- Jezu...
- Muszę to wiedzieć. Rzecz zaczyna nabierać konkretnego kształtu. Dopóki ograniczaliśmy się do intuicji, wszystko wyglądało inaczej. Ale teraz to już zupełnie inna sprawa.
- To ustosunkowana adwokatka z naszego miasta. Prawdopodobnie milionerka. I wiem, że płaci politykom - senatorom, kongresmanom, komu tylko chcesz. Jeśli to schrzaniisz, zakopią nas żywcem.
- Tutaj jej nazwisko będzie znało trzech ludzi. Nikt więcej. Jeśli nas zakopią, to razem z dwoma pozostałymi, gwarantuję.
- Lucas westchnął, zawahał się, wreszcie powiedział:
- W porządku. Nazywa się Carmel Loan. Nie masz pojęcia, ile nerwów mnie to kosztuje.
- Hm. Kobieta, która wczoraj dzwoniła, przedstawiła się jako Patricia Case.
- Poczekaj, sprawdzę to, choć nigdy o niej nie słyszałem. Lucas sięgnął po książkę telefoniczną, by odszukać nazwisko.
- To może być jakiś szyfr - zauważył Mallard. - Choć to tylko przypuszczenie.
- Tennex to też przypuszczenie. Zlokalizowaliście ten automat telefoniczny?
- Tak, poczekaj chwilę. Uhm... Nicollet Mall, 505.
- Pięć, zero, pięć - mrucał do siebie Lucas, przesuując palcem po kolumnie abonentów o nazwisku Case, wreszcie powiedział, po trosze do siebie: - W książce telefonicznej St. Paul nie widnieje żadna Patricia Case, a książki Minneapolis nie mam.
- Już sprawdziliśmy, tam też nikt taki nie występuje. Ustaliliśmy też, co znajduje się pod tym numerem - 505. Okazało się, że to jakieś sklepy. Między innymi sieci Neimana Marcusa.
- To dwa kroki od biura Carmel Loan - zauważył Lucas. - Mogę to sprawdzić, ale jestem pewien, że to najbliższy automat w jej okolicy.
- Interesujące - przyznał Mallard.
- Proszę cię tylko o jedno, ani słowa nikomu o Carmel Loan - przypomniał z naciskiem Lucas. - Jeszcze nie teraz.
- Od nas nic nie wyjdzie. Przysięgam na Boga.

- I jeszcze coś. Kiedy zamierzacie odwiedzić to miejsce? Ten biurowiec? Wejść do środka i pogadać z ludźmi?

- Poczekamy jeszcze trochę.

- Zadzwoń do mnie dzień wcześniej. Jestem od was o trzy godziny lotu. Chciałbym być przy tym.

- To nie problem. Coś jeszcze?

- Tak... jeden z zamordowanych, Rolando D'Aquila, był kiedyś dealerem na dużą skalę. Nasi ludzie od narkotyków mówią, że dostawał kokę z St. Louis od tamtejszej mafii. Nie kolumbijskiej czy meksykańskiej, ale starej amerykańskiej mafii. A zabójczyni, ta kobieta od niego, ma chyba tam jakieś powiązania.

- Cholera - zaklął Mallard. - Zaczynam coś odczuwać.

- Mianowicie?

- Nadzieję.

Przez kolejne dwa dni nic się nie wydarzyło. Magiczna komórka Carmel milczała jak zakłeta. Rinker nie dawała znaku życia. Czy oznaczało to jakieś problemy z telefonem kontaktowym? Czy był na podsłuchu?

Agenci FBI też nie kryli zdenerwowania. Nikt nie dzwonił do Tenneksu. Pod koniec drugiego dnia zniecierpliwiony Mallard skontaktował się z Lucasem.

- Wkraczamy jutro, jeśli nic nas nie zatrzyma. Chcemy to załatwić jeszcze przed końcem tygodnia.

- Polecę dziś wieczorem.

- Możemy zapłacić, jeśli chcesz - zaoferował Mallard.

- Nie, dzięki. Załatwię to tutaj.

- W porządku. Coś nowego?

- Wysłałem swojego człowieka, Marcy Sherrill, do St. Louis. Posłucha plotek ze światka mafii. Tu się na razie nic nie dzieje.

- Jeśli ją dobrze zapamiętałem, doskonale sobie poradzi.

- To zdolna dziewczyna - zapewnił Lucas. - Do zobaczenia jutro.

*

Lucas zadzwonił do biura podróży, zarezerwował bilet na wieczorny lot do Waszyngtonu, a także pokój w hotelu Hay-Adams. Lubił ten hotel, gdyż za każdym razem - od pierwszego pobytu - portier witał go nieodmiennie słowami „Miło nam znów pana gościć, sir”.

Potem zadzwonił do Donnala O'Briena, detektywa z wydziału zabójstw w Waszyngtonie.

- Cześć, Irlandczyku.

- Jezu Chryste, prowincja się odzywa - zawołał O'Brien. Jak się masz, Lucas?

- W porządku. Przylatuję dziś wieczorem. Może spotkamy się jutro, jeśli masz czas.

- Chcesz, żebym odebrał cię z lotniska?

- Będzie już późno - uprzedził Lucas. O'Brien miał czwórkę dzieci na głowie. - Wezmę taksówkę do hotelu. Załatwię jutro rano sprawę z federalnymi, a potem wpadnę do ciebie. Trzecia?

- Dobra. Może wyskoczmy na piwo, co?

- Do zobaczenia - powiedział Lucas.

Lot do Waszyngtonu przypominał koszmar; co prawda z samolotem nic się nie działo, warunki doskonałe, wszystko szło zgodnie z planem, lecz statki powietrzne - te ze skrzydłami, nie helikoptery - wzbudzały w Lucasie strach. Niechęć odczuwał już przy wchodzeniu na ich pokład, a potem siedział sztywno przez cały lot, wyczekując katastrofy, od startu do lądowania. Na dobrą sprawę oddychał z ulgą dopiero wtedy, gdy wychodził z terminalu lotniska na ulicę.

Kiedy podchodzili do lądowania, ujrzał w dole wspaniałą panoramę miasta z widokiem na pomnik Waszyngtona. Nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Nie było sensu patrzeć, skoro od straszliwej śmierci w płomieniach dzieliły człowieka zaledwie sekundy. Samolot zdołał jednak jakimś cudem wylądować, a stewardesy stłumiły panikę na tyle, by uśmiechnąć się do niego i podziękować za wybór linii Northwest.

Hotel Hay-Adams jak zwykle spełnił jego oczekiwania. Biały Dom, widoczny w obramowaniu okna nad biurkiem, przypominał

trójwymiarową fototapetę - dopiero po chwili patrzący uświadamiał sobie, że to nie złudzenie.

Lucas spał bardzo dobrze, jak to stały gość, którego powitano z należnymi honorami.

Mallard przyjechał o dziesiątej rano niebieskim chevroletem w asyście drugiego wozu z trzema agentami. Lucas czekał przy wejściu i gdy zobaczył Mallarda wysiadającego z samochodu, wyszedł na chodnik.

- Ładny hotel - zauważył Mallard, spoglądając w górę na fasadę Hay-Adamsa. - Nocowałem kiedyś w Holiday Inn, mieli tam apartamenty. Dostałem co prawda zwykły pokój, ale przeszedłem się obok drzwi do jednego apartamentu.

- Dobrze mnie potraktujcie, chłopcy, to pozwolę wam postać w holu, kiedy będę jadł kolację - obiecał Lucas.

- Jesteś niezwykle łaskawy - zauważył Mallard. Miał na sobie granatowy garnitur i granatowy krawat w drobne czerwone kropki. W uchwycie na puszkę trzymał metalowy kubek z kawą. Pociągnął łyk i zaproponował: - Jeśli chcesz się napić, to możemy stanąć przy jakimś sklepie.

- Nie trzeba - odparł Lucas. - Po co ta armia?

- Jest tam pięć kobiet: dwie recepcjonistki, dwie telefonistki na centrali i szefowa. Pomyślałem więc, że nas też powinno być pięciu.

- Tak? No dobra, jak się na nas rzucą, załatw w pierwszej kolejności tę na samym przedzie - doradził Lucas, sadowiac się na przednim fotelu. - Reszta od razu się podda.

- Gdybyś zamieszkał w Waszyngtonie, nie przeżyłbyś z taką taktyką nawet godziny - oświadczył Mallard. - Tutaj liderzy są zawsze z tyłu.

Biurowiec przy Dupont Circle był najzwyklejszym budynkiem z granitu, niewzbudzającym szczególnej ciekawości. Lucas, Mallard i trzech pozostałych agentów wkroczyło do środka niczym atak pokojowo nastawionych rugbyistów - zwarta grupa konserwatywnie

ubranych, krótko ostrzyżonych mężczyzn, bez wyjątku wysokich i atletycznie zbudowanych, których można by wziąć wyłącznie za agentów Secret Service.

Lucas widywał już wcześniej takie akcje FBI, ale nigdy w nich nie uczestniczył.

Mallard pokazał recepcjonistkom - jednej rudej, drugiej blondynce - legitymację służbową i oświadczył:

- Jesteśmy z FBI. Chcemy pomówić z panią Marker.

Dwaj agenci odłączyli od grupy, kiedy Mallard stanął przy kontuarze, i zniknęli gdzieś na zapleczu. Poszli zająć się centralą, pomyślał Lucas.

Blondynka była starannie uczesaną kobietą w średnim wieku, która nosiła okulary w plastikowych, mieniących się srebrzyście oprawkach. Kiedy zobaczyła dokument Mallarda, podniosła dłoń do gardła.

- Tak, rozumiem - powiedziała. - Tylko nie wiem, czy pani Marker akurat jest obecna.

- Jest obecna - potwierdził z naciskiem Mallard. - Proszę zadzwonić na 0600 i poprosić, żeby tu przysła.

Recepcjonistka nie zadawała już żadnych pytań. Podniosła słuchawkę telefonu, wystukała numer i powiedziała: .

- Jest tu paru dżentelmenów z FBI. Chcą się z panią widzieć.

- Dziękuję. - Mallard skinął głową.

Louise Marker była dość tęgą młodą kobietą o długich kasztanowych włosach, które opadały jej na czoło, zasłaniając brew. Pod wydatnym, gniewnie zadartym nosem znajdowały się wygięte w łuk i pomalowane na ciemnoczerwono wargi. W *Alicji w Krainie Czarów* byłaby Czerwoną Królową.

Wyjaśniła, że Tennex jest klientem jej firmy od siedemdziesięciu dwóch miesięcy i że co miesiąc płaci rachunek telefoniczny przelewem. Potwierdzenia wpłat za wszystkie siedemdziesiąt dwa miesiące przechowywała w zielonym folderze. Większość przelewów realizowano w różnych bankach w St. Louis i Tulsie w stanie Oklahoma, a także Kansas City. Cztery pochodziły z Dallas-Fort Worth, a trzy z Denver. Dwa przyszły z Chicago, dwa z Miami i po jednym z San

Francisco, Nowego Orleanu i Nowego Jorku.

- Skąd wie, ile ma płacić? - spytał Lucas. - Przecież rachunki telefoniczne za każdym razem są inne.

Marker wzruszyła ramionami.

- Zostawiamy dwudziestego dziewiątego każdego miesiąca wiadomość na poczcie głosowej. Kilka dni później przychodzi potwierdzenie wpłaty. I to wszystko.

- A poczta głosowa to już sprawa firmy telekomunikacyjnej, więc nawet tego nie obsługujecie?

- Zgadza się.

- Po co wam w ogóle cała ta zabawa w telesekretnikę? Po co te recepcjonistki?

- Wymóg firmy telekomunikacyjnej - wyjaśniła krótko Marker.

- To idiotyzm - wtrącił jeden z agentów. - Klienci płacą wam tyle pieniędzy za telefony?

- To nie jest idiotyzm - zaprotestowała z naciskiem Marker. - Nie mamy możliwości ani środków, by przeprowadzić wywiad dotyczący naszych klientów, ale wiemy z grubsza, kim są. To głównie biznesmeni, którzy nie mogą sobie pozwolić na wynajęcie stałego biura w Waszyngtonie, ale chcą, by ludzie sądzili inaczej. Chociażby politycy. Więc jeśli jakiś polityk dzwoni tutaj, do jakiejś firmy, to recepcjonistka informuje, że w biurze nikogo nie ma, i przełącza rozmowę na pocztę głosową. A potem ktoś dzwoni do nas ze swojego prawdziwego biura, nawet na końcu świata, odbiera wiadomość i następnie może skontaktować się z zainteresowanym. A jak musi przyjechać tu, do Waszyngtonu, to może wynająć u nas pomieszczenie i cały sprzęt biurowy. Nie my jedni to robimy, jest jeszcze kilka takich firm...

Lucas zaczął węszyć w biurze i znalazł magazyn jakichś linii lotniczych, który otworzył na stronie zawierającej mapę krajowych połączeń samolotowych. Miasta środkowego zachodu i południa, skąd wysyłano w większości pieniądze - Kansas City, St. Louis i Tulsa - tworzyły regularny krąg z miastem Springfield w stanie Missouri jako centrum. Z drugiej jednak strony, jeśli nadawczyni czeków pochodziła

ze Springfield, czy też z jakiejś pobliskiej miejscowości, i wysyłała pieniądze z sąsiednich dużych miast, by uniknąć zlokalizowania, to dlaczego nigdy nie pojechała na przykład do Little Rock? Leżało niewiele dalej niż inne, przynajmniej na tej mapie.

W dodatku miejsca dokonywania pozostałych przelewów były tak rozrzucone, że wniosek narzucał się sam: zabójczyni podróżowała albo wyręczała się innymi ludźmi, to drugie jednak wydawało się mało prawdopodobne - zbyt ryzykowne. Musiała więc podróżować.

- ...nigdy z nią nie rozmawiałam - mówiła Marker, kiedy Lucas wrócił do recepcji. - Nie wiem nawet, czy to naprawdę ona. Zawsze mi się wydawało, że to on.

- Dlaczego tak pani uważa? - zainteresował się Mallard.

- Nie wiem. Chyba dlatego, że prowadzi usługi kurierskie. To raczej zajęcie dla mężczyzny.

Mallard i jego trzech agenci zaczęli przesłuchiwać drobiazgowo pięć kobiet, każdą z osobna. Lucas stanął na chwilę przed gabinetem Marker i przyglądał się, jak rozmawia z Mallardem; zerkając co chwila to na jednego, to na drugiego. Po dziesięciu minutach Lucas wsunął głowę do pokoju.

- Dzięki, że mnie zabrałeś ze sobą - powiedział. - Zadzwońię po południu.

- Poczekaj chwilę - poprosił Mallard i wyszedł na korytarz. - Niewiele się dowiedzieliśmy.

- Muszę to wszystko przemyśleć. - Lucas westchnął.

- Problem w tym, że nie mamy punktu zaczepienia, absolutnie niczego. Powiem naszym tutejszym agentom, żeby popytali o te przekazy. Może ktoś sobie przypomni jakąś kobietę.

- Najwięcej przelewów, zrealizowanych w jednym banku, to sześć, i wszystkie w miesięcznych odstępach - zauważył bez entuzjazmu Lucas. - Mogę się założyć, że za każdym razem poszła do innego kasjera i płaciła gotówką.

- Może uda nam się znaleźć jakieś odciski palców na dowodach

wpłat. Zbadamy wszystkie dokumenty, jakie tu znajdziemy. A kiedy nadejdzie następny przekaz...

- Zróbcie, co w waszej mocy - poprosił Lucas.

Oddalając się ulicą, odwrócił się, żeby popatrzeć na budynek, i zobaczył Mallarda, który odprowadzał go wzrokiem. Cały ten układ z telefonem był dość sprytny: miał jednak jakieś luki.

Donnal O'Brien był potężnym czarnoskórym mężczyzną z niewielkim szczeciniastym wąsikiem i czwórką dzieciaków. Jego żona wyszła pewnego wieczoru po chleb i nigdy nie wróciła. „Pewnie było w sklepie za cicho, ani jednego dzieciaka w pobliżu”, oświadczył. Mieszkała teraz w North Miami Beach z emerytowanym glińiarzem o nazwisku Manners. „Chłopaki z wydziału narkotyków nie przepadali za nim. Myślę, że prócz emerytury dostaje coś ekstra, skoro przez trzy lata pracy w narkotykach nikogo nie przyskrzypił”.

Lucas poznał O'Briena na konferencji związanej ze szkoleniem komputerowym, kiedy to wciąż sprzedawał swoje oprogramowanie dotyczące symulacji. Od tego czasu byli kilka razy na piwie, wymieniali też potrzebne informacje. Kiedy O'Brien był jeszcze z żoną, spędzili razem tydzień w chacie Lucasa w Wisconsin.

O'Brien siedział w służbowym boksie o szarych ścianach i czytał artykuł w magazynie „People” o golfistce lesbijce, kiedy Lucas stanął w drzwiach biura.

- Wiedziałeś, że Kitty Veit to lesbijka? - spytał.

- Nie mam pojęcia, kto to jest Kitty Veit.

- Zaliczyła sześćdziesiąt trzy punkty w finale kobiet, to było w zeszłym tygodniu w Merion, i wygrała trzysta dwadzieścia tysięcy dolarów. Jedyna kobieta, która kiedykolwiek zaliczyła sześćdziesiąt trzy w tym turnieju.

- Masz na myśli golf?

O'Brien westchnął.

- Nieważne. Tak czy inaczej, to lesbijka.

- A ten fakt obraża twoje poczucie sportowej przyzwoitości?

- Nie, zastanawiam się tylko, czy gdybym zafundował sobie operację zmiany płci, to też bym walnął sześćdziesiąt trzy.

- Siedziałbyś pewnie w domu i bawił się własnymi cyckami.
- Hm. Nie pomyślałem o tym.
- Co u ciebie? - spytał Lucas.
- Haruję. Chodź się napić.

Znaleźli wolny stolik w niewielkiej, względnie czystej knajpce ze stołami wyłożonymi laminatem i popękkanymi kanapami z czerwonego plastiku. O'Brien zamówił dwie duże cole, jedną dietetyczną. Lucas powiedział mu, że zamierza kupić pole golfowe i O'Brien w pierwszej chwili nie uwierzył. Pięć minut później, kiedy Lucas już zdołał rozwiać jego wątpliwości, zaczął starać się o posadę gościa pielęgnującego trawę.

Lucas wybuchnął śmiechem.

- Jeszcze tego nie kupiłem.
- Bierz moją ofertę pod uwagę, nie będziesz żałował - przekonywał O'Brien. - Mam dwa lata do emerytury, jeśli wcześniej nie zastrzeli mnie jakiś dupek. Robota w Minnesocie? Pewnie, dlaczego nie.
- Potem zniżył głos: - Co się dzieje? Pracujesz nad czymś?

- Tak. Załatwiono u nas paru ludzi...

Lucas zapoznał go szybko z sytuacją, nie wspominając o Carmel Loan, na koniec zrelacjonował wizytę FBI w centrali telefonicznej.

- Nigdy nie słyszałem o tym interesie. Louise Marker?
- Tak. Pisze się dokładnie tak, jak słyszysz. Marker - prze-literował Lucas.

- Cztery trupy. Nie widziałem jeszcze zawodowca, który odwaliłby coś takiego... zdarzało się trzech albo czterech naraz, ale nie seryjnie, jakby ktoś ich tropił.

- Dziwne, fakt - przyznał Lucas. - Choć sprawa może być całkiem prosta. Forsa i szantaż. Numer z zabójstwem nie wychodzi, ktoś poznał nazwisko albo kontakty. Zabójczyni musi wrócić i posprzątać.

- Trudno cokolwiek udowodnić. - O'Brien pokiwał głową. - Czasem mam tego dość. Dranie robią się przebiegłi, działają za szybko. Jednego dnia uderzają, drugiego już ich nie ma.

- Ale nie byłoby źle, gdybyśmy przyskrzynili tę babkę - zauważył Lucas. - Ciekawe, czy uda ci się dowiedzieć czegoś na miejscu o tej

Marker albo o jej pracownikach. Niech będą nawet pogłoski. Federalni mają informacje tylko na papierze...

- Rozejrzę się - obiecał O'Brien. - Wiesz co, znam jednego gościa, nazywa się George Hutton, robi w przestępstwach gospodarczych...

Złapali Huttona na przystanku autobusowym. Sierżant w komen-dzie powiedział im, że jak się pospieszą, to go tam jeszcze zastaną.

- George! - zawołał przez ulicę O'Brien. Z daleka nadjeżdżał auto-bus. - Zaczekaj!

Przeszli na drugą stronę, a Hutton popatrzył na zegarek.

- Dwie minuty i już mnie nie ma, znikam na tydzień. Wtedy poja-wia się czarny Irlandczyk z jakimś facetem w drogim garniturze, a mnie ciarki zaczynają chodzić po plecach...

- Chodzi tylko o nazwisko - wyjaśnił Hutton. - Pozwól, że je wy-mienię.

- Jedno nazwisko - uprzedził Hutton, spoglądając na zegarek.

- Louise... Marker.

O'Brien stanął z boku, żeby Hutton mógł rozmawiać bezpośrednio z Lucasem. Hutton zamknął oczy i przechylił głowę, jakby spoglądał w niebo, tyle że miał zamknięte oczy. Stał tak przez moment, potem uniósł powieki, spojrzął na Lucasa i zwrócił się do O'Briena.

- Co to za gość?

- Lucas Davenport, zastępca szefa policji z Minneapolis. Daven-port Simulations.

- Znam - oświadczył. - Sprawdźcie Maurice'a Markera, niegdyś Marksa, Pralnie Chemiczne Marker, Inc. New Jersey. Miał córkę o imieniu Louise. W jakim wieku jest ta wasza?

- Powiedziałbym, że w średnim... ma jakąś czterdziestkę. Trochę tęga.

Hutton przytaknął.

- To by się zgadzało. Co ona robi?

- Prowadzi telesekretną.

Hutton ponownie przytaknął.

- Tak. Sprawdźcie Maurice'a Markera. - Powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy. - Jedzie mój autobus.

Lucas pożegnał się z O'Brienem, złapał taksówkę do siedziby FBI i zadzwonił z holu do Mallarda. Po chwili agent zszedł na dół.

- Musimy przyjrzeć się facetowi od pralni, nazywa się Maurice Marker albo Maurice Marx - wyjaśnił Lucas.

- Skąd wytrzasnąłeś to nazwisko?

- Od jednego gliiniarza z Waszyngtonu. Łebski facet, zna wiele nazwisk.

- Hm. No dobra, wprowadźmy to do komputera.

Jak się okazało, Maurice Marker, obecnie emeryt na południu Florydy, miał w Biurze swoją krótką biografię. Był kiedyś właścicielem sieci pralni chemicznych w New Jersey z personelem składającym się z dwunastu ludzi o przestawionych nosach. Przystawione nosy nie przemęczały się w pracy, ale zarabiały nieźle i korzystały z różnych udogodnień, nie wyłączając pełnego ubezpieczenia medycznego i na życie. Czekala ich też w przyszłości przyzwoita emerytura.

- Ci faceci dostarczali kupę forsy z narkotyków, kart, hazardu i czego tam jeszcze, przekazywali Maurice'owi, on to prał w swojej kasie, odpisywał ich pensje od podatków, dużo zatrzymywał dla siebie i wszyscy byli zadowoleni - wyjaśnił Mallard. - Miał trzydzieści trzy pralnie, kiedy przeszedł na emeryturę. Sprzedał je innemu facetowi, a ten robił dokładnie to samo, dopóki nie wycofał się z interesu.

- Dokąd wyjechał?

Mallard zerknął na monitor.

- W okolice Atlantic City. Jakies sześć kilometrów na wschód od miasta.

- Masz tam Louise? - spytał Lucas, wskazując komputer.

Mallard przesunął palcem w dół monitora.

- Tak. Rzecz jasna, nie musi to być ta sama. Poczekaj chwilę. - Otworzył swój notatnik, przewertował do końca, przesunął palcem

wzdłuż strony pokrytej niezgrabnym pismem, potem spojrzął na ekran. - Niech mnie diabli. Ta sama data urodzenia. To nasza dziewczyna.

Lucas odwrócił się, zrobił kilka kroków, przystanął.

- Dobra. Jest zamieszana. Wprawdzie to może być zbieg okoliczności, ale nie sądzę.

- Ja też nie - przyznał Mallard, który wstał i zaczął chodzić w kółko razem z Lucasem. - Cholera, Davenport, powiedz, co wykombinowałeś.

- Nikt już nie dzwonił do Tenneksu po tym telefonie od Patricii Case?

- Nie.

- Więc możliwe, że to było coś w rodzaju ostrzeżenia. Zakodowana wiadomość...

- Możliwe, że Tennex dostaje jeden telefon na miesiąc...

Lucas potrząsnął głową.

- Nie. Wiesz, o co chodzi? Cała ta telesekretarka to tylko przykrywka, przynajmniej częściowo. Dlaczego ten telefon nie dzwoni w jakimś pustym pomieszczeniu? To byłoby prostsze.

- Co więc sugerujesz?

- Że jedna z tych kobiet to wtyka, ktoś, do kogo zabójczyni może zwrócić się po informacje. Jedna z tych kobiet to jakby dzwonek alarmowy, który sami prawdopodobnie uruchomiliśmy.

- To musi być Marker - zauważył Mallard. - Centralę obsługuje na zmianę dziesięć różnych kobiet, są na pełnym etacie albo nie, godziny pracy się zmieniają. Nie ma sposobu przewidzieć, która jaki telefon odbierze, musiałyby mieć specjalne instrukcje od Marker, gdyby na numer firmy zadzwonił ktoś podejrzany.

- W takim razie zatrzymajmy ją - zaproponował Lucas.

- Na jakiej podstawie?

- Bez podstaw. Niech się porządnie wystraszy.

- To, uhm, nie całkiem zgodne z naszą procedurą operacyjną - wahał się Mallard.

- Pieprzyć procedurę. Sprowadź ją i pozwól mi z nią pogadać.

- Muszę zadzwonić - powiedział Mallard.

*

Marker zażądała adwokata, a Mallard z radością jej to ułatwił.

- Jeśli nie skończymy do siódmej, nie zdążę na samolot - uprzedził Lucas.

- Powiem sekretarce, żeby sprawdziła, czy jest jakiś późniejszy lot - zapewnił Mallard. - Daj mi bilet.

Adwokat Marker, który pojawił się dwie godziny po zatrzymaniu klientki, był pogodnym blondynem i nazywał się Cliff Bell. Chciał wiedzieć, co się dzieje.

- Pańska klientka stanowi parawan dla zawodowej zabójczynie, którą tropimy - wyjaśnił Lucas.

- Nie sądzę... - zaczął Bell, ale Lucas mu przerwał.

- Zaraz, zaraz - uprzedził. - Pozwoli pan, że coś powiem. Ta kobieta, zabójczynie, zamordowała prawie trzydzieści osób w ponad dwunastu stanach, z których większość to te wredne stany na południu, gdzie mają zwyczaj dokonywać egzekucji na skazańcach w dziwny sposób - na przykład Floryda. Biedakowi idzie dym z gałek ocznych, kiedy pociągają za dźwignię przy starym dobrym krzeselku...

- To nie jest konieczne - wtrącił Bell.

- Oczywiście, że nie - przyznał Lucas i nachylił się do Marker. - O tym właśnie tu mówimy, pani Marker. O krześle elektrycznym. Komorze gazowej. Zastrzyku z trucizną. Kiedy dopadniemy tę kobietę, będziemy mieli pełne prawo aresztować również panią. Łączyła pani z zabójczynią ludzi opłacających morderstwa - i wiedziała pani o tym.

- Nie wiedziałam, że to zabójczynie - wybełkotała Marker.

- Zamknij się, Louise - warknął Bell.

Louise go nie posłuchała.

- Myślałam, że to jakiś szwindel, że chodzi o politykę albo biznes, na litość boską...

- Zamknij się - powtórzył Bell i zwrócił się do Lucasa: - Co proponujecie?

- Nie musimy jej zatrzymywać. Możemy, ale nie musimy. Może od razu iść do domu, jeśli chce. Ale nie ponowimy już naszej oferty. W tej chwili, jeśli powie nam wszystko, co wie o tej firmie, jesteśmy skłonni zaakceptować najlepsze dla niej tłumaczenie - być może

domyślała się, że ułatwia jakiś przestępczy proceder, ale sądziła, że chodzi o pomniejszą sprawę natury politycznej. Nie wierzę, by spotkała ją za to jakaś wyjątkowo surowa kara. Jeśli nie pójdzie na to teraz, kiedy złapaliśmy świeży trop, to trudno. Prędzej czy później dorwiemy tamtą kobietę, a przy okazji aresztujemy Louise.

- Dajcie nam trochę czasu na osobności - oświadczył Bell.

Mallard znalazł im wolny pokój, a kiedy wrócił, Lucas dostrzegł, że się poci.

- Nie jestem przyzwyczajony do takiego stylu. U nas takie rozmowy prowadzi czterech specjalistów i trzech adwokatów. Najpierw przygotowują się do tego przez dwa tygodnie.

- Czasem, jeśli załatwia się wszystko na gorąco, pozwala ludziom gadać, można wyłapać coś, co w ogóle nie wychodzi podczas formalnego przesłuchania - powiedział Lucas.

- Znam tę teorię - mruknął Mallard. - Zazwyczaj działamy trochę inaczej... i mam nadzieję, że niczego nie spieprzymy.

Bell i Marker wrócili kwadrans później.

- Oczekujemy pisemnego oświadczenia pana Mallarda, w którym nakreśli warunki przedstawione przez agenta Davenporta. Potem złożymy zeznanie.

Redagowanie oświadczenia zabrało kolejne pół godziny: Bell nieco skwaśniał, kiedy dowiedział się, że Lucas pracuje w Minneapolis, ale Mallard go udobruchał.

- A więc proszę mówić - przystąpił do rzeczy Lucas. Nogi trzymał na biurku Mallarda, gdzie stał włączony magnetofon.

Marker i Bell siedzieli na drewnianych krzesłach dla interesantów, podczas gdy sam Mallard usadowił się na kanapie, zakładając nogę na nogę i popijając kawę z kubka, który zdawał się nie mieć dna.

Połączenie, wyjaśniła Marker, zostało zainstalowane na polecenie pewnego mężczyzny. Powiedział, że się nazywa Bob Tennex, choć wydawało się, że mówi jak Włoch ze wschodniego wybrzeża.

- Mówi? Nie widziała go pani?

- Nie, wszystko było załatwiane przez telefon.

- Otwiera pani rachunek za usługi, nie widząc klienta?

- Zdarza się od czasu do czasu. Jeśli dostajemy czek, który ma pokrycie, to wszystko jest w porządku...

Według Marker od czasu uruchomienia połączenia telefonicznego rozmawiała z przedstawicielem firmy kilkanaście razy, zawsze była to kobieta. Marker miała na swoich aparatach zainstalowany identyfikator numerów, normalna rzecz przy takich usługach, i zauważyła, że tamta dzwoni z całego środkowego zachodu, czasem także z innych rejonów kraju, zwłaszcza z Kansas City: cztery albo pięć połączeń dotyczyło właśnie tego miasta. Zapamiętała też Wichitę, były co prawda stamtąd tylko dwie rozmowy, ale w obu wypadkach kobieta złościła się, że są kłopoty z połączeniami.

- Chciała, żebyśmy zgłosiły to w firmie telekomunikacyjnej - dodała.

- Ale nie tylko w tej sprawie dzwoniła? - spytał Lucas. - Miała pani z nią jakąś umowę. Chodziło o ludzi, którzy chcieli się dowiedzieć o usługi kurierskie albo policję.

- Naprawdę uważała, że to jakaś polityczna rozgrywka. To jest Waszyngton, cały czas coś takiego się tutaj dzieje - tłumaczył Bell.

- No więc? - nie dawał za wygraną Lucas.

- No... gdyby ktoś zaczął węszyć, miałam nic nie robić, tylko... czekać.

- Jak długo?

- Aż do mnie zadzwoni - odparła cicho Marker. Nie było jej prawie słychać.

- Musi pani głośniej mówić - przypomniał Mallard.

- Aż do mnie zadzwoni - powtórzyła.

- A potem co?

- Dzwoniła i pytała: „Jest pan Warren?”. Jeśli nic się nie działo, jeśli nikt nie węszył, mówiłam: „To pomyłka. Tu usługi telefoniczne Marker”. Ale jak ktoś był ciekawy, odpowiadałam: „Nie, ale jest pan White. Mam panią połączyć?”

- Ile razy pani to robiła? - spytał Mallard.

- Dwa. Jakies trzy czy cztery lata temu coś musiało się stać, wydzwaniała codziennie przez dwa tygodnie - odparła Marker. Znow ściszyła głos.

- Cholera - zaklął Lucas. - A drugi raz zadzwoniła wczoraj albo dzisiaj, prawda? Po południu?

- Dzwoni od tygodnia, dzień w dzień. I dzisiaj, mniej więcej godzinę po waszej pierwszej wizycie. Dopóki nie wróciliście, żeby mnie zatrzymać - przyznała Marker. - Dzwoniła z Des Moines, chyba z automatu. Słyszałam samochody.

- I wymieniła nazwisko Warren?

- Tak - pisnęła jak mysz.

- Czy Tennex zgłosił się do pani przez wzgląd na ojca?

- Może. Powiedział, że go znał.

- Gdzie obecnie mieszka pani ojciec? - spytał Lucas.

- No cóż, nigdzie - odparła Marker. - Zmarł w zeszłym roku na raka okrężnicy.

- Przykro mi - powiedział Mallard.

- Mówili, że to wszystko przez te chemikalia z pralni -dodała. - Też pewnie na to umrę. To u nas rodzinne.

Powiedziała im jeszcze to i owo, ale nic ważnego. Zwolnili ją, a potem Mallard odstawił Lucasa do hotelu, odebrał z przechowalni jego bagaż i zawiózł na lotnisko.

- A więc uważasz, że zniknęła - powiedział w drodze.

- Tak. I sądzę, że sam ją ostrzegłem, dzwoniąc do Tenneksu.

- Nic nie mogłeś na to poradzić - pocieszał go Mallard. - Sprawdziłeś po prostu te numery. Kto by się domyślił?

- Tak, ale było już blisko.

- Mamy nad czym pracować - te przekazy, rozmowy telefoniczne. Już czymś dysponujemy. Założę się, że w ciągu tygodnia będziemy już o niej coś wiedzieć. Że uchwycimy jakąś nić.

- O ile?

- Co?

- O ile się założysz?

Mallard ssał przez chwilę język.

- O jakieś dziesięć centów - przyznał wreszcie.

Lucas skinął głową.

- Nie spóźnijmy się na lotnisko.

*

Samolot, jak się okazało, leciał do Minneapolis, międzylądowanie miał w Detroit.

- O nie, muszę lecieć bezpośrednio - oświadczył Lucas pracownikowi lotniska.

- Nic dzisiaj już nie ma, tylko ten lot przez Detroit - wyjaśnił mężczyzna, stukając w klawiaturę komputera. - Mogę zarezerwować panu miejsce na jutro rano.

- O Jezu...

Poleciał przez Detroit, zmuszony do przeżywania dwóch startów i lądowań. Nie mógł się nadziwić, że samolot usiadł bezpiecznie na lotnisku w Detroit, ale szybko sobie wmówił, że zginie podczas drugiej części lotu, niejako nadprogramowej, tak boleśnie blisko domu...

Choć czuł się fatalnie, przyszły mu do głowy dwie rzeczy.

Wichita w Kansas było na tyle duże, by ktoś mógł stamtąd dzwonić, nie obawiając się dekonspiracji, ale Marker powiedziała, że kobieta była wkurzona, kiedy stamtąd dzwoniła. Czy to możliwe, by mieszkała gdzieś w pobliżu i zadzwoniła pod wpływem emocji, kiedy pojawiły się problemy z telefonem, i po prostu zapomniała o ryzyku? Wyciągnął z kieszeni w oparciu fotela magazyn firmowy linii lotniczych i znów obejrzał mapę. Pomyślał, że Wichita jest równie prawdopodobnym miejscem zamieszkania jak Springfield. Uznał, że należy się nad tym zastanowić.

Drugą rzecz uświadomił sobie, gdy lądowali w Minneapolis: patrzył właśnie na jedno z jezior, obawiając się, że tam właśnie spadną - widział w wyobraźni, jak próbuje wydostać się z zalanej wodą kabiny, ale nogi i ręce miał połamane, nie mógł więc odpiąć pasa - i nagle zaświtała mu w głowie nazwa Des Moines.

Jeśli zabójczyni pochodziła ze Springfield albo Wichity, czy też z ich najbliższych okolic, i jeśli jechała do Minneapolis, to musiała na swej drodze napotkać właśnie Des Moines.

Jeśli to zrobiła, pomyślał, to jest teraz w mieście.

Spojrzał w dół, na wielobarwną szachownicę świateł, które tworzyły zarys obu miast, Minneapolis i St. Paul, i pomyślał: Jest gdzieś tutaj.

14

Carmel nie rozumiała tego milczenia z drugiej strony: minęło parę dni od czasu, gdy zostawiła wiadomość dla Pameli - jeśli tak się nazywała, w co Carmel bardzo wątpiła. Mimo wszystko powinna się odezwać.

Czy coś jej się stało? Czy ona, Carmel, miała powody do obaw - czy Pamela została schwytana? Czy siedziała teraz w jednym z tych pomieszczeń federalnych ze stali i betonu, oblewając się zimnym potem podczas drobiazgowego przesłuchania? Czy chodziło o problemy z połączeniem telefonicznym, czy było przerwane, a może, co gorsza, na podsłuchu? Co się działo?

Analizowała swoją sytuację setki razy i nie znajdowała ani jednego słabego punktu. Policja nie mogła zrobić jej sprawy, wykluczone. Brakowało jakichkolwiek podstaw - chyba że ta mała dziewczynka ją zidentyfikowała.

Jej informator w policji powiedział, że nic z tego nie wyszło, ale to Davenport zajmował się sprawą, a on nie tylko był bystry, lecz także wredny. Gdyby nabrał przekonania, że jest w to wszystko zamieszana, mógłby nawet próbować ją zrobić. Mimo słabych dowodów kobieta mogła dostać dożywocie, jeśli przysięgli nie akceptowali stylu jej życia.

Nie powinna się pieprzyć z Hale'em, to prawda. Po prostu nie powinna. Należało poczekać. Gdyby przysięgli dowiedzieli się, że rznąła się z Hale'em w noc poprzedzającą pogrzeb jego żony, to - choćby nie istniał żaden dowód świadczący przeciwko niej - byłaby załatwiona. I gdzie, do diabła, podziewała się Pamela?

Carmel siedziała w swoim mieszkaniu, starając się pracować, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzała na zegarek. Pewnie Hale, ale powiedziała cicho do siebie: „Niech to będzie Pamela”.

I usłyszała głos Rinker.

- Masz czas na drinka?

- Pewnie, gdzie jesteś? - odparła od niechcenia. - Miałam właśnie nadzieję, że zadzwonisz.

- Pamiętasz ten bar, gdzie poszliśmy ostatnim razem? Ten, w którym siedział taki facet z kowbojską chustą? Może tam?

- Dobra. Za godzinę?

- Tylko uważaj, w okolicy jest ciemno. Może cię dopaść jakiś tropiciel.

- Wezmę nóż sprężynowy. - Carmel się roześmiała. - Do zobaczenia za godzinę.

Tropiciel? Czy Pamela podejrzewała, że Carmel jest śledzona? Czy to miała na myśli? A tego faceta z czerwoną chustą widziały nie w barze, tylko w jej hotelu. Czy właśnie tam chciała się spotkać?

Przed wyjściem Carmel przebrała się w luźną, smolście czarną bluzkę jedwabną z długimi rękawami i czarne spodnie, założyła też złoty naszyjnik. W dziesięć minut po telefonie siedziała już w swoim volvo. Wyjechała ze śródmieścia Minneapolis okrężną drogą, a potem posuwała się wolno jednopasmówką biegnącą wzdłuż okolic Kenwood, mijając domy bogatych i ekscentrycznych ludzi. Cały czas zerkała w lusterko wsteczne, ale niczego nie zauważyła.

Z tego, co wiedziała o technikach prowadzenia inwigilacji, policjanci mogli jechać za nią trzema czy nawet czterema wozami, zmieniając się co chwila miejscami. Zatrzymała się na poboczu i odczekała dwie minuty. Nikt jej nie wyminął. A jeśli w jej samochodzie był zainstalowany nadajnik i śledzili ją z daleka?

Nie potrafiła tego sprawdzić.

Zaczynała podejrzewać, że ulega lekkiej paranoi. Przeczytała w swym życiu setki akt kryminalnych i nigdy się nie zdarzyło, by policja prowadziła obserwację na dużą skalę przed uzyskaniem niezbitych dowodów. Na wcześniejszym etapie śledztwa było to po prostu zbyt kosztowne. Gliny mogły bawić się w podsłuch telefoniczny czy klasyczną inwigilację, ale nie było mowy o kawalkadzie wozów przez całe miasto.

Spojrzała na zegarek. Pozostało jeszcze pół godziny do umówionego spotkania z Pamelą. Skierowała się na południe i zaczęła objeżdżać ciche kwartały ulic, wypatrując jakiegoś ogona.

Na południowym końcu obwodnicy usłyszała nad głową huk od-
rzutowca, zawróciła na północ i przyspieszyła. Wjechała do hotelowe-
go garażu, zapłaciła, zostawiła samochód i weszła schodami do holu.

Rinker siedziała w kącie. Zobaczyła Carmel, uśmiechnęła się,
wstała z miejsca i skierowała się do wind. Właśnie wsiadała do jednej
z nich, kiedy Carmel podeszła do niej.

- Zrozumiałaś, co mówiłam przez telefon? - spytała Rinker, kiedy
ruszyły w górę.

- Chyba tak. Nikt za mną nie idzie, chyba że podłożyli mi coś elek-
tronicznego, ale bardzo wątpię. Jeśli naprawdę mnie podejrzewają, to
jest za wcześnie na całodobową obserwację. Ale w tej chwili nikt się
za mną nie wlecze.

- Byłam pewna, że pokażesz się od strony garażu - powiedziała
Rinker. - Tak właśnie bym zrobiła. Wjechać szybko do garażu, wejść
na górę schodami, nie mogą się wtedy do ciebie przykleić, bo ich zo-
baczysz... a zanim zdążą przekraść się do środka, siedzisz już w jed-
nym z pięciuset pokoi.

- Przetrzęsneliby wszystkie po kolei, gdyby dzięki temu mogli do-
rwać zawodowego zabójcę - zauważyła Carmel.

- Dlatego staram się nie dotykać niczego twardego prócz pilota do
telewizji, kranów w łazience i tego typu rzeczy. Przed wyjściem zawsze
wszystko dokładnie wycieram.

- A karta kredytowa?

- Karta w porządku, nazwisko lipne - wyjaśniła Rinker.

- Więc co się dzieje? Martwiłam się, gdy nie oddzwoniłaś. Już my-
ślałam, że cię zgarnęli.

- To ty mi powiedz, co się dzieje. Dlaczego zadzwoniłaś? - spytała
Rinker.

- Chodzi o tego policjanta, Davenporta. Pamiętasz?

Rinker skinęła głową.

- Pokazał kilka zdjęć tej małej dziewczynce, która nas widziała.
Moje też.

- Jezu. Dlaczego?

- Nie wiem. Mam informatora w komendzie, ale nikt nie ma poję-
cia, o co chodzi. Najwidoczniej dzieciak mnie nie poznał. Nic z tego
nie wyszło.

- Ale po co w ogóle wzięli twoje zdjęcie?
- To jest właśnie pytanie - odparła Carmel.

Rinker wynajmowała pokój na szóstym piętrze. Kiedy weszły do środka, otworzyła minibarek i wyjęła dwie puszkę piwa.

- Mam szklanki - zaproponowała.

- Mogę pić z puszkę - powiedziała Carmel, zrywając wieczko. - Nie spodziewałam się, że przyjedziesz aż z... nieważne. Chciałam tylko pogadać.

- Wiesz, ja też mam mały problem - wyznała Rinker. Usiadła na łóżku, a Carmel wysunęła sobie krzesło spod małego biurka. - Dzień przed twoim telefonem ktoś zadzwonił do firmy. Jakiś facet, próbował przypuszczalnie połączyć się z Tenneksem. Ale jak recepcjonistka spytała, czy chce zostawić wiadomość, powiedział, że nie. Potem, dwa dni później, zjawiała się policja. Zadawali pytania. Nie mogę dowiedzieć się niczego więcej. Nie mam możliwości.

- Hm - mruknęła Carmel. Zastanawiała się nad tym przez chwilę, potem wyjęła z torebki telefon komórkowy i notatnik. Odszukała numer i wystukała. - Dzwonię do mojego gościa - wyjaśniła, a po sekundzie powiedziała do słuchawki: - Mówi Carmel. Coś nowego? - Słuchała przez moment, potem powiedziała: - Wpadłam kilka razy do komendy, żeby spotkać się z Davenportem, ale nigdy go nie ma... mhm. Mhm. Dobra, w takim razie wpadnę pewnie do niego jutro. Okej. I posłuchaj, wyślę ci kolejną kopertę. Miej oczy otwarte. Ta sprawa zaczyna działać mi na nerwy. Boję się, że mnie w coś wrabiają. Uhm. No cóż, znasz Davenporta. Mhm. Pogadamy jutro.

- Co powiedział? - spytała Rinker.

- Że Davenport wyjechał, podobno do FBI w Waszyngtonie.

- Cholera - zdenerwowała się Rinker. - O co chodzi? Chcą się dobrać do ciebie i do mnie przy okazji? Jak to się mogło stać?

- Zadzwoniłam do ciebie z mieszkania tylko raz - wyjaśniła Carmel. - A ostatnim razem z automatu. Ale z mieszkania tylko ten jeden raz, na samym początku, kiedy chodziło o Rolo. Jeśli sprawdzili

moje połączenie zamiejscowe, to znaczy, że sprawdzają wszystko...

- A gdyby nawet, to jak dotarli do Tenneksu? To tylko cholerne usługi kurierskie.

- Może dlatego, że to wyłącznie fasada, że nic dalej nie znaleźli. Może to przypadek. Co znaczy ta nazwa? Może się komuś z czymś skojarzyć?

- Nie. Kiedy otwieraliśmy interes, siedzieliśmy akurat w kuchni, to było w restauracji tego faceta w St. Louis, i zastanawialiśmy się, jaką nazwę wybrać. Zobaczyłam to słowo na wentylatorze pod sufitem. Tennex. Spodobało mi się, więc spytałam: „A co powiecie na Tennex?”

- Więc to nie nazwa wzbudziła podejrzania?

- Nie wierzę w to - zapewniła Rinker.

- W porządku. Trzeba zrobić rozpoznanie.

- Tylko ostrożnie.

- Bardzo ostrożnie. I jeszcze jedno - powiedziała Carmel. - Skoro wychodzi na to, że mam kłopoty, dlaczego po prostu mnie nie zastrzelisz i nie odejdziesz w siną dal? Chyba musimy o tym pogadać.

- No... tak mi się wydaje, że jesteś... prawie moją przyjaciółką - odparła Rinker. - Chodzi mi o to, że zrobiłyśmy razem to i owo, że poszło nam dobrze, że prawdopodobnie wybierzemy się do Meksyku i poderwiemy kilku facetów. Więc... mogłabym spytać cię o to samo.

- Nie wiem, gdzie cię szukać - zauważyła Carmel. - Nie mogłabym cię zabić, nawet gdybym chciała. Nie chcę, wierz mi.

- Dam ci jeszcze jeden argument, jeśli chcesz - powiedziała Rinker, popijając piwo. - Muszę się dowiedzieć, dlaczego mam kłopoty. Goście, dla których pracuję... jeśli federalni zaczną węszyć albo ten twój Davenport, będą musieli mnie załatwić, dla własnego bezpieczeństwa. Mają jeszcze kilka takich osób jak ja, więc pewnego dnia wyjdę ze swojego mieszkania i bum! - będzie po wszystkim. Dlatego muszę się dowiedzieć. Jeśli federalni zaczną nachodzić moich znajomych, to koniecznie powinnam się o tym dowiedzieć i odpowiednio wcześniej zabezpieczyć.

- Ci znajomi to... mafia?

Rinker wzruszyła ramionami. Wyglądała jak nastolatka, która kołysze się na hotelowym łóżku.

- Owszem, tak mi się zdaje. Jeśli chcesz ich jakoś określić. To faktycznie Włosi, w każdym razie większość. Z wyjątkiem Freddiego, to Irlandczyk, przynajmniej jego pradziadek był Irlandczykiem. Dave to chyba Polak, zawsze wciskają mu jakąś ciemnotę. To jakby mafia, ale bardziej przypominają bandę facetów, którzy oglądają w kółko sport w telewizji i obrabiają ciężarówki z towarem. Choć niektórzy są naprawdę wredni. Jak ci z włoskich gangów motocyklowych.

- Hm - mruknęła Carmel, uśmiechając się nieznacznie. - Myślałam, że to coś bardziej szacownego.

- Może tak to wygląda na wschodzie, ale nie w St. Louis. - Rinker wzruszyła ramionami.

- Będziesz więc w pobliżu?

- W mieście i okolicy, dopóki się nie zorientujemy, o co chodzi - odparła Rinker. - Jutro jadę do Waszyngtonu. Chcę pogadać z tą kobietą, która prowadzi interes z telefonem.

- A jeśli ją obserwują?

- To nie będę z nią rozmawiać - wyjaśniła Rinker.

- Spróbuję skontaktować się jutro z Davenportem, jeśli już wrócił. Zorientuję się, co ma do powiedzenia.

- Uważaj.

- Zawsze uważam.

Rinker podała Carmel nazwisko, jakim posługiwała się w hotelu, a kiedy Carmel wychodziła z pokoju, spytała:

- Hej, ten gość, Davenport... wiesz, gdzie mogłabym zdobyć jego zdjęcie?

Carmel potrząsnęła głową.

- Nie. Był pewnie kilka razy w gazetach, ale... zaczekaj chwilę. Chyba wiem. Prowadził kiedyś firmę, nazywała się Davenport Simulations, komputerowe symulacje dla policji. Jeśli sprawdzisz w bibliotece, w dziale biznesu lokalnej prasy, to na pewno coś znajdziesz.

- Wytnę zdjęcie żyletką...

- Nie daj się złapać - ostrzegła Carmel. - Ci faceci z biblioteki to

prawdziwe palanty. Nienawidzą ludzi, którzy niszczą im magazyny.

15

Lucas siedział w swoim gabinecie, zagłębiając się w raport komisji do spraw odmienności kulturowej. Lektura gładkiej, politycznie poprawnej prozy przypominała ćwiczenie z filozofii zen. Pozbawione znaczenia słowa płynęły cicho przez umysł, nieskończony strumień bezsensownych sylab, które w końcu zamieniały się w kosmiczny szum.

Był już na stronie dziewięćdziesiątej czwartej, kiedy do jego drzwi zapukała Carmel. Był przekonany, że to Sloan.

- Tak, na litość boską, włącz do środka.

Carmel otworzyła drzwi i wsunęła do pokoju głowę. Zaskoczony Lucas wstał z miejsca.

- Przepraszam - powiedział. - Myślałem, że to ktoś inny.

- To drobiazg w porównaniu z tym, co cię zaraz czeka - uprzedziła Carmel, wchodząc do gabinetu i zamykając za sobą drzwi. Wsparła pięść na biodrze i oświadczyła: - Pewien mały ptaszek mi doniósł, że umieściłeś moje zdjęcie wśród fotek podejrzanych. Sprawa w Dinkytown. Ta Blanca i drugi gość. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

- Szukaliśmy zdjęć długonogich blondynek, akurat byłeś pod ręką - wyjaśnił beznamiętnym tonem.

- Bzdura - warknęła. Jej usta przypominały krótką wiązkę drutu kolczastego. Opadła na krzesło po drugiej stronie biurka i wyciągnęła przed siebie nogi, ale nie rozsiadła się wygodnie. Była jak sprężyna, ściśnięta i gotowa wystrzelić. - Więc dlaczego? Pogrywasz ze mną kurewsko i jeśli nie podasz mi sensownego powodu, to spotkamy się w sądzie, a wtedy sędzia będzie ci zadawał pytania.

Lucas skinął głową.

- Byłaby ciekawa sprawa. Nie wiem, o co mogłabyś nas oskarżyć.

- Najlepsi specjaliści prawa cywilnego w Stanach siedzą niedaleko, w tym samym budynku, i nie wątpię, że znaleźliby powód, który spodobałby się sędziemu - oświadczyła lodowatym tonem. - Po pierwsze, reprezentowałam w przeszłości Rolanda D'Aquilę i kilku jego współpracowników, a ty obnosisz się z moim zdjęciem i pokazujesz ludziom związanym z tym przestępstwem. Próbujesz mnie zdyskredytować jako prawnika? Tak to można interpretować.

- No dobra, poddaję się - odparł Lucas. - Chcesz znać prawdziwy powód? Świadek, który widział przypuszczalnie zabójczynię, opisał jedną z kobiet, a ta kobieta przypomina z wyglądu ciebie. Sama przyznała się przed kilkoma ludźmi, że znała i reprezentowała Rolanda D'Aquilę, co więcej, reprezentowała człowieka podejrzanego o zlecenie zabójstwa własnej żony - zabójstwa dokonanego przez tę samą osobę lub osoby, które zamordowały D'Aquilę. Jak dotąd stanowisz jedyne ogniwo między śmiercią Barbary Allen i pozostałych trzech osób. Dlatego wykorzystaliśmy twoje zdjęcie. Jeśli ci moje wyjaśnienia nie odpowiadają...

- To co?

- To trudno.

Siedzieli, patrząc na siebie przez kilka sekund, potem Carmel uśmiechnęła się przelotnie.

- W porządku. Chciałam tylko wiedzieć. - Wstała z miejsca. - Nie miałam nic wspólnego z tymi zabójstwami. Próbowałam odgadnąć, jak mogło do nich dojść, ale nic nie wykombinowałam.

- Nie mogę cię spytać, co ma wspólnego Hale Allen z D'Aquilą, bo jesteś jego adwokatem...

- I byłoby z mojej strony absolutnie nieetyczne odpowiadać, jeśli miał cokolwiek wspólnego. Powiem ci, tak między nami, zupełnie prywatnie - nic ich nie łączyło. Uważam, że Barbara Allen zginęła przez przypadek, może pomyłkę, kiedy napatoczyła się na coś, co dotyczyło narkotyków i tych Latynosów. Wtedy, również przez przypadek, pojawił się ten policjant i cała sprawa wzięła w łeb. Ale uważam, że Barbara Allen nie miała z tym nic wspólnego, a ty powinieneś zająć się szukaniem tego drugiego faceta, który uciekł z miejsca

zbrodni. Faceta, którego widziała Barbara Allen, przez co zginęła. Faceta, którego nie widział ten gliniarz, bo za późno się zjawił.

Lucas zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Już to przerabialiśmy - powiedział w końcu.

- I?

- Nie daje nam to spokoju.

- I słusznie, dlatego powinniście włożyć w to jeszcze trochę serca - doradziła Carmel. - I przestań pokazywać ludziom te pieprzone fotografie.

- Był tylko jeden świadek, Carmel - zapewnił ją Lucas. - Nie wskazał cię palcem. Nie powiedział nawet „może”.

- To dobrze - oświadczyła Carmel i wyszła.

Lucas odchylił się w fotelu, by powstrzymać leciutki strumyczek adrenaliny. Carmel była trudnym przeciwnikiem. Wziął do ręki raport komisji i po chwili uległ ponownie kosmicznemu szumowi, cały czas analizując wizytę Carmel. Gdyby nikogo nie zabiła, to czy przyszłaby do niego, słysząc o tych zdjęciach? Absolutnie. Przyszłaby, gdyby była winna? Zastanawiał się nad tym trzy sekundy. Oczywiście, że by przyszła. Była mistrzynią w udawaniu niewinności. Nie dowiedział się więc niczego.

Ale pozostawał nabój kalibru .22, który znalazł w jej mieszkaniu. Nie mógłby wykorzystać go w sądzie, nie mógłby nawet przyznać, że istniał. Ale dowodził, że Carmel jest winna. W każdym razie winna czegoś. Załóżmy teoretycznie, pomyślał, że ten nabój stanowi dowód w sądzie. Jak by się broniła w takiej sytuacji? Powiedziałyby na pewno, że stanowił własność D'Aquila. Że schował w jej garderobie swoją torbę albo że podrzucił go w jakimś celu...

D'Aquila. Przed oczami pojawił mu się nagle inny obraz. Lucas pochylił się, broda opadła mu na pierś, zamknął oczy, skoncentrował się. Po minucie wstał z fotela i niemal pobiegł korytarzem do wydziału zabójstw. Nie było akurat Sherrill ani Blacka, ale akta D'Aquili leżały na biurku Marcy. Przewertował je i znalazł zdjęcie zadrapań, które D'Aquila zrobił sobie na wierzchu dłoni, zanim go zamordowano. Lucas przyjrzał im się, obracając fotografię... gdyby porozdzielać

te linie, pomyślał... gdyby uświadomić sobie, że D'Aquila - przerażony, torturowany, oczekujący lada chwila egzekucji - nie pisał w notatniku, tylko na własnej ręce, i nie widział tego, co robi, to... te zadrapania można odczytać jako C lo AN.



Najpierw litera C. Następna litera to L, prosta linia bez dolnej kreseczki. Następne, rozważał Lucas, miało być O, ale w środku jest ta pałeczka. Gdyby przesunąć ją o jedno miejsce, powstałoby A, a z ostatniego znaku zrobiliby się N. Po prostu C Loan.

- Cholera, Carmel - powiedział cicho.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i gdy Lucas odwrócił głowę, zobaczył Sherrill.

- Grzebiesz mi w biurku?

- Grzebię w zdjęciach D'Aquili - wyjaśnił. - Popatrz na to. Ale Sherrill patrzyła na niego, nie na zdjęcia.

- Jezu, ale jesteś nabuzowany. Co takiego tam znalazłeś?

Wyjaśnił jej szybko. Po dziesięciu sekundach Sherrill była całkowicie przekonana do jego teorii. Black, który zjawił się dwie minuty później, miał wątpliwości.

- Chodzi o to, że z tych zadrapań można odczytać dosłownie wszystko, kiedy już zacznie się je analizować - powiedział. - Widzę tu pięć albo sześć różnych słów.

- Tak, ale żadne z nich nie ma związku ze śledztwem, z wyjątkiem jednego: C Loan - upierał się Lucas.

- Może dlatego, że nie wzięliśmy jeszcze pod uwagę wszystkich możliwości - nie dawał za wygraną Black.

W trakcie rozmowy pojawił się Sloan. Spojrzał na zdjęcia i potrząsnął głową.

- Jakbym łknął jakieś prochy, to może bym i uwierzył, ale gdybyś to pokazał przysięgłym, którzy nie byłiby akurat na haju, to miałbyś problem - zdecydował.

- No, to tylko mały fragment - przyznał w końcu Lucas. - Zdobędziemy następne i raz dwa będziemy mieli sprawę.

Black i Sloan zaczęli po chwili rozmawiać z kimś innym.

- Czy to możliwe, że widzimy to tylko dlatego, że wiemy? - spytała cicho Sherrill. - Dlatego że znaleźliśmy nabój?

- Nie. Widzimy to dlatego, że jest - powiedział twardo Lucas, przeglądając zdjęcia. - Cholera, to po prostu jest.

Rinker przyleciała do Waszyngtonu w sobotę po południu, piętnaście godzin po odlocie Lucasa z tego samego lotniska. Zatrzymała się przy stoisku z prasą i kupiła najbardziej szczegółową mapę, jaką można było dostać, odebrała wypożyczony wcześniej samochód i zameldowała się w Holiday Inn w centrum miasta. Z hotelu zadzwoniła do swojego baru w Wichicie i rozmawiała przez chwilę z zastępcą kierownika, nieśmiałym kowbojem, Artem Durellem. Zapewnił ją, że nic się nie spaliło, że klienci są zadowoleni, że tłuszcz we frytkownicy jest odpowiednio gorący, a lodówki odpowiednio zimne.

- Kiedy znów się pojawi ten dupek z wydziału zdrowia, musimy dostać absolutnie pozytywne świadectwo - przypomniała mu Rinker. - Nigdy nie wiadomo, kiedy cię obsmarują w lokalnej gazecie.

- Mamy najczystszy lokal w mieście, Claro, i wszyscy w Departamencie Zdrowia o tym wiedzą - uspokoił ją Durell. - Przestań się martwić. Miłej zabawy.

O drugiej do jej drzwi zapukał jakiś mężczyzna o szurzej twarzy i długich, tłustych, czarnych włosach, ubrany w dżinsy, taką samą kurtkę i kowbojskie buty. Wyglądał jak włóczęga z filmu. Kiedy otworzyła, wręczył jej pakunek w brązowym papierze wyciętym z torby na zakupy.

- Od Jima. Telefon powinien działać do niedzieli - wyjaśnił i poszedł sobie.

Rinker otworzyła pakunek i znalazła w środku colta typu Woodsmann, tłumik, zapieczętowane pudełko z amunicją kalibru 22 i kradziony telefon komórkowy. Paczka kosztowała ją tysiąc sto dolarów.

Wkręciła w lufę broni tłumik, załadowała magazynek, otworzyła okno i strzeliła na zewnątrz przez zasłonę. Rozległo się ciche „puf”, bębenek się obrócił. Podeszła i spojrzała na zasłonę. Po chwili znalazła małą dziurę wyrwaną przez przelatujący pocisk dwudziestkidwójki. Wszystko było w porządku.

Louise Marker mieszkała w Bethesda, w luksusowym kompleksie dwupiętrowych budynków z żółtej cegły, skupionych wokół basenów i trawników. Rinker przyszło do głowy, że jeśli mieszkają tu pracownicy rządowi, to chyba wyłącznie generałowie. Nie dostrzegła jednak nigdzie ludzi w mundurach. Przy basenach opalało się kilkadziesiąt osób, głównie kobiety w młodym lub średnim wieku, wszystkie bez wyjątku miały na sobie klasyczne jednoczęściowe kostiumy. Rinker nie dostrzegła wśród nich Marker. Marker nigdy jej nie widziała, ona za to widziała Marker kilkakrotnie. Zadbła o to, przewidując taką właśnie sytuację. Spacerując od niechcienia między ludźmi, Rinker wystukała numer Marker na swojej komórce. Po trzecim sygnale odezwała się jakaś kobieta.

- Halo?
- Jean? - spytała Rinker.
- Nie... to chyba pomyłka.
- Och, przepraszam.

Wejście do budynku nie stanowiło większego problemu: Rinker ruszyła za dwiema kobietami w kostiumach kąpielowych, które skierowały się do bocznego wejścia. Wkroczyła za nimi do środka, trzymając się z tyłu, by jedna z nich zdążyła otworzyć kluczem drzwi. Rinker podzwaniała w dłoni swoimi, ale zdążyła przytrzymać drzwi, potem skinęła głową, podziękowała i ruszyła dalej, nie patrząc nawet na kobiety.

Marker mieszkała na drugim piętrze. Rinker weszła po schodach, rozejrzała się szybko, by się upewnić, że nie ma nikogo na korytarzu, po czym znów wystukała numer Marker i podeszła do jej drzwi. Pojawiły się zakłócenia, ale w końcu po drugiej stronie zadzwonił telefon.

- Halo? - znów ten sam kobiecy głos, tym razem z nutą zniecierpliwienia; kolejna pomyłka?

- Czy mogę mówić z panią Marker? - spytała Rinker i jednocześnie nacisnęła dzwonek u drzwi.

- Kto mówi? - spytała z drugiej strony Marker.

- Tu Mary, mówię z recepcji... czy ktoś dzwonił do drzwi?

- Tak, proszę chwilę poczekać.

Rinker usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Na korytarzu wciąż było pusto. Wyjęła pistolet dokładnie w chwili, gdy Marker otworzyła drzwi. Chciała o coś spytać, ale Rinker przystawiła jej lufę do czoła.

- Cofnij się - nakazała.

Marker, nieodrodne dziecko mafii, powiedziała tylko: „O nie” i cofnęła się posłusznie. Rinker wsunęła się do mieszkania i wyszeptowała:

- Będę mówiła bardzo cicho. Schowam broń, a potem pójdziemy na spacer. Ale najpierw dokończ rozmowę przez telefon.

- Co?

- Dokończ rozmowę przez telefon.

Marker przytaknęła zdumiona i podeszła do aparatu.

- Halo?

- Tu znowu Mary - powiedziała Rinker, trzymając komórkę przy uchu. - Zostawiła pani tutaj dziś rano kluczyki od swojego samochodu, są u portiera.

- Och, dziękuję - rzuciła drżącym głosem Marker. - Uhm, zaraz zejść na dół.

- Do zobaczenia - powiedziała Rinker i wyłączyła komórkę. Potem wycelowała w kobietę wskazującym palcem, przywołała ją bezgłośnie i wyszła z powrotem na korytarz. Marker podążyła za nią jak automat.

- Zabijesz mnie - domyśliła się Marker, kiedy stanęły na korytarzu, a drzwi do mieszkania już się zamknęły. - Będę krzyczeć.

- Zabiję cię, jeśli krzykniesz. Jeśli będziesz cicho, mam powody, by tego nie robić. Ale muszę zadać ci kilka pytań.

- O co chodziło z tym telefonem?

- FBI może podsłuchiwać.

- Pewnie podsłuchuje - zauważyła Marker. - To ty jesteś Tennex. Rinker przytaknęła.
- Idź przed siebie.
- Zrobiłam tylko tak, jak mi mówiłaś...
- Nie chcę cię skrzywdzić, bo w przeciwnym razie uznają, że trzeba zabrać się do Tenneksu. Rozumiesz? Na razie nie są jeszcze pewni.
- Uhm, tak.
- Ale zabiję cię, jeśli będę musiała. Jak się dowiem, że wspomniałaś im o mojej wizycie, że oglądasz jakieś zdjęcia, to wrócę tutaj. A jeśli mnie złapią, to ludzie, którzy za mną stoją, będą się obawiać wpadki i zaczną wtedy szukać nas obu. Krótko mówiąc, jak powiesz komuś o mojej wizycie, jesteś martwa. Jasne?
- Marker przelknęła ślinę z wysiłkiem i skinęła głową.
- No więc kto do ciebie przyszedł? - spytała Rinker.
- Marker opowiedziała jej wszystko: o pierwszym telefonie i pytaniach na temat Tenneksu - męski głos, baryton, kulturalny, opanowany - wreszcie o rajdzie FBI.
- Nie było zwykłych gliniarzy? Tego faceta, który dzwonił?
- Nie wiem, może i był.
- Opowiedziała Rinker o agentach, o Mallardzie, o przesłuchaniu w ich biurze.
- Czy jeden z tych facetów nie nazywał się Lucas Davenport?
- Nie sądzę, ale nie wszyscy się przedstawili. Był tam taki jeden, który cały czas gdzieś wychodził. Duży i twardy gość. Nie wyglądał na federalnego, miał niezły garnitur. I nie przypominał kogoś z rządu. Wyglądał raczej jak gangster.
- Rinker sięgnęła do kieszeni i wyjęła złożoną stronę, którą wycięła z magazynu w bibliotece w Minneapolis.
- To ten gość?
- Marker obejrzała zdjęcie. Wystarczyła jej chwila.
- Tak, to on. Ale w rzeczywistości wygląda lepiej.
- Słyszałaś jego głos? Czy to on mógł dzwonić za pierwszym razem?
- Marker zastanawiała się przez chwilę.

- Tak, to możliwe - przyznała z wolna. - No tak, rozumiesz...

Rinker zadała jej jeszcze kilka pytań, na koniec oświadczyła:

- Chcę, żeby to było dla ciebie jasne: zachowałam ostrożność, uważałam na podsłuch telefoniczny, nawet na pluskwy u ciebie w domu. Nikt więc o mnie nie wie. Jeśli ktokolwiek się dowie, nie żyjesz.

Marker przytakiwała posłusznie.

- W porządku. Dobrze. Rozumiem.

- Nauczyłam się pewnej sztuczki, kiedy byłam bardzo młoda - dodała Rinker. - Chodziło o to, jak zapominać. Trzeba tylko powiedzieć: „Okej, to się nigdy nie stało. To był tylko sen”. I człowiek bardzo szybko zapomina.

- Już o tobie zapomniałam - zapewniła żarliwie Marker. - Klnę się na Boga, zapomniałam.

Przed wyjazdem z miasta Rinker wstąpiła do banku i wynajęła skrytkę. Zapłaciła za cały rok z góry, wytarła starannie broń i zostawiła w depozycie. Zamierzała ją wyjąć przy następnej okazji.

Rinker zadzwoniła do Carmel na jej komórkę.

- Tak? - spytała tamta po drugim sygnale.

- Znasz tego faceta, którego widzieliśmy w telewizji? - spytała Rinker.

- Tak.

- Był tutaj. Na pewno.

- Cholera. Zastanawiam się, skąd wiedział.

- Nie mam pojęcia - odparła Rinker. - Wracam dziś wieczorem o dziesiątej piętnaście na Northwest.

- Przyjadę po ciebie. Chwilowo chyba mamy spokój, ale trzeba pogadać, jak wrócisz.

Rinker drzemała w samolocie, budząc się czasem i rozmyślając o Carmel. Rozwiązałyby za jednym zamachem kilka problemów, gdyby ją zabiła. Wiedziała jednak, że to nie takie proste. Carmel nie była głupia i być może zdążyła się już zabezpieczyć: jakaś notatka w

książeczce czekowej albo w depozycie bankowym. Notatka, którą znaleziono by dopiero po jej śmierci. Kolejny kłopot: ten gość, Davenport, zbliżył się do niej tak bardzo jak do Carmel. Jak mu się to udało? Czy wiedział coś więcej? Czy weszyl w pobliżu jej baru? Carmel stanowiła cenne źródło informacji o tym człowieku, co mogło okazać się bardzo ważne...

I ostatni powód, by nie zabijać Carmel: Rinker naprawdę ją lubiła. Była dla niej kimś w rodzaju siostry, której nigdy nie miała. Uśmiechnęła się, przypominając sobie zaproszenie Carmel do Meksyku. Zamierzała tam pojechać, jak Bóg na niebie, i postanowiła, że jeśli się z tego wypłaczą, to na pewno skorzysta z okazji. Kupi sobie dwa komplety bikini, wosk do depilacji, napije się tych drinków, które podają z maleńką papierową parasolką i mnóstwem ananasa, może nawet poszaleje z meksykańskimi facetami.

Wróciła myślą do Davenporta. Czytała o nim w bibliotece. Wyglądał na bystrego gościa. I wrednego - urodzony zabójca. Przypominał jednego z tych mafiosów, których znała, takiego, który prowadzi zwykle duże przedsiębiorstwo, finanse albo wywózkę śmieci, biznesmena ze spluwą w kieszeni.

Naturalnie, zabiła trzech czy czterech takich. Nawet geniusze nie byli kuloodporni.

Siedząc w swoim mieszkaniu przed wyciszonym telewizorem, Carmel rozważała różne warianty działania. Może gdyby trafiła się okazja, powinna zabić Pamelę, czy jak tam się ona nazywała. Z prawniczego punktu widzenia nie byłoby to pozbawione sensu. Tak naprawdę istniał tylko jeden świadek, który mógł przeciwko niej zeznać, i gdyby Pamela zniknęła, Davenport byłby bezradny.

Westchnęła, wstała i poszła do kuchni po szklanekę soku pomarańczowego. Zabiłaby tę kobietę wyjątkowo niechętnie: naprawdę ją lubiła. Pamela mogła stać się przyjaciółką, na litość boską, pierwszą prawdziwą przyjaciółką, jaką Carmel kiedykolwiek miała.

Popijała sok i spacerowała po mieszkaniu, ledwie dostrzegając czarno-białe fotografie na ścianach. Jeśli rozważała pomysł, by zabić Pamelę, to niewykluczone, że tamta myślała o tym, by zabić ją. Niewykluczone, że z podobną niechęcią, z tych samych powodów co Carmel.

Gdyby sprawy przyjęły niepomysłny obrót, gdyby należało koniecznie pozbyć się Pamelę, to należało działać szybko i nie dać się uprzedzić. Druga okazja już się nie trafi. Spojrzała na zegarek i uznała, że czas jechać na lotnisko.

Rinker rzuciła lekką torbę na tylne siedzenie volvo.

- Przychodzą mi do głowy trzy możliwości - oświadczyła Carmel.

- To znaczy?

- Pierwsza - nic nie robimy. Usiadłam dziś wieczorem z notatnikiem na kolanach i próbowałam opracować najgorszy z możliwych scenariuszy. Wydaje się nieprawdopodobne, by kiedykolwiek zdobyli przeciwko nam dostatecznie dużo dowodów i mogli aresztować ciebie albo mnie. A jeśli nawet, to nie mają szans na wyrok skazujący. Chyba że zostawiłaś gdzieś odciski palców albo zgubiłaś jakieś banknoty. Coś w tym rodzaju.

- Wykluczone - zapewniła Rinker. - A dwie pozostałe możliwości?

- Naszym głównym problemem jest Davenport. Zapomnij o FBI, zapomnij o innych gliniarzach. Jeśli pozbędziemy się Davenporta, nigdy nie dojdą, kim jesteśmy. Z drugiej strony, to więcej niż ryzykowne, to po prostu niebezpieczne. Jest nie tylko groźny, ma również szczęście. Raz został postrzelony w gardło i umarłby, gdyby obok nie stał chirurg z nożem sprężynowym. Zrobił mu tracheotomię i zdążyli dowieźć go do szpitala.

- Żartujesz?

- Nie.

- Jezu, to fatalnie, że ma takie szczęście.

- Trzecia możliwość: obmyślamy i robimy małe przedstawienie, które nada tym wszystkim zabójstwom jakiś sens, ukaże je w innym

świetle. Rozumiesz, alternatywna teoria, dzięki której można wygrać sprawę, choć klient stoi z pozoru na przegranej pozycji. Podrzucić ławie przysięgłych coś, co jest bardziej sensowne albo przynajmniej takie się wydaje... gdyby udało nam się stworzyć coś odpowiedniego, nawet gdyby Davenport miał wątpliwości, to nie wybrnęliby z tego.

- Co proponujesz? - spytała Rinker.

- Numer jeden. Nic nie robić. Spokojnie czekać. Nie sądzę, by wydarzyło się coś więcej. Wiemy, że gliny siedzą na linii telefonicznej w Waszyngtonie, toteż nigdy już z niej nie skorzystamy. Z przyjemnością zobaczyłabym ich materiały w sprawie, ale nic z tego, chyba że znów zabiorą się do Hale'a.

- Dobra. Czekamy w takim razie.

Jechały przez chwilę w milczeniu.

- A jeśli w tym wozie jest nadajnik? - spytała po chwili Rinker.

- Przeceniasz ich - odparła Carmel. - To samochód mamy. Korzysta nawet z niego, kiedy chce coś przewieźć - cebulki, rośliny i tak dalej. Muszę mieć wóz, o którym nikt nie wie, zwłaszcza gdy zajmuję się jakąś głośną sprawą. Czasem lepiej, żeby ludzie cię nie widzieli.

- Twoi starzy się rozwiedli?

- Nie, mój tata się zabił - wyjaśniła Carmel. - Był dentystą, wiercił cały dzień kanały w zębach. Pewnego dnia mu się znudziło, usiadł na fotelu, jak już skończył z pacjentem, napisał krótką notatkę dla świata i założył sobie maskę od gazu rozweselającego.

- Jezu.

- Owszem. Niezły sposób, jak mi się wydaje, choć musiał się przy tym trochę napracować. Pogrzebać przy zabezpieczeniach, odłączyć pojemnik z tlenem i tak dalej. Kiedy przyjdzie moja kolej, nie zamierzam w ogóle o tym myśleć. Chcę po prostu umrzeć.

- A ja nie chcę. Chwilowo - wyznała Rinker.

- A co z twoimi rodzicami? - spytała Carmel.

- Mój tata odszedł, kiedy byłam mała - odparła Rinker. - A mój kochany ojczym pieprzył mnie raz czy dwa w tygodniu, dopóki to ja nie odeszłam.

- Twój ojczym wciąż tam mieszka?
- Nie - wyjaśniła zwięźle Rinker i spojrzała przez okno. - Odszedł pewnego dnia. Od tej pory nikt go nie widział.
- Jak twój tata - domyśliła się Carmel.
- Niezupełnie.

16

Sherrill wróciła z St. Louis z podkrążonymi oczami.

- Nie spałaś? - zapytał Lucas. Starał się mówić obojętnym tonem, ale pomyślał, że Sherrill może dosłyszeć w jego głosie nutkę złośliwości.

- Musiałam wypieprzyć wszystkich chłopaków z wydziału do waliki z przestępczością zorganizowaną. Miałam zajęte noce - wyjaśniła. Byli sami w biurze.

- Hej... - zaczął szczerze urażony.

- Miej pretensje do siebie... spytałeś takim tonem - tłumaczyła.

- Staralem się tylko...

- Mniejsza z tym. Tak czy inaczej nie spałam. Co noc przewracałam się na łóżku, koc był za ciężki, poduszka za gruba, w pokoju cuchnęło. W dodatku myślałam o nas. O tobie i o mnie.

- Aha.

- Nic nie mogłam na to poradzić - wyznała. - Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiliśmy. Czy nie powinnam gdzieś się z tobą umówić, żeby rznąć się na całego, jeszcze tylko ten jeden raz. Może dwa albo trzy razy, ale nie więcej. Coś w rodzaju pożegnania.

- Zdawało mi się, że już to zrobiłaś - zauważył Lucas.

- Tak, zrobiłam - przyznała Sherrill. - Poza tym to nie seks stanowił problem, prawda?

- Nie, seks był wspaniały. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

- To o co poszło?
- Chyba o to, że... hm... ty jesteś z natury żywiołowa, a ja - refleksyjny.
- Tak.
- Do takiego wniosku doszłaś?
- I do takiego, że powinnam mieć nowego chłopaka, a ty nową dziewczynę, i będzie po sprawie.
- Jestem zbyt zmęczony - wyznał Lucas. - Ale ty poszukaj sobie kogoś.
- Dobra. - Kiwnęła głową i zagryzła wargę. - Może to zrobię.

- Stoimy w miejscu - powiedział Lucas. - Federalni wciąż siedzą na podsłuchu w Tenneksie, ale nikt nie dzwoni.
- Podsłuchują też Carmel?
- Może. Mówią, że nie - na razie. Ale mogą kłamać.
- FBI? Kłamać?
- Tak, tak... wiem. Ustaliłaś coś?
- Mam dwadzieścia nazwisk.
- Sporo.
- Tak. Ale jeśli w St. Louis działa jakiś związany z mafią facet, który zleca te egzekucje, to jego nazwisko niemal na pewno widnieje na tej liście.
- Więc co?
- Posłuchaj tylko. Pamiętasz, jak sprawdzaliście, skąd przychodziły opłaty za telefon? Jak wykombinowaliście, że osoba, która je przesyłała, musi pochodzić z południowo-zachodniego Missouri albo wschodniego Kansas, czy innego rejonu?
- Północnego Arkansas albo północnej Oklahomy...
- Więc jak przyjrzymy się bliżej tym chłopakom z mafii, którzy bez wyjątku przypominają typowych cwaniaków z przedmieść... pantofle bez skarpet i cadillaki... i ustalimy, że jeden z nich dzwoni często na numer jakieś farmy we wschodniej Oklahomie...
- Lucas przyglądał jej się przez chwilę.
- To niezłe.
- Podoba ci się?

- Pierwszy dobry pomysł od tygodnia. - Wysunął szufladę biurka i wyjął wizytówkę Mallarda. - Co więcej, wymaga zaangażowania urzędników od telekomunikacji. Innymi słowy, to żywioł Mallarda.

Mallardowi pomysł bardzo się spodobał: posadził do całonocnej roboty trzech agentów i oddzwonił do Lucasa wczesnym popołudniem następnego dnia. Kiedy Lucas go usłyszał, przyszło mu do głowy, że Mallard jest trochę zdyszany.

- Słyszałeś kiedykolwiek o Allenie Kencie?

- Nie...

- To Włoch z pochodzenia, ojciec miał na nazwisko Kent, był nikim, ale rodzina matki związana była z samym szczytem mafijnych rodzin w St. Louis i Chicago, jeszcze w czasach, kiedy rządził tam Sam Giancana.

- Do kogo dzwonił?

- No, dzwoni wszędzie, zajmuje się dystrybucją gorzały. Dzwoni do każdego, nawet najmniejszego baru na środkowym zachodzie. Ale ma kartę AT&T, którą się posługuje, kiedy nie ma go w mieście. Przeanalizowaliśmy wszystkie te rozmowy za ostatnie dziesięć lat i zgadnij, co ustaliliśmy?

- Że to tak naprawdę Lee Harvey Oswald i trzyma Kennedy'ego w jakiejś piwnicy.

- Nie. Ale pamiętasz, że przypisywaliśmy te wszystkie mafijne wyroki tej kobiecie. Za każdym razem Kent dzwonił z Wichity w Kansas kilka tygodni przed zabójstwem, od dwudziestu czterech do trzydziestu dni. Spędzał tam nieodmiennie dwa dni. To znaczy, że jedzie do Wichity, żeby spotkać się z zabójczynią i przekazać jej zlecenie, może też informacje, jakich potrzebuje. Potem ona potrzebuje trochę czasu na rekonesans - wiemy, że jest dokładna, że obserwuje przez jakiś czas ofiarę, zanim uderzy. Może też potrzebuje czasu na zapoznanie się z nowym miastem... na dojazd, jeśli udaje się tam samochodem, jak zakładamy.

- Uważasz, że pochodzi z Wichity - powiedział Lucas.

- Nie wykluczamy tego. Może nawet dysponujemy nazwiskiem.

- Tak? Jak ono brzmi?

- John Lopez.

Lucas nie mógł przez chwilę zrozumieć.

- John?

- Tak. Facet, przebrany za kobietę, co wydaje się bardzo sensowne, kiedy się nad tym zastanowić. Zawodowa zabójczyni na usługach mafii? Daj spokój. Jeszcze się nie zdarzyło. Znaleźliśmy go w naszym wykazie: Portorykańczyk, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, sześćdziesiąt pięć kilo wagi, warunki fizyczne jak u kobiety. To również kawał małego drania. Kilka lat temu przez południowe wybrzeże Puerto Rico przechodziły duże ładunki kokainy, potem przewożono je samolotem do Stanów, ponieważ przy miejscowych lotach nie ma odprawy celnej, to linia krajowa. Był jednym z mułów, wiesz, wiół towar do Chicago, a wracał z forszą. Kiedy wpadł, syknął wszystkie kontakty w Puerto Rico w zamian za nietykalność i ochronę, ale utrzymywał, że nie zna odbiorcy w Chicago. Sądźmy teraz, że to mogła być mafia i że tam właśnie spiknął się z Allenem Kentem.

- Jak dostał się do Wichity?

- Program ochrony świadków. Niech nam Bóg wybaczy, ale niewykluczone, że daliśmy ochronę najgroźniejszemu zawodowemu zabójcy w Stanach.

Lucas poczuł się lekko rozczarowany - to FBI zamierzało dokonać aresztowania.

- Jedziesz do Wichity? - spytał.

- Oczywiście. Zabieram ze sobą wszystko, co mam. Lopez prowadzi tam pewnie kwiaciarnię, jak przystało na starego gangstera. - Mallard się roześmiał.

Lucas spojrzął na telefon i pomyślał, że agent FBI trochę za bardzo się napala.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy sobie popatrzyli?

- Pewnie, że nie. Wyjeżdżam dziś po południu, zaraz stąd wychodzę. Zatrzymamy się w Holiday Inn, to znaczy Holiday Inn East. Dostaliśmy pozwolenie na podsłuch, wszystko już rejestrujemy. Dobra, muszę lecieć.

- W porządku - powiedział Lucas. - Zobaczymy się na miejscu, pewnie dziś wieczorem, jeśli nic się nie wydarzy. Pojadę samochodem.

- Przyleciałbyś tu w dwie godziny.

- Nie, nie, przyjadę samochodem.

Lucas od wielu lat miał porsche. Prowadzenie tego wozu sprawiało przyjemność przez kilkaset kilometrów, ale na dłuższe trasy się nie nadawał. Gdyby zrobił na nim tysiąc, wysiadłby zmordowany do granic możliwości. Poza tym samochód wymagał przeglądu.

Zadzwoił do swojego dealera.

- Posłuchaj, zdrowo mnie oskubiesz za ten przegląd, powinienem więc dostać coś w zamian. Wiem, że masz u siebie na parkingu to BMW, widziałem, jak Larry pokazywał je jakiemuś facetowi... Nie, nie, żadnego volkswagena passata. Co powiesz, jeśli zapłacę za przejechane kilometry? Dziesięć centów za kilometr, kupię też benzynę z własnej kieszeni. Jadę do Wichity, to mniej więcej tysiąc kilometrów, w obie strony dwa tysiące, dostaniesz dwieście dolców za trzy albo cztery dni, nie będę ci też suszył głowy o porsche... daj spokój, do licha. Co to znaczy: dwadzieścia pięć centów? To zdzierstwo...

Dostał 740IL, długą, czarną limuzynę z kokpitem jak w myśliwcu F-16, szarymi fotelami ze skóry, odtwarzaczem kompaktowym w bagażniku i setką tysięcy kilometrów na liczniku za piętnaście centów za kilometr. Ledwie wyjechał z parkingu, kiedy nieświadomie zaczął stopą o dźwignię maski, która zaczęła podskakiwać do góry. Bojąc się, by nie podniosła się do końca, zjechał na pobocze szosy i zatrzasnął ją, o mało nie nadwierzając sobie karku. Pięć minut później znów zahaczył stopą o dźwignię i znów musiał zjechać na bok. Tym razem zadzwonił do dealera.

- Zahaczasz lewą stopą dźwignię. Przestań to robić - wyjaśnił tamten.

Lucas odszukał pod nogami dźwignię.

- Doskonałe miejsce - mruknął.

Jakieś pięćdziesiąt kilometrów za miastem po lewej stronie deski rozdzielczej zapalił się żółty napis „Sprawdź silnik”, ponownie więc zjechał na pobocze, bojąc się, że uszkodzi za chwilę wałek rozrządu. Miał nadal zasięg i jeszcze raz zadzwonił do dealera, który powiedział, że światelko informuje o niewłaściwej pracy systemu wydechowego.

- Nie przejmuj się tym, to nic nie znaczy.
- W każdym innym samochodzie „Sprawdź silnik” oznacza, że właśnie wyciekł na drogę cały olej - nie dawał za wygraną Lucas.
- To nie jest każdy inny samochód - wyjaśnił dealer. - Kiedy wycieka olej, zapala się duży czerwony napis „Stop!”.
- Więc to będzie się tak świeciło przez całą drogę?
- Zgadza się, stary. Dostałeś, co chciałeś - przypomniał dealer bez cienia współczucia.
- Słysząc jeszcze taki gwizd...
- Przednia szyba jest trochę obluzowana. Spróbujemy ją umocować, jak wrócisz.
- Zaczynam podejrzewać, że to kupa złomu - narzekał Lucas.
- A czego się spodziewałeś po wozie, który ma na liczniku ponad sto tysięcy? - spytał dealer. - Trzeba było brać volkswagena.

Ale wóz był wygodny i na pewno robił wrażenie. Lucas przejechał tysiąc kilometrów dzielące go od Wichity w dziewięć godzin, mknąc jak burza przez Des Moines i Kansas City. Zatrzymał się tylko na stacji benzynowej i pod Taco Bell, żeby kupić coś do jedzenia. Dostał pokój w Best Western, zadzwonił do biura Mallarda w Waszyngtonie, gdzie dyżurująca po godzinach sekretarka powiedziała mu, że przekazała jego numer Mallardowi. Mallard zadzwonił pięć minut później.

- Jesteśmy w śródmieściu, knajpa nazywa się „U Josepha”. Przekazytam ci menu...

Lucas zamówił sobie średnio wypieczony stek, smażone ziemniaki i dietetyczną colę. Po kwadransie znalazł lokal, kelner właśnie

podawał jedzenie Mallardowi i szarowłosej, niezbyt zgrabnej kobiecie o nazwisku Malone. Była mniej więcej w jego wieku, gdzieś pod pięćdziesiątkę, jak ocenił w myślach.

- Malone to nasz ekspert prawny - wyjaśnił Mallard, zabierając się do swojego steku. - Pilnuje podsłuchów, nakazów i tak dalej, i rozmawia z sędzią, kiedy wymaga tego sytuacja.

- Jesteś agentem? - spytał Lucas.

Malone wsunęła w usta małą kawałek wołowiny i w milczeniu odchyliła lewą stronę żakietu w jodelkę. Lucas zobaczył kolbę czarnego automatycznego pistoletu.

- Ładny sprzęt - pochwalił odrobinę złośliwie.

- Czar gliniarza zawsze na mnie działa - zauważyła. - Dostaję gęziej skórki.

- Może dacie spokój, co? - wtrącił Mallard. - Nie znoszę takich podstarzałych zalotów.

- Co z nim jest? - spytał Lucas kobietę.

- Rozwiódł się niedawno - wyjaśniła, wskazując głową Mallarda. - Wciąż ją kocha.

- Przykro mi - powiedział Lucas.

- Nieprawda. To już skończone, raz na zawsze - zapewnił agent i przez jedną krótką chwilę wyglądał tak żałośnie, że Lucas miał ochotę poklepać go po plecach i pocieszyć; nie wierzył jednak, że to mu się uda, Mallard też pewnie nie. Potem dodał: - Nie wspominając już o tym, że nie jestem osamotniony w swoim nieszczęściu.

- Jeśli chodzi ci o mnie, to się mylisz - uprzedziła Malone. - Nie lubiłam żadnego z nich.

- Z nich? - zdziwił się Lucas.

- Czterokrotna rozwódka - wyjaśnił Mallard, wskazując widelcem koleżankę.

- Jezu - westchnął Lucas. - W FBI?

- Gdyby nie ten drugi raz, byłabym już zastępcą szefa - zastrzegła Malone.

- Co takiego zrobił numer dwa? - zainteresował się Lucas.

- Był aktorem.

- Kiepskim aktorem - dodał Mallard.

- Nie, był całkiem dobry, lubił po prostu rozbierane sceny -

wyjaśniła Malone. - Udzielał kiedyś wywiadu „Washington Post”, był akurat rozebrany, na dodatek wspomniał, że jest żonaty z agentką FBI.

- Nie było to najmądrzejsze - zauważył Mallard. - Wszyscy wtedy nosiliśmy jeszcze białe koszule.

- Masz już kandydata numer pięć? - spytał Lucas.

- Jeszcze nie - odparła Malone. - Ale się rozglądam.

- Wracając do naszej sprawy - przerwał im Mallard. - Mamy tu dziewięciu chłopaków i obserwujemy Lopeza dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dysponuje trzema telefonami, wszystkie są na podsłuchu, zdążyliśmy już zarejestrować trzy podejrzane rozmowy. Gadał z ludźmi o czymś, co nie dotyczy kwiatów. Niewiele, ale daje do myślenia.

- Mogę posłuchać? Tych taśm?

- Pewnie. Obrobiliśmy już jedną, będziesz mógł posłuchać wieczorem. Jutro, kiedy wyruszy, pokażemy ci go.

- Dobry pomysł - zauważył Lucas. - Ale nie chcę, żeby mnie zobaczył. Zwłaszcza jeśli był w Minneapolis. Występowałem kilka razy w telewizji, mógł mnie widzieć.

- Musisz być w takim razie sławny - oświadczyła Malone. Lokalny bohater.

- Dajcie wreszcie spokój z tymi podchodami. - Mallard westchnął.

- Mogę cię prosić, Malone?

Mallard leżał na łóżku, Lucas siedział w fotelu, a Malone opierała się o komodę. Słuchali taśmy z nagraniem głosem, który mówił: „Myślałem, żeby wpaść dzisiaj... nie bardzo... naprawdę? Więc kiedy to ma być?... Musimy to załatwić do jutra, chyba że coś się wydarzy po drodze. Nic nie słyszałem. Jak chcesz, to zadzwonię... dobra, pasuje, muszę jechać, rozumiesz...”.

- Dostarcza towar - zauważył Lucas.

- Też to sugerowałam - przyznała Malone. - Chłopcy są niezadowoleni.

- Nie ma pewności, że chodzi o towar - upierał się Mallard.

- Wręcz przeciwnie. - Lucas potrząsnął głową. - Mogę ci nawet powiedzieć jaki.

- Heroina? - domyśliła się Malone.
- Owszem - przytaknął Lucas.
- Może to stary chicagowski system - zastanawiał się głośno Mallard.
- Nie wierzę, żeby ktoś chciał zlecać jakiemuś ćpunowi zabijanie ludzi - nie dawał za wygraną Lucas.
- Może to nie ćpun.
- Na taśmie mówi się o drobnej sprzedaży. Detal - powiedział Lucas. - Jeśli to tylko drobny dealer, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że bierze.
- Z drugiej strony, skoro czeka na kogoś, kto ma przyjechać z daleka... to może i nie - rozważała Malone. - Wygląda, że kupuje hurtowo.

Lucas wzruszył ramionami.

- Niewykluczone, ale to dziwne zachowanie jak na kogoś, kto ma być paranoicznym supermordercą. Mogę sobie wyobrazić zabójcę, który kupuje kokainę albo amfę z dobrego, pewnego źródła, ale nie wierzę w zabójcę, który sprzedaje towar - powiedział z naciskiem. - To znaczy, że ma do czynienia z wszelkiego rodzaju zakręconymi ćpunami, którzy sprzedaliby go za bezcen.

Kiedy skończyli słuchać, usiedli na kilka minut. Potem Mallard przypomniał sobie:

- Puszczają mecz Jankeśów na kablówce.
- Muszę wyjść - oświadczył Lucas. - Cały dzień spędziłem w wozie.
- Dokąd się wybierasz? - spytała Malone.
- Poszukać jakiegoś baru - odparł. - Napić się piwa.
- Czemu nie. - Kiwnęła głową. - Tylko włożę coś lżejszego.

Mallard westchnął.

- No dobra. To chyba lepsze niż siedzenie przed telewizorem.

Malone zerknęła na niego, marszcząc z niezadowoleniem brwi; szybko się jednak opanowała.

- Może spotkamy się tu za pół godziny?

Lucas wrócił do pokoju Mallarda kilka minut przed Malone; kiedy się pojawiła, miała na sobie czarne spodnie i miękką czarną marynarkę, pod spodem cieniutką bluzkę. Lucas pomyślał, że nosi pod nią koronkowy czarny stanik; po lewej stronie, pod marynarką, dostrzegł nieco obły kształt pistoletu automatycznego. Malone wyszła z pokoju pierwsza i Lucas wyczuł leciutką woń czegoś egzotycznego, wyrafinowanego i jednocześnie chłodnego.

Malone podeszła od razu do drzwi po stronie pasażera; Mallard usiadł z tyłu. Malone usadowiła się w fotelu i powiodła wzrokiem po światłach na tablicy rozdzielczej.

- Jak to się dzieje, że małomiasteczkowi gliniarze jeżdżą takimi wozami, a my dostajemy fordys?

- Bo my na każdym kroku zwalczamy korupcję w rządzie - wyjaśnił Mallard.

- Minneapolis jest większe od Waszyngtonu - zauważył Lucas.

Malone prychnęła pogardliwie, a Mallard kazał się jej uspokoić. W drodze do centrum Lucas zauważył na rogu radiowóz policyjny i zaparkował przed nim.

- Co robisz? - spytał Mallard.

- Rozeznanie - odparł Lucas.

Wysiadł z wozu z odznaką w dłoni i gdy policjant siedzący za kierownicą spuścił szybę, Lucas pokazał ją i powiedział:

- Cześć, chłopaki, jestem gliniarzem z Minneapolis, jadę z dwójką znajomych. Szukamy jakiegoś baru albo lokalu, gdzie można się napić. Znacie coś przyzwoitego?

Kierowca wziął do ręki odznakę Lucasa, przyglądał jej się przez dobrą chwilę, mruknął: „Zastępca szefa, he?”, a następnie oddał ją i popatrzył na swojego partnera.

- Niewiele tu tego... Jak myślisz? „The Rink”?

- Chyba najlepszy - odparł tamten. - Cztery przecznice od drugich światel, potem skrócić w prawo, jakieś cztery, pięć przecznic dalej jest bar.

- Świetnie - powiedział Lucas, prostując się. - Wpadnijcie tam po robocie. Postawię wam, jeśli się jeszcze nie zmyjemy.

- Dzięki, ale mamy służbę do rana - poinformował kierowca. -

Można o coś spytać? Ile wynosi u was podstawowa pensja?

Pogadali kilka minut o poborach, urlopach i zwolnieniach chorobowych, potem Lucas wrócił do swojego BMW, wsiadł do wozu, zahaczył stopą o dźwignię maski, wysiadł, zatrzasnął ją, wsiadł z powrotem i pojechał do baru.

Rinker stała za kontuarem i przeglądała wydruk z kasy, kiedy Lucas wszedł do środka. Była tak zdumiona, że nic po sobie nie okazała. Po prostu ją zamurowało. Kiedy odzyskała po dobrej chwili zimną krew, zauważyła, że zjawił się z kobietą, która wyglądała jak prawniczka, i z mężczyzną o wysuszonej twarzy i grubym karku, który mógł być wykładowcą uniwersytetu albo trenerem zapasów z college'u.

Odwróciła się i poszła na zaplecze, gdzie zainstalowano lustro weneckie.

- Coś się dzieje? - spytał jeden z kucharzy, wrywając ją z zamyślenia.

- Przyszedł jakiś facet, zdawało mi się, że to stary kumpel z dawnych czasów.

- Który facet?

- Zajmij się robotą.

- Tak tylko pytałem.

Obserwowała Lucasa przez dziesięć minut i w końcu doszła do wniosku, że nie interesuje go bar: jeśli przyszedł tu po nią - a z jakiego innego powodu by się tu znalazł? - to z pewnością jej nie szukał. Flirtował z tą prawniczką, jak zauważyła. Babka była wyraźnie zadowolona.

Rinker zastanawiała się, co by się stało, gdyby po prostu weszła do baru. Czy rzuciłby się na nią? Czy inni policjanci już nadchodzili, czy też czekali na zewnątrz? Jeśli był tu służbowo, to dlaczego pił piwo i czarował tę kobietę? Był tak wytrawnym aktorem?

Odsunęła się w końcu od szyby i ruszyła szybko przez kuchnię w

stronę schodów, które prowadziły do niewielkiego biura. Urządziła je na poddaszu, sufit był więc spadzisty, a okna wychodziły tylko na jedną stronę. Wyjrzała, ale nie dostrzegła nic niezwykłego - ulica świeciła pustkami, brakowało podejrzanych samochodów, w których mogliby kryć się jacyś ludzie.

Przyszło jej do głowy, że to jeszcze o niczym nie świadczy. Jeśli przyszli po nią, to czekali by na dogodną chwilę, żeby dorwać ją na chodniku, kiedy będzie sama, albo w domu. Nie wkraczaliby do baru i nie ryzykowali strzelaniny w miejscu pełnym ludzi.

Pod ścianą stała długa kanapa, na której czasem drzemała. Położyła się teraz, zamknęła oczy i starała się wszystko przeanalizować. Przychodziło jej do głowy tylko jedno wytłumaczenie: ktoś ją wydał. Ktoś, kto wiedział, gdzie mieszka. Powiedziała Carmel, że uczęszcza do Wichita State, więc Carmel wiedziała, gdzie mieszka, ale Rinker nie zdradziła jej nazwiska, nie wspomniała też o barze. Ale jeśli to Carmel ją wydała, to tym samym znaczyło, że wiedzą wszystko i że zjawili się z ciężką artylerią.

Musi zadzwonić do Carmel, pomyślała. Ale nie stąd.

Może powinna teraz zejść do baru i pogadać z nimi. Jeśli chcieli ją przyskrzynieć, to i tak zrobią to prędzej czy później. A jeśli nie, to mogłyby się czegoś dowiedzieć.

Bar Rinker składał się z dwóch dużych pomieszczeń, w jednym gości mogli pić i rozmawiać, w drugim tańczyć. Funkcję parkietu spełniała podłoga z desek klonowych, ściągnięta ze szkoły karate, która zbankrutowała, był to prawdopodobnie najlepszy parkiet w całej Wichicie; otaczały go ze wszystkich stron wyścielane skajem boksy. Kiedy Davenport zjawił się z przyjaciółmi, orkiestra - muzyka na żywo w weekendy - zrobiła sobie właśnie przerwę. Szykowała się do trzeciego i ostatniego występu, gdy Rinker zaczęła krążyć po sali.

Obchodziła boksy wokół parkietu, zamieniając słowo z ludźmi, których znała albo często widywała w barze, głównie urzędników w garniturach, facetów poniżej czterdziestki; orkiestra grała spokojnego

rocka i country. Postawiła piwo facetowi, który miał tego dnia stłuczkę, i jakiejś parze, która zrobiła sobie pierwszy wolny wieczór od rodzin dziecka. Wysłuchiwała też dowcipu z serii „Przychodzi facet do baru”. Przychodzi facet do baru, a barman mówi: „Chłopie, nie spodziewałem się ciebie dzisiaj. Byłeś naprawdę przygnębiony wczoraj wieczorem”. A facet powiada: „Byłem tak przygnębiony, że wróciłem do domu i zajrzałem do apteczki w łazience. Znalazłem tam butelkę z mnóstwem pastylek aspiryny i postanowiłem się zabić, połykając wszystkie naraz”. A barman pyta: „I co się stało?”, a ten facet na to: „No, po dwóch pierwszych nie czułem się już tak źle”. Rinker roześmiała się i dostrzegła wreszcie Davenporta między głowami tańczących, którzy znów gromadzili się na parkiecie, ponieważ orkiestra zaczęła grać jakiś kawałek country. Davenport siedział w pierwszej sali, widziała jego twarz przez zasłonę papierosowego dymu. Nie zwracał na nią żadnej uwagi, nikt inny też go nie interesował, o ile mogła się zorientować. Był w jakiś nietypowy sposób przystojny i lekko siwiał na skroniach. Ruszyła w jego stronę.

Lucas flirtował sobie z Malone, podczas gdy Mallard starał się nakierować rozmowę na tematy zawodowe. Malone nie była zainteresowana, ale kiedy Lucas zaproponował taniec, powiedziała:

- Nie tańczę przy takiej muzyce.
- Kwestia przekonania?
- Nie, po prostu nie tańczę rocka ani country. Nigdy się tego nie uczyłam. Znam foxtrota, znam walca, ale nie umiem ruszać się w takt takiej muzyczki... rozumiesz.
- Za bardzo się przejmujesz - ocenił. Już zamierzał dorzucić coś w tym stylu, kiedy do ich stolika podeszła jakaś kobieta.
- Niczego wam nie brakuje? - spytała.
- Wszystko w porządku - odparł Lucas, przyglądając jej się z uwagą.
- Kim pani jest, jeśli wolno spytać?
- Właścicielką tego lokalu, na imię mam Clara. Sprawdzam, czy wszystko w porządku.

- Dobry bar - pochwalił Lucas. - Powinna pani otworzyć jeszcze jeden, u nas, w Minneapolis.

- Jesteście z Minneapolis?

- Tylko ja - wyjaśnił. - Ci dwoje ze wschodu.

- Miło was gościć w Wichicie - powiedziała Rinker i zamierzała się oddalić, kiedy zatrzymała ją Malone, która wypila chyba o jedno piwo za dużo.

- Ta orkiestra nie grywa chyba walca, co? - spytała.

Rinker uśmiechnęła się.

- No, chyba nie, złotko. Ma pani ochotę na walca?

- Ten gość chce zatańczyć. - Wskazała głową Lucasa. - A ja nie umiem rocka. Nigdy się nie uczyłam.

- No cóż, powinna pani - powiedziała Rinker, rozejrzała się szybko po sali i zwróciła się do Lucasa: - Nie mam w tej chwili nic do roboty, a lubię tańczyć. Ma pan ochotę?

Przetańczyli pięć sekund i Lucas uświadomił sobie, że nie daje rady.

- Jest pani zawodową tancerką, profesjonalistką - zauważył.

Rinker wybuchnęła śmiechem.

- Byłam. Tak jakby.

- Proszę zwolnić, przy pani wyglądam jak oferma. Nie wspominając już o tym, że jestem znacznie starszy.

- Och, doskonale pan sobie radzi - zapewniła. - Jak na białego faceta z Minneapolis.

Lucas roześmiał się i obrócił nią w tańcu; pomyślał, że jest ładna, jedna z tych twardych i bystrych blondynek, które znały życie, lubiły się zabawić i umiały posługiwać się arkuszem kalkulacyjnym jak księgową. Może nawet była księgową.

- Jest pani księgową? - spytał.

- Księgową? - zdziwiła się. Musieli przekrzykiwać muzykę. - Skąd ten pomysł?

- Znikąd. Układam sobie historię w myślach.

- Historię? Nie jest pan dziennikarzem, prawda?

- Nie, jestem glina. Wpadłem tu na jakiś czas. Spotkać się z przyjaciółmi.

- Nie wygląda pan na glinę. Raczej na... aktora filmowego czy coś w tym rodzaju.

- Daję się złapać na takie pochlebstwa - odrzyknął Lucas. Roześmiała się i tańczyła dalej.

Ale jeszcze tego samego wieczoru, godzinę po zamknięciu baru, Rinker wsiadła do samochodu i ruszyła do Kansas City. Absolutnie nie zamierzała naruszać żelaznej zasady, czyli dzwonić w sprawach zawodowych z Wichity. Przybyła do Kansas we wczesnych godzinach rannych, zajechała pod jakiś sklep i zaczęła wrzucać do automatu monety. Potem wykręciła numer Carmel, która odezwała się zaspnym głosem po drugim sygnale. Rinker pomyślała, że trzyma komórkę na nocnym stoliku.

- Mam kolejny problem - oświadczyła na wstępie.

- Co jest?

- Właśnie przetańczyłam wieczór z naszym wspólnym przyjacielem...

- Z kim?

- Z Lucasem Davenportem.

- Cholera - zakłęła Carmel i odgryzła kawałek paznokcia na kciuku; słyszała w słuchawce zgrzyt własnych zębów. - Musiał tam przyjechać, bo dostał jakieś informacje. Nie znam na tyle dobrze ani ciebie, ani twoich przyjaciół, by wiedzieć, skąd je czerpie...

- To chyba bardziej skomplikowane - wyjaśniła Rinker. - Nie miał pojęcia, kim jestem. Musiał przyjechać w jakiejś innej sprawie. Jakie jest prawdopodobieństwo przypadku? Zerowe? Powiedziałabym, że jeszcze mniejsze.

- Ja też.

- Nie miał pojęcia, kim jestem - powtórzyła Rinker. - Miałam nadzieję, że dowiesz się czegoś ze swoich źródeł w komendzie.

- Nie liczyłabym na to - uprzedziła Carmel. - Ten facet uważa się za nieszkodliwego dostarczyciela informacji, które i tak prędzej czy później ujrzałyby światło dzienne. Nie powiedziałby mi nic, co mogłoby komuś naprawdę zaszkodzić.

- Może warto by go trochę przydusić.
- Posłuchaj, coś mi jednak powiedział. Że się mną interesują. Nawet on robi się odrobinę podejrzliwy. Uważa, że Davenport ma coś na mnie, a ja sądzę, że to przez tego dzieciaka.
- Szlag by trafił. Nawet jeśli ta mała coś im chlapnęła... o cholera.
- Co?
- Właśnie o czymś pomyślałam. Jeśli dzieciak z jakichś powodów zapamiętał numer rejestracyjny tego wypożyczonego wozu... mówiłam ci, że je wypożyczam, posługując się fałszywymi kartami kredytowymi i dokumentami. Mówiłam ci?
- Tak. Uzupełniasz konto i nikt niczego nie podejrzewa.
- Płaciłam tymi z Wichity, ale musiałam zlecić na miejscu przelew, żeby pokryć rachunek za wypożyczenie.
- Myślisz, że..
- Nie wyobrażam sobie, żeby ta mała mogła zobaczyć numer wozu. Było ciemno, schowała się do mieszkania, jak wychodziłyśmy, a wóz stał przecnicę dalej.
- Może to nie dzieciak... może to ten facet od roweru.
- Z piętra? Po co miałby spisywać nasz numer? - dziwiła się Rin-ker.
- Nie wiem. Ale to by wyjaśniało parę rzeczy. Możesz tu przyjechać?
- Tak, jestem teraz w Kansas City. Będę u ciebie jutro.
- Przywieź swój... sprzęt - poprosiła Carmel. - Może trzeba będzie z kimś pogadać. Muszę przetrwać to wszystko. Może coś wymyślę do twojego przyjazdu.

17

Lucas pozostał w Wichicie dwa dni, śledząc Lopeza i słuchając taśm FBI. Był coraz bardziej przekonany, że Lopez to drobny dealer, uzupełniający dochody z kwaciarni zarobkami na boku, które płyną prosto do jego kieszeni.

Zatrudniał niejaką Nancy Holme, prowadziła mu buchalterie, odwaliała dosłownie całą robotę - zrywała się o świcie, by odebrać dostawy świeżo ciętych kwiatów, i siedziała do późna przy komputerze. Lopez przychodził do roboty zaspany, ucinał sobie w południe drzemkę i wychodził znów zaspany. Agenci FBI nie mogli się zorientować, czy Holme jest zamieszana w sprawę, czy nie. Ani razu nie odebrała dostawy narkotyków. Lucas sugerował, że być może ona jest zabójczynią. Szybko jednak doszli do wniosku, że to wykluczone.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Lucas, Malone i Mallard poszli jeszcze raz do baru. Lucasowi powiedziano, że kobiety, z którą tańczył, właścicielki, akurat nie ma.

- Musi wyjeżdżać w interesach kilka razy do roku. Szkoda, polubiła pana - poinformowała kelnerka.

- Tragedia - skomentowała Malone, kiedy kelnerka odeszła z zamówieniem. - Davenport znów złamał komuś serce w małej, zakurzonej mieścinie Zachodu.

Rinker była w Minneapolis. Carmel spotkała się z nią w hotelu. Na polecenie przyjaciółki wjechała windą o trzy piętra wyżej, a potem zeszła do pokoju Rinker schodami. Rinker otworzyła jej drzwi w czarnej peruce na głowie.

- Jak wyglądam? Jak Meksykanka? - spytała, zamykając drzwi.

- Jesteś trochę za blada - zauważyła Carmel. - Od biedy mogłabyś uchodzić za Włoszkę.

- W takim razie włożę z powrotem rudą - oświadczyła Rinker.

Carmel od razu nawiązała do wizyty Davenporta w Wichicie.

- Jakimś cudem wpadli na twój trop. Mnie też zaczynają naciskać, nie wiem dlaczego. Myślałam o twoim samochodzie, czy możliwe, żeby go zidentyfikowali, ale nie wydaje się to prawdopodobne. Oznaczałoby to, że poszczyściło im się dwukrotnie: dotarli do Tenneksu i ustalili numery wozu. Po prostu w to nie wierzę. Ale zastanawiam się

poważnie nad czymś innym. Czy mogli znaleźć jakieś powiązania z twoimi przyjaciółmi z St. Louis? Czy mogli kogoś przycisnąć?

- Tylko jeden facet w St. Louis wie dokładnie, kim jestem i czym się zajmuję, są jeszcze może ze dwie osoby, które się domyślają. Bra-cia, też prowadzą bar w mieście. Ale oni nic o tobie nie wiedzą. Jeden gość wie... zna twoje nazwisko. To ten, do którego zadzwonił Rolo.

- Mój informator w komendzie powiedział, że policjantka o nazwisku Sherrill wybrała się w zeszłym tygodniu do St. Louis. Posiedziała tam kilka dni. W komendzie mówią, że rozmawiała z gliniarzami od przestępczości zorganizowanej - powiedziała Carmel.

- Nie wiem, dlaczego mój facet miałby mnie sprzedać - zastanawiała się Rinker. - Jestem jego siłą, rozumiesz? Wie, kto jest palcem Bożym, jak to kiedyś określiłaś. To facet, który może podpisać wyrok na każdego. Nie mówiąc już o tym, że jak mnie załatwią, to i jego też. Pociągnę go za sobą.

Carmel przeszła się po pokoju, sprawdziła odruchowo swoje odbicie w lustrze nad komodą i odwróciła się do Rinker.

- Powiem ci coś, czego nauczyłam się jako prawnik: każdy sprzedaje każdego. Każdy. Słyszałaś kiedykolwiek o tym nowym więzieniu federalnym w Górach Skalistych?

- Nie...

- Dostajesz cementową celę o powierzchni dwa razy mniejszej niż ten pokój. Jest tam tylko betonowy występ pod łóżko, zlew ze stali i ubikacja. Żadnych krat, po prostu stalowe drzwi i okno z pancerną szybą, przez które widać jedynie prostokąt nieba - nie można dostrzec nawet słońca. W kącie zamontowany na stałe czarno-biały telewizor. I koniec. Siedzisz tam od dwudziestu dwóch do dwudziestu trzech godzin na dobę i jesteś cały czas obserwowana. Miałam kilku klientów, którzy próbowali popełnić tam samobójstwo, i żaden nie dał rady. Jednemu się udało, kiedy przenieśli go do szpitala po drugiej próbie. Stawał pod ścianą, a potem z całej siły rzucał się głową na ścianę przeciwną. Rozwalił sobie czaszkę. Udało mu się wreszcie w szpitalu - to była trzecia próba. Wolał to, niż wrócić do celi. Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie całkiem - przyznała Rinker.
- Mówię o tym, że w Stanach wciąż stosuje się tortury - wyjaśniła Carmel. - Tyle że bez zadawania bólu fizycznego. To izolacja, straszliwa samotność, rok za rokiem. Mogli zabrać tam twojego przyjaciela z mafii, pokazać mu to miejsce, może pozwolili pogadać z innymi więźniami i załamał się.
- Ale tego nie zrobił - zauważyła dobitnie Rinker. - Bo już by siedzieli mi na karku. A nic takiego się nie stało. Przysięgam, Davenport nie miał pojęcia, kim jestem, inni gliniarze też nie. Tańczyliśmy, na litość boską.
- Nie było to najmądrzejsze posunięcie - skomentowała Carmel.
- Musiałam się przekonać, czy przyszli po mnie, nie mogłam dłużej wytrzymać - wyznała Rinker. - Jeśli mam być szczerą, to...
- Co?
- A jeśli jest mi przeznaczone, by mnie znaleźli? To mnie przeraża. Nie mogę się pozbyć tego faceta, bo nadszedł mój czas.
- Jezu, Pam, musisz chyba łyknąć ze dwie aspiryny - zniecierpliwiła się Carmel. - Weź na wstrzymanie. Wierz mi, to nic w tym stylu.
- Rinker westchnęła i trochę się rozluźniła. Carmel naprawdę miała na nią zbawienny wpływ. Była taka pewna siebie.
- Okej - powiedziała.

- Wciąż pozostaje pytanie, co robimy? - przypomniała Carmel. - Davenport coś wie. Coś szykuje. Co mogli mu takiego powiedzieć w Tenneksie, że naprowadziło go to na Wichitę? Dlaczego naciska też mnie?
- Nie wiem, jak trafił na Wichitę. Byłam ostrożna do przesady.
- A twój przyjaciel z mafii? Nawet jeśli cię nie wydał, to czy mógł ich niechęć nakierować na Wichitę?
- Hm. - Rinker zastanawiała się przez chwilę. - Nie pozwalałam mu dzwonić do siebie. Zawsze przyjeżdżał z informacjami osobiście. Ale cały czas korzysta z telefonu. Jeśli w jakiś sposób udało im się

namierzyć jego rozmowy, kiedy był w Wichicie... nie wiem. Nie pasuje mi to za bardzo. Chodzi o to, że jest wciąż w rozjazdach. Dlaczego mieliby nagle zainteresować się Wichitą?

- Mają różne sposoby, wykorzystują statystykę - odparła Carmel. - Złożę się, że to właśnie coś takiego, zwłaszcza że Davenport nie wiedział, kim jesteś.

- Nie wiedział. Jestem pewna.

Przeanalizowały sytuację kilka razy, w końcu Carmel oświadczyła:

- Wiesz, nic chyba nie wymyślimy. Jeśli Davenport uchwycił jakąś nitkę, to może ona prowadzić do ciebie, do mnie albo donikąd. Trudno się zorientować. Według mnie wybór jest prosty: albo siedzimy cicho, albo wykonujemy jakiś ruch.

- Jaki?

- Mogłybyśmy na przykład pogadać z tym dzieciakiem i matką. Dowiedzieć się, co powiedziały glinom.

- A jeśli to pułapka?

- Wątpię. Żaden policjant nie narazi dzieciaka, zwłaszcza gdy chodzi o zawodowego zabójcę - przekonywała Carmel. - Może Davenport by na to poszedł, choć trudno mi w to uwierzyć.

- I uważasz, że jak już z nimi pogadamy, to trzeba je będzie zabić? Dzieciaka i matkę?

Carmel wzruszyła ramionami.

- Jeśli nie będzie innego wyjścia.

- Musimy wykombinować coś innego. Nie chcę zabijać tej małej. Przemyślałam to sobie - oświadczyła zdecydowanie Rinker. Po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczęły się spotykać, Carmel wyczuła w głosie Rinker ostrzegawczy ton, ten sam, który usłyszała już kiedyś w słuchawce.

- W porządku, ale skoro uważasz, że jesteś palcem Bożym, to co za problem?

- Po prostu nie zabiję dzieciaka. Pieprzyć palec - powtórzyła twardo Rinker.

- A więc musimy znaleźć jakiś sposób, żeby tego uniknąć, chyba

że nie będzie innego wyjścia - zgodziła się Carmel. - Tej Marker z Waszyngtonu też nie musiałaś zabić. Coś wykombinujemy.

- Powiedziałaś, że ucieszenie małej to jedna możliwość. A druga?

- Można by zrobić coś, co uniemożliwiłoby oskarżenie. Nawet gdyby się skapowali, kim jesteśmy - odparła Carmel.

- Jak to załatwimy? - spytała Rinker.

- Myślę o tym od twojego telefonu - wyznała Carmel. - Niech to będzie plan B.

Wyjaśnienie szczegółów zabrało trochę czasu; Rinker była nie tyle zaszokowana, ile raczej zdumiona.

Lucas wrócił do Minneapolis nazajutrz późnym popołudniem, zostawił BMW w salonie porsche, wsiadł z westchnieniem ulgi do swego wozu i ruszył do śródmieścia. Uprzedził wcześniej Sherrill i Blacka, kiedy mają się go spodziewać. Czekali już na niego w wydziale zabójstw.

- I co, nie za dobrze? - domyśliła się Sherrill.

Lucas potrząsnął głową.

- To nie nasz facet, tylko drobny dealer.

- Ale wciąż uważają, że to on.

- Mallard nadal wierzy, że to niewykluczone. Ma bystrą asystentkę, Malone. Była za tym, żeby wracać do Waszyngtonu i zacząć wszystko od nowa.

- Cholera - skomentował Black i spytał: - Słyszałeś o tym snajperze?

Lucas potrząsnął przecząco głową.

- O jakim snajperze?

- Wczoraj, w godzinach wieczornego szczytu, ktoś strzelił w samochód z karabinu. Jeden wóz, jedna szyba, nic się nikomu nie stało. Nie mogliśmy znaleźć strzelca i pomyśleliśmy, że to może być jakiś przypadek. A dziś po południu, kiedy zaczynał się sam szczyt, trochę po trzeciej, ten gość znów się pojawił. Oberwały dwa wozy, kobieta dostała w szyję, jest w szpitalu. Facet jadący za nią wsadził jej w dziurę po kuli zwiniętą gazetę, ocalił jej pewnie życie. Ale media dostały

szahu, zwłaszcza stacje radiowe, które nadają dla kierowców. Wiesz, strzelają do ich słuchaczy.

- Więc wszyscy mają pełne ręce roboty?

- Sloan zajmuje się sprawą Hmonga, a Swanson ma na głowie te historie z Parkerem; w komendzie się mówi, że powinni nas zdjąć ze sprawy Allen. Na kilka dni, co prawda, ale sam rozumiesz, co to może w praktyce oznaczać...

- Pogadam z Rose Marie - obiecał Lucas. - Pytanie tylko, czym się mamy zajmować. Jest jeszcze coś, czego nie zrobiliśmy?

Spojrzeni po sobie, w końcu Sherrill wzruszyła ramionami.

- Czekaliśmy z tym na ciebie.

- Co robicie dziś wieczorem? - spytał Lucas.

- Nic - odparła.

- To może sprawdzicie, czy Carmel gdzieś się wybiera? - zaproponował Lucas.

- Jeśli mamy za nią łązić, to potrzebujemy jeszcze dwóch ludzi - zauważył Black. - Trudno będzie ich znaleźć, biorąc pod uwagę snajpera i całą resztę.

- Nie będziemy chodzić za nią na okrągło, tylko od czasu do czasu. Może dopisze nam szczęście.

- O Jezu - jęknęła Sherrill. - Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

Rinker przyniosła ze sobą perukę, którą zamierzała włożyć, prócz tego dżinsy, tenisówki, gumowe kuchenne rękawiczki, chustę i nylonową pończochę, pod sportową czarną marynarkę schowała dwa pistolety.

Carmel wybrała obcisłą krwawoczerwoną sukienkę z cekinami, czerwone pantofle i szminkę pod kolor.

- No i jak? - spytała.

- Niesamowicie - odparła z podziwem Rinker. - Boże, gdybym mogła tak wyglądać...

- Jesteś piękna - zapewniła ją Carmel.

- Nie, skąd. - Rinker potrząsnęła głową. - Jestem tylko milutka.

Wiesz, taka, co to trafia na rozkładówkę szkolnego playboya. Miss cycuszków.

- A czy miss cycuszków nosi przy sobie dwa colty Woodsmiana... Woodsmiana czy Woodsmena?

- Pewnie nie. Nie wiem dokładnie, jak się to pisze, ale mam dwa, ukradziono je czternaście lat temu ze sklepu w Butte w Montanie i od tamtej pory nie widziały światła dziennego. Jestem przygotowana.

- Fakt. - Carmel skinęła głową, potem spojrzała po raz ostatni w lustro i odwróciła się tanecznym ruchem. - Jak wrócę dziś wieczorem z chłopakiem do domu, to się zabawię. Na całego.

- Powodzenia - rzuciła Rinker. - Chciałabym nawet... mieć kogoś. Od ostatniego razu upłynęło trochę czasu.

- Tak trudno o facetów w Wichicie? - zainteresowała się Carmel, zapinając klips na uchu.

- W moim przypadku - wyjaśniła Rinker. - Rozumiesz, dziewczyna, która prowadzi bar. Nigdy ci o tym nie mówiłam. Jakich gości mogą zainteresować? Takich, którzy wożą butelkę w bagażniku.

- Szkoda, że nie mogłaś podzielać z Davenportem - zauważyła żartobliwie Carmel.

- Czemu nie - zgodziła się Rinker. - To byłby numer, pewnie trochę niemądry.

- I to bardzo. - Carmel pokiwała głową.

- Wiem, choć miałam wrażenie, że nie jestem bez szans - wyznała Rinker. - Tylko że on... jakby kieruje człowiekiem. Prowadzi. Dotyka. Nie tam jakieś obmacywanie czy coś w tym rodzaju, ale po prostu... nie wiem. Czuję go wszędzie.

- Jak cię tu zobaczy, jesteśmy załatwione - zauważyła Carmel.

- Tak, to inna sprawa niż w Wichicie - przyznała Rinker. - Zastanawiałam się, czy go nie poderwać, ale to byłaby... przesada. Tak czy inaczej, już go chyba nigdy nie zobaczę.

Wzięła do ręki jeden z coltów, wprowadziła nabój do komory, zabezpieczyła i wsunęła do swojego schowka pod marynarką. Potem spojrzała na Carmel.

- Gotowa?

18

Black odwołał umówione spotkanie i wcisnął się na tylne siedzenie mazdy z pizzą pepperoni i torbą krakersów serowych.

- Ale z ciebie wredny palant. Gdybym zjadła coś takiego, od razu poszłoby mi w uda.

- To nie jedz. Skoncentruj się na innych rzeczach. Na kwiatkach. Małych dzieciach - poradził Black.

- Jak mam się skoncentrować, kiedy widzę, jak mój ulubieniec idzie do...

- Carmel Loan. Wsunąć jej rulonik dobrego angielskiego bekonu.

- Jesteś prymitywny. Cokolwiek tam chowa, nie przypomina to bekonu.

- Pod jakim względem? Nie jest takie płaskie?

Sherrill zachichotała.

- Boże, uwielbiam te nasze świńskie gadki. Są takie ekstra, takie...

Miała kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego słowa; przez oszklone drzwi budynku widzieli plecy Hale'a Allena, który podawał portierowi nazwisko. Po chwili od strony wind ukazała się niska, rudowłosa kobieta.

- Uważaj, idzie... - powiedziała ostrzegawczo Sherrill, ale zaraz dodała: - Nie, to nie ona.

Rudowłosa minęła Allena, obrzucając go szybkim spojrzeniem, pchnęła drzwi, popatrzyła w lewo i prawo, wsunęła dłoń w kieszenie sportowego czarnego płaszcza i ruszyła w stronę skrzyżowania. Allen oddalił się od biurka portiera i skierował do wind.

Kiedy go obserwowali, za mazdą pojawił się radiowóz policyjny. Po chwili na jego dachu zaczęło migać czerwone światło.

- O rany - jęknęła Sherrill, spoglądając w lusterko wsteczne.

Głośnik w radiowozie zahuczał:

- Wyrzuć przez okno kluczyki. Natychmiast.

Zamiast wyrzucać kluczyki, Sherrill wysunęła dłoń z odznaką. Po chwili światło na dachu wozu zgasło i od tyłu nadszedł kierowca,

świecąc latarką na odznakę policyjną Sherrill, która otworzyła drzwi, postawiła stopy na asfalcie i spojrzała na policjanta.

- Co wy, kurwa, wyprawiacie? - spytała.

- A wy? - odpowiedział pytaniem.

- Prowadzimy cholerną obserwację, i to od dawna - wyjaśniła ze złością Sherrill. - A teraz bierzemy udział w jakiejś cholernej komedii.

Przechodnie przystawali, żeby popatrzeć.

- Jezu, przepraszamy. - Policjant powiódł wzrokiem po gapiach i zamachał bezradnie. - Powinniście komuś powiedzieć, zamiast się tu czaić. Portier do nas zadzwonił. Mówił, że siedzicie tak od kilku godzin.

Sherrill widziała portiera w budynku. Patrzył na nich przez szybę w drzwiach wejściowych.

- Dobra, teraz zrobię kółko i zaparkuję jeszcze raz - wyjaśniła. - I uprzedzam, trzymajcie się z daleka, bo was zastrzelę.

Policjant zajrzał na tył wozu.

- Cześć, Tom.

- Cześć. Chcesz trochę krakersów?

- Dzięki, mam po nich zgagę. Więc odjeżdżacie?

- Tak.

- No dobrze. Odprężcie się.

Sherrill uruchomiła silnik i ruszyła wolno. Black zaśmiewał się za jej plecami. Sherrill nie wytrzymała:

- Boże, uwielbiam tę robotę.

Dziesięć minut później wrócili do obserwacji. Black rozsiadł się wygodnie i z jeszcze większą zawziętością pochłaniał krakersy.

- Jak się czujesz? - spytał z pełnymi ustami. - Od czasu tej twojej historii z Davenportem?

- Tęsknię za nim. Bardzo - wyznała.

- To dupek. W pewnym sensie.

- Mimo wszystko za nim tęsknię - powiedziała z naciskiem Sherrill. - Zgadzam się poniekąd, że to dupek, nie taki jednak, jak myślisz.

- Wydaje mi się, że wiem jaki.

- To, że jesteś gejem, nie znaczy wcale, że wiesz. W końcu nadal jesteś mężczyzną.

Black zastanawiał się dobrą chwilę nad jej słowami, potem zaczął formułować odpowiedź, nie przerywając przy tym jedzenia. Przemysłane odpowiedzi były niezwykle ważne podczas obserwacji. Siedziało się czasem godzinami i człowiek nie chciał zbyt szybko wyczerpać tematów do rozmowy albo zniechęcić partnera.

- Pozwól, że przedstawię ci teorię homoseksualizmu w odniesieniu do heteroseksualnego mężczyzny - oświadczył Black i zaczął swój wywód.

Po dziesięciu minutach Sherrill skomentowała:

- Nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy.

- Nie jesteś gejem.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie zdołałabym wymyślić większej bredni.

Black wsunął do ust ostatnią porcję krakersów i rozsiadł się wygodnie z zamiarem sformułowania kolejnej riposty. Zanim jednak zdążył ją opracować, Sherrill powiedziała:

- Oho, idą. Jezu Chryste, spójrz na tę sukienkę.

Black wyjrzał przez szybę po swojej stronie. W szklanych drzwiach ukazali się właśnie Carmel i Allen. Allen miał na sobie ciemną marynarkę - Black podejrzewał, że kaszmirową; do tego brązowe, najpewniej bardzo drogie spodnie i pantofle. Carmel włożyła szokującą, krótką sukienkę koktajlową w czerwonym kolorze.

- Ładna sukienka - pochwalił Black.

- Ładna? Trochę krzykliwa, nie uważasz? Zaraz cycki jej wyleżą.

- Nie wiem - odparł. - Kolor ubrania jest ważny. Dobrze poza tym pokazać kawałek skóry, zwłaszcza w lecie.

- Przestań mi wstawiać pedalską gadkę. Spójrz na nią. Jest jak kolorowy billboard.

- Niech ci będzie. To jednak bezguście - przyznał Black.

- Dzięki. Daleko jej do cudownego Hale'a.

- I z pewnością nie ma twoich cycków.

- Tak myślisz?
- Marcy, masz prawdopodobnie trzecie pod względem doskonałości cycki w Minneapolis. Davenport mówi, że szóste, i oczywiście, opiera się osobistych obserwacjach, podczas gdy Sloan utrzymuje, że zajmujesz drugie miejsce - nie znam co prawda kwalifikacji Sloana...
- Nie ma żadnych, poza tym zamknij się, ruszamy.
- Zaczekaj, wezmę tylko z podłogi butelkę... cholera!

Rinker nie zauważyła zamieszania z radiowozem; zdążyła już skręcić za róg i ruszyła w stronę hotelu po swój samochód. Cały czas czuła na barkach dziwne brzemie. Wiedziała, że być może trzeba będzie zabić obydwie, matkę i córkę. Być może. Uważała, że to niesprawiedliwe. To byli ludzie, którzy niechcący znaleźli się w niewłaściwym miejscu. Przypomniała sobie, jak przed laty mafijni żołnierze mówili o przypadkowych przechodniach na linii ognia. Nazywali ich pogardliwie grzybkami. Ta kobieta i jej córka były właśnie takimi grzybkami, a Rinker zawsze uważała się za precyzyjnego chirurga, nie za tępego zabójcę.

Wiedziała, że musi to odpowiednio rozegrać.

Carmel i Hale Allen poszli potańczyć do klubu o nazwie „Łabędź”, który szczycił się dwunastoosobową orkiestrą i piosenkarką o blond włosach i zniewalającym głosem. W starym, dobrym stylu, policzek przy policzku, dłoń na plecach. Carmel mogła sięgać językiem do płatka usznego Hale'a i robiła to chwilami, co bardzo na niego działało. Po trzecim tańcu zamruczał:

- Chodźmy stąd.
- Nie - odparła kocim pomrukiem. - Musisz być cierpliwy.

Sherrill i Black przyglądali się z antresoli, jak Allen i Carmel przesuwają się po parkiecie, zatrzymując się czasem, by zamienić słowo z przyjaciółmi; Sherrill doszła do wniosku, że wszyscy oni, bez wyjątku, odznaczali się pewną gładkością, która się jej zdecydowanie nie podobala.

- Uczą tego chyba na wydziałach prawniczych - zauważył Black, kiedy zwierzyła mu się ze swoich obserwacji.
- Znam kilku całkiem miłych prawników.
- Teraz z kolei zamierzasz bawić się w szczerłość?
- Nie, tylko się zastanawiałam. Jest taki typ ludzi, którzy wyglądają właśnie gładko. Popatrz na tego gościa w białej marynarce i jego partnerkę. Oboje są gładcy.
- Spędzają za dużo czasu na oglądaniu samych siebie, nie będąc zawodowcami - wyjaśnił Black. - Zawodowcy, na przykład aktorzy, umieją wyglądać doskonale i jednocześnie odpowiednio. Ci faceci próbują wyglądać doskonale, a wyglądają tylko gładko.
- Jeszcze trochę tej gadki i chyba się porzygam.

Rinker rozejrzała się po okolicy domu Davisów i niczego nie zauważyła. Nie mogła wykluczyć, że zastawiano jakąś pułapkę, policjanci być może kryli się w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy albo na wyższym piętrze i Rinker do ostatniej chwili nie była niczego pewna.

Nie wyczuwała jednak niebezpieczeństwa; nie miała tego dziwnego wrażenia, jak bohaterowie na filmach. Musiałaby to zwietrzyć. Ten szczególny bezruch chwili, gdy człowiek kryje się w jakimś domu, ktoś wchodzi... i wie, że gdzieś czai się intruz. Tutaj niczego nie czuła.

Wcześniej przygotowała sobie dwie paczki z nadrukiem firmy kurerskiej i skleila razem taśmą. Zostawiła samochód przecznicę dalej - dostrzegła światło pod roletami, musiał więc ktoś być w mieszkaniu - i ruszyła z powrotem, trzymając paczkę w ręku. Z naprzeciwka nadchodził jakiś facet z psem, ale nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Rinker skręciła w stronę domu, weszła pospiesznie na schody, pchnęła drzwi wejściowe i przystanąła. Z góry dobiegała głośna muzyka, ale na tyłach budynku, tam gdzie znajdowało się mieszkanie Davis, było cicho. Przynęła się do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Rytm głosów albo jednego głosu - kobiecego. Rozejrzała się, wyciągnęła zza ukrytego paska broń i wetknęła pod lewe ramię, przyciskając

do boku. Zapukała jeden raz.

Rytm głosów ustał, usłyszała kroki. Po chwili drzwi się otworzyły i z mieszkania wyjrzała kobieta.

- Tak?

- Na górę przyniesiono paczkę, jest zaadresowana do pani. Znajomi zapomnieli ją pani przekazać, więc ja to robię - wyjaśniła wesoło Rinker, ważąc w dłoni przesyłkę.

Kobieta nawet się nie zawahała.

- Och, dziękuję, jedną chwilę - powiedziała i zamknęła drzwi, by odpiąć łańcuch.

Rinker szybko postawiła paczkę na podłodze, sięgnęła do włosów i obciągnęła twarz nylonową pończochą.

Kobieta otworzyła drzwi i ujrzała wycelowany w swoją głowę pistolet.

- Cofnij się albo cię zabiję - wyszeptała chrapliwym głosem Rinker.

Jan Davis osłupiała, a po chwili z dłonią przy twarzy i szeroko otwartymi oczami cofnęła się posłusznie.

- Proszę, nie rób nam krzywdy - powiedziała błagalnie.

Rinker wepchnęła stopą paczkę do mieszkania i zamknęła drzwi.

- Jeśli zjawi się jakiś gliniarz, zacznę strzelać i wszyscy zginiemy - ostrzegła chrapliwie. - Czy policja obserwuje ten dom?

Davis pokręciła przecząco głową, a z głębi mieszkania odezwał się dziecięcy głos:

- Mamo? Kto to jest?

- Niech tu przyjdzie - nakazała Rinker, wskazując pistoletem drzwi sypialni.

- Jesteś...

- Tak. Nie zabiłam nigdy dzieciaka i mam nadzieję, że nigdy nie zabiję. Ale musisz ją tu ściągnąć. Potem zadam wam kilka pytań. Jeśli odpowiecie, pójdę sobie.

- Chcesz nas zabić...

- Mamo?

- Gdybym chciała was zabić, nie wkładałabym maski - uspokoiła ją Rinker. - A teraz zawołaj małą.

Davis patrzyła przez chwilę na Rinker, potem zawołała:

- Heather, kochanie? Chodź tutaj.

Po kilku sekundach dziewczynka wysunęła głowę z sypialni. Była ubrana w żółte majteczki i tego samego koloru koszulkę. W rączkach ścisła pluszową małpkę.

- Mamo?

- Chodź tu, kochanie - poprosiła Davis, cofając się w stronę córki i szukając jej dłoni.

Dziewczynka popatrzyła na Rinker.

- To ty zabiłaś tych ludzi? - spytała.

Jej oczy były szeroko otwarte jak u matki.

- Cicho - uspokoiła ją Davis.

- Oto pierwsze pytanie - powiedziała Rinker. - Co powiedziałyście policji o ludziach, którzy byli w holu?

Davis popatrzyła na córkę, potem na Rinker.

- Przynieśli zdjęcia. Nic im nie powiedziałyśmy, bo Heather niczego nie widziała. Nie umiała nawet pomóc przy portrecie pamięciowym.

- Czy policja rozmawiała z kimś na gorze?

- Rozmawiali z wszystkimi mieszkańcami, ale nikt nic nie widział. Przepytali każdego z osobna, ale nikt nie widział ani ciebie, ani... tej drugiej osoby... jak wychodziłyście. Nikt nie widział...

- Nikt?

- Nikt. - Potrząsnęła głową.

Rinker była zaskoczona jej rzeczowością. Spojrzała na dziewczynkę.

- No a ty, mała?

Heather jej wszystko powiedziała: jak pojechała na komendę policji, jak próbowała wykonać rysunek, ale nie знаła żadnych twarzy. Pokazali jej zdjęcia, ale nie znała tych osób. Cały czas stała wyprostowana, stopy złączone, jak żołnierz w postawie zasadniczej. Rinker nagle pojęła, że to dziecko rozumie sytuację, że walczy o życie. Zwróciła się do Davis:

- Niech wraca do sypialni.

- Idź, kochanie.

- Chodź ze mną, mamo - poprosiła Heather, ciągnąc matkę za rękę.

- Muszę porozmawiać z tą panią - wyjaśniła Davis, a w jej oczach pojawił się nieklamany strach. Heather dostrzegła go tak wyraźnie jak Rinker.

- Nie martw się, mała, nikomu nie zrobię krzywdy - uspokoiła ją Rinker. - Muszę pogadać z mamą. Wiesz, taka rozmowa dorosłych.

- Słyszałam już, jak rozmawiają dorośli - powiedziała dziewczynka.

Rinker spojrzała na nią. Doszła do wniosku, że mała mówiła prawdę, i przeniosła spojrzenie na matkę.

- Nie powiesz nikomu, że tu byłam. Mogłabyś dostarczyć policji trochę informacji na mój temat - ile mam wzrostu, jaki mam głos. Nie darowałabym tego. Jeśli to zrobisz, jeśli powiesz komukolwiek, że tu byłam, wrócę i cię zabiję. A jeśli najpierw mnie zabiją, to zjawi się tu jeden z moich współników i zabije was obie, bo uzna to za konieczne. Nie popuszczą wam. Gównu ich obchodzą tacy ludzie jak wy. Rozumiesz?

To wulgarne słowo, „gówno”, zawisło między nimi i nadało przemowie Rinker ton powagi - powagi zawodowego zabójcy. Matka dziewczynki przytaknęła tępo.

- Nigdy nic nie powiemy. Przysięgam na Boga - obiecała Jan Davis.

- Usiądźcie na kanapie - rozkazała Rinker. - I nie wstawajcie przez pięć minut, powtarzam, przez pięć minut. Nie chcę, żebyście widziały mój wóz.

Matka znów przytaknęła, potem pociągnęła za sobą dziewczynkę i usiadły obie na kanapie.

Rinker podeszła do drzwi, przystanęła, uniosła broń i oddała jeden strzał. Zdjęcie Davis sprzed lat, do którego pozowała z jakimiś dwoma kobietami, spadło ze ściany. W szkłe - dokładnie w oku Davis - widniała maleńka dziurka.

- Absolutne i całkowite milczenie - wyszeptała Rinker.

I zniknęła.

Przez drzwi wejściowe, na schody, na chodnik, do samochodu. Odetchnęła głęboko.

*

- Jedźmy do domu - zaproponował Black. - Będą tu siedzieć całą noc.

- Piąta rano to najlepsza pora, żeby coś przyuważyć - odparła Sherrill, ale ziewnęła.

- Owszem, ale w takim razie powinniśmy prowadzić obserwację przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko że sami nie damy rady. Jestem kurewsko znudzony, nie mogę myśleć i gacie mi na tyłku podjechały, bo siedzę tu za długo.

- Przejdź się trochę - doradziła Sherrill.

- Zaczepią mnie.

- Nie w tej okolicy.

- Chodzi mi o ochronę. Widzisz tych gości? Chciałabyś z nimi zacząć?

- W porządku. - Westchnęła i przekręciła kluczyk w stacyjce. - Trzeba coś jeszcze wymyślić. Nie mogę uwierzyć, że przesiedzieliśmy w tym wozie osiem godzin i nic nie przyszło nam do głowy.

- Bo to już koniec możliwości. Jeśli Carmel jest winna, a mówię w tej chwili poważnie... to wykręci się sianem.

Jan Davis prawie nie zmrużyła w nocy oka. Zwalczyła nieprzepar-tą pokusę, by uciec do domu rodziców w Missouri, gdzie od czasu rozvodu nie była zbyt mile widziana. Pomyślała, że rodzice bardziej lubili Howarda od niej, i poczuła się samotna i opuszczona. Widziała poza tym *Ojca chrzestnego* i знаła tych ludzi, znała mafię. Ucieczka nic by nie dała: i tak by ją dopadli. Postanowiła zapomnieć i wrócić do normalnego życia.

Heather całe lato chodziła na zajęcia przygotowawcze przed podstawówką. Davis miała nadzieję, że rano dziewczynka jakimś cudem zapomni o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Nie zapomniała jednak - wydawało się, że spała równie kiepsko jak matka.

- Muszę iść do szkoły? - spytała z samego rana.

- Tak. Trzeba zapomnieć o wczorajszym dniu. To był tylko zły sen. Davis silila się na wesołość, ale nie wychodziło jej to najlepiej.

- Czy ona wróci i nas skrzywdzi?
- Nie, skąd, nic się nie stanie. Udawajmy, że nic się nie stało, że nikt do nas nie przyszedł.

- Ale ta pani przyszła.

Davis pragnęła nią potrząsnąć. Pragnęła wrzasnąć na nią, uświadomić niebezpieczeństwo, ale nie wiedziała jak.

- Posłuchaj, Heather, to bardzo zła pani. Bardzo zła. Musimy udawać, że jej w ogóle tu nie było. Że to tylko zły sen. Pamiętasz, jak ci się śniło, że goni cię pani Gartin? Musimy teraz zapomnieć, tak jak zapomnieliśmy ten sen o pani Gartin.

- Wcale nie zapomniałam - oświadczyła z powagą Heather. - Tylko tak mówiłam.

- Ale potem już ci się to nie śniło.

- Nie...

Zaczęła jeść płatki śniadaniowe. Zanim zdążyła poruszyć temat złej pani, Davis poinformowała:

- Mam się spotkać dziś po południu z twoim tatą.

Heather podniosła wzrok znad talerza.

- Przyjdzie mnie odwiedzić?

- Dzisiaj chyba nie. Mamy różne rzeczy do omówienia. Ale powiem mu, że chciałabyś go zobaczyć.

- Okej. Myślisz, że przyjdzie...

Rozmowa potoczyła się dalej tym torem. Przez całą drogę do szkoły Davis wypatrywała podejrzanych samochodów, niskich kobiet o rudych włosach i zwinnych dłoniach, ale nikogo nie dostrzegła. A Heather ani razu nie wspomniała o złej pani.

Do szkoły pani Gartin przyjmowano dzieci w wieku od trzech do sześciu lat i uczono je liter, liczb, kształtów, kolorów, muzyki, a także - w przypadku starszych uczniów - wymowy i czytania. Pani Gartin wraz z dwiema innymi nauczycielkami robiły wszystko, by chłopcy nie bili się nawzajem i nie dręczyli dziewczynek, które zachęcano do integracji.

W głębi sali dla starszych dzieci - niedostrzegana już przez panią Gartin, jako zbędny element wyposażenia szkolnego - stała naturalnej wielkości, wycięta z kartonu postać Przyjacielskiego Funkcjonariusza.

Z przodu miał wypisany numer telefonu. Przyjacielski Funkcjonariusz odwiedził kiedyś szkołę i rozmawiał z nimi o złych panach i paniach, o tym, że należy uważać, tłumaczył też, jak policja pomaga dzieciom. Na koniec zostawił swoją tekturową podobiznę.

Heather widziała jego zdjęcie codziennie i tego dnia, utwierdzając się w celowości własnego postępowania, poszła do pokoiku pani Roman, kiedy reszta klasy wyszła razem z nią na przerwę, i wykreśliła numer. Dzwoniła już kilka razy do mamy i wiedziała, jak to zrobić.

Przyjacielski Funkcjonariusz, który naprawdę nazywał się Dick Ennis, był na dobrą sprawę pijakiem („Nie alkoholiczem - mawiał. - Alkoholicy chodzą na spotkania terapeutyczne”) i często spóźniał się do pracy; co prawda nikogo to specjalnie nie obchodziło. Na ogół, kiedy był trzeźwy, spisywał się dobrze jako Przyjacielski Funkcjonariusz. Po pierwsze, lubił dzieci i miał kilkoro własnych z dwóch nieudanych małżeństw. Po drugie, nigdy był dobrym gliną. W każdym razie zjawił się w swoim biurze, schował do szuflady pudełko z lunchem i już miał pójść po kawę, kiedy zadzwonił telefon. Opadł zrezygnowany na krzesło i podniósł słuchawkę.

- Czy to Przyjacielski Funkcjonariusz? - spytała Heather.

- Tak, zgadza się - odparł Ennis. - Mogę ci w czymś pomóc?

Pomyślał, że dziewczynka ma pewnie z pięć lat.

- Tak. Do mojego domu przyszła zła pani i wystraszyła moją mamę i mnie.

- Uhm. A kto mówi? Jak się nazywasz?

- Heather Davis. Mój numer to...

Bystry dzieciak, pomyślał Ennis, zapisując pospiesznie numer telefonu.

- Okej, Heather, jak ta zła pani przestraszyła ciebie i mamę?

- Miała pistolet i maskę, naciągnęła ją na twarz i powiedziała, że jak komuś powiemy, to przyjdzie i nas zabije. I strzeliła do zdjęcia mojej mamy. I teraz mama się boi komuś o tym powiedzieć.

Ennis wyprostował się na krześle i zmarszczył czoło.

- Kiedy to się stało?
- Wczoraj wieczorem, jak było już ciemno.
- Nikt nie zadzwonił po policję?
- Nie. Policjanci przyszedli do nas, a potem poszli. A potem przyszła ta pani i powiedziała nam, żebyśmy nie rozmawiali już z żadnymi policjantami. Nigdy.
- Policjanci do was przyszli? Pamiętasz ich?
- Jeden to był pan, druga pani - odparła dziewczynka.
- Pamiętasz, jak się nazywali? Któreś z nich?
- Tak.
- Możesz mi powiedzieć? - dopytywał się. Własne dzieci nauczyły go cierpliwości.
- Jeden to był pan Davenport, a ta druga to była panna Sherrill.
- Jezu Chryste - powiedział tylko Przyjacielski Funkcjonariusz.

19

Sherrill jeszcze spała, kiedy zadzwonił Lucas.

- Chyba coś mamy - oświadczył.

Uchwyciła w jego głosie ton pewności. W tle słychać było odgłosy ruchu ulicznego. Dzwonił z komórki. Usiadła na łóżku, ocierając oczy z resztek snu.

- Co się stało?

- Ta mała, Heather Davis, zadzwoniła do Przyjacielskiego Funkcjonariusza, no wiesz, tego faceta, jak mu tam...

- Ennis.

- Właśnie. Powiedziała, że ta zabójczyni była w ich mieszkaniu zeszłej nocy i ostrzegła matkę, żeby z nimi nie rozmawiała. Powiedziała im, że jak się z nimi skontaktują, to wróci i zabije obie.

Sherrill wyskoczyła z łóżka i ruszyła do łazienki, ciągnąc za sobą biały sznur telefonu.

- Która to była godzina?
- Dziewiąta, może trochę później. Już się ściemniało.
- Więc to nie mogła być Carmel - powiedziała Sherrill. - O ósmej trzydzieści wyszła z domu. Pojechaliśmy za nią do „Łabędzia”. Przeżyła całą noc.

- Śledziliście ją? Naprawdę?

- Tak, razem z Tomem. Jesteś zaskoczony - zauważyła. Potem podniosła klapę od sedesu i usiadła na muszli klozetowej.

- Nie byłem pewien, czy na to pójdziecie, wczoraj miałaś wątpliwości - odparł Lucas. - Wydawało się, że obserwacja niewiele nam da...

Sherrill nie słyszała dalszych słów Lucasa, nagle zaczęła sobie przypominać poprzednią noc. Wróciła do rzeczywistości, kiedy Lucas spytał:

- Marcy? Jesteś tam?

- Lucas... cholera, być może widzieliśmy wczoraj tę zabójczynię. Wieczorem. Wychodziła z domu Carmel.

- Co? - krzyknął z niedowierzaniem.

- Słowo daję.

Opowiedziała mu o rudowłosej kobiecie, która minęła się w drzwiach z Hale'em Allenem. Ujrzała w pamięci, jak ociera się w przejściu o Allena, jak taksuje go pospiesznie wzrokiem, a potem wychodzi na zewnątrz i rozgląda się po chodniku.

- Dałabyś radę ją zidentyfikować?

Zastanawiała się niespełna sekundę.

- Nie wydaje mi się. Nie zwracałam na nią uwagi. Rozumiesz, nie można wykluczyć, że to w ogóle nie ona... ale była niska i wyglądała jak gimnastyczka; tak właśnie mówił Bailly. No i miała bujne rude włosy.

- To ona, mogę założyć się o sto dolarów - przekonywał Lucas. - Trzeba mieć budynek na oku. I musimy założyć podsłuch na telefonie Carmel. Znajdź kogoś, kto podpisze nakaz.

- Gdzie teraz jesteś? W domu Davis?

- Nie, w samochodzie, jadę do szkoły tej małej. Wciąż tam jest. Za pięć minut będę na miejscu.

- Tylko się ubiorę i pędzę.

Informator zadzwonił do Carmel, kiedy Lucas i Sherrill kończyli rozmowę.

- Jesteś czysta - powiedział. Nie zadał sobie trudu, by się przedstawić.

- Co się stało?

- Nie jestem pewien, ale podobno dzwonił ten dzieciak i powiedział, że zabójca wrócił zeszłej nocy do ich domu i że matka bała się o tym powiedzieć. Słyszałem, że za tobą łazili i teraz już wiedzą, iż to nie byłaś ty, bo tańczyłaś całą noc w jakimś ekstralokalu. Słowo daję, Davenport wypadł stąd jak burza. Nie przesadzam.

- Jezu, śledzili mnie?

Była zaszokowana. Niczego nie wyczuła. Zawsze sądziła, że się zorientuje. Może to z powodu Hale'a, jego bliskości...

- Masz już spokój, skończyli z tobą- zauważył.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej? Gdy tylko usłyszałaś, że mnie obserwują?

Upłynęła chwila, zanim policjant odparł:

- Wiesz, że nie wolno mi tego robić.

Carmel obiecała mu kolejną zapłatę, wyłączyła się i zadzwoniła do Rinker, której przekazała nowiny.

- Wyobraź sobie, że to dzieciak zadzwonił - dodała na koniec.

- Jezu, nigdy bym nie pomyślała - przyznała Rinker. - Jest taka mała.

- Ale plan zadziałał - zauważyła z podnieceniem Carmel. - Dowiedziałaś się, że niczego nie powiedziały, i nawet jak gliny zmuszą tym razem matkę do mówienia, to co im powie? I teraz wiedzą, że to nie ja tam byłam. Właśnie sami udupili sprawę. Teraz musisz tylko zniknąć i będzie spokój.

- Najwyższy czas - zgodziła się Rinker.

- Choć nadal nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle zainteresowali się moją osobą- zauważyła w zamyśleniu Carmel.

- Nieważne, odpuść sobie - poradziła Rinker. - Zmywam się stąd. Jeśli ruszę od razu, zdążę dotrzeć do Kansas City przed szczytem.

- Zostań jeszcze - poprosiła Carmel. - Pokręć się dzień albo dwa.

Skoro mnie obserwują, nie możesz się tu pokazywać, ale... po prostu zostań.

- Tak myślisz?

- Tak. Przez jedną noc, żeby zobaczyć, co się stanie, sprawdzić, czy nie musimy już niczego robić. Czy mama i dzieciak będą trzymać głęby na kłódkę? Czy coś z tego wyniknie.

- No dobra - zgodziła się niechętnie Rinker. Minneapolis coraz bardziej przypominało grząskie bagno. Chciała jak najszybciej stąd wyjechać. - Tylko jedną noc.

Lucas podjechał pod szkołę pani Gartin krótko po dziesiątej. Zaparkował trochę dalej i ruszył pod nisko zwieszającymi się klonami. Zerwał się letni wietrzyk, żółte kwiaty w szkolnym ogrodzie schylały ku niemu jasne głowy i brązowe oczy. Dalej, za niskim drewnianym ogrodzeniem, widział plac zabaw dla małych dzieci z piaskownicami zrobionymi z opon od traktora i łagodnie nachyloną zjeżdżalnią.

Pani Gartin była tęgą kobietą ubraną we wzorzystą sukienkę. Wokół jej ust widniały niewielkie zmarszczki. Jego wizyta ją zaskoczyła.

- To Heather do pana dzwoniła?

- Tak. To bardzo ważne, muszę z nią jak najszybciej porozmawiać.

- Powinnam najpierw wezwać matkę...

- Jej matce może grozić niebezpieczeństwo, dlatego właśnie muszę od razu pomówić z dziewczynką. - Przestał się uśmiechać i przyjął ton policjanta. - Mogłaby mnie pani do niej zaprowadzić?

- Zastanawiam się... - Zaczęła przesuwać nerwowo papiery na biurku, odchrząknęła, wreszcie powiedziała: - Jest w pokoju pani Roman.

Heather siedziała w gabinecie pani Roman z Lucasem i opowiadała o wszystkim. Lucas wypytał ją dwukrotnie i kiedy skończyli, nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczynka mówi prawdę. Sherrill

zjawiła się chwilę przedtem, a Davis dwie minuty później. Była przerażona.

- Co robicie? - krzyczała. - Co robicie z moją córką? Nie macie prawa z nią rozmawiać...

- Owszem, mamy - odparł Lucas, najspokojniej jak tylko umiał. Nie wyszło to jednak najlepiej i Davis chwyciła Heather za ramię. Zniknęłaby z córką za drzwiami, gdyby Sherrill nie stanęła jej na drodze.

- Nie może pani wyjść - oświadczyła.

Heather zaczęła płakać.

- Ja im tylko powiedziałam...

- Zadzwoń do adwokata - krzyknęła piskliwie Davis.

- Może pani dzwonić, do kogo pani tylko chce, ale byłoby prościej dla wszystkich, nie wyłączając pani, gdybyśmy porozmawiali przez kilka minut - rzekł Lucas.

- Zabije nas, powiedziała, że nas zabije...

- Nikogo nie tknie - zapewnił Lucas.

- Nie był pan przy tym - warknęła Davis. - Powiedziała, że nas zabije, i nie żartowała. Mówiąc szczerze, zrobiła na mnie o wiele większe wrażenie niż pan i pańscy policjanci.

- Umieścimy panią w bezpiecznym miejscu.

- Ona jest z mafii - krzyknęła Davis. - A mafia może znaleźć każdego.

Lucas potrząsnął zrezygnowany głową.

- Niech się pani uspokoi - poprosiła Sherrill. - Co się stało, to się nie odstanie. Musimy zadać pani kilka pytań, a potem zrobimy wszystko, żeby zapewnić pani bezpieczeństwo.

- To już w tej chwili niemożliwe. - Davis potrząsnęła głową. Gniew wciąż brał górę nad strachem, ale i on zaczął się z wolna ujawniać.

- Nie, to nieprawda. Mamy ekspertów od tych spraw - zapewniła Sherrill. - Zastanawiała się pani, dlaczego mafia nie zabija policjantów? Bo się boi. Proszę o tym pomyśleć.

Kiedy Davis już się uspokoiła - co prawda dopiero po wyjściu pani Gartin, która zjawiła się nie w porę z paczką pierników - wypyтали ją

dokładnie o wizytę Rinker. Heather siedziała cały czas na kolanach matki, która nawet zdobyła się na niepewny uśmiech, gdy powiedziano jej, jak córka zadzwoniła do Przyjacielskiego Funkcjonariusza. Udało się jednak uzyskać ważną informację.

- Widziałam końcówki jej włosów i mogłabym przysiąc, że to była peruka. W jej włosach było coś nienaturalnego. Widziałam jej dłonie i twarz, kiedy pierwszy raz otworzyłam drzwi. Nie miała karnacji jak rudowłose.

- Nie mogłaby pani jednak opisać jej twarzy?

- Nie, miała w ręku tę paczkę, patrzyłam właśnie na nią.

- Ma pani jeszcze tę paczkę?

- Nie... wyrzuciłam ją- odparła.- Jest w kontenerze za domem. Ma firmowy nadruk Federal Express.

- Czy ta kobieta miała rękawiczki?

- O tak, dobrze pamiętam. Jednorazowe, z gumy, takie, jakie zakładają dentyści. Tak, doskonale pamiętam.

Rękawiczki zrobiły na niej wrażenie. W końcu miała do czynienia z zawodową zabójczynią. Kiedy skończyli, Lucas oświadczył:

- Nie widzę pani w roli świadka. Pani informacje mogą nam bardzo pomóc pod pewnymi względami, ale nie przydadzą się w sądzie.

- Nie będę zeznawać - zauważyła z naciskiem Davis. - To wykluczone.

- Pomówmy więc o tym, co pani teraz zamierza - zaproponowała Sherrill.

Davis zamierzała przede wszystkim udawać, że nic się nie wydarzyło.

- Czy ona może się o tym dowiedzieć? Że rozmawialiśmy z wami?

- No, wie pani, czasem zdarzają się przecieki - powiedział ostrożnie Lucas, mając na myśli informatora Carmel. - Czy może pani wyjechać na kilka tygodni, miesiąc?

- Mam pracę, muszę chodzić na uniwersytet - wyliczała. - Muszę jeść.

- Zajmiemy się tym - zapewnił Lucas. - Niewykluczone, że nawet uda mi się załatwić pani płatny urlop, a jak nie, to znajdziemy pieniądze w

kasie miejskiej. Ma pani jakichś krewnych...?

Davis potrząsnęła głową.

- Nie chcę do nich jechać. Coś mi jednak przyszło do głowy. Jeśli to jest do załatwienia. Mam laptop, mogłabym pisać pracę, gdybym siedziała w jakimś spokojnym miejscu, tylko Heather i ja. Kiedy byłam jeszcze z Howardem, jeździliśmy do North Shore, zatrzymywaliśmy się w eleganckich pensjonatach, bardzo nam się tam podobało...

- Da się zrobić - przytaknął Lucas i zwrócił się do Sherrill: - Zadzwoń do Bretano z wydziału rodzinnego. Niech się do tego od razu zabierze. - Zwrócił się z kolei do Davis: - Skontaktujemy panią z Alice Bretano. Zajmuje się prześladowanymi przez mężów matkami i ich dziećmi. Załatwia im schronienie, pieniądze i tak dalej... może pani być spokojna.

- I jest pan pewien, że nas nie znajdą? - spytała Davis z powątpiewaniem.

- Nawet nie będą próbowali - odparł Lucas. - Nie ma takiej możliwości.

Kiedy nie wydawała się do końca przekonana, Lucas spróbował jeszcze raz:

- Powiem pani kilka słów o mafii. To banda facetów, którzy są gotowi zabijać dla pieniędzy, którzy zajmują się narkotykami i prostytucją albo pożyczkami na wysoki procent i tak dalej. Ale to tylko banda przestępców. Nie dysponują jakimś specjalnym wywiadem i wcale się tak nawzajem nie wspierają, jak się powszechnie sądzi... to po prostu... - jego spojrzenie powędrowało ku Heather, która przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami - ...palanty. Ale nie będę pani okłamywał: kobiety, którą widziała pani zeszłej nocy, nie wolno lekceważyć. Złapiemy ją. I nie dopuścimy do tego, żeby wyrządziła wam krzywdę. Jeśli nie zrobiła wam nic złego wczoraj wieczorem, to znaczy, że nie zamierza.

Sherrill zadzwoniła do Bretano i przedstawiła sprawę. Ta obiecała, że wszystkim się zajmie; dodała, że za dziesięć minut będzie w szkole.

Kiedy czekali na ulicy, opierając się o porsche, Sherrill spytała:

- Co dalej?

- Wiemy na pewno dwie rzeczy: że jest rudowłosa albo nosi perukę i że jest niska, ale niezłe zbudowana, co oznacza, że prawdopodobnie widziałaś ją zeszłej nocy. Więc zagramy ostro. Całodobowa obserwacja domu Carmel. Jeśli ta babka znajdzie się w środku, to ją zatrzymamy.

- Na jakiej podstawie?

- Jakiegokolwiek. Napaść na funkcjonariusza na służbie, opieranie się przed aresztowaniem, wszystko jedno. Ale ma być zatrzymana i zidentyfikowana. Trzeba ją przyszpilić. Chcę wiedzieć, skąd pochodzi. Chcę mieć jej zdjęcia, żebyśmy mogli nimi wytapetować cały kraj, jeśli zniknie. A to oznacza, że zamieszkaś pod domem Carmel. Trzeba poszukać jakiegoś lokalu, może pustego biura, skąd da się prowadzić obserwację.

- Jestem wyłączona ze śledztwa? - spytała Sherrill.

- Odrobinę, ale jak dorwiemy tę kobietę, ty wykonasz ostatni ruch.

- A co ty zamierzasz?

- Przede wszystkim zebrać paru chłopaków i zapukać do wszystkich drzwi w okolicy, gdzie mieszka Davis. Ludzie chodzą tam wieczorami po ulicach. Ktoś musiał widzieć tę kobietę.

Lucas wysłał do roboty sześciu umundurowanych policjantów. Nie znosił tego zajęcia i nigdy nie był w nim dobry. Do tego nadawali się gliniarze o szczerych twarzach Irlandczyków albo Skandynawów, młodzi faceci, którzy klepią ludzi przyjacielsko po plecach i lubią posłuchać plotek. Pełni zrozumienia dla bliźnich.

Lucas i Bretano odwieźli Davis z córką do domu i zaczęli, aż się spakują. Kiedy wychodzili, Davis wręczyła Lucasowi klucze od swojego mieszkania.

- Możecie korzystać z telefonu albo łazienki. Odbiorę je po powrocie.

Widok umundurowanych policjantów trochę ją uspokoił, pragnęła jednak jak najszybciej wyjechać z miasta.

Lucas wykorzystał mieszkanie jako tymczasową bazę, podczas gdy mundurowi krążyli po okolicy - spacerowali, pukali do domów, czekali na ludzi powracających z pracy, notowali wszystko, co mogłoby się przydać. Krótco po trzeciej do mieszkania zajrzał gliniarz o nazwisku Lane. Usiadł w kuchni z butelką pepsi w dłoni. Lucas kończył właśnie rozmawiać przez telefon.

- Co jest? - spytał.

Lane odchylił się i łyknął z butelki.

- Próbuję już od roku podskoczyć wyżej i zamienić mundur na cywilne łachy, ale nic mi z tego nie wychodzi.

- Chyba cię już widziałem po cywilnemu...

- Tak, tak, w wydziale narkotyków potrzebowali nowych twarzy. Po kilku tygodniach moja gęba się opatrzyła, a ja trafiłem z powrotem do patroli. Może pomogłoby mi pan wyskoczyć z tego pieprzonego munduru.

Lucas wzruszył ramionami.

- Nie znam cię za dobrze, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie mam pojęcia, czy się nadajesz do specjalnej roboty...

- To ja znalazłem ten rewolwer w sprawie McDonalda. Zeszłej jesieni, pamięta pan? Pewnie, dopisało mi szczęście, ale ja zawsze mam fart. Dzięki mnie sprawa ruszyła z miejsca.

Lucas przytaknął.

- Pamiętam. A szczęście to ważna rzecz.

- Wiem. Wciąż wciskają mi kit, że jestem dobry na ulicy, że nie chcę mnie stracić ze służby patrolowej. Ale ja nie chcę być w patrolowce, poza tym i tak odejdę, jeśli szybko mnie gdzieś nie przesuną. Pójdę do innej roboty.

- Do jakiej? - spytał Lucas. Potem, żeby go trochę ostudzić, dodał: - Mogę się rozpytać.

Lane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak naprawdę to nie przyszedłem tutaj, żeby gadać o przeniesieniu, ale pomyślałem sobie, że skorzystam z okazji, skoro udało mi się coś ustalić.

Lucas uniósł brwi.

- Poważnie?

- Tak. Poszedłem pod 1414, to kawałek dalej, mieszka tam pani Rann, Gloria Rann. Wróciła wczoraj do domu około dziewiątej

piętnaście. Pamięta, bo złapała akurat o dziewiątej autobus, kiedy wychodziła z pracy, o on jedzie jakieś dziesięć minut. Spieszyła się, bo chciała obejrzeć program o wpół do dziesiątej. Zdażyła jeszcze wynieść śmieci. Zobaczyła niewysoką, dobrze zbudowaną kobietę, która wsiadała, jak jej się zdaje, do zielonego wozu. Stał zaparkowany pod jej domem. Nie widziała twarzy, ale pomyślała sobie, że to może być dziewczyna z college'u, bo wyglądała na wysportowaną, w okolicy kręci się dużo takich dzieciaków. No i... miała bujne włosy. Lucas nachylił się nad stołem.

- To by się zgadzało.

- Tak - przytaknął Lane. - Pasuje do tego rysopisu, który od pana dostaliśmy. W każdym razie spytałem panią Rann, czy widziała już przedtem ten samochód, a ona na to: „Nie, nikt takim tutaj nie jeździ”. „Skąd pani wie?”, spytałem. A ona mówi, że jak wracała z przystanku autobusowego, to było jeszcze jasno, i spojrzała na ten wóz, bo stał akurat pod jej domem.

Zamilkł dla tym większego efektu, a Lucas spytał:

- No i co?

- Wóz miał nalepkę Avisu. Był wypożyczony.

- Cholera - zaklął Lucas.

Zabrał Lane'a ze sobą na lotnisko, odnalazł szefa Avisu i sprowadził do jego biura. Szef nie potrzebował żadnego nakazu.

- Przejrzę listę - powiedział. - Ale od razu mogę wam powiedzieć, że to w większości wypadków faceci. Kobiety trafiają się rzadko.

- Średniej wielkości zielony wóz, dobrze zbudowana kobieta, niewysoka - podpowiadał Lane. - Może rudowłosa.

Szef przesuwiał dłońmi nad klawiaturą komputera, nagle znieruchomiał i spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na Lane'a.

- Niewysoka i muskularna, rude włosy? Uhm, ładna figura?

- Tak przypuszczamy - odparł Lucas.

- A może to był dodge? Bo przysięgłbym, że taka właśnie kobieta zwróciła dodge'a niespełna piętnaście minut temu. Musi być jeszcze na lotnisku.

- Gdzie znajde faceta od ochrony? - spytal pospiesznie Lucas.

Samochód odbierał młody otyły człowiek o nazwisku Herter. Doskonale pamiętał kobietę; Lucas i Lane przez dwie godziny ganiłi Hertera i szefa wypożyczalni od bramki do bramki, wypatrując w tłumie podróźnych twarzy Rinker. Bezskutecznie. Na lotnisku roilo się od dobrze zbudowanych kobiet, kilka nawet miało rude włosy, ale nigdzie nie dostrzeźli zabójczyni.

Według informacji w wykazie odbioru samochód zwrócono na dwadzieścia minut przed zjawieniem się Lucasa i Lane'a w biurze Avisu, bez uszkodzeń i z pełnym bakiem. Herter powiedział, że kobieta skierowała się do głównego terminalu, ale miała ze sobą tylko małą torbę, bagaż podręczny. Kamery nie zarejestrowały jej twarzy, w każdym razie nie przy wejściu do terminalu.

- Niewykluczone, że wciąż jest w mieście - powiedział Lucas do Lane'a i Blacka, który przyjechał pomóc w poszukiwaniach. -FBI uważa, że ta kobieta porusza się wyłącznie samochodami. Nie zdziwiłbym się, gdyby zostawiała własny wóz w podziemnym parkingu lotniska, gdzie codziennie przewija się kilka tysięcy samochodów, a do roboty brała wypożyczony. W razie kłopotów może go bez obaw porzucić. Jest czysty.

- Lada chwila się dowiemy - powiedział Black. - Gliniarze z Nebraski sprawdzają adres, który podała w wypożyczalni.

- Jeśli to ona, nic nie znajdą. - Lucas potrząsała głową. - Ale powiem wam jedno: musimy dotrzeć do ludzi z MasterCard. Trzeba ustalić, za co jeszcze płaciła... - Spojrzał na Lane'a. - Możesz się tym zająć?

- Tak.

- Więc do roboty; i wyskocz z munduru, zanim zaczniesz rozmawiać z ludźmi.

- W porządku.

Oddalił się niemal biegiem.

- Chłopałki z laboratorium już się chyba uporali z tym wozem - zauważył Black.

- Jeśli to ona, niczego nie znaleźli.

- Nie obiecywałbym sobie zbyt wiele - oświadczył facet z ekipy technicznej. - Zdjęliśmy odciski po stronie pasażera i z tylnej kanapy, ale nie znaleźliśmy niczego na kierownicy, na klamce po zewnętrznej i wewnętrznej stronie, na pokrętkach radia, przednim fotelu... wszystko wytarte do czysta. Fachowo.

- Cholera - zaklął Lucas.

Pięć minut później zadzwonił detektyw z Lincoln w Nebrasce.

- Jest taka ulica, jest też taki adres, jest nawet kobieta o takim nazwisku, ale ma czterdzieści osiem lat, hoduje dziewięć fretek, z którymi się nie rozstaje, ma czarne włosy i waży ze sto kilo. Mówi, że nigdy nie była w Minneapolis i nigdy nie wypożyczała wozu, że ma Visę i Searsa, ale nie MasterCard.

- Zabójczyni już zmyła się z lotniska - powiedział Lucas do Blacka, kiedy skończył rozmawiać z policjantem z Nebraski. - Być może wciąż jest w mieście albo ruszyła do domu. Marnujemy tu czas.

- Mamy za to jej rysopis - zauważył Black. - Od dwóch gości, którzy widzieli ją z bliska, i to niedawno. Za godzinę dostaniemy portret pamięciowy.

- Fakt - odparł Lucas i pokazał dwa niemal złączone palce. - Cholera, tak blisko byliśmy. Tak blisko.

- Co teraz?

- Wykleimy całe miasto jej podobizną. Jeśli wciąż tu jest, może uda nam się ją wykurzyć z kryjówki.

20

Carmel zadzwoniła do hotelu i bez zbędnych wstępów nakazała:

- Zmywaj się stamtąd. Pokazują twoje zdjęcie w telewizji.

- Co? - spytała Rinker zdumiona. Serce zaczęło jej walić jak szalone; rozejrzała się w panice po pokoju, szukając wzrokiem ubrań i wszystkiego, na czym mogła zostawić odciski palców, gotowa natychmiast uciekać.

- Davenport zdobył gdzieś twój portret pamięciowy i nadał go w TV. Pokażą go za jakieś trzy minuty na kanale trzecim.

- Zaczekaj.

Rinker wzięła do ręki pilota i włączyła telewizor. Jakaś gadająca głowa, poważna brunetka w typie byłej miss Ameryki, mówiła: „...wypożyczony wóz na lotnisku w firmie Avis. Dwaj pracownicy Avisu, których tożsamość nie została ujawniona, dostarczyli policji portret pamięciowy, który właśnie pokazujemy. Jeśli ktokolwiek widział tę kobietę...”.

Rinker patrzyła przez chwilę na wygenerowany komputerowo portret.

- Nie jest do mnie podobna - zawyrokowała w końcu.

- Może tak ci się wydaje, ale mam inne zdanie. Przypomina cię w ogólnych zarysach - odparła Carmel. - Będą pokazywać to zdjęcie w hotelach i motelach, dosłownie wszędzie, i pytać o każdego - podkreśliła ostatnie słowo - kto z grubsza odpowiada rysopisowi.

Rinker skinęła głową.

- W porządku, wyjeżdżam za piętnaście minut.

- Jedź do Iowy - poradziła Carmel. - Do Des Moines. Nie nadają tam tutejszych programów; jeśli zajdzie potrzeba, wrócisz stamtąd w trzy godziny. Zadzwoń, jak dojedziesz na miejsce, i podaj mi numer telefonu.

- Co zrobimy?

- Musimy uruchomić plan B. Davenport zaczął się do nas dobierać. Coś chyba szykuje.

- Rany. Poradzisz sobie?

- Poradzę - zapewniła z powagą Carmel. - A teraz zmywaj się stamtąd.

- Już mnie nie ma.

Dwaj detektywi, Swanson i Franklin, zanieśli portret pamięciowy do kierownika hotelu Regency-White, który potrząsnął głową.

- Nie znam tej pani, ale na co dzień widuję tylko nielicznych gości.

- Moglibyśmy się dowiedzieć, ile samotnych kobiet jest w tej chwili w hotelu, i od tego zacząć - zaproponował Franklin. - Potem pogadamy z pokojówkami.

- Większość poszła już do domu - wyjaśnił kierownik. Miał małe wąsiki i przypominał komika telewizyjnego. - Mogę wezwać personel z obsługi i boyów.

Przy pomocy pracowników udało im się ograniczyć liczbę podejrzanych do czterech kobiet: dwóch, które z grubsza pasowały do rysopisu, i dwóch, których nikt nie mógł sobie przypomnieć. Boy, nazywany przez wszystkich Lousem, nie wiedział, w którym pokoju mieszka poszukiwana kobieta, ale przysięgał, że odpowiada portretowi. „To ona”, oświadczył. Swanson zadzwonił do Lucasa i powiedział mu, że chyba zidentyfikowali podejrzaną.

- Zaczekajcie na mnie - uprzedził Lucas.

Czekali, wypytując ludzi z personelu restauracyjnego. Dwaj pracownicy, jak im się zdawało, widzieli kobietę, ale nie byli do końca pewni. Narzekali, że podobizna nie jest najlepsza.

Lucas przygnał na złamanie karku i zaparkował porsche na ulicy.

- Jeśli zjawi się jakiś policjant, niech pan powie, że to wóz szefa Davenporta - nakazał portierowi.

- Tak jest, szefie - odparł portier i zasalutował. Jak w Nowym Jorku.

Franklin czekał już w holu.

- Jesteśmy gotowi, możemy wchodzić na górę.

- Wiadomo o niej coś więcej? - spytał Lucas.

- Nie bardzo, trudno im się zorientować po tej podobiznie.

- Rozumiem, ale innej nie mamy - zauważył Lucas. Przyglądał się tej twarzy przez kilka sekund z tym samym uczuciem *déjà vu*, jakiego doznał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Czuł, że zna tę kobietę. Typ doskonały. Młoda babka, biuściasta, muskularna. Znał setkę takich kobiet, do diabła, w samej policji pracowało ze dwadzieścia. Sherrill też taka była, tylko te ciemne włosy...

- Pani Michelle Jones - powiedział cicho kierownik, pukając do drzwi.

- Chwileczkę - odezwał się kobiecy głos.

Trzej policjanci cofnęli się o krok, a kierownik spojrział na nich zdziwiony. Potem uświadomił sobie, że kobieta może otworzyć do nich ogień, i też się cofnął. Drzwi się uchyliły i z apartamentu wyjrzała Michelle Jones. Była czarnoskóra.

- Przepraszamy, to pomyłka - powiedział Swanson. - Mamy mały problem.

W następnym pokoju nikt się nie odezwał. Lucas skinął głową kierownikowi, który otworzył drzwi kluczem i odsunął się pośpiesznie na bok. Swanson przekreślił gałkę i weszli do środka.

- Chryste, wygląda, jakby zatłukli tu kogoś na śmierć - zauważył Franklin. Ubrania wałały się po całym pokoju i łóżku; dwie pary rajstop, najwidoczniej wilgotnych, wisiały na drzwiach, a wełniany sweter suszył się na rozłożonym ręczniku. Na podłodze ktoś zostawił w pośpiechu dwie wybebeszone walizki.

- Fakt, wygląda, jakby tu była moja żona - dodał Swanson. - To pokój jakiejś pieprzonej baby.

Kierownik wyjrzał zza osłony, jaką stanowił potężny korpus Franklina.

- Ma pan absolutnie rację - zauważył. - Samotne kobiety... nie macie pojęcia, co zostawiają w ubikacjach. Raz gościliśmy panią z psem, który zdechł. Próbowala spuścić go razem z wodą.

- A to był mały pies? - zainteresował się Franklin.

- No, tak. - Oczy kierownika zdawały się zachodzić na siebie. - Kto chciałby spuszczać w ubikacji owczarka niemieckiego?

Trzeci pokój też był pusty. Absolutnie pusty. Ani śladu czyjejś obecności z wyjątkiem zmiętej narzuty na łóżku.

- Jest pan pewien, że ktoś tu powinien mieszkać? - spytał Lucas.

- O tak - odparł kierownik, rozglądając się wkoło z niesmakiem. - Zwiąła, nie płacąc rachunku. Jestem pewien. Zwiąła.

- A więc to ona - oświadczył Lucas. - Wezwijmy techników.

- Czteryście dolców. - Kierownik pokiwał głową.

- Tak, tak, tylko niech pan niczego nie dotyka - mruknął Franklin.

Franklin i Swanson poszli do ostatniego pokoju na ich liście, podczas gdy Lucas rozglądał się po pustym apartamencie. Chwilę później Franklin wrócił.

- Lepiej rzuć okiem na tę dziewczynę.

Ta też pasowała do rysopisu zabójczyni: typ studentki college'u, blond włosy, niebieskie oczy, wysportowana sylwetka, trochę zbyt duże piersi. Lucas ponownie doznał *déjà vu*.

- Znam panią? - spytał.

- Nie - odparła kobieta. Była trochę zła, a jeszcze bardziej wystraszona. - Kim pan jest?

- Zastępcą szefa policji - wyjaśnił Lucas. - Skąd pani przyjechała?

- Z Seattle.

Lucas zauważył obrączkę na jej palcu.

- I jest pani zamężna?

- Tak, i chciałabym wiedzieć...

- Co pani tu robi? Przyjechała pani w interesach?

- O co chodzi? - dopytywała się, okazując coraz mniej strachu, a coraz więcej gniewu.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czy przyjechała tu pani w interesach - powtórzył cierpliwie Lucas.

- Tak, przyjechałam na zjazd periodontyków, hotel Radison.

- Co to jest periodontyka? - spytał Franklin. Był ogromnym czar-noskórym mężczyzną w żółtej marynarce. Zasiał sobą niemal całe drzwi.

- Dział stomatologii. Choroby dziąseł. Jestem dentystką - wyjaśni-ła.

- Dziękuję - powiedział Lucas. Spojrzał na Franklina i potrząsał głową. - Mamy tu pewien problem, detektyw Franklin wszystko pani wyjaśni...

Już na korytarzu Swanson powiedział:

- Działowi szperacze.

- Co?

- Działowi szperacze. Tak periodontystów nazywają inni stoma-tolodzy.

- Naprawdę? Zapamiętam tę cenną informację.

*

Lucas wrócił do pustego pokoju, żeby poczekać na ekipę techniczną. Chciał tylko wiedzieć, czy porcelanowe kurki przy baterii w łazience zostały wytarte. Jeśli tak, to trafili pod właściwy adres, ale znów się spóźnili.

Franklin wyszedł, żeby jeszcze raz sprawdzić ostatni apartament. Po chwili zjawili się dwóch techników, a Lucas powiedział im, o co mu chodzi. Jeden z nich wszedł do łazienki, popatrzył na kurki przy umywalce, wyjął ze swojej torby buteleczkę przypominającą flakonik perfum i spryskał uchwyty stalowoszarym proszkiem. Potem wsunął głowę do umywalki, żeby przyjrzeć się bliżej. Po chwili się wyprostował.

- Wytarte. Czyste jak ła.
- Cholera, wiedziałem - zaklął Lucas.

Pojawił się Franklin.

- Wróciła ta ostatnia pani, z tego pokoju, gdzie wszystko było wywrócone do góry nogami. Ma pięćdziesiątkę i psa. Małego. Zapropo-nowałem, że wrzucę go do klozetu i spuszczę wodę, ale się nie zgodzi-ła.

- W porządku - powiedział Lucas i zwrócił się do techników: - Najprawdopodobniej wytarła cały apartament, ale zaproszujcie, co tylko się da. Jeśli znajdziemy cokolwiek...

- Popatrzcie - przerwał mu drugi technik, który wyszedł z łazienki z małą kostką hotelowego mydła w dłoni.

- Co jest? - spytał Lucas.
- Chyba zapomniała je wytrzeć.

- Co zapomniała wytrzeć? - nie krył zdumienia Mallard.

- Mydło - powtórzył Lucas. - Kostkę mydła.

- Nie można zostawić odcisków na mydle. Było mokre?

- W pewnych okolicznościach można - wyjaśnił Lucas. Jeśli wy-słiznie ci się z dłoni i spadnie na podłogę, a po jakimś czasie przypo-mnisz sobie o nim i podniesiesz je, żeby położyć z powrotem do my-delniczki, to możesz zostawić na nim swoje odciski palców. Tak w każdym razie zakładamy - kostka była z jednego końca spłaszczona i pęknięta, jakby upadła na podłogę.

Najtrudniej było przewieźć to cholerne mydło do komendy, nie zacierając odcisków. Prawdziwy koszmar.

- Jak zamierzacie je zbadać?

- Wsadziliśmy je do lodówki w wydziale identyfikacji.

- Do czego wsadziliście?

Lucas stracił cierpliwość.

- Masz zakłócenia na linii czy co? Ja cię słyszę doskonale.

- Po co wsadziliście je do cholernej lodówki? - spytał Mallard. Zaczynał zachowywać się nieco hałaśliwie jak na faceta o wyglądzie księgowego, nawet jeśli miał gruby kark.

- Zakładamy, że jeśli dostatecznie stwardnieje, to damy radę je zaproszkować i zdjąć odciski palców - wyjaśnił Lucas. - Chodzi o to, że widzimy odciski gołym okiem, ale boimy się cokolwiek z nimi robić. Dmuchniesz na nie i znikną.

- Jezu. Chyba zadzwonię do naszych specjalistów - powiedział Mallard. - Może coś pomogą.

- Dostaliście portret pamięciowy? - spytał Lucas.

- Tak. Porównujemy go z wszystkimi podejrzanymi, z każdym, kto miał coś wspólnego z tymi zabójstwami.

- A ten gość z Wichity? Wciąż handluje towarem?

- Mały dupek - odparł Mallard. - Nadal go obserwujemy, Malone wciąż siedzi tam z chłopakami, ale wierci mi dziurę w brzuchu, bo chce wracać. I jeśli jesteś przekonany, że podejrzana była w Minneapolis, a my wiemy, że Lopez nie był, to ją odwołam,

- Była tu na pewno - potwierdził Lucas.

- W takim razie powiem Malone, żeby zamykała sprawę. Choć nadal nie wierzę, że to kobieta. Tak czy inaczej przekażę dokumenty tego dealera z powrotem do ochrony świadków i pogadam z nimi. Mamy dostatecznie dużo materiałów na ich chłopca, żeby posadzić go na trzysta lat.

- To, że nie wypaliło z Lopezem, nie oznacza wcale, że jakiś trop w Wichicie nie jest właściwy - zauważył Lucas.

- Wiem, i jeśli masz jakiegokolwiek sugestie, to z przyjemnością przekażę je Malone. I tak posiedzi tam jeszcze parę dni.

- Nie mam w tej chwili niczego - przyznał Lucas. - Aha, powiedz swoim chłopakom od identyfikacji, żeby od razu zadzwonili do

naszych; wolę nie myśleć, co się stanie, jak wyciągniemy mydło z pojemnika na warzywa...

- Z czego? - zdziwił się Mallard.
- Z pojemnika w lodówce, gdzie się trzyma sałatę, rzodkiewki i...
- Jezu, nie tłumacz. Tylko mi nie tłumacz.

Facet o imieniu Manuel znalazł Lucasa w wydziale zabójstw. Rozmawiał akurat ze Sloanem.

- Spróbujemy zdjąć odciski palców.
- Dobra.

Lucas i Sloan wstali i poszli do wydziału identyfikacji. Zastali tam czterech ludzi skupionych wokół hipisa z włosami do ramion i długim kolczykiem w uchu. Wyglądał na jakieś szesnaście lat i trzymał w ręku nikona F5 z dziwnym obiektywem. Kostka mydła leżała na biurku, na plastikowym wieczku od pojemnika na żywność.

- Co się dzieje? - spytał Lucas, patrząc na chłopaka.
- Nie zbliżajcie się - uprzedził chłopak. - Jeśli cokolwiek spadnie na mydło, odrobina śliny czy cokolwiek, będzie po wszystkim.

Spoglądał na mydło przez obiektyw aparatu z odległości nie większej niż trzydzieści centymetrów.

- To mój chłopak - mruknął do Lucasa policjant o imieniu Harry.
- Doskonały fotograf. Ma założoną na obiektyw błyskową lampę pierścieniową. Taki flesz. Patrzy na odciski, lampa jest w połowie wygaszona, chodzi o uzyskanie cienia...

- Nie gadajcie - odezwał się chłopak.

Wszyscy umilkli. Lucas już miał otworzyć usta i spytać, czy fotograf wie, co robi, kiedy błysnął flesz, po chwili znowu. Chłopak zrobił dwadzieścia cztery zdjęcia w ciągu pięciu minut, z lampą błyskową i bez, wreszcie przy świetle odbitym, z użyciem płachty cynfolii. Kiedy skończył, popatrzył na Lucasa i powiedział:

- Widziałem je całkiem dobrze. Trzy odciski, lekko zamazane, ale poza tym wyraźne.

- Jak myślisz, zdjąłeś je?
- Jeśli je widziałem, to zdjąłem - odparł chłopak. - Zawiozę film do laboratorium przy Rosedale, w godzinę slajdy będą gotowe. Przydałoby się, żeby obsłużyli mnie poza kolejką.
- To były slajdy?
- Tak, mają lepszą rozdzielczość, to ważne przy skanowaniu... - wyjaśnił chłopak, a widząc zaskoczenie na twarzy Lucasa, dodał: - Zakładałem, że chcecie mieć obraz cyfrowy. Będzie można przesłać go do FBI, a oni od razu zaczną szukać.
- Znajdź kogoś, kto zawiezie chłopaka radiowozem na Rosedale, na światłach i sygnale - zwrócił się Lucas do Sloana. - Powiedzcie pracownikom laboratorium, żeby od razu zaczęli wywoływać film. Musimy go mieć natychmiast. Dostaniesz wynagrodzenie za konsultacje - oświadczył chłopakowi. - Dam ojcu formularz. Jeśli zdjęcia wyjdą.

Chłopak wyszedł ze Sloanem, a Harriet Ashler, główna specjalistka od daktyloskopii, powiedziała:

- W porządku, mydło z powrotem do lodówki, niech jeszcze trochę stwardnieje.

Włożyła mydło do lodówki i wszyscy skupili się wokół chłodziarki - małego brązowego modelu biurowego z dwiema torebkami śniadaniowymi na półce i sokiem jabłkowym w drzwiach. Po trzech minutach Harriet wyjęła kostkę i dotknęła od nieoznakowanej strony.

- Wciąż ładne i twarde - zauważyła. - Spróbujmy.

Technika, jaką ustalili wspólnie z FBI, sprowadzała się do rozpylenia drobnego i suchego grafitu na powierzchni mydła, i zdjęciu odcisków za pomocą kawałka specjalnej taśmy. Ashler rozpyliła proszek na najmniejszy, najmniej wyraźny ślad, potem przykucnęła.

- Taśma.

Ktoś podał jej rolkę. Harriet delikatnie przyłożyła kawałek taśmy do pierwszego odcisku pokrytego cząsteczkami grafitu, a po chwili uniosła go.

- Cholera - powiedziała, przyglądając się z bliska taśmie. Wzięła do ręki szkło powiększające i popatrzyła jeszcze raz.

- Co się stało?

- Nie ma odcisku. - Spojrzała na kostkę. - Drobinki mydła zeszczyły razem z taśmą... odcisk jest całkowicie zniszczony.

- Dobra, chwilowo przerywamy - powiedział Lucas. - Wsadźmy mydło z powrotem do lodówki i jeszcze raz pogadajmy z federalnymi. Może trzeba by przeprowadzić jakiś eksperyment na innej kostce mydła z naszymi odciskami.

Ashler przytaknęła.

- Tak byłoby najlepiej, ale chciałam zrobić to w miarę szybko.

- Może ten genialny chłopak Harry'ego będzie miał więcej szczęścia.

Genialny chłopak Harry'ego miał więcej szczęścia. Sloan osobiście zawiózł go do zakładu fotograficznego, bo lubił jeździć radiowozem na sygnale, i w niespełną godzinę wrócili.

- Cztery wyszły całkiem dobrze - poinformował chłopak. - Jeśli pan Sloan zechce zawieźć mnie do domu, to zeskanuję slajdy i można będzie je od razu przesłać FBI.

Lucas oglądał zdjęcia, trzymając je pod światło. Nie wyglądały może imponująco, ale na pewno lepiej niż odciski, jakie już widywał.

- Harry - zwrócił się do policjanta - twój dzieciak to pieprzony geniusz.

Rinker dotarła do Des Moines krótko po piątej po południu, zameldowała się w Holiday Inn i zadzwoniła do Carmel na jej komórkę.

- Niedobrze - powiedziała Carmel. - Mój gość w komendzie mówi, że mają twoje odciski palców.

- Wytarłam wszystko - zapewniła Rinker, ale wyczuła we własnym głosie niepewność.

- Mówi, że zdjęli je z kostki mydła, którą znaleźli w twoim pokoju w Regency-White - wyjaśniła Carmel. - Chłopcy Davenporta.

- Kostka mydła?

- Tak. Powiedział jeszcze, że przesłali odciski do FBI.

- Oddzwonię potem.

Pamiętała, jak podniosła mydło. Nie przyszło jej do głowy go wytrzeć. Rozłączyła się, zanim Carmel zdążyła cokolwiek powiedzieć, i usiadła na łóżku, starając się zapanować nad sobą. Po policzku spłynęła jej łza. Ten pieprzony Davenport. Odetchnęła trzy razy głęboko, a potem wystukała dziewięciocyfrowy numer.

- Tu Rinker - powiedziała, kiedy odezwał się jakiś mężczyzna. - Wypadam z gry.

Po długiej chwili milczenia mężczyzna spytał:

- Jesteś pewna?

- To sprawa z Minneapolis. Byli u mnie, nawet jeśli o tym nie wiedzą; ale węższą wokół Wichity. Mają już moją podobiznę, jest kiepska, ale to zawsze podobizna, jeden z tych portretów komputerowych. A na dodatek mogą lada chwila zdobyć moje odciski palców.

- Jak to możliwe? - W głosie mężczyzny wyczuwało się niedowierzanie.

- Nie pytaj nawet. Powiedz Drewnianej Głowie, żeby przyjechał do Wichity z pieniędzmi. Chcę oczyścić moje konto bankowe, zmienić tożsamość - reszta dokumentów idzie na przemiał - i zostawić mu papiery. Może przejąć bar i znaleźć nowego szefa; ale wszędzie są moje odciski palców. Niech wyczyści, co się da, ale nie sądzę, by mu się udało.

- A twoje mieszkanie?

- Spróbuję szybko się z tym uporać - odparła. - Ale najpierw je sprawdzę.

- Nie podejrzewałem, że ktoś ma w kartotece twoje odciski palców.

- Nikt nie ma. To dobra wiadomość. Ale są blisko i prędzej czy później poskładają całość do kupy. Nie mogę ryzykować.

- W porządku. Jezu, Claro...

- Tak, wiem. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mogła.

- Gdzie teraz jesteś?

- W Minneapolis. Wyjeżdżam za kilka godzin, muszę tu jeszcze coś załatwić. Ale jak będę jechała przez całą noc, to powinnam dotrzeć do Wichity przed otwarciem banków.

*

Kiedy skończyła, zadzwoniła ponownie do Carmel.

- Zamykam ten rozdział mojego życia - powiedziała. - Jutro o tej porze będę tylko małym fragmentem twojej wyobraźni.

- To znaczy, że... porzucasz bar?

- Wszystko - odparła Rinker. - Słuchaj, wciąż uważasz, że powinniśmy zastosować plan B?

- Wiesz, jak cię złapią albo jeśli mają coś na mnie... chodzi mi o to, że rozwiązałyby to nasze problemy.

- W porządku. Muszę jechać do Wichity. Zobaczymy się pewnie jutro wieczorem.

Wykonała dwa telefony na lotnisko, a potem zadzwoniła po taksówkę. Samochód i bagaże zostawiła w Holiday Inn, ale wzięła broń. Taksówkarz zawiózł ją pod wejście do prywatnych lotów czarterowych, gdzie małym pilot, który wyglądał zbyt młodo na swój fach, czekał w pokoju dla personelu i czytał gazetę.

- Miss Maxwell?

- Tak.

- Miałem dostać jakieś pieniądze.

Wyjęła z torebki dwa tysiące dolarów i wręczyła mu.

- Wylatujemy - powiedziała krótko.

Przybyła do Wichity kilka minut przed północą i pojechała taksówką do baru.

- Hej, Johnny - przywitała się z barmanem.

- Już pani wróciła? - spytał.

- Tak, ale muszę lecieć. Do zobaczenia jutro.

- Randka?

- Coś w tym rodzaju. Zabieram furgon, nie martw się o niego.

- Okej.

Wzięła z zaplecza dwanaście skrzynek po alkoholu i kluczyki do firmowego furgonu, dużego i praktycznego dodge'a. W drodze do domu zatrzymała się przy sklepie i kupiła plastikowe torby na śmieci, a potem zaniosiła je razem ze skrzynkami do swojego mieszkania. Znajdowało się na drugim piętrze, musiała obracać trzy razy, niosąc za każdym razem po cztery skrzynki i stawiając je w kuchni. Kiedy się

z tym uporała, zatrzasnęła za sobą drzwi i zaczęła się pakować.

Starala się nie myśleć: po prostu pakowała rzeczy. Królika ze skarpety, którego zrobiła jej matka, kiedy jeszcze funkcjonowała jako istota ludzka, zanim ojczym Rinker wybił z niej pięściami resztki życia. Dostała go na gwiazdkę, kiedy miała sześć lat; była to najstarsza rzecz, jaką miała. Potem spakowała zdjęcia z innymi tancerkami z kilku barów w okolicy St. Louis, z ludźmi zatrudnionymi w magazynie, gdzie pracowała, gdy już skończyła z tańcem. Spakowała też pierwszy banknot dwudolarowy, jaki znalazł się w kasie baru - zachowali banknot dwudolarowy, bo zapomnieli zachować jednodolarowy.

Pakowanie zabrało jej sporo czasu. Mieszkała tu sześć lat, to miejsce stało się jej domem jak żadne inne. Cały czas nuciła pod nosem. Jak rozniewany trzmiel. „Pieprzony Davenport - powtarzała. - Pieprzony Davenport”.

Kiedy już spakowała wszystko, co miało dla niej jakąś wartość, nie wyłączając książek szkolnych i prac domowych, uświadomiła sobie, że coś musi jednak pozostawić. Nie mogła zabrać ze sobą tego miejsca. Usiadła na łóżku i wygładziła prześcieradło, a potem jeszcze raz przejrzała szuflady w komodzie, gdzie nawet stara bawełniana bielizna stała się nagle cenna...

- Ten pieprzony Davenport...

Tym razem się rozpląkała. Na dobre.

Dziesięć minut później, z zaczerwienionymi oczami, wycierała całe mieszkanie lizolem.

Skończyła przed trzecią trzydzieści nad ranem. Gdyby policja naprawdę przewróciła mieszkanie do góry nogami, może znalazłaby odcisk albo dwa, ale trwałoby to tygodnie. Zniosła ostatnie pudła do furgonetki, zaparkowała kawałek dalej i wróciła do siebie. Jej mieszkanie znajdowało się na końcu korytarza i kiedy się do niego wprowadziła, dokonała drobnej innowacji: zainstalowała bezprzewodowy detektor ruchu tuż nad oknem przy drzwiach wejściowych. Alarm był podłączony do małej konsoli przy jej łóżku i uruchamiał sygnał

dźwiękowy albo pulsujące światelko. Przetawiała urządzenie na sygnał świetlny, położyła pistolety na podłodze obok łóżka i zapadła w niespokojny sen.

Nie przypuszczała, by człowiek w St. Louis chciał ją kiedykolwiek skrzywdzić, na tyle mu ufała. Ale nie do końca. Powiedziała, że ma zamiar wrócić do Wichity przed otwarciem banków. Gdyby zamierzał ją wykończyć i nasłał na nią jednego czy dwóch zbirów, których zawsze miał pod ręką, to z całą pewnością czekali by na nią w mieszkaniu, aż wróci z banku.

Nawet gdyby złapali z St. Louis samolot, to i tak miała nad nimi przewagę kilku godzin. Musiał się z nim wpiery skontaktować, załatwić przelot, a jeśli jechali samochodem, to mogła spodziewać się nieproszonych gości najwcześniej około szóstej rano.

Działał jednak szybko. Zjawili się o piątej.

Miała wrażenie, że obudziła się sekundę przed uruchomieniem alarmu. Usiadła na łóżku, światelko migotało jej prosto w twarz. Wyłączyła je czym prędzej i spojrzała na zegarek elektroniczny. Pięć po piątej. Zerwała się na równe nogi, podniosła z podłogi pistolety, odbezpieczyła i ruszyła do kuchni, ostrożnie, by niczego nie potrącić, nie wywołać najsłabszych nawet wibracji, posuwała się bezgłośnie na bosaka. Nie zdjęła jeszcze rękawiczek gumowych, czuła je na swoich dłoniach, wydawały się gorące i lepkie. Miały barwę kości słoniowej, widziała je lepiej niż własne ręce. Przypominały dwie odcięte pięści, płynące bezszelestnie przez mrok.

Ktokolwiek był w holu, zawahał się na chwilę. Wśliznęła się do garderoby z przesuwanymi drzwiami. Nie zamknęła ich do końca i schowała się za ich skrzydłem, przez szparę obserwowała wnętrze mieszkania. Po chwili osobnik na korytarzu zapukał i zawołał cicho jej imię: „Clara? Clara?”. Znów delikatne pukanie, a potem zgrzyt klucza w zamku.

Miał klucz, co oznaczało, że człowiek z St. Louis dorobił zapasowy. Nieostrożność. Zostawiała klucze wszędzie, klucze do wszystkiego. Martwiła się, że jej system zabezpieczeń ma więcej słabych punktów, o których nawet nie wiedziała. Po chwili przestała sobie zawracać tym głowę i skupiła się na ciężarce broni trzymanej w ręku.

*

Drzwi otworzyły się niczym czerniejący cień i do środka wszedł jakiś mężczyzna; znajdował się jakieś pół metra od niej, mogła więc dostrzec, że trzyma coś w prawej dłoni. Zorientowała się, że to broń. Uniosła pistolet, gotowa strzelić, kiedy mężczyzna wyszeptał - brzmiało to jak najcichsze tchnienie:

- Spokojnie...

Pomyślała, że zwraca się do niej, i prawie otworzyła usta, by odpowiedzieć, kiedy usłyszała jakiś cichy ruch - a przecież mężczyzna, którego widziała, stał w miejscu. Było ich dwóch.

Pierwszy skierował kroki do sypialni, podczas gdy drugi przeszedł bezszelestnie przez salon do drugiej sypialni, gdzie Rinker oglądała telewizję i urządziła sobie domowy gabinet. Po długiej chwili ciszy mężczyzna z pierwszej sypialni wrócił i ruszył do drugiej, z której właśnie wyszedł jego towarzysz.

- Jeszcze jej nie ma - powiedział cicho.

- W takim razie poczekamy, aż zadzwoni Drewniana Głowa - oświadczył pierwszy.

- Po ciemku?

- Tak, na wypadek gdyby przyszła.

- Ledwo stoję na nogach - oświadczył drugi. - Walnę się na kanapę, jeśli to jest kanapa.

Drugi mężczyzna położył się na kanapie; pierwszy usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Rinker nigdy nie pozwalała u siebie palić. Drugi odezwał się z kanapy:

- A jak poczuje dym?

- Cholera - zaklął pierwszy i rzucił niedopałek na drewnianą podłogę i przydeptał butem. Sama wycyklinowała i polakierowała deski. Gest mężczyzny niemal sprowokował ją do działania.

- Widziałeś kiedyś tę dziewczuchę? - spytał któryś.

- Chyba raz. Ma niezłą figurę.

- Nasz Facet chyba się jej trochę boi. Rozumiesz, załatwcie ją szybko, nie dajcie jej szans.

- Nigdy nie widziałem babki, która mogłaby mnie załatwić - wyznał drugi. - Powiem ci coś. Jeśli to ta, o której myślę, to chętnie bym ją najpierw przeleciał.

- Daj sobie spokój. Jeśli Facet jest nerwowy, to nie po to tu przyszliśmy, żeby się pieprzyć.
- Racja.
- A teraz się zamknij, chcę się zdrzemnąć.
- Nasłuchuj strażów - poradził drugi. - Będziesz wiedział, że wróciła.

Pięć minut później Rinker usłyszała dobiegający od strony kanapy pierwszy, niepewny odgłos chrapania; mężczyzna w fotelu siedział nieporuszony, o ile mogła się zorientować. Trwali tak przez pięć minut, mężczyzna na kanapie oddychał coraz głębiej, chrapał coraz rytmiczniej; potem mężczyzna w fotelu wstał, zapalił papierosa i ruszył w jej stronę. Wcisnęła się głębiej w mrok garderoby. Kiedy przeszedł obok, niemal ocierając się ramieniem o rozsuwane drzwi, obróciła się bokiem i wyszła z szafy niemal tanecznym krokiem, unosząc jednocześnie lewe ramię. Nie zdążył jej usłyszeć ani zobaczyć, domyślić się w jakikolwiek sposób jej obecności. Strzeliła mu dwa razy w potylicę i zrobiła trzy szybkie kroki w kierunku kanapy. Śpiący mężczyzna zachrapał głośniejsze, kiedy pierwszy upadł na podłogę; mógł się w każdej chwili obudzić. Rinker strzeliła mu dwa razy w czoło.

Światło.

Zapaliła je. Mężczyzna na podłodze krwawił wprost na winylową wykładzinę. Mogła sobie z tym poradzić. Drugi nie krwawił za mocno, miał tylko nad brwiami dwie małe czerwone banieczki: pociski nigdy nie przechodziły na wylot.

Pomyślała, że musi się spieszyć. Niebo za oknem zdawało się przejaśniać, nadchodził letni świt. Pobiegnęła do kuchni, chwyciła rolkę ręcznika papierowego i zakryła rany na głowie mężczyzny. Zatrzymać krwawienie, pozostawić jak najmniej śladów. Tylne okno wychodziło na miejski kontener, miała nadzieję, że otworzy się dostatecznie szeroko. Zaciągnęła zwłoki z kanapy pod okno, otworzyła je, z trudem wcisnęła ciało w otwór okienny, rozejrzała się wkoło i pchnęła je w dół. Mężczyzna uderzył o asfalt z głuchym, stłumionym łomotem.

Drugi, ten na winylowej wykładzinie, był niższy, poszło jej z nim

znacznie łatwiej niż z pierwszym; upadek, zamortyzowany przez człowieka leżącego już na asfalcie, był o wiele łagodniejszy.

Świadoma, że pod jej oknem leżą dwa trupy, pobiegła jak najciszej do furgonetki, cofnęła ją pod sam kontener i wciągnęła oba ciała do budy z tyłu.

Była zmęczona. Wyższy z mężczyzn ważył ze sto kilo, może nawet więcej. Miała z nim mnóstwo roboty. Siedziała przez chwilę w kabinie furgonetki, dysząc ciężko, potem ruszyła. Dziesięć minut później znalazła się już za miastem, a po piętnastu jechała wolno jednopasmowym traktem, który biegł wzdłuż strumienia. Pamiętała to miejsce z jakiejś wycieczki; pamiętała też nieogrodzone pole kukurydzy, które graniczyło z traktem.

Świtało już, gdy przeciągała trupy mężczyzn przez pas chwastów w głąb pola. Przy odrobinie szczęścia nikt by ich nie znalazł aż do października, kiedy zbierano kukurydzę. Przed odjazdem zabrała ich portfele, schowała do kieszeni pieniądze - razem trochę ponad tysiąc dolarów - i prawa jazdy. W drodze powrotnej, co dwieście metrów, wyrzucała przez okno dokumenty znalezione w portfelach, małe anonimowe skrawki papieru. Kiedy dotarła do miasta, zatrzymała się przy jakimś śmietniku i pozbyła się także dwóch pustych portfeli.

Załatwione.

Z powrotem do mieszkania. Trochę po szóstej rano; niespełna trzy godziny przed otwarciem banków. Wycierała wszystko, zastanawiając się, na co wyda te pieniądze. Czyściła starannie każdy wieszak, każdą puszkę coli, każdy pojemnik i butelkę w szafkach i lodówce. Na koniec zostawiła dwie wiadomości - pierwszą dla właściciela mieszkania:

„Przepraszam, Larry, że zrywam umowę, ale dostałeś czynsz za poprzedni miesiąc, poza tym jestem pewna, że szybko znajdziesz nowego najemcę. Mam poważne problemy ze swoim byłym - jeśli dupiek mnie znajdzie, wpadnę w tarapaty - dlatego muszę się wynosić. Możesz zatrzymać meble i całą resztę w zamian za aktualny czynsz. Jeszcze raz przepraszam, niech ci się powodzi w życiu. Clara”.

Właściciel był chciwy, doskonale wiedziała, że zabierze meble w

dziesięć minut po otrzymaniu tego listu. Gdyby szybko znalazł nowego najemcę, tym lepiej, pojawiłyby się nowe odciski palców.

Drugą kartkę wsadziła do koperty i zakleiła. Nabazgrała na niej imię faceta z St. Louis, a pod spodem dopisała: „Do rąk własnych”.

Wizyta w banku trwała pięć minut, Rinker spędziła je w zamkniętej kabinie. Większość czasu zabrało jej wycieranie stalowego pudełka na kosztowności, resztę przekładanie stu osiemdziesięciu tysięcy dolarów do brązowej papierowej torby. Miała też tekturową teczkę, do której schowała najpewniejsze awaryjne dokumenty: karty kredytowe, prawo jazdy z Missouri, paszport, wreszcie ważne tablice rejestracyjne i papiery wozu.

A także umowę potwierdzającą sprzedaż baru Jamesowi Larimore'owi - Drewnianej Głowie - za sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Uczciwa cena sprzed sześciu lat, kiedy kupiła lokal, sprzedany dwa miesiące później. Sprzedaż była wyłącznie na papierze, choć spełniała wszelkie nakazane prawem warunki. Dopóki Drewniana Głowa nie miał aktu kupna w ręku, Rinker była właścicielem. Teraz miał przejąć bar; robił na tym dobry interes.

Drewniana Głowa czekał w barze, na zapleczu. Miał łepetynę wielką jak piłka do siatkówki, drobne, delikatne rysy i wąskie oczy osadzone pośrodku twarzy. Przyniósł ze sobą teczkę.

- A teraz posłuchaj - zwróciła się do niego Rinker. - Pójdiesz sobie na spacer, żebyś nie widział, co robię. Potem wezmę butelkę lizolu i wytrę wszystko w biurze, razem ze schodami. Wyjmę wszystkie dokumenty, jakich będziesz potrzebował, i odbijemy je na ksero. Jest tego nie więcej niż pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stron. Nie chcę zostawić po sobie żadnych odcisków.

- Kiedy mam wrócić?

- Daj mi godzinę. Idź do cukierni naprzeciwko i poczytaj gazetę. W razie czego cię znajdę.

- Okej.

- Robicie dobry interes - zauważyła Rinker i wręczyła mu umowę kupna. - Masz, poczytaj sobie przy pączku. Ten lokal jest wart o wiele więcej.

- Bierzemy na siebie ryzyko - mruknął. - Kryjemy cię.

- Dokładnie wyczyścicie bar po moim wyjeździe - powiedziała. - Kiedy się zjawi policja - jeśli się zjawi - to lepiej dla ciebie, byś nie miał ze mną nic wspólnego. Zostawiłam właścicielowi mieszkania wiadomość, że mam problemy z byłym mężem. Możesz im powtórzyć, że ci to powiedziałam.

- Słabe - pokręcił głową.

- I co z tego? Lepsze niż nic. Gliny i tak będą zakładać, że leżą gdzieś zakopana na polu kukurydzy.

Drewniana Głowa wyraźnie unikał jej wzroku. Wie o dwóch facetach w mieszkaniu, pomyślała.

- Dobra - powiedział. - Wróć za godzinę.

W barze zrobiła to samo co w mieszkaniu: wytarła wszystko, kserowała w gumowych rękawiczkach, zrobiła odbitki ważnych dokumentów, rzeczy zbędne wrzuciła do plastikowych toreb na śmieci i popłakała sobie przez chwilę. Kiedy Drewniana Głowa wrócił, była gotowa do wyjazdu.

- Jeszcze jedno - przypomniała sobie. - Daj tę kopertę Facetowi. Do rąk własnych.

Wręczyła mu zaklejoną kopertę, wzięła walizkę i rozejrzała się ostatni raz po barze.

- Wracasz do mieszkania? - spytał.

- Tak. Też muszę je posprzątać - odparła. - Ale kto wie? Może gliny nigdy tam nie trafią?

Spojrzała na zegarek: prawie dziesiąta. Pilot miał czekać do południa. Mnóstwo czasu.

- Forsa jest w porządku - oświadczył na pożegnanie. - Baw się dobrze.

Przystanęła w drzwiach i wlepiła w niego wzrok.

- Wiesz, czym się zajmuję? Z czego żyję?

- Mniej więcej.

- To potraktujesz moje słowa poważnie: jeśli forsa nie jest czysta, to się spotkamy.

I zniknęła.

Drewniana Głowa wszedł do głównej sali baru i patrzył przez okno, jak Rinker wsiada do poobijanego furgonu i odjeżdża.

Potem podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer w Los Angeles i połączył się przez centralę z St. Louis.

- Tak?

- To ja. Jedzie do swojego mieszkania.

- Okej. Dałeś jej pieniądze?

- Tak. Powiedziała, że jak nie są czyste, to się spotkamy.

- Nie masz o co się martwić, za pięć minut będzie po sprawie - uspokoił go Facet.

- Tak czy inaczej są czyste - zauważył Drewniana Głowa. - Zapomniałbym, zostawiła dla ciebie kopertę.

- Co w niej jest?

- Nie mam pojęcia. - Obejrzał kopertę pod światło. - Jest zaklejona, z dopiskiem „Do rąk własnych”.

- Otwórz to draństwo.

Drewniana Głowa rozdarł kopertę i wytrząsnął z niej kartkę i dwa prawa jazdy. Nazwiska na dokumentach nic mu nie mówiły.

- W środku jest kartka. „Tym razem ci daruję. Spróbuj jeszcze raz, a wpadnę do ciebie z wizytą” - przeczytał. - I dwa prawa jazdy. Na nazwiska...

- Znam nazwiska, nie musisz ich wymieniać - rzucił ze złością Facet.

Zapadła cisza.

- Jesteś tam? - spytał po długiej chwili Drewniana Głowa.

- Tak. - Znów cisza, a po chwili: - Słuchaj, jesteś pewien, że ta forsa była czysta?

Drewniana Głowa skinął, patrząc na telefon.

- Tak, tak, czysta, z funduszu na działalność polityczną.

- To dobrze. - Facet westchnął. Sprawiał wrażenie trochę roztrzęsionego. - To cholernie dobrze.

21

Rinker podjechała furgonem na wysypisko śmieci, wyrzuciła torby, wytarła wnętrze wozu i zostawiła go na lotnisku. Pilot, wyglądający na trochę zaspanego, siedział w sali czarterów i czytał stary

egzemplarz „Fortune”. Zobaczył ją, pomógł zanieść trzy duże walizy do samolotu i polecieł do Des Moines. Dotarli na miejsce jeszcze przed wieczorem.

- Podwieźć panią? - spytał, kiedy wylądowali.

- Dziękuję, to miło z pana strony. Holiday Inn...

Po drodze próbował ją łagodnie poderwać; odmówiła z wdziękiem. Zostawił ją w motelu, gdzie się wymeldowała, wsiadła do samochodu i odszukała sklep z perukami.

- Moja mama przechodzi właśnie chemioterapię i włosy zaczynają jej wypadać - poinformowała sprzedawczynię, która spojrzała na nią ze smutkiem.

- Przykro mi - wyznała serdecznym tonem kobieta i poklepała Rinker po ramieniu. - Byłoby jednak lepiej, gdyby przyszła do przymiarki.

- Naprawdę nie może - wyjaśniła Rinker. - Jest prawie taka sama jak ja, tylko głowę ma trochę większą w obwodzie, jakieś pół centymetra. Zostało jej trochę włosów. Potrzebuje czegoś dużego, co zasłoni całą głowę, razem z włosami.

- Jakież życzenia co do koloru?

- Rozmawialiśmy o tym, mama chce mieć perukę w swoim naturalnym kolorze, to znaczy popielatym - odparła Rinker. - Nie musi to być nic specjalnego, chodzi tylko o przejazd ze szpitala do domu i z powrotem. Jak już wypadną jej wszystkie włosy, kupimy inną...

- Pozwoli pani, że pokażę naszą kolekcję na jesień...

Rinker wybrała perukę z jesiennej kolekcji, podziękowała miłej sprzedawczyni, znalazła zakład fryzjerski obsługujący klientów na poczekaniu i weszła do środka. Godzinę później, ostrzyżona na punka, w okularach ze zwykłymi szklami w plastikowych oprawkach, wsiadła z powrotem do samochodu i ruszyła trasą 1-35 w stronę Minneapolis.

Mallard zadzwonił do Lucasa tego samego popołudnia i przekazał mu niepomysłne wieści. Badania daktyloskopijne nie dały rezultatów.

- Spróbujemy jeszcze pokombinować coś z komputerem, ale nie

wygląda to najlepiej - przyznał agent. - Mogę się założyć, że nigdy nie zdjęto jej odcisków.

- Cholera - zaklął Lucas. - Zawsze się nam wymyka. Przysięgam, na lotnisku spóźniliśmy się o pół godziny, może kwadrans.

- Ale już pukamy do jej drzwi - zauważył Mallard. - Mamy na nią co nieco, więcej niż nam się kiedykolwiek marzyło. Teraz to tylko kwestia czasu.

Tego samego wieczoru Hale Allen siedział nagi na brzegu łóżka w swoim domu, włosy miał wilgotne i zmierzwiłone po akcie miłosnym i prysznicu. Przyglądał się uważnie w świetle nocnej lampki palcom u stóp i obcinał paznokcie, nucąc pod nosem. Ilekroć obcinacz wydawał metaliczny odgłos, Carmel wzdrygała się, a Hale mówił wtedy głośno do siebie:

- Mam cię. Niezła sztuka.

Carmel próbowała zatkać sobie uszy palcami, ale nic to nie pomagało. Miała już zsunąć się z łóżka, kiedy odezwał się w jej torebce magiczny telefon komórkowy. Podczołgała się na skraj, sięgnęła do torebki, wygrzebała komórkę, położyła się na plecach i odebrała.

- Wróciłam - powiedziała Rinker.

- Gdzie jesteś? - spytała Carmel.

Allen popatrzył na nią, a ona wymówiła bezgłośnie: „Przepraszam, sprawy służbowe”. Uśmiechnął się i przysunął się do niej, rozsuwając jej nogi; nie bronila mu.

- W hotelu obok lotniska.

- Niebezpieczne - zauważyła Carmel.

Allen zniżył głowę i zaczął ją skubać ustami.

- Zmieniłam wygląd. Całkowicie - odparła Rinker. - Nie ma problemu. Pytanie, czy przechodzimy do planu B.

- Myślałam o tym - przyznała Carmel, przesuwając palcami po włosach Allena. - Dla ciebie nie miałyby to chyba większego znaczenia, ale mnie zapewniłoby spokój. Raz na zawsze.

- Dla mnie to też ważne - zapewniła ją Rinker. - Tyle że nie mogłabym tego zrobić sama. Nie znam szczegółów...

- Nie możesz zrobić tego sama - przerwała jej Carmel i pociągnęła delikatnie Allena za ucho, kierując go odrobinę w lewo. - Pomogę ci.
 - Możesz mówić?
 - Tak. Ale mam akurat coś do roboty, trudno mi przekazać szczegóły... Zadzwoń do mnie jutro rano około dziesiątej.
 - Jesteś z kimś?
 - Tak.
 - To Hale Allen?
 - Zgadłś.
 - Pogadamy jutro - powiedziała na pożegnanie Rinker.
- Kiedy się rozłączyły, Carmel zwróciła się do Hale'a:
- Hej, ty, chodź tu do mnie.
 - Podoba mi się tu, gdzie jestem. Pachniesz chlebem. Trzepnęła go po głowie.
 - Au, za co?
 - To nie było romantyczne, jak na przykład francuski rogalik czy coś w tym rodzaju.
 - Tylko żartowałem - tłumaczył, trzymając się za ucho; uderzyła go trochę mocniej, niż zamierzała.
- Uśmiechnęła się.
- No dobra, przepraszam. Chodź tu wyżej, pocieszę cię.

Sherrill siedziała w swoim samochodzie, przecnicę przed domem Allena. Odezwał się nadajnik, wzięła go do ręki i spytała:

- Tak?
 - Zapaliło się światło w salonie.
 - Dzięki Bogu. Może coś jeszcze pozostało z biednego Allena.
- Facet po drugiej stronie parsknął śmiechem.
- Zabieramy ją do domu, jeśli chcesz przyłączyć się do kawalkady.
 - Będę dwie przecznice za wami.
- Odłożyła nadajnik, wzięła telefon komórkowy i wystukała z pamięci numer Lucasa. Odebrał po pierwszym sygnale.
- Zajęty lekturą? - spytała bez zbędnych wstępów.

- Tak.
- Trzeba będzie chyba odwieźć Carmel do domu - poinformowała go Sherrill. - Jezu, jak oni tak mogą? To nieprzyzwoite.
- I nic? Nie zrobiła żadnego ruchu?
- Nic. Cholera, Lucas, może przegapiliśmy szansę.
- Wiem, ale musimy to jeszcze trochę pociągnąć.
- Czuję się odrobinę samotna - wyznała.
- Ja też - powiedział Lucas. - Ale nie zamierzam cię zapraszać.
- I tak bym nie przyjechała.
- To dobrze dla nas obojga.

Milczeli przez chwilę, wreszcie Sherrill rzekła, wzdychając:

- Chyba tak. Do zobaczenia jutro.

Dziesięć minut później w drzwiach budynku ukazała się Carmel i podeszła szybkim krokiem do swojego samochodu. Odrobinę za szybko, pomyślała Sherrill. Oczywiście, wszystko, co robiła Carmel, miało nieco teatralny charakter; wykluczone, by wiedziała, że zarzucili na nią sieć...

Następny dzień przypominał piekło: Lucas zadzwonił do Mallarda, który nie miał żadnych nowych informacji, i z sześć razy kontrolował policjantów śledzących Carmel, denerwując się na wszystkich.

Carmel dwa razy rozmawiała z Rinker przez telefon komórkowy. „Do zobaczenia o dziesiątej piętnaście”, powiedziała.

Do domu wróciła jak zwykle o szóstej; zadzwoniła o wpół do siódmej do Hale'a Allena i powiedziała mu, że musi wieczorem pracować nad sprawą Al-Balaha.

- Muszę pojechać do biura. Jenkins zdecydował, że policja może posłużyć się oponą jako dowodem. Spróbuję opracować odwołanie od tej decyzji.

- No dobrze - odparł Allen, a Carmel zdawało się, że dosłyszała nutkę ulgi w jego głosie. - Kiedy się zobaczymy? We czwartek?

- Może uda nam się zjeść jutro lunch... zadzwonię jeszcze dziś wieczorem.

- Pogadamy - powiedział.

Carmel zdjęła elegancki kostium i włożyła białą koszulę z krótkimi rękawami, džinsy, tenisówki i lekką czerwoną marynarkę. Do teczki wsadziła czarny dres. Był lipiec, pamiętała jednak, że to Minnesota. Nie miała ochoty na jedzenie, lecz podgrzała kurczaka w mikrofalówce, a potem usiadła z talerzem przy oknie i popatrzyła na miasto. Jeśli obserwowali ją z pobliskich budynków, musieli ją teraz widzieć.

Skończyła jeść, wrzuciła resztki obiadu do śmieci, podeszła do biurka, odłączyła małą sekretarkę automatyczną i schowała ją do teczki z dressem. Krótco po siódmej zjechała na dół windą i wyszła z budynku, spoglądając na zegarek. Nie była pewna, czy ją obserwują, ale przypuszczała, że tak. Z trudem się powstrzymywała, żeby nie poszukać ich wzrokiem. Drogę do biura pokonała na piechotę, korzystając z pięknego wieczoru. Otworzyła kluczem drzwi wejściowe, zameldowała się przy biurku ochrony i wjechała windą na górę.

W biurze panowała cisza, paliły się tylko małe lampki na korytarzu. Zapaliła światło w bibliotece i w gabinecie, włączyła komputer i zabrała się do pracy. Jenkins, sędzia prowadzący sprawę, zarządził, że policja może wykorzystać koło zapasowe należące do Raszida al-Balaha, niestety, znajdowała się na nim krew. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że policja dysponowała wozem i kołem niemal od miesiąca, kiedy znaleziono ślady krwi, na dodatek wykorzystywała je w śledztwie, Carmel więc dowodziła, że krew mogła należeć do każdego; wiadomo, jak nieprecyzyjne bywają testy DNA. A nawet jeśli wóz należał do Tricka Bentoina, to przecież Bentoin mógł się skaleczyć, zanim zniknął, a tym samym nie mógł zeznawać...

Utknęła w miejscu, krążąc między biblioteką a gabinetem, i niemal podskoczyła, kiedy wpadła znienacka na strażnika.

- Witam, panno Loan.

- Jezu, Phil, wystraszyłeś mnie na śmierć - zawołała.

- Robię obchód... będzie pani tu siedzieć do późna?

Już wyczuwała zapach alkoholu. Phil pił od dawna, ale potrafił zwalić pod stół znacznie młodszych od siebie.

- Prawdopodobnie. Mam jutro ciężką sprawę.

- Powodzenia - rzucił i poczłapał w stronę wyjścia.

Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi i trzask zamka. Spojrzała na zegarek: dwadzieścia minut. Czas ruszać.

Wyjęła z teczki teletelegrafkę, zaniósła do biblioteki i podłączyła do telefonu. Wróciła do gabinetu i włożyła czarną bluzę od dressu. Zostawiła komputer na chodzie i włączyła małą wieżę stereo, która odtwarzała automatycznie trzy kompaktki na zmianę, potem przerzuciła czerwoną marynarkę przez oparcie krzesła.

Gotowe.

Przy budynku był pięciokondygnacyjny parking. Carmel wyszła z biura, upewniła się, że strażnik poszedł dalej, i podbiegła szybko do drzwi od klatki schodowej na końcu korytarza, a potem ruszyła przedko w dół. Policjanci mogli obserwować każdy wjazd i wyjazd z parkingu, ale nie byli w stanie obstawić całego garażu, przekonywała samą siebie. W przeciwnym razie była załatwiona...

Nie myliła się jednak. Wyjrzała ostrożnie przez drzwi na czwartej kondygnacji i nikogo nie dostrzegła. Przy wyjeździe parkował tylko jakiś pojedynczy samochód, czerwony pontiak, ale widziała go już wcześniej. Ani śladu gliniarzy. Ponownie spojrzała na zegarek: jedna minuta. Odczekała, nasłuchując odgłosów w betonowych korytarzach budynku, i weszła do garażu.

Znajdowała się teraz w jedynym miejscu, gdzie była całkowicie widoczna: przemierzyła szybko kondygnację i schroniła się w wąskim, spiralnym zjeździe. Usłyszała samochód jadący z dołu. To musi być Pam, pomyślała. Nasłuchiwała, a gdy wóz skręcił w podjazd, skinęła głową. Po chwili się pojawił. Przez przednią szybę patrzyła na nią jakaś starsza szarowłosa kobieta. Carmel cofnęła się odruchowo, ale po chwili zobaczyła dłoń, która ku niej machała.

- Wsiadaj.

- To ty?

Samochód zatrzymał się na pół sekundy. Carmel wskoczyła na tylne siedzenie, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi.

- Właż pod koc - nakazała Rinker.

Carmel już zsuwała się na podłogę. Naciągnęła koc na nogi oraz dolną część ciała i znieruchomiła. Wjazd i wyjazd z garażu znajdowały

się po przeciwległych stronach budynku i nawet o tak późnej porze panował tu mały ruch. Przy odrobinie szczęścia policjanci pilnujący wyjazdu - jeśli w ogóle tam byli - nie zajmowali się liczeniem samochodów, a ci pilnujący wyjazdu nie zwrócili uwagi na dziwny fakt, że siwowłosa starsza pani w japońskim samochodzie wjechała do garażu z jednej strony, a po chwili wyjechała z drugiej.

Carmel usłyszała, jak Rinker spuszcza szybę po swojej stronie. Parkingowy w budce powiedział coś niewyraźnie i po chwili samochód wyjechał na ulicę.

- Możesz położyć się na siedzeniu, ale nie siadaj jeszcze - odezwała się po minucie Rinker. - Przejadę się bocznymi uliczkami i sprawdzę, czy nikt się za nami nie ciągnie.

- Jeśli ktoś za nami jedzie, to trzeba będzie wiać - zauważyła wesoło Carmel.

- Dobra, ale nie wychylaj się jeszcze przez kilka minut.

Rinker nie miała pojęcia, jak zmylić jadący z tyłu samochód, ale widziała dostatecznie dużo policyjnych filmów w telewizji, by orientować się, że gliniarze mogą być przed nią, obok i z tyłu. Skręciła na most przy Washington Avenue, chcąc w ten sposób pozbyć się tych z boku, potem ruszyła pod prąd jednokierunkową ulicą, by wyeliminować tych z przodu, wreszcie popędziła szeroką jednokierunkową aleją przez okolice magazynów, wypatrując ogona. Nie dostrzegła nikogo. Zrobiła wszystko, co mogła, nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Nic więcej nie wymyślę - powiedziała.

- Ja też nie - odparła Carmel. - Zatrzymaj wóz, przesiądę się.

Max Butry pochodził z rodu dobrych, twardych gliniarzy; jego ojciec też służył w policji i wpajał synowi twardość od najmłodszych lat. „Nie przeżyjesz długo na ulicy... - mawiał stary, po czym wygłaszał teorię na temat pewnego aspektu męskości, z którym Max miał kłopoty. - Nie przeżyjesz długo na ulicy, jeśli nie będziesz od razu działał. A jak jakiś ćpun będzie miał kosę, to co? Musisz błyskawicznie ruszać na tych chłopaków”.

I ojciec ruszał na niego, pokazywał, jak zwalić faceta na ziemię, a tym samym pieprzyć wszystkie kosy tych ćpunów.

Butry poszedł z naukami ojca do policji; tej nocy, pamiętając o nich, znalazł się na dworcu autobusowym. Jego pracownik zgłosił, że dwaj goście palą trawkę w kiblu i że zrobiło się gęsto od dymu, w związku z czym nikt nie może się odlać. Nim Butry jednak zjawił się na miejscu, palacze zniknęli, toteż zawrócił i wypadł z powrotem na ulicę.

Trzech chłopaków z deskorolkami ćwiczyło zeskoki z kwietnika na chodnik. Nie było to nic nielegalnego, ale Butry uważał deski za jeden z objawów upadku amerykańskiej cywilizacji, a siebie, za sprawą odznaki policyjnej, za jeden z filarów owej cywilizacji. „Nie muszą szanować człowieka, cholera, nawet cię pewnie nie znają, ale muszą szanować odznakę - powiedział ojciec. - Jak jej nie szanują, to kraj zaczyna się zapadać. Popatrz tylko, co mają z czarnuchami w Chicago. W Chicago są miejsca, gdzie nawet nie możesz pokazać odznaki, bo jakiś czarnuch cię pokroi niczym indyka na Boże Narodzenie. A wiesz, kiedy to się zaczęło? Kiedy pierwszy pieprzony czarnuch zobaczył odznakę i nie okazał szacunku, a nikt go za to nie załatwił. Rozniosło się, że tak można, i zaraz potem kraj zaczął podupadać. Kapujesz? Hej?”.

Czarnuchy, deskorolkowcy, emigranci, cholerni yuppies, wszyscy z jednej gliny. Ludzie niemający dla nikogo ani niczego szacunku. Butry ruszył w stronę chłopaków. Jeden z nich, najtwardszy z wyglądu, tak na oko szesnastolatek, w obszernych spodniach, z portfelem na łańcuszku i tatuażem na przedramieniu, zobaczył Butry'ego, a w jego spojrzeniu nie było nawet odrobiny szacunku.

- Hej, palanty, zabierajcie się z tymi deskami. To dworzec autobusowy, nie boisko - powiedział Butry.

- Pieprz się, dupku - zbył go najstarszy.

Butry wyjął jedną ręką odznakę, a drugą broń, za co mógłby zostać wylany z roboty, gdyby ktoś przypadkiem zobaczył, jak wcześniej sięgnął po spluwę.

- Jestem pieprzonym gliniarzem, mądralo. Widzisz odznakę? A teraz siadajcie na ziemi z rękami na głowach, wszyscy trzej.

Najmniejszy z chłopaków, który mógł mieć jakieś czternaście lat i

wyglądał, jakby nie jadł od kilku miesięcy - zapadnięte policzki, wygłodniały wzrok - powiedział:

- Pieprz się, grubasie. - Podciągnął podkoszulek, obnażając brzuch i pokazując sześć koleczyków, które przebijały mu skórę w okolicy pępka. - Chcesz mnie kropnąć? No to kropnij, ty dupku.

Butry był szybki, szybszy niż dzieciak, którego refleks mógł przytępić głód: wysunął błyskawicznie dłoń, otwartą, ale ciężką jak młot, i jednym uderzeniem zwałił chłopaka z nóg.

- Na cholerne kolana - wrzasnął. - Na cholerne...

Uświadomił sobie w ostatniej chwili, że coś jest nie tak, ale było za późno. Chłopak podniósł się z ziemi, podskoczył na swoich zniszczonych adidasach, a w jego dłoni wycelowanej prosto w nos policjanta tkwił nędzny, dwulufowy colt, z którego nie dało się trafić w cel z odległości mniejszej niż dwa metry, i sekundę później pocisk kalibru .45 przeszedł przez grzbiet nosa Butry'ego i wyleciał z tyłu jego czaszki.

Ojciec zapomniał mu powiedzieć, że nie należy opieprzać się z ludźmi, którzy nie mają nic do stracenia.

Trzej deskorolkowcy zastęgli na dźwięk strzału i widok padającego policjanta; po chwili najstarszy wyszeptał chrapliwie: „Wiejemy”, po czym chwycili deski i rzucili się biegiem przez ulicę między jadącymi samochodami, jak wataha wygłodniałych terierów.

Sherrill i Black siedzieli skuleni w jej wozie, Sherrill rozmawiała właśnie przez komórkę z Lucasem, kiedy zaskrzeczał nadajnik. „Chwileczkę”, powiedziała do Lucasa, i nagle dyspozytor zaczął coś mówić krzykliwym głosem o policjancie, którego zastrzelono na dworcu autobusowym, trzech mężczyźni uciekają, każdy, kto jest akurat wolny, nich tam jedzie i szuka trzech młodych chłopaków, prawdopodobnie z deskorolkami, widziano ich ostatni raz biegnących w stronę Loring Park...

- Mamy wezwanie, zastrzelono policjanta, jedziemy - rzuciła pośpiesznie w słuchawkę Sherrill i nakazała Blackowi: - Jazda!

Ale Black już pędził przed siebie.

*

- Posłuchaj, Pam... - zaczęła Carmel.
- Clara - przerwała jej Rinker. - Tak naprawdę na imię mam Clara. Jestem Clara Rinker.
- Clara? - Carmel przez chwilę oswajała się z tym słowem. - Podobają mi się. Clara. Lepsze niż Pam.
- Mówiłaś w każdym razie...
- Patrzysz na to z niewłaściwego punktu widzenia. Ludzie zawsze mieli prawo zabijać w samoobronie i to właśnie robimy, moja droga. Próbuje się bronić: Davenport wpakował nas w tę sytuację i nie mamy wielkiego wyboru. Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, jak mogłaś zabijać dla pieniędzy i uważać, że wszystko jest w porządku, skoro teraz nie chcesz zabijać w samoobronie, bo się boisz wyrzutów sumienia.
- Chyba dlatego, że znam tych ludzi albo przynajmniej wiem coś o nich - tłumaczyła Rinker. - To nie dranie, którzy na to zasłużyli. To po prostu ludzie, którzy przypadkowo stanęli nam na drodze.
- Nie, mylisz się; oni stanowią dla nas zagrożenie. Jeśli ich nie zabijemy, to będzie z nami kiepsko. Jak chcesz, ja będę strzelać.
- Nie ma znaczenie, kto będzie strzelał, skoro obie planujemy zabójstwo.
- Carmel nie uważała, by się spierały, po prostu analizowały zagadnienie. Rinker - czyli Clara - miała wątpliwości, podczas gdy ona nic nie czuła. Przemierzały po prostu bezkresną, etyczną strefę zbrodni...

- To tutaj, ten dom z cegły z białymi okiennicami - wyjaśniła Carmel, wskazując przez szybę, kiedy przejeżdżały obok budynku. - Musimy zdecydować teraz. Nie chcę, żebyś zabierała się do tego, dopóki w głębi duszy nie będziesz absolutnie przekonana, że to po prostu konieczne. Nasze działanie nie wynika z szaleństwa, tylko wymuszonej konieczności.
- Moje obiekcje nie wynikają z jakiegoś określonego, racjonalnego punktu widzenia - tłumaczyła Rinker. - Chodzi mi o to, że tym razem

czuję się inaczej; zastanawiam się nawet, jak to na Ciebie wpłynie.

- Nie martw się. - Carmel podjechała do krawężnika i zgasiła silnik. - Wchodzisz w to czy nie?

- Wchodzę - odparła Rinker.

Lucas zajeżdżał pod szpital i dostrzegł Sherrill z kilkoma policjantami obok wejścia do izby przyjęć. Zobaczyła porsche i podeszła do wozu.

- Nie żyje - powiedziała, gdy Lucas wysiadł z samochodu.

- Cholera. Zawsze się bałem, że kiedyś tak to się skończy - wyznał cicho Lucas. - Butry to był dupek, w dodatku niezbyt bystry. Kiepska kombinacja.

- Owszem, ale był gliną.

- Fakt. Wiadomo coś o zabójcach?

- Uciekli. Pracownik dworca powiedział, że na ulicy było trzech chłopaków z deskami, mogli coś widzieć, ale od razu zwiali. Szukamy ich, lecz jak na razie bez rezultatu.

- A co z Carmel?

- Siedzi u siebie. Wrócę tam, jak tylko się upewnię, że nie mam tu już nic do roboty.

- To już pewnie nie ma sensu. - Lucas machnął ręką. - Jest cholernie późno. A Butry? Kto jest jego najbliższym krewnym?

- Nikogo jeszcze nie znaleźliśmy - odparła Sherrill. - Rodzice nie żyją i o ile wiem, nie miał rodzeństwa. Nigdy się nie ożenił... cholera, może nie miał nikogo.

- Musi ktoś być.

- Mam nadzieję - powiedziała Sherrill. - Bo jak się okaże, że nie ma nikogo... to gorzej niż źle.

22

Carmel i Rinker stanęły na ganku, każda z książką telefoniczną w ręku, i wychyliły się, by zajrzeć w przysłonięte okna. Wewnątrz panowała ciemność, nikt się nie ruszał. Nikogo nie było w domu.

Sytuacja wydawała się głupia, nie brały jej jednak wcześniej pod uwagę. Plan B zaczynał zawodzić.

- Musi być w mieście - tłumaczyła Carmel. - Dzwoniłam dziś do jej biura, podniosła słuchawkę.

- Poszła pewnie odwiedzić matkę czy coś w tym rodzaju - snuła przypuszczenia Rinker. Były trochę skwaszone, po chwili ruszyły ciemnym chodnikiem w stronę samochodu, wciąż ścisnąc w rękę książki telefoniczne.

- Odwiedzić... - Carmel przystanąła nagle. - Tak, mogę się założyć, że poszła odwiedzić... chodźmy.

- Dokąd? - spytała zaskoczona Rinker.

- Do domu Hale'a.

- Wydawało mi się, że najpierw załatwimy Clark. Musimy to zrobić, bo inaczej nic nie będzie miało sensu...

- Myślę, że jest u Hale'a. Mogę się założyć.

- U Hale'a?

- Tak. U Hale'a.

Carmel przejechała wolno obok domu Allena. Przysłonięte roletą okno sypialni rozjaśniał słaby blask.

- Jest tam. Zapalił tę swoją wotywną świeczkę...

- Co za dupek. - Rinker potrząsnęła głową. - I ty chcesz wyjść za niego za męża. Kiedy wciąż sypia ze swoją eksdziewczyną?

- Trzeba przyznać, że jest seksualnie aktywny - zauważyła Carmel.

Podjechała dalej i zaparkowała jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Allena, skąd widać było tylne okno. Wystukała na komórce numer i przy drugim sygnale w sypialni zapaliło się światło. W chwilę później Hale Allen podniósł słuchawkę.

- Chyba dam radę się stąd wyrwać - powiedziała słodkim głosem Carmel. - Muszę tylko wpaść na chwilę do mieszkania i zaraz do ciebie przyjadę.

- Może ja wpadnę do ciebie... - zaproponował Hale.

- Nie, nie, jestem już w samochodzie. Do zobaczenia - powiedziała i wyłączyła się.

Pięć minut później Louise Clark wypadła z domu Allena jak burza. Pobiegła chodnikiem i wsiadła do srebrnej toyoty corolli.

- Naprawdę mnie wkurza - mruknęła Carmel. - I to cholernie...

- Nie mieści mi się to w głowie - wyznała Rinker. - To absolutna, całkowita, emocjonalna zdrada. Jesteś twarda i to zniesiesz, ale inne kobiety? Muszą być chyba zdruzgotane.

Po dziesięciu minutach były z powrotem pod domem Clark i znów ruszyły chodnikiem, Carmel z książką telefoniczną w dłoni. Clark weszła właśnie do siebie, w mieszkaniu zapalały się światła. Rinker chwyciła Carmel za ramię.

- Ja wejść pierwsza - wyszeptwała. - Jeśli cię zobaczy...

Kiedy stanęły pod drzwiami, Carmel odsunęła się na bok, a Rinker wzięła głęboki oddech, przycisnęła dłoń z pistoletem do boku i zapukała energicznie. Usłyszały, jak Clark podchodzi do drzwi, a po chwili ze środka dobiegł głos:

- Kto tam?

- Clara Rinker, mieszkam obok - odparła Rinker. - Mam wrażenie, że się pali u pani.

- Pali się?

- Tak, ale to chyba nic poważnego, widać dym przy narożniku mieszkania...

Drzwi uchyliły się ostrożnie; nie było łańcucha. Rinker pchnęła je z całej siły ramieniem, tuż obok przestraszonej, rozdziawionej twarzy Louise Clark. Rinker zdążyła już unieść broń i wkroczyć do środka, wpychając kobietę w głąb mieszkania. Carmel podążyła tuż za nimi.

- Carmel, co ty robisz, Carmel...! - krzyczała Louise.

- Pieprzysz mojego faceta - warknęła Carmel. - To musi się skończyć.

Złapała Clark za rękaw bluzki i pociągnęła ją w głąb mieszkania. Rinker trzymała broń tak, by kobieta mogła ją widzieć.

- Carmel, Carmel...!

- Pieprzysz mojego faceta - powtórzyła Carmel. Na końcu krótkiego korytarza widać było łazienkę, z boku otwarte drzwi. Carmel zapaliła światło - sypialnia. - Kładź się na łóżku i ani słowa. Rozumiesz?

- Chcecie mnie zabić - domyśliła się Clark, siadając na materacu. - To wy zamordowałyście tych wszystkich ludzi.

- Nie bądź śmieszna, chcemy tylko pogadać o Hale'u - powiedziała Carmel. - Musimy wyjaśnić sobie parę rzeczy.

Położyły ją na łóżku, twarzą do dołu, głowę wsparły o poduszkę. Carmel podeszła do wezłowania i powiedziała: „Spójrz na mnie”. Clark posłuchała; Rinker, która klęczała na podłodze, wyciągnęła rękę, przystawiła kobiecie broń do skroni i pociągnęła za spust.

Kula strzaskała jej czaszkę, przeszła przez głowę i utkwiała w ścianie po przeciwnej stronie. Czerwony trójkąt krwi na poduszce, niczym szkarłatna strzała, wskazywał głowę Clark; wypłuta przez pistolet łuska leżała obok ucha. Rinker posłużyła się zgrabną, damską trzystaosiemdziesiątką z równie zgrabnym tłumikiem. Jak wcześniej wyjaśniła Carmel, dwudziestkadwójka nie zawsze zabijała od pierwszego strzału, nawet z odległości pięciu centymetrów, a drugi strzał byłby podejrzany, jeśli ofiara miała popełnić samobójstwo...

- Dobrze - rzuciła sucho Carmel, spoglądając na ciało. - Widać dokładnie, jak to się odbyło. Reszta pewnie nie będzie potrzebna, bo naprawdę się pieprzyli, ale mimo wszystko trzeba to zrobić.

Najtrudniej było rozebrać Clark, tak aby na niczym nie pozostały ślady krwi; umierając, zabrudziła sobie majtki, więc ich nie zdjęły, potem znalazły w komodzie różową koszulkę nocną, którą wciągnęły jej przez głowę, a ciało położyły z powrotem na łóżku.

- Boże, zapomnieliśmy o włosach łonowych - przypomniała sobie Carmel.

- Rany, coś obrzydliwego.

Rinker podwinęła koszulę Clark, a Carmel wsunęła pod spód rękę, szarpnęła i wyciągnęła kilka włosów, które następnie zawinęła w kartkę z notesu.

- Koka - przypomniała Rinker. - I broń.

- Racja.

Carmel zawsze miała pod ręką trochę koki, w ciągu tygodnia skombinowała jeszcze kilka gramów. Przesypała wszystko do ciemnobrązowej buteleczki po lekarstwie, którą umieściła w szufladzie

nocnego stolika. Rinker wyjęła spod sukienki jedną z dwudziestek-dwojek z tłumikiem. Schowały ją do zimowego buta w garderobie.

- Wszystko? - spytała Rinker.

- Chyba tak - odparła Carmel. - Teraz odciski palców.

- W porządku. Ustaw książki telefoniczne.

Zacisnęła dłoń Clark na broni, wycelowała w książki i pociągnęła za spust. Pocisk trafił pierwszą z głośnym „łup”!, po czym obie się przewróciły. Kula nie przeszła przez pierwszy z grubych tomów na wylot.

- Zabieraj je i wychodzimy - nakazała Rinker, podnosząc z podłogi łuskę.

Dziesięć minut później były z powrotem pod domem Allena.

- Nie możemy się wycofać - powiedziała Rinker. - Bo nie będzie miało to w ogóle sensu.

- Nie zamierzam się wycofywać - zapewniła Carmel.

- Wiesz, pomyślałam sobie, że jak już dojdziemy do tego punktu, to...

- Nie bez racji. Ale trzeba wiedzieć, co jest ważne - odparła Carmel. - To jedna z pierwszych rzeczy, jakich uczymy się na prawie: umiejętność określenia tego, co ważne. Działał mi poza tym na nerwy już wcześniej, jeszcze przed tą historią z Louise Clark. Byłaś kiedyś z mężczyzną, który leżał wieczorami w łóżku i robił sobie pedikiur?

- Nie... i prawdę mówiąc, wydaje mi się to niezbyt istotne.

- Owszem, ale nie w sytuacji, kiedy człowiek ma być rano w sądzie, jest zdenerwowany i chce się przede wszystkim wyspać, a on tylko obcina, ciach, ciach, ciach... i stara się robić to tak, żeby nie słyszała, więc czekam... Boże!

- Jak chcesz to zrobić?

- Zwyczajnie - wyjaśniła Carmel. - Na tym etapie nic już innego nie pozostaje. Koniec pieśni.

- Objadę dom - powiedziała Rinker. - Pospiesz się.

Carmel wysiadła z wozu i skierowała się w stronę domu Allena. Przywitał ją w szlafroku kąpielowym i z szerokim uśmiechem na ustach.

- Boże, wyrwałaś się. To wspaniale.

- Muszę zadzwonić - oznajmiła. Połączyła się z biblioteką w biurze, właściwie z automatyczną sekretarką, położyła słuchawkę na stole, powiedziała: „Chodź tu” i skierowała się do sypialni, przechodząc obok niego.

- O co chodzi? - Spojrzał zdumiony na telefon i ruszył za nią.

Dzieliło go od niej sześć albo siedem kroków. Zwolniła w drzwiach, poczekała na niego i odwróciła się z bronią w ręku. W jego ciepłych piwnych oczach małego psiaka nie zdążył się ujawnić strach czy jakiegokolwiek uczucie. Pociągnęła za spust i broń wydała stłumiony odgłos, a Hale Allen, równie martwy jak jego żona, runął do tyłu. Carmel strzeliła jeszcze trzy razy, kiedy padał, potem stanęła obok ciała, wycelowała mu w czoło i oddała jeszcze dwa strzały. Tuk, tuk. A na koniec w serce: tuk!

- Cholera, Hale - powiedziała, wracając do sypialni. - Byłeś moją jedyną miłością.

Z nocnego stolika uśmiechało się do niej jej zdjęcie, kiedy rozwijała kartkę z notesu i rozsypywała pojedyncze włoski łonowe Clark na prześcieradle. Na koniec odłożyła słuchawkę i popatrzyła na nieruchome ciało Hale'a Allena.

- Ty kutasie - warknęła. - Pieprzyłeś się na boku...

Kopnęła go w klatkę piersiową, potem w twarz i jeszcze w ramię. Wreszcie, dysząc ciężko, ruszyła do drzwi. Kiedy wyszła na ulicę, Rinker podjeżdżała już do krawężnika.

- Szybko poszło - zauważyła, kiedy Carmel wsiadła do wozu.

- Nie było sensu tego przedłużyć - wyjaśniła Carmel. - Jedziemy.

- Powiedziałaś coś na pożegnanie?

- Nic nie powiedziałam - odparła Carmel. - Załatwiłam sprawę z telefonem, sprowokowałam go, żeby za mną poszedł i strzelił mi w głowę.

- Hm - mruknęła Rinker i dojechała do następnego skrzyżowania.

- Wiesz co?

- Co?

- Jesteśmy w tym dobre. Gdybyśmy spotkały się dziesięć lat temu, to jestem pewna, że moje zlecenia wyglądałyby inaczej.

- Nie jest jeszcze za późno - zauważyła Carmel. - Jak dotrzesz tam, gdzie zamierzasz, jak się już urządzisz, załatwisz sobie nowe papiery, odczekasz jakiś czas... pogadamy.

- Nie robi to na tobie wrażenia? W ogóle?

- Prawdę mówiąc, nawet mi się podoba - przyznała Carmel. - To coś nowego, wiesz? Nie przypomina biura. Widzisz prawników w telewizji, jak biegają po sądzie, ale dziewięćdziesiąt procent czasu spędzam przy komputerze. A to, co robimy tutaj, to odrobina ruchu.

Po powrocie do mieszkania Clark Rinker wyciągnęła ostrożnie magazynek, który zawierał samobójczy pocisk, opróżniła go, wsunęła dodatkowy nabój, potem załadowała ładunki w takiej samej kolejności jak poprzednio. Zostawiły broń obok dłoni Clark, na łóżku, ale zwróconą lufą w inną stronę.

- Widziałam kiedyś samobójstwo - powiedziała Carmel. - Broń leżała właśnie tak.

- W porządku. - Rinker kiwnęła głową i rozejrzała się po raz ostatni. - Załatwione.

Kiedy wyszły na ulicę, Carmel spojrzała na niebo.

- Będę za tobą tęsknić - wyznała. - Można kupić „New York Timesa” tam, gdzie jedziesz?

- Na pewno.

- Posłuchaj uważnie. W Halloween zamieszczę wiadomość dla Pameli Stone na kolumnie ogłoszeń, na wszelki wypadek będę to robiła przez kilka kolejnych dni. Coś w rodzaju: Pamela, Zihuatanejo Hilton, 24-30 listopada. Tam właśnie mnie znajdziesz, jeśli uznasz, że nic ci już nie grozi i że wciąż chcesz się wybrać do Meksyku.

- Na pewno poszukam twojego ogłoszenia - obiecała Rinker.

- Będzie ci potrzebny drugi pistolet?

- Chyba nie. Mam jeszcze dwa w zapasie.

- Mogę go wziąć?

- Pewnie, ale to niebezpieczne, gdyby cię z nim złapali...

- Schowam go - zapewniła Carmel. - Wiesz, coś jeszcze może wyskoczyć...

- W porządku.

Kiedy wsiadły z powrotem do wozu, Rinker wydobyła broń spod sukienki, wyciągnęła magazynek, usunęła z komory pistoletu nabój, umieściła w magazynku i wręczyła pistolet Carmel.

- Masz. Uważaj z tym.

- Obiecuję... więc wyjeżdżasz?

- Tak. Muszę się zmywać. Za tydzień nie będzie mnie w kraju. Odwiedzę jeszcze parę miejsc. Mam tam schowaną forszę.

Przy wyjeździe z parkingu uścisnęły sobie dłonie jak dobre przyjaciółki, które wiele razem przeżyły.

- Jeśli się więcej nie zobaczymy, będę o tobie pamiętała - powiedziała Carmel.

- Do widzenia w Meksyku podczas Halloween - odparła Rinker. - Aha, nie zapomnij sprawdzić taśmy na sekretarce i skasować jej, gdyby coś było nie tak.

- Pierwsza rzecz, jaką zaraz zrobię - obiecała Carmel.

Przeszła przez budynek garażu, wróciła do swojego biura, odłączyła od telefonu sekretarkę i wysłuchiwała nagrania. Telefon z domu Hale'a miał w sobie coś podejrzanego, choć wątpiła, by ktokolwiek mógł się zorientować, co to jest. Nie ryzykowała jednak. Wymieniła kasetę na nową, wyciągnęła taśmę z pierwszej i spaliła. Mały ogień pozostawił paskudny odór w biurze, otworzyła więc okno, żeby wietrzyć.

Widziała w dole na ulicy trzy czy cztery zaparkowane wozy. Pomyślała, że co najmniej w dwóch siedzą policjanci.

Biorąc pod uwagę odebrany telefon i śledzących ją gliniarzy, miała doskonałe alibi. Uznała, że powinna posiedzieć jeszcze z pięć minut, ochłoniąc i wrócić do domu.

I być może popłakać, choć nie miała specjalnej ochoty; była bardziej podekscytowana niż zasmucona.

Jezu, to było coś nowego.

On tam stał, a ona tylko tuk, tuk, tuk!

Żywy, a po sekundzie martwy. Coś nowego.

23

Ciało Allena znalazła jego sekretarka, która wcześniej zadzwoniła do Carmel z pytaniem, czy go widziała.

- Nie, nie widziałam - zapewniła Carmel i poczuła mrowienie na plecach: to było właśnie to, początek ostatecznej rozgrywki. - Od przedwczoraj, pracowałam zeszłej nocy. Chociaż rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Około jedenastej, jak mi się wydaje.

- Nie wiem, co robić - wyznała sekretarka. - Nie przyszedł dziś rano na podpisanie umowy, klienci są poirytowani. Sytuacja się powtórzy, jeśli nie zjawi się w ciągu najbliższych dwudziestu minut. To do niego niepodobne.

- A komórka? Zawsze ma ją przy sobie.

- Jest włączona, ale nikt nie odbiera.

- Hm. Może trzeba by sprawdzić w mieszkaniu, poprosić sąsiada czy coś takiego - podsunęła Carmel. - Pojechałabym, ale nie mam klucza, zresztą zaraz muszę być w sądzie.

- Mam klucz - powiedziała sekretarka, w jej głosie wyczuwało się nieklamana troskę. - Pan Allen trzyma zapasowy w szufladzie biurka. Mogę tam pojechać...

- Podejrzewa pani, że coś się stało? - spytała Carmel, udając niepokój. - Jestem pewna, że się gdzieś zasiedział. Wspominał coś o kupnie nowej marynarki...

- Miał tu być o dziewiątej. To mnóstwo czasu - wyjaśniła sekretarka.

- Teraz naprawdę mnie pani wystraszyła - przyznała Carmel. - Proszę mnie informować na bieżąco.

Kiedy sekretarka, która nazywała się Alice Miller, odłożyła słuchawkę, przyszło jej do głowy, że odbyła właśnie najbardziej uprzejmą rozmowę z Carmel Loan, która zazwyczaj traktowała sekretarki jak śmiecie. Pomyślała, że Allen ma jednak dobroczynny wpływ na kobiety...

Kiedy Hale nie przyszedł na kolejne spotkanie, przeprosiła klientów w jego imieniu, powiedziała, że jest bardzo zaniepokojona i że nie miała od niego wiadomości, wreszcie, że jedzie do niego do domu,

sprawdzić, co się stało. Czula z każdą chwilą coraz większy niepokój. Już na miejscu zadzwoniła do firmy, by się upewnić, czy tymczasem się nie pojawił. Niestety.

Miller wysiadła z wozu i spojrzała na podjazd. Pamiętała, co stało się z żoną Allena; po chwili ruszyła w stronę domu. Wydawał się zamieszkały, ale cichy. Miała wrażenie, że wywołuje złe vibracje. Zatrzymała się na podjeździe, powiedziała: „O Boże” i przeżegnała się.

Drzwi wejściowe były uchylone, zawołała więc:

- Hale? Tu Alice. Hale?

Nikt jej nie odpowiedział. Weszła do środka i wtedy w jej mózgu odezwała się po raz pierwszy jakaś pierwotna komórka - Alice Miller poczuła ludzką krew.

Gdzieś, na jakimś głębokim poziomie świadomości, wiedziała doskonale, co to oznacza. Przycisnęła torebkę do piersi i zrobiła trzy kroki, wsunęła głowę w drzwi, popatrzyła w głąb holu...

I na roztrzaskaną czaszkę Allena.

Być może krzyknęła, tam, wewnątrz domu. Nie mogła sobie potem przypomnieć. Na pewno odwróciła się i rzuciła z powrotem do drzwi, wciąż ściskając torebkę, odwróciła się jeszcze, by sprawdzić, czy zwłoki Hale'a Allena nie podążają za nią, i wpadła na framugę.

Uderzenie niemal zważyło ją z nóg. Upuściła torebkę, oszołomiona, i chwyciła za klamkę, kalecząc sobie dłoń o stłuczoną szybę w drzwiach. Teraz naprawdę krzyknęła, niskim i drżącym głosem, i trzymając się za krwawiącą rękę, zdołała wydostać się z domu i ruszyć biegiem przed siebie. Chodnikiem szedł jakiś mężczyzna z psem i Alice wpadła na niego, łkając, krwawiąc mocno ze skaleczonej dłoni.

- Niech pan mi pomoże! - krzyczała. - Błagam, błagam, błagam...

Policjant, który pierwszy pojawił się na wezwanie, pomyślał, że Alice Miller musi mieć prawdopodobnie coś wspólnego z zabójstwem, skoro sama jest ranna. Lecz sierżant z patrolówki, który zjawił się jako drugi, zrobił rundkę po domu i zauważył wysychającą krew

na podłodze i świeżą na drzwiach. Wysłuchał Alice, która siedziała na trawie obok radiowozu, wreszcie powiedział:

- Wezwijcie Davenporta. I niech ktoś odwiezie tę panią do szpitala.

Sherrill i Black zjawili się w domu Hale'a Allena pięć minut przed Lucasem. Black popatrzył na ciało Allena i zauważył:

- Niesamowite. Ktoś go porządnie podziurawił.

- Biedny facet - powiedziała Sherrill, a Black poklepał ją po ramieniu.

- Jak długo Carmel nie było u siebie zeszłej nocy? - spytał. - Nie pojechałaś do niej po tym wezwaniu do Butry'ego?

- Nie, ale John Hosta ją sprawdził. Wyszła z biura o pierwszej w nocy i pojechała prosto do domu.

- To wygląda trochę inaczej niż pozostałe zabójstwa - zauważył Black, przyglądając się bliżej śladom po kulach. - Przede wszystkim to nie dwudziestkadwójka. Większy kaliber. Nie za duży, ale większy. I ten, kto go zabił, naprawdę nie żałował amunicji...

- Kłótnia kochanków - wyjaśniła Sherrill.

- Jezu, gdybyśmy nie pilnowali Carmel, naprawdę miałyby teraz kłopoty - zauważył Black.

- Nie wiem. - Sherrill pokiwała głową. - Prawdę mówiąc, wciąż byli bardzo blisko. Nie wydaje mi się, żeby mogło dojść do strzelaniny.

- Może ją oszukał, może...

Policjant przy drzwiach zawołał do nich:

- Davenport przyjechał.

- W porządku - powiedziała Sherrill. - Pogadajmy.

Lucas był wściekły: powinien coś takiego przewidzieć, zorientować się, że Allenowi grozi niebezpieczeństwo. Może coś odkrył? Może Carmel powiedziała mu coś w łóżku? Coś, co mogło mieć znaczenie?

Sherrill oprowadzała go po domu, przyglądając mu się bacznie.

- Spokojnie - starała się przemówić mu do rozsądku. - Dostaniesz ataku serca.
- Nie dostanę żadnego ataku serca - złościł się Lucas.
- Masz ciśnienie krwi dwieście na dwieście. Poznaję po tobie.
- Daj mi spokój - odparł. - I opowiedz mi o Carmel.
- Zeszłej nocy miała chwilę luzu - odparła Sherrill. - Przez ponad godzinę.
- To byłby cholerny zbieg okoliczności - zauważył z powątpiewaniem.
- I to jeszcze jaki. Musiałaby wyjść zaraz po naszym odjeździe, gdy tylko nas wezwali do Butry'ego, dotrzeć tutaj, wściec się, zastrzelić go, zwać, podczas gdy sąsiedzi niczego by nie słyszeli... to bzdura.
- Może ta druga to zrobiła... zabójczyni.
- Popatrz na rany. - Wskazała. - To robota wkurzonego furiata, nie zawodowca.
- Ale spójrz na dziury w czole... wygląda na robotę zawodowca. - Lucas potrząsnął głową. - Cholera, co za idiotyzm, nawet w to nie wierzę. A co z tą kobietą, która znalazła ciało? Z tą Alice...
- Alice Miller. Zszywają jej rękę. Zobaczyła ciało i skaleczyła się przy otwieraniu drzwi. Wsadziła rękę w szkło.
- Ona chyba nie...
- Wykluczone. Zjawiała się tutaj, bo Allen nie przyszedł na dwa ważne spotkania, a nie mogła się do niego dodzwonić - wyjaśniła Sherrill. - A nawet jeśli odstawiła lipny numer, to czy słyszałeś o kimś, kto daje sobie pociąć rękę, żeby pogłębić wrażenie autentyczności?
- Czego? - Lucas popatrzył na nią z iskierką rozbawienia w oku, co było zupełnie nie na miejscu.
- Pieprz się - rzuciła rozzłoszczona. - Znam parę trudnych słów.
- Nigdy wcześniej nie słyszałem go w niczyich ustach - wyjaśnił Lucas. Lekki uśmiech zniknął. - Muszę pogadać z Carmel.

W drzwi wsadził głowę umundurowany policjant.

- Ta Miller dzwoni ze szpitala. Chce rozmawiać z kimś, kto tu do-
wodzi.

- Pewnie z tobą - powiedział do Sherrill Lucas.

Sherrill przytaknęła i poszła do telefonu, za drzwiami ktoś się ro-
zeźmiał, wołając do kogoś innego: zjawiała się ekipa techniczna. Lucas
przywitał jej szefa w drzwiach domu.

- Z milion ludzi już tędy przeszedł - powiedział - ale nikt jeszcze
nie wlaź głębiej do mieszkania. Potrzebuję każdej cholernej nitki,
włoska, odcisku i plamki, wszystkiego, co tylko uda wam się znaleźć.

- Złe wiadomości?

- Gorzej - odparł Lucas. - Gazety rozerwą nas na strzępy.

Sherrill wróciła pośpiesznie.

- Pamiętasz tę dziewczynę Allena, Louise Clark, miał z nią ro-
mans, zanim jego żona zginęła. Jeszcze zanim zaczął się spotykać z
Allen?

- Tak. A o co chodzi?

- Miller dzwoniła, żeby nam powiedzieć, że też dziś nie przysłała
do pracy. Podobno nawet nie uprzedzała, że jej nie będzie. Miller nie
jest jej szefową ani nic w tym rodzaju, słyszała tylko, że się nie poja-
wiła i początkowo nie skojarzyła tego z nieobecnością Allena...

- Dobra, ustalimy adres i pojedziemy do niej. Cholera, o co tu
chodzi? O co chodzi?

Louise Clark pasowała idealnie do schematu morderstwo-
samobójstwo. Leżała w poprzek łóżka w różowej koszuli, broń spo-
czywała obok dłoni na poduszce. Pistolet miał przykręcony do lufy
tłumik.

Lucas przyniósł do sypialni krzesło z kuchni, ustawił oparciem do
łóżka, usiadł na nim, wspierając brodę na dłoniach, i zaczął się wpa-
trywać w zwłoki. Zjawił się jeszcze jeden policjant, spojrzął na niego,
potem na Sherrill. Wzruszyła ramionami, a policjant popukał się
tylko w skroń i wyszedł z pokoju.

Po dwóch minutach Lucas powiedział:

- To doskonałe.

- Doskonałe?

- Gdzieś w tym mieszkaniu znajdziemy broń albo łuski, albo coś innego, co ją powiąże z wcześniejszymi zabójstwami. Nie znajdziemy tylko nasienia. Zazwyczaj jest nasienie, ale tu nie będzie żadnego, bo nie mogły tego zrobić. Wezwiemy faceta z sądówki do Allena i okaże się, że nie uprawiał seksu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, bo tego też nie mogły zrobić.

- Masz na myśli...

- Carmel i zabójczynię.

Sherrill patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu, potem odwróciła się i wyszła z pokoju, ale wróciła po sekundzie.

- Lucas, mogłabym łatwo udowodnić, że ta Louise Clark to właśnie zabójczyni. Sypiała z Allenem; jest sekretarką niższego szczebla, jeśli pozbędzie się jego żony i wyjdzie za Allena, to przestanie być biedna i samotna, a stanie się bogata i zameżna. Ma motyw... ma broń.

- Skąd cholerna, przeciętna sekretarka wystraszyła taki tłumik? - warknął Lucas. - Taki tłumik kupuje się na czarnym rynku, kosztuje tysiąc dolców. I kto zrobił gwint na końcu lufy? Znalazłaś warsztat w piwnicy?

- Nie, Lucas, ale... jeśli to ona i jeśli wiedziała o Carmel? Jeśli Carmel była jej adwokatem?

- I Carmel zaczyna pieprzyć się z jej facetem, wiedząc, że wysadza z siodła zawodową zabójczynię? Bzdura. Nie, to podpucha. Dlatego nie będzie żadnego nasienia i dlatego znajdziemy broń - upierał się Lucas. - Masz rację, możesz udowodnić, że Clark to zabójczyni. A zawodowy obrońca, taki jak Carmel, udowodni to jeszcze dobitniej. Udowodni to perfekcyjnie. Nie uda nam się przyskrzynić nikogo innego za te zabójstwa, szkoda zachodu. Nigdy tego nie dokonamy.

- Co zamierzasz?

- Nie wiem, co zamierzam - odparł Lucas, wstając z krzesła. - Jadę w każdym razie nad jezioro. Możecie dalej zajmować się tą pieprzoną sprawą.

*

Lucas zjawił się w swoim domku krótko po piątej, jechał głównie bocznymi drogami, by ominąć patrole drogowe stanu Wisconsin, najbardziej drapieżny gang szakali w North Woods. Cały czas mu towarzyszył obraz martwej Louise Clark.

W pewnym momencie, tuż przed skretem do chaty, zobaczył sąsiada, Rolanda Marksa, który prowadził poboczem mały ciągnik. Maszyna miała z przodu dużą ładowarkę, z tyłu pług. Lucas zatrzymał wóz i wysiadł, a Marks wrzucił luz.

- Co ty, u licha, wyprawiasz? - spytał Lucas, obchodząc traktor. Obraz Louise Clark zaczął przygasać.

- Chcę oczyścić ścieżki dla skutera śnieżnego - wyjaśnił Marks. Był właścicielem czterdziestu akrów zarośli, małych wawozów i bagien po drugiej stronie drogi. Nazywał to swoim terenem łowieckim.

- Nie masz pojęcia o prowadzeniu traktora - zauważył Lucas. - Jesteś cholernym maklerem.

- Tak? No to popatrz.

Marks wjechał tyłem w płytki rów na poboczu drogi, poruszył jakimiś dźwigniami przy desce rozdzielczej, zaciągnął hamulec ręczny, obrócił się z siedzeniem o sto osiemdziesiąt stopni, wysunął po bokach wsporniki hydrauliczne i opuścił ładowarkę. Jednym ruchem wyciągnął z dna rowu z pół metra sześciennego ziemi.

- Ile to kosztowało? - spytał Lucas, nie mogąc ukryć podziwu.

- Około siedemnastu. Kupiłem z drugiej ręki - odparł Marks, mając na myśli siedemnaście tysięcy dolarów. - Dobra maszyna.

- Jezu, zaczynasz gadać jak wieśniak.

- Co robisz wieczorem? - zainteresował się Marks.

- Wypływam na jezioro.

- A może wpadniesz do nas? Sprawdzę cię na tej maszynie - powiedział i ostrożnie spuścił ziemię z powrotem do rowu; tylko połowa ładowarki wysypała się poza jego krawędź.

- Tak? O której?

- Za pół godziny?

- Dobra.

*

Lucas włączył pompę i podgrzewacz wody, wyciągnął spinning, poszedł na pomost i zarzucił muchę na płytką wodę upstrzoną liliami wodnymi. Wracając do pomostu, mucha sunęła i skakała przez lilie i trzciny niczym żaba. Znów zarzucił, potem ponownie i za trzecim razem złapał okonia. Wyciągnął rybę, odczepił, upuścił z powrotem do wody. Ładna sztuka, dwadzieścia pięć centymetrów, sama przyjemność, ale nie jadał okoni.

Rzucił spinningiem jeszcze ze dwadzieścia minut, wyciągając trzy małe okonie, które wypuścił. Czuł, jak opuszcza go napięcie. Obraz Louise Clark niemal zniknął. Ruszył łagodnym zboczem w stronę chaty, wyciągnął z lodówki cztery zimne butelki piwa, wsadził je do papierowej torby i był już prawie za drzwiami, kiedy zadzwonił telefon.

Przystanął, pomyślał chwilę, pokiwał głową, jakby dziwiąc się własnej głupocie i zawrócił.

- Tak?

- Tu Sherrill. Jestem na sądówce. Robią właśnie sekcję Louise Clark.

- Jest już coś?

- Tak. Miała stosunek krótko przed śmiercią. Nasienie nie zdążyło się jeszcze rozpuścić, pobrali całkiem niezłą próbkę. Powiem szczerze - jestem pewna, że mogło pochodzić tylko z jednego miejsca.

- Rany, nie wierzę własnym uszom - przyznał Lucas, nie kryjąc zdumienia. - Co z Allenem?

- Jeszcze nie zaczęli, ale dam ci znać. Jeśli chcesz wiedzieć.

- Pewnie, że chcę...

- Okej. To jeszcze nie wszystko. Znaleźliśmy broń, tak jak przewidywałeś. Colt, kalibru dwadzieścia dwa, z tłumikiem. Wepchnięty do buta w garderobie. A w szufladzie nocnego stolika znaleźliśmy kokainę, wartą jakieś dwieście dolarów. A więc jest powiązanie z Rolem. Technicy znaleźli w łóżku Allena włosy łonowe. Właściwie trzy różne próbki. Większość pochodzi od Allena, ale niektóre są koloru blond, to pewnie Carmel. Ale trzecia próbka jest koloru jasnobrązowego. Nie mamy jeszcze wyników, ale wiem, że pochodzą od Clark. Po prostu wiem.

- W porządku. Zadzwoń do mnie, jak zabiorą się do Allena. Naciśnij słuchawkę, niech niczego nie odkładają do jutra. Musimy to mieć teraz...

- Wybierasz się na ryby?

- Prawdę mówiąc, byłem już prawie za drzwiami. Sąsiad chce mnie uczyć jazdy na traktorze.

- Mówiąc o traktorach...

- Co?

- Nigdy nie wspominałeś, że agent specjalny Malone z FBI to kobieta. Która ma w dodatku namiętny głos i chce z tobą tańczyć.

- Bo nie wydawało mi się to istotne - mruknął Lucas. - Nasze kontakty są czysto zawodowe.

- Chce, żebyś zadzwonił do niej do Wichity. Mam numer.

Malone odebrała po pierwszym sygnale.

- Cześć, Lucas - powiedziała. - Słyszałam, że wyjechałeś na wieś.

- Powędkować.

- Chciałam, żebyś wiedział, że przenoszę się ze swoimi ludźmi do Minneapolis, a Mallard przyjeżdża z Waszyngtonu. Bardzo nas interesuje ta Louise Clark. Bardzo.

- Cała sprawa wydaje mi się podejrzana. Sherrill mówiła ci o nasieniu?

- Nie, nic...

Lucas streścił jej rozmowę z Sherrill.

- Jeśli badanie spermy potwierdzi przypuszczenia, jeśli to samo wykażą testy DNA... to wszystko jasne - skomentowała Malone.

- Nie pasuje mi to - przekonywał Lucas. - Coś jest nie tak. Ta Clark nie wygląda mi na zawodowca, chyba że robiła to dla zabawy. Chociażby dlatego, że nie miała złamanego grosza.

- Mogła gdzieś mieć schowaną forszę.

- Bzdura - powiedział zdecydowanie Lucas. - Zabija ludzi, a całą forszę chowa? Jej mieszkanie wygląda jak pokój w kiepskim hotelu. Miała telewizor za dwieście dolarów. Wszystko świadczy o tym, że

była zwykłą sekretarką, która ledwie wiąże koniec z końcem.

- Dobra. W każdym razie przyjeżdżam jutro. Jak wrócisz, to może zabierzesz mnie gdzieś na małego fokstrota. Gdzieś, gdzie nie będziesz tańczył cały czas z kelnerką.

Lucas zaniósł torbę z piwem do domku Marksów. Lucy Marks ścinała zwiędłe kwiaty, a jej mąż ćwiczył wjeżdżanie traktorem do szopy. Przy drzwiach widać było rozłupane deski, widomy znak niedawnej kolizji ze ścianą.

- Role mówił mi, że chcesz się nauczyć prowadzić traktor. - Potrząsnęła głową. - Chwała Bogu, że kupiłam butelkę wody utlenionej.

- Słuchaj...

- Lucas, spróbuj go przekonać, żeby uważał. Jest jak dziecko.

- Nic mu się nie stanie.

- Nie masz przypadkiem piwa w tej torbie?

- Owszem - przyznał ze wstydem.

- No dobra, daj mi je i idź pojeździć traktorem. Jak wrócicie, usmażymy placki i wtedy się napijemy.

- No, ale...

Popatrzyła na niego wymownie i Lucas, zrezygnowany, oddał jej torbę.

Traktor był... inny. Prowadzenie nie stanowiło problemu, ale manewrowanie dźwignią pługa wymagało wprawy.

- Jeszcze trochę i się otrzaskasz - entuzjazmował się Marks. - Jak poćwiczę kilka godzin, to będę mógł w zimie oczyszczać wszystkim w okolicy podjazdy do domków.

- Jezu Chryste, Role, zarabiasz pół miliona rocznie na sprzedaży akcji, a teraz chcesz załapać dwieście dolców miesięcznie za odśnieżanie podjazdów?

Kiedy Lucas się najeździł, Marks pokazał mu w szopie, gdzie chowa klucz od ciągnika.

- Jak mnie nie będzie, możesz jeździć do woli.

- Może pomógłbym ci przy oczyszczaniu tych ścieżek pod skuter?
- zaproponował; podobała mu się jazda z pługiem.

- Świetnie. - Marks kiwnął głową i spytał po chwili: - A jak u ciebie z zajęciami nadprogramowymi?

Lucas widział Lucy Marks; stała od strony jeziora i czyściła grill.

- Chodzi ci o nadgodziny? Nie biorę już nadgodzin...

- Dupcie - wyjaśnił Marks. - Laseczki. Rozumiesz? Wygląda, jakbyś...

- Tak, tak. Prawdę mówiąc, odebrałem właśnie telefon od niezłej czterdziestki z FBI. Przyjeżdża do Minneapolis i chce, żebym zabrał ją na tańce.

- Na tańce? Też mi coś. Gdyby to chodziło o mnie, dałbym jej zdrowo popalić - powiedział Marks, który lubił się przechwalać, choć w rzeczywistości był najwierniejszym mężem na świecie. Kiedy obezšli narożnik domu, wrzasnął do żony: Lucas chce ciupnąć kogoś z FBI.

- Mam nadzieję, że to kobieta - odparła Lucy, rozpalając grilla i odwracając twarz od węgla.

- Chce z nim tańczyć fokstrota - wyjaśnił Marks. - Zadzwoiła do niego.

- Wygląda obiecująco - zauważyła Lucy. - Jak to się zaczęło?

- Byłem w Wichicie, siedzieliśmy w barze, a ona nie tańczyła rocka, więc zatańczyłem z właścicielką... - Umilkł raptownie.

- Lucas? Oprzytomniałeś już? - spytała po kilku sekundach Lucy.

- Przepraszam, ale muszę lecieć - powiedział. - Przykro mi.

Rzucił się biegiem przez trawnik w stronę swojego domku, pozostawiając za sobą grill i zdumionych Marksów. Wpadł do chaty, odszukał numer Malone, który mu dała Sherrill, i wykręcił go szybko. Odebrał jeden z agentów.

- John Shaw.

- Daj mi Malone - nakazał Lucas.

- Właśnie wyszła... spróbuję ją złapać.

- Złap ją, do cholery...

Lucas posłyszał, jak słuchawka po drugiej stronie stuka o biurko.

Zaciskał palce na telefonie, pocierając się z zamkniętymi oczami po czole. Czy to możliwe? Dwie minuty później Malone podniosła słuchawkę.

- Malone.
- Tu Lucas. Dostałaś portret pamięciowy zabójcy?
- Tak, jest całkiem niezły.
- Zamknij oczy i pomyśl o kobiecie, z którą tańczyłem w tym barze w Wichicie. Jak on się nazywał? „The Rink”.
- Zamknęłam oczy. Ale... hm. To chyba zbieg okoliczności.
- Słuchaj, przystojniak ze mnie - powiedział Lucas. - Wiem o tym, ale tak między nami, Malone, trzydziestki rzadko już na mnie lecą. A w przypadku tej dziewczyny... miałem wrażenie, że wykazuje za dużo zainteresowania, że wcale jej nie chodzi o seks. Nie wiem dlaczego...
- ...a może zdawało ci się, że chodzi o seks...
- Może, nieważne. Ale mówię ci, od czasu gdy gadałem z ludźmi, którzy ją widzieli, gdy zobaczyłem ten portret, coś mi nie dawało spokoju - wyznał. - W końcu wykombinowałem. Jeśli to nie ona, to jej siostra bliźniaczka. I jeśli była w Minneapolis, to mogła mnie widzieć w telewizji. A skoro tak, a ja wszedłem do jej baru i po prostu zamówiłem cheeseburgera i piwo...
- W porządku - przyznała z niechęcią Malone. - Nie bardzo w to wierzę, ale daj mi parę godzin, sprawdzę. Będziesz w swojej chacie?
- Nie wiem - odparł Lucas, patrząc przez okno na jezioro, płaskie i spokojne, na nadchodzący wieczór, cudowny jak zwykle w tych stronach. W dodatku dopiero co przyjechał. - Chyba wrócę do miasta. Mówię ci, to ona.

Był na trasie 1-35, prowadząc o wiele za szybko, wciąż daleko od Minneapolis, kiedy odezwała się jego komórka. Podniósł ją i usłyszał dwa pierwsze słowa, potem stracił sygnał. Telefon po trzech minutach znów zadzwonił. Lucas odebrał. To była Sherrill, trochę przerywało, ale dało się rozmawiać.

- Dzwoniła twoja przyjaciółka z FBI; była podniecona jak diabli.

Kobieta, z którą tańczyłeś, zniknęła. Opróżniła mieszkanie, rzuciła robotę w barze...

- Myślałem, że to właścicielka.

- Wszyscy tak myśleli, ale naprawdę była tylko szefem. Lokal należy do faceta o nazwisku James Larimore, znanego również jako Larimore Drewniana Głowa, który ma powiązania - i to prawdziwe - zgadnij z jakim miastem?

- St. Louis.

- Owszem. - Poprawiła się słyszalność. - Więc twoja przyjaciółka z FBI zapaliła się do roboty i posłała ekipę techniczną do jej mieszkania. Zgadnij, co dalej.

- Mieszkanko wyczyszczone.

- Od góry do dołu.

- Mamy ją, cholera - nie krył dumy Lucas. - Dorwaliśmy ją. Jak się nazywa?

- Clara Rinker.

- Rinker. Pieprzyć tych mięczaków z FBI, Marcy. Sami to rozgryźliśmy.

- Fakt... chcesz wiedzieć, skąd Drewniana Głowa wziął to przezwisko?

- Pewnie - odparł. Czuł przyływ adrenaliny. W tej chwili wysłuchałby wszystkiego.

- Był raz w barze, kiedy zaczęła się strzelanina. Oberwał rykoszetem, pocisk trafił go w czoło, tuż nad nosem. Zrobił mu w czaszce wgłębienie, ale nie przeszedł na wylot, tylko sterczał. Podobno wszyscy tak ryczeli ze śmiechu, że przestali strzelać. Nawet Drewniana Głowa się ubawił.

- Więc to twarde.

- I to jeszcze jaki. Niewiele z niego wyciągną. Mówi, że nie ma o niczym zielonego pojęcia.

24

Malone spotkała się z nim na lotnisku. - Coś taki zielony? - spytała. - Ciężki lot?

- Nie było tak źle - wymamrotał i popatrzył przez szybę terminalu na samolot, a Malone uchwyciła jego spojrzenie.

- Chyba... nie boisz się latać?

- Nie jest to mój ulubiony środek transportu - wyjaśnił Lucas i ruszył przed siebie. Kiedy go dogoniła, odwrócił głowę i spytał: - Co znaleźliście w barze? Odciski? Jakies zdjęcia? Musimy mieć jej zdjęcie natychmiast.

- Samoloty są około pięćdziesięciu razy bezpieczniejsze od samochodów - zauważyła Malone. - Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. Poza tym ludzie się rozpraszają podczas prowadzenia, bo popadają w rutynę, a piloci są wyszkoleni...

- Dobra, dobra, dosyć - przerwał jej Lucas. - Nie lubię latać, bo tracę nad sobą kontrolę, a to ma zły wpływ na mój podświadomy wizerunek twardego faceta, okej? Zadowolona? A teraz mów, co z tą Rinker.

- Nie możemy znaleźć żadnej fotografii - odparła Malone. - I nie bądź taki wrażliwy na punkcie latania.

- Musiała zrobić sobie kiedyś zdjęcie.

Rozłożyła ręce.

- W mieszkaniu nie ma żadnych zdjęć, w barze też nie. Albo ich nie miała, albo zabrała ze sobą. Sprawdziliśmy ludzi, których można by uważać za jej przyjaciół...

- Można by uważać?

- Nie miała wielu prawdziwych przyjaciół - wyjaśniła Malone. - Była przyjacielska bez przyjaciół. Żaden z jej pracowników nigdy nie odwiedził jej mieszkania.

- Odludek.

- Psychiczny w każdym razie.

- Prawo jazdy...

- Sprawdziliśmy duplikat w wydziale komunikacji. Ma na zdjęciu rudą perukę i okulary o szklach wielkości talerzy, w dodatku pochyła głowę... wierz mi, lepszy był już ten wasz portret pamięciowy. College w Wichicie miał kopię jej legitymacji szkolnej, ale fotografia była równie zła jak w prawie jazdy albo jeszcze gorsza. Ta babka jest cholernie ostrożna. Ale poprawiamy teraz portret pamięciowy. Do wieczora będzie równie dobry jak fotografia.

Kiedy wyszli z hali lotniska, owionęło ich ciepłe powietrze Kansas; słońce stało nisko, gdy lądowali, i Lucas spodziewał się chłodu. Malone zaprowadziła go do nieoznakowanego forda, który stał w miejscu objętym zakazem parkowania pod czujnym okiem lokalnego policjanta. „Dzięki, Ted”, powiedziała Malone do funkcjonariusza, który skinął głową i obdarzył ją uśmiechem zawodowego porozumienia. Teraz przypilnował tylko jej wozu, następnym razem mógł ocalić jej tyłek w jakiejś strzelaninie gdzieś na kansaskich równinach.

- Jeszcze jedno - przypomniała sobie Malone, kiedy ruszali spod krawężnika.

- Mhm - mruknął Lucas.

- Technicy znaleźli dwie małe plamki świeżej krwi na podłodze jej mieszkania. W każdym razie pewien facet, który mieszka kilka domów od niej, wstał wcześniej, żeby pojechać na ryby...

- W Kansas?

- Tak, pewnie gdzieś łowią. Tak czy inaczej, wstał i zobaczył dwóch facetów, jak wchodzili do jej domu. Nie wyglądali mu na miejscowych, przypominali raczej futbolistów, wielkie chłopcy, obaj w garniturach. Ale mieli klucz, więc pomyślał sobie, że to ludzie z tego budynku, którzy wracają po nocy do domu. Pojechał na ryby i dłużej się nad tym nie zastanawiał, przypomniał sobie dopiero, gdy jeden z naszych ludzi zaczął chodzić po okolicy i pukać do drzwi.

- Dwaj faceci w garniturach, w środku nocy.

- Tuż przed świtem.

- I krew na podłodze.

- W tym budynku nie mieszkało razem dwóch facetów, nikt też nie wychodził na całą noc. To nieduży dom, tylko osiemnaście mieszkań, wszystkich przepytaliśmy.

- Nie było hałasów.

- Nic. Miała zainstalowany w holu detektor ruchu, niewidoczny dla kogoś postronnego. Jeśli znajdowała się w mieszkaniu, to wiedziała, że idą. Mogła też oczywiście spodziewać się ich wizyty. Brak śladów walki.

- Więc ich zastrzeliła?

- Niewykłuczone, pomijając fakt, że na miejscu nie było ciał i że

musiałaby zaciągnąć dwóch wielkich chłopów do holu, a potem znieść po schodach i pozbyć się jakoś zwłok. Z drugiej strony, jeśli to oni ją zastrzelili... dwóch tęgich facetów bez większego trudu dałoby sobie radę z niewysoką kobietą. Duży gość mógłby zakryć ją płaszczem i wprowadzić.

- Mieli płaszcze?

- Facet od ryb mówi, że nie, ale rozumiesz, o co mi chodzi. Poradziliby sobie z nią sto razy łatwiej niż ona z nimi.

- Niewykluczone, że odeszli razem - zauważył Lucas. - Mogli jej pomagać. A ona skaleczyła się przy pakowaniu.

- Też bym się ku temu skłaniała - przyznała Malone. - Ale i druga teoria nie jest pozbawiona prawdopodobieństwa. Jeśli dorwiemy tę kobietę... Posłuchaj, jest z pół tuzina stanów, gdzie obowiązuje kara śmierci i gdzie bez problemu udowodnię jej zabójstwa. Nie mają tylko sprawcy. Gdybyśmy chcieli ją im oddać, to prędzej czy później skończyłaby na krześle elektrycznym albo w komorze gazowej. Dysponując takim argumentem, moglibyśmy sporo z niej wycisnąć. Jej informacje pomogłyby nam zdrowo przetrzebić mafię w St. Louis.

- I o to ci chodzi.

- Oczywiście - odparła. - Jeśli dostaniemy tego faceta, który ją prowadził... on wie wszystko. Gdyby zechciała nam go wystawić, to moglibyśmy uraczyć go taką samą opowieścią o komorach gazowych i krzesłach elektrycznych. Gdyby mówił, to za dwa lata St. Louis byłoby czystsze niż... bo ja wiem, Seattle.

- W Seattle jest Microsoft. To też mafia.

- W porządku. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Niech będzie Minneapolis.

- Dzięki.

- W każdym razie goście z mafii w St. Louis wiedzą o tym równie dobrze jak my. Nie ma żadnej przesady w twierdzeniu, że wysłali dwóch zabójców, którzy mieli rozwiązać ten problem.

- Mogła być za sprytna, żeby dać się zaskoczyć - powiedział Lucas.

- Od razu mi się taka wydała. Wiemy więc, że mafia mogła wysłać dwóch facetów, mafia też wie, że mogła wysłać dwóch facetów, i ona wie. I jeśli każdy wie, to czy wysłali dwóch facetów?

- Nie wiem - odparła Malone. - Ale wiem jedno i to coś absolutnie wyjątkowego.

- Tak?

- Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który dosłownie tańczył z diabłem.

Lucas zwrócił uwagę na wielkie okno, gdy tylko wszedł do mieszkania.

Miał przewagę nad Malone i pozostałymi agentami FBI - kiedy pojawili się tu po raz pierwszy, szukali przede wszystkim Rinker i nie wiedzieli o krwi na podłodze. Jeden z techników oprowadził go po mieszkaniu. Lucas w pewnej chwili spytał:

- Sprawdziliście zamknięcie tego dużego okna?

Agent spojrział na okno i zastanawiał się przez moment.

- Jeszcze nie - odparł, jakby zaraz zamierzał to zrobić.

- Można by je podsunąć do góry?

- Zaraz kogoś zawołam - powiedział agent.

- O czym myślisz? - spytała Malone.

- Myślę, że trzeba być idiotą, by wynosić stąd jakiegokolwiek ciało - rzekł Lucas. - Ale wyrzucić je przez okno, i to w nocy... - Wyjrzał na zewnątrz. - Wylądowałoby tuż obok kontenera. Można bez trudu podjechać tam wozem.

Zjawił się jeden z techników i popatrzył sceptycznie na okno.

- Spróbuję.

Lucas odsunął się, a technik odblokował wewnętrzne skrzydło i uniósł je bez trudu. Zewnętrzna część okna składała się z ruchomej szyby w aluminiowej ramie i ochronnej siatki; szyba się podnosiła, siatka zostawała na miejscu.

- Jest trochę obluzowana - zauważył technik. Gumowe rękawiczki utrudniały mu pracę. - Poczekajcie.

Małym scyzorykiem podważył siatkę, wyjął z ramy i oparł o ścianę. Wszyscy popatrzyli na jej dolną krawędź i na ceglany parapet na zewnątrz.

- Hm - mruknął technik i nachylił się nad murem.

- Co? - spytała Malone, rzucając szybkie spojrzenie Lucasowi.

- Możecie mi wytłumaczyć, jakim cudem cegła może nosić ubranie z tweedu?

Drewniana Głowa był przesłuchiwany przez zespół specjalistów z Waszyngtonu. Lucas i Malone przysłuchiwali się przez kilka minut, potem wyszli. Lucas nie wyobrażał sobie, by mogli cokolwiek pominąć - rozkładali faceta na czynniki pierwsze i byli znakomici.

- Zaproponowałabym kolację w barze u Rinker, ale napluliby nam pewnie w hamburgera - powiedziała Malone.

- To chodźmy gdzie indziej. Potem mógłbym wypożyczyć samochód i wrócić do domu.

- Mówisz poważnie? Wolisz jechać samochodem, niż lecieć?

- Mówię poważnie.

- Wysyłamy później nasz wóz do Minneapolis, dwaj technicy chcą przejrzeć miejsca dwóch ostatnich zabójstw... mógłbyś się z nimi zabrać. Wyjeżdżają chyba około trzeciej i o ile wiem, nie zamierzają się zatrzymywać po drodze.

- Wpisz mnie na listę pasażerów - poprosił Lucas.

Zatrzymali się przy knajpie w śródmieściu i dostali chybliwy stół. Lucas popatrzył na jedną z nóg i zwrócił się do siedzącej naprzeciwko Malone:

- Widzisz te dźwigienkę na końcu nogi? Tę, która wystaje?

- No i co?

- Pchnij ją stopą w moją stronę.

- Po co?

- Dzięki temu stół nie będzie się chybotał.

Malone pchnęła dźwigienkę stopą i stół przestał się chwiać.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytała.

- Byłem kiedyś kelnerką - wyjaśnił. - Przed zmianą płci.

Nad kawą i tostami z serem Malone zapoznała Lucasa z wszystkimi informacjami, jakie FBI zdobyło na temat Clary Rinker - dysponowali jej życiorysem od najwcześniejszych lat, ale wciąż nie mieli dobrej podobizny.

- Miała trochę kłopotów jako nastolatka, ale nic poważnego. Nigdy policja nie zrobiła jej zdjęcia do kartoteki ani nie zdjęła odcisków palców. Uciekała z domu i miała chyba po temu powody. Przypuszczamy, że została kilkakrotnie zgwałcona przez ojczyma, który zniknął, tak na marginesie. I być może przez jednego z braci.

- On też zniknął?

- Nie, ale niewiele o niej powiedział. Twierdził, że jej nie pamięta.

- Okazał się bardzo pomocny.

- Ale powoli zaczyna się wyłaniać pełniejszy obraz. Myślę, że to socjopatka, nie psychopatka. Nigdy nie zdradzała aż takiego entuzjazmu do swojej roboty, po prostu ją wykonywała, tyle że bardzo skutecznie. Musiała zdać egzaminy na uniwersytet stanowy w Wichicie i poszło jej całkiem nieźle - dobrze na ustnym, nieco gorzej na matematyce. Zaskakujący wynik, jeśli się weźmie pod uwagę, że uciekała z domu na początku szkoły średniej.

- Wiedziałem, że jest bystra - przyznał Lucas. - Zmyła się stąd tak sprawnie, że musi mieć gdzieś niezłą kryjówkę. Trudno będzie się do niej dokopać, zwłaszcza z tymi gównianymi podobiznami, jakie mamy. Słuchaj, wydaje mi się, że przy egzaminach na uniwersytet trzeba dostarczyć zdjęcie.

- Nie wiem, ale sprawdzimy to.

- Jeśli na asfalcie obok kontenera faktycznie znaleźliśmy krew, w dodatku nie od jednej osoby, to Clara Rinker gdzieś w tej chwili przebywa cała i zdrowa. W przeciwnym razie nie wiem. Trudno się pogodzić z faktem, że nie żyje i że jest poza naszym zasięgiem.

- Działy się już gorsze rzeczy. - Malone machnęła ręką. - Przy najmniej ustaną zabójstwa, dopóki ci z mafii nie znajdą sobie kogoś innego. Ale doskonale cię rozumiem; dobrze byłoby ją dorwać.

- Zna jakieś obce języki? - spytał Lucas.

- Hiszpański - odparła Malone. - Chodzi od czterech lat na lektorat, zawsze miała najlepsze oceny. Jeden z naszych ludzi rozmawiał z jej wykładowcą, facet powiedział, że jeśli pojedzie na południe, to za pół roku będzie mówiła jak rodowita Meksykanka. Dodał, że już jest niezła i że ma dobry słuch.

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby już tam siedziała. - Lucas pokiwał głową. - Cholera, z pięć razy nam się wymknęła.

- A co z tą babką w Minneapolis, z tą Carmel Loan? - spytała Malone. Jadła tost małymi, starannie odmierzonymi kęsami, przerywając co chwila, żeby otrzeć usta serwetką; Lucas pomyślał, że wygląda jak nauczycielka historii, tyle że zaskakująco seksowna, co pewnie tłumaczyło, dlaczego była cztery razy zamężna, bez powodzenia. Może jej małżonkowie spodziewali się miłej, powściągliwej pani profesor, a nagle stawali oko w oko z dzikim zwierzęciem, albo odwrotnie.

- Muszę poleżeć w łóżku i pomyśleć o Carmel - odparł Lucas. - Może zdrzemnę się w wozie. Ale pozwól, że spytam cię o jedną rzecz: biorąc pod uwagę to, czym w tej chwili dysponujemy, jak widzisz szanse wytoczenia sprawy Clarze Rinker?

Malone popatrzyła gdzieś w przestrzeń, zastanawiając się. Po chwili podrapała się w kark i poruszyła niespokojnie na krześle. Wreszcie powiedziała:

- Moglibyśmy ją chyba załatwić. Prędzej czy później. Nie skończyłoby się pewnie na jednej rozprawie, ale w końcu byśmy ją załatwili.

- Sprawa nie byłaby jednak z góry przesądzona.

- Nie całkiem - potwierdziła Malone. - Zdobędziemy w końcu jakieś odciski palców. Znajdziemy coś, o czym zapomniała. Ale nawet jak porównamy je z odciskami, które zdjęliście z kostki mydła, to trzeba będzie jeszcze udowodnić, że była w Minneapolis. Mamy na nią górę materiałów, lecz brak nam choćby jednej bezpośredniej wskazówki. Ale myślę, że ta góra ją przygniecie. Przy odpowiednio dobranej ławie przysięgłych.

- A więc te same dowody mogłyby obciążyc kogoś innego, nie można przecież wykluczyć, że Clara Rinker jest niewinna - zauważył Lucas.

- No, to bardzo mało prawdopodobne.

- Ale...

- ...niewykluczone - przyznała.

- Jest w twoim zespole prawnik, prawda? Prócz ciebie.

- Dwóch - przytaknęła Malone.

- Czy dałoby radę wysłać jednego do Minneapolis - tego mądrzejszego - z wszystkimi dokumentami Rinker i skontaktować go z którymś z zastępców naszego prokuratora okręgowego, żeby oskarżyć Louise Clark? Że to niby ona była zabójczynią? Znaleźliśmy broń, zdobyliśmy wszelkie dowody na to, że popełniła przynajmniej jedno morderstwo; z poprzednich też może da się coś wyciągnąć, jeśli w ogóle to możliwe.

- Ale sam mówiłeś, że to była podpucha - nie kryła zdumienia Malone. - Po co chcesz robić z tego sprawę?

- Bo tak mówiąc między nami, wiem doskonale, że Carmel Loan pomogła w dokonaniu tych zabójstw. Nie wiem dlaczego, może seks odegrał w tym wszystkim jakąś rolę, a może nie. Może chodziło o pieniądze albo o frajdę. Ale Carmel siedzi w tym po uszy. I mogę ją powiązać z Clark. Jeśli zdołam udowodnić, że Clark była zabójczynią i miała powiązania z Carmel, to może uda mi się przekonać w ten sposób przysięgłych, żeby ją wsadzili.

- Jezu, nie wiem. To nie całkiem etyczne.

- Nie jestem pieprzonym prawnikiem. Jestem tylko zwykłym gli-niarzem - powiedział Lucas. - Nie mam pojęcia o etyce. Możesz wysłać tego prawnika? Szczegóły i etykę omówimy później.

Patrzyła na niego uważnie.

- Nie jestem pewna, czy chcę znać szczegóły.

- Ale wyślesz kogoś do Minneapolis?

- Chyba tak.

Przykleił się jej do kącika ust okruszek tosta. Lucas wziął jej serwetkę i zdjął go.

- Miałaś okrucuch - powiedział.

Wzruszyła ramionami i napotkała jego wzrok.

- Ciągle mi się to przytrafia...

25

Sherrill całkowicie zgadzała się z Malone. - To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Black miał odmienne zdanie.

- A Tracy Triplets i historia z dynią? Powiedziałaś wtedy, że to właśnie jest najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałaś. Że nigdy coś takiego już się nie zdarzy.

- No dobra, w takim razie to druga najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - poddała się Sherrill, nie odrywając wzroku od Lucasa. - Tracy Triplets wciąż zajmuje pierwsze miejsce, ale tylko ze względu na karzełka. Gdyby nie karzełek, ta byłaby najgłupsza.

Lucas nie uśmiechnął się nawet.

- To wcale nie jest głupie. A ty zaczynasz mnie wkurzać.

Sherrill machnęła zniecierpliwioną ręką.

- Lucas, jak, do diabła, chcesz skazać niewinną martwą kobietę za coś, czego nie popełniła?

- To nie powinno być trudne - upierał się. - Robimy to kilka razy do roku z niewinnymi żywymi ludźmi. Co za problem z jednym trupem? Na pewno nie będzie się przejmować. No i dostaniemy Carmel.

- Jezu, nie wiem - wyznał Black. - To nie zabawa.

- Pewnie. Ale może uda nam się coś osiągnąć. Chcę, żeby wszyscy zaczęli pracować nad ustaleniem związków między Louise Clark i Carmel. Były mniej więcej w tym samym wieku - może chodziły kiedyś do jednej szkoły? Czy bywały w tych samych miejscach? Musiały się znać, zrobmy więc z nich przyjaciółki. Poskładajmy do kupy wszystko, co umocni podejrzenia dotyczące Clark, coś, na czego podstawie można by ją postawić przed sądem...

- Gdyby żyła - dorzucił Black.

- Tak, gdyby żyła. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli Carmel się o tym nie dowie. Chcemy, żeby zareagowała - wyjaśnił Lucas obecnym. W jego gabinecie tłoczyło się sześcioro ludzi; Sherrill, Black, Sloan, facet z narkotyków, dwóch z obyczajówki. Lucas potrzebował ludzi, z którymi pracował i którym ufał. - Wiemy, że ma przynajmniej dwa źródła informacji w komendzie, macie więc paplać. Plotkować. Wydział zabójstw wiąże Carmel Loan z Louise Clark, a tym samym z morderstwami.

- A może byś zadzwonił do swoich kolegów z telewizji? - podsunął Black.

- Wolalbym, żeby to oni zwracali się do mnie z pytaniami - odparł

Lucas. - Nie chcę, żeby to wyglądało jak ewidentna lipa. Plotki są lepsze od prawdziwych historii. Prawdę mówiąc, jeśli dziennikarze spytają mnie o coś, prawdopodobnie zaprzeczę.

- „Bez komentarza” - zacytowała Sherrill. - Zawsze im staje z radości, jak to słyszą.

Carmel dowiedziała się niemal od razu.

- Że co?

- Chcą cię powiązać z Louise Clark. Jeśli im się uda, wpadniesz w kłopoty.

- Ale ja nic nie zrobiłam - zaprzęła się Carmel.

- Dobra, nieważne. Posłuchaj, zaczyna się tu robić trochę gorąco. Wskakuję na jakiś czas z tego informacyjnego interesu, okej?

- Krótko mówiąc: Nie dzwoń.

- Nie chcę wyjść na dupka, ale idą na całego. Sześciu ludzi nad tym pracuje. Davenport powiedział komuś, że wsadzą cię przed upływem tygodnia.

- To absurd.

- Pomyślałem sobie, że chciałabyś o tym wiedzieć... więc na razie się wyłączam, w porządku? Ten ostatni raz masz za darmo.

- Pieprz się ze swoim „za darmo” - warknęła Carmel na koniec.

Black wygrzebał zaproszenie na bal prawników organizowany z okazji Halloween przez kilka firm z miasta: na odwrocie programu widniało zdjęcie przedstawiające cztery spośród organizatorek, w tym i Carmel. Nazwisko Louise Clark znalazło się na liście osób, które zgłosiły się do pomocy.

- Posłuchaj uważnie - zwrócił się Lucas do Blacka, kiedy już obejrzał zdjęcie. - Skontaktujesz się z tymi pozostałymi kobietami i spytasz je o związki między Carmel i Clark. Jak ściśle ze sobą współpracowały, tego typu rzeczy.

- Podejrzewam, że Clark nie odgrywała tam szczególnej roli, kopiowała zaproszenia czy coś w tym rodzaju.

- Mimo wszystko spytaj - powiedział Lucas. - A ta, którą spytasz, zadzwoni do Carmel i powie jej, że pytałeś...

Potem zjawiła się Sherrill z czymś, co wprawiło wszystkich w osłupienie: wydruk połączeń telefonicznych Louise Clark wykazał dwie rozmowy z zastrzeżonym numerem domowym Carmel w tygodniu poprzedzającym zabójstwo Clark. Obie przeprowadzono późnym wieczorem.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałyby ze sobą gadać, dlaczego Clark do niej dzwoniła. Ale to niesamowita wiadomość - przyznała Sherrill.

- To prawie obciążające - zauważył Lucas. - Wiesz co? Pojedziesz do niej i spytasz o to wprost. Powiesz jej, że chodzi o śledztwo w sprawie Clark i żeby nam to wyjaśniła... nic wielkiego.

Twarz Carmel przybrała barwę jej olśniewającego krwistoczerwonego szala.

- Nigdy do mnie nie dzwoniła! - krzyczała. - Nigdy nie dzwoniła!

- Panno Loan, ktoś dzwonił z jej domu do pani mieszkania. Nie ma mowy o żadnym oszustwie. To wykaz rozmów prosto z firmy telekomunikacyjnej. Przyniosłam pani odbitkę ksero. - Sherrill siedziała po drugiej stronie biurka. Wyjęła kserokopię i położyła na blacie. - Może pani zadzwonić do nich i sprawdzić, jeśli uważa pani, że coś jest nie tak.

Carmel chwyciła wydruk i popatrzyła na dwa podkreślone połączenia. Potrząsnęła gniewnie głową.

- Nie. To jest...

Urwała nagle i zaczęła się nad czymś zastanawiać.

- Wie pani, co to jest? - spytała w końcu, podnosząc wzrok na Sherrill. - Ten sukinsyn dzwonił do mnie z jej domu. Spał ze mną trzy razy w tygodniu, a kiedy nie byliśmy razem, chodził po cichu do niej.

Sherrill patrzyła na nią z powątpiewaniem.

- No cóż... - Wstała z miejsca. - Skoro pani tak twierdzi.

- Tak właśnie było! - wrzasnęła Carmel, wymachując kserokopią przed samym nosem Sherrill.

Lucas nie okazał wesołości. Potrząsnął głową i zaczął bawić się guzikiem od marynarki.

- Jest mi jej żal - wyznał. - Prawie.

- Mam pytanie. Co zamierzasz z tym zrobić? To znaczy konkretnie.

Siedzieli sami w gabinecie Lucasa, za oknem zapalały się już uliczne lampy. Na niebie trwał jeszcze miękki blask. Piękna noc, w sam raz na spacer brzegiem jeziora, pomyślała Sherrill.

- Tylko ty wiesz o tym naboju, który znalazłem w jej garderobie - odezwał się w końcu.

- Chyba że powiedziałeś komuś jeszcze.

- Nie. Wiemy tylko ty i ja - zapewnił. Położył w rogu biurka podkładkę pod maszynę do pisania, odchylił się w fotelu i oparł na białych nogach. - Musiał się jednak skądś tam wziąć. Ktoś upuścił pudełko z amunicją albo wyrzucił ten nabój z broni i nie podniósł, albo ktoś ładował magazynek i mu wypadł... Jeśli Carmel zobaczy, jak go znajduję, i jeśli zrobię to w odpowiednim momencie, to jestem pewien, że spróbuje go odzyskać. Albo ona, albo ten, kto strzelał.

- Chodzi ci o... jakikolwiek nabój.

- Pewnie. Jakikolwiek. Dwudziestkadwójka. Bez względu na to, skąd się tam wziął, Carmel musi o tym wiedzieć. Jeśli znajdę go w garderobie, to Carmel zrozumie, że się wkopała. Zwłaszcza gdy usłyszy o szramach na dłoni Rola i innych dowodach, jakimi możemy dysponować.

- Co zrobi?

- Przypuśćmy, że znajdę ten nabój w piątek wieczorem. Przypuśćmy, że wszyscy już wyjdą z jej mieszkania prócz mnie, a ja znajdę go, kiedy będę się po raz ostatni rozglądał. Wiem, gdzie znalazłem oryginał, więc ten drugi nabój znajdę dokładnie w tym samym miejscu. Pokażę go jej, a ona mi zarzuci, że go podłożyłem czy coś w tym rodzaju. A ja na to: „Jedyne naboje, jakie mógłbym ci podrzucić, zostały już dawno wystrzelone. Jeśli wykonamy badania metalurgiczne

i porównamy je z wynikami analizy pocisków zabójcy, to jesteś załatwiona, Carmel”. A potem powiem, że wiem o jej udziale... z rozmów telefonicznych, czy czegoś innego.

- I...

- I powiem: „Damy ci znać z samego rana w poniedziałek”. Później schowam nabój do plastikowego woreczka i wyjdę. Pojadę do domu. Będę jechał powoli, żeby mogła mnie dogonić. Obstawimy dom, a ja będę się trzymał w pobliżu...

Sherrill zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewien, że da się na to złapać?

- Jeśli wie, że ten nabój ją załatwi. A prawdopodobnie wie. Jeśli damy jej cały weekend na rozmyślania.

- Rany. To mi wygląda na matactwo.

- Posłuchaj, oboje wiemy, że jest w to zamieszana - przekonywał Lucas. - Jeśli pojedzie za mną, to ją mamy. Jeśli próbujesz kogoś zrobić, a ten ktoś odpowiada strzałami... chodzi mi o to, że nikt nie może twierdzić, że został wrobiony, skoro próbował popełnić morderstwo. Możemy nawet zdradzić co nieco innym policjantom - powiedzieć im, że próbujemy zwabić zabójcę. Że nigdy nie posłużylibyśmy się lipnym nabojem. W ten sposób unikniemy oskarżenia o matactwo.

- Ale nie powiemy im, że kiedyś istniał prawdziwy nabój.

- Nie.

- To się coraz bardziej komplikuje.

- Hm. Dobrze byłoby znaleźć jeszcze jakieś powiązania między Carmel a Clark...

- Do diabła, przygotowujemy tę historyjkę z nabojem i związkiem między nimi, to możemy spreparować jeszcze parę innych rzeczy. - Sherrill machnęła ręką. - Na przykład... założmy, że dowiadujemy się, gdzie wyjechała na wakacje, i puszczamy w obieg informację, że Clark spędzała tam urlop w tym samym czasie. Niemożliwie, by Carmel wiedziała, że tak nie było.

- Mam nadzieję, że to do niej dotrze - powiedział Lucas. - Chyba jej źródło w komendzie jeszcze nie wyszło.

- Musimy ułożyć jakiś scenariusz - zasugerowała Sherrill. Jak już dostaniemy nakaz rewizji jej mieszkania, moglibyśmy porzucić te

drobne kamyczki. Ty mógłbyś coś powiedzieć, ja bym coś chlapnęła, Sloan...

Lucas przytaknął i spojrzął na zegarek.

- Dobry pomysł, pogłównij nad jakimiś historyjkami, ja też będę działał. Ale teraz muszę jechać na zebranie komisji, omawiamy dziś kwestię niesklasyfikowanych mniejszości - wyjaśnił i uderzył dłonią w raport leżący na jego biurku. Był już na stronie czterysta trzydziestej.

- Niesklasyfikowanych... a co to znaczy?

- No wiesz... mniejszości, których nie można zaliczyć do grup rasowych, fizycznego upośledzenia, seksualnych, wiekowych, religijnych, etnicznych czy też narodowościowych.

- Jezu, myślałam, że niczego więcej już się nie wymyśli.

- O nie. W Wisconsin mieli pewien przypadek, biały mężczyzna, należący do kościoła episkopalnego, tuż po trzydziestce, sprawny fizycznie, heteroseksualny, o czysto angielskim rodowodzie...

- Idealny obywatel Stanów Zjednoczonych.

- Nie odlałby się nigdy pod prysznicem - skomentował Lucas. - W każdym razie był członkiem jakiegoś stowarzyszenia obrońców zwierząt, a koledzy z pracy dręczyli go, pokazując mu zdjęcia kotletów i parówek, mówili też w jego obecności, że pójdą do McDonald'sa na cheeseburgery. Dostał od miasta Madison siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania za maltretowanie psychiczne.

- No tak, Madison. Czego można się spodziewać po tej dziurze.

- To dużo tłumaczy, oczywiście - przytaknął Lucas. - Ale niewątpliwie musimy wypracować jakąś politykę w tym względzie. Rozumiesz, chodzi o niereligijne mniejszości etyczne. - Nagle zamknął oczy i potarł je nerwowo. - Jezu, co ja gadam.

Carmel czuła, jak narasta w niej furia. Wiedziała doskonale, co robią gliny. Budowali sprawę zwaną w żargonie prawniczym „na wszelki wypadek”. Mieli nadzieję ułożyć na tyle wiarygodną historię, by przysięgli ją wykończyli, tak „na wszelki wypadek”, gdyby rzeczywiście była winna.

Z jakichś powodów Davenport wytypował ją jako zabójczynię. Musiała przyznać jedno - nigdy nie przyszło jej do głowy, że zacierając wszelki ślad łączący ją z Rinker, bezmyślnie rzuciła cień podejrzenia na kogoś, z kim naprawdę mogła być powiązana. I w żaden sposób nie potrafiłaby wyjaśnić, że Clark nie była zabójczynią. Bo niby skąd miałyby to wiedzieć?

Carmel broniła w swej karierze w czterdziestu czterech sprawach o morderstwo, wygrywając dwadzieścia jeden. Niezły wynik, zważywszy na fakt, że większość historii dotyczyła mężczyzn, których przyłapano z bronią w ręku nad zwłokami żony i którzy na pytanie, dlaczego to zrobili, odpowiadali po prostu: „Działała mi na nerwy, rozumiecie?”.

Wspomnienie trzech przegranych spraw wciąż nie dawało jej spokoju, ponieważ uważała, że powinna była wygrać. Wydawało jej się, że będzie górą, ale po werdykcie okazało się, że przysięgli woleli uwięzić policji. Nie mieli dowodów, ale orzekli o winie, ponieważ tak zasugerowała policja.

To samo mogło spotkać i ją...

Pieprzony Davenport...

Co gorsza, sprawa zaczęła się roznosić. Być może uległa paranoi, ale miała wrażenie, że dostrzega w oczach kolegów pytanie: Zrobiłaś to? Pomogłaś w tym? To ty przewierciłaś Rolowi D'Aquili kolana?

W trakcie rozmowy z jednym ze znajomych Carmel wyszło na jaw, że wyjechała w listopadzie przed dwoma laty do Zihuatanejo.

- Zachowajcie to na razie - powiedział Lucas Sherrill. - Podczas rewizji puścimy w obieg informację, że Clark była tam w tym samym czasie. Zaskoczmy ją.

- W porządku.

- Co jeszcze masz?

- Niewiele. I to w dodatku dość cienkie. Clark chodziła na jakiś kurs na uniwersytecie, Carmel w tym samym czasie studiowała tam prawo...

- A więc były razem na jednym wydziale.

- Niezupełnie.
- Nie szkodzi - zawyrokował Lucas. - Szukaj dalej.

John McCallum, jeden z szefów kancelarii, przystanął przed gabinetem Carmel i spytał:

- Co się do diabła dzieje, Carmel? Podobno policja ma na ciebie oko w związku z tymi wszystkimi morderstwami - oświadczył tym swoim płaczącym głosem, z którego powodu przegrał połowę spraw o odszkodowania dla konsumentów.

- To wszystko bzdury, John - odparła, ale poczuła jednocześnie, jak krew uderza jej do głowy. Miała ochotę wyrwać mu krtań. - Glińiarze próbują wyrzeć na mnie nacisk. Nie mam pojęcia dlaczego.

- No dobra, zrób wszystko, żeby dali spokój - doradził McCallum.

- Staram się.

- Wiesz, że firma stanie za tobą murem...

- Gówno prawda. Pozbyłbyś się mnie jak kłopotliwego balastu - przerwała mu. - Oczywiście, poradzę sobie z każdym oskarżeniem, jakie wniosą, a potem z wielką radością oskarżę cię o zniszczenie mi kariery. Wyjdiesz z tego biedny jak mysz kościelna.

- To brzmi niemal jak groźba - zauważył McCallum.

- Wybacz, jeśli nie wyraziłam się dość jasno - powiedziała z przekonaniem. - To była groźba. Jeśli firma mi nie pomoże, osobiście zawlokę cię do sądu i wyrwę ci jaja.

- Nie mam zamiaru tego słuchać - odparł urażony, uciekając oczami przed jej wściekłym spojrzeniem i zbierając się do wyjścia.

- Nie musisz - zapewniła go Carmel głosem ostrym jak brzytwa. - Ale lepiej sobie to przemyśl. Nie żartuję, John. Widziałeś mnie już w działaniu. Jestem pewna, że nie chciałbyś mnie wkurzyć.

Sherrill wystukała na maszynie prośbę o nakaz rewizji, zawarła w nim informacje o wszelkich powiązaniach między Carmel i Clark, i rzuciła Lucasowi na biurko.

Lucas zerknął na długą listę i przytaknął.

- Będziemy potrzebować zdjęcia szram na dłoni Rola i wykazu rozmów telefonicznych.

- Z pracy i domu?

- Tak. Ale najpierw zajmiemy się jej gabinetem. Zapieczętuj jej mieszkanie, żeby nie mogła niczego zniszczyć, a potem dorwij ją w kancelarii. Przyda się z sześciu ludzi, mały tłum, niech utrudnią to maksymalnie... przejrzyj jej całą dokumentację, potrzebny też nam będzie spec od komputerów, żeby ściągnął zawartość dysku w służbowym komputerze Carmel. Przyda się też pozwolenie na ewentualne wykorzystanie w sądzie połączeń telefonicznych jej firmy.

- Mogą być z tym problemy formalne.

- Owszem, ale tak czy inaczej je sprawdzimy. Niech chłopaki z biura prokuratora okręgowego podyskutują sobie, co nam wolno, a czego nie.

- Kiedy?

- Napisz wniosek teraz, prześlemy go do biura, niech wiedzą, co się święci.

- A jak będą się wahać?

- Pieprzyć ich. Poza tym nie mają nic przeciwko temu, żebyśmy od czasu do czasu wylądowali na tyłku, a tym razem tylko my ponieśliśmy konsekwencje.

- A więc zaczynamy...?

- Jutro. W piątek.

Sherrill popatrzyła na prośbę o nakaz rewizji, którą trzymała.

- To będzie coś.

26

Wszystkie papierki zostały załatwione jeszcze przed południem w piątek. Lucas zabrał Sherrill, Sloana i Franklina na lunch, zostawiając dla pozostałych informację, że mają się wszyscy spotkać w jego gabinecie o trzeciej. Sherrill, Sloan i Franklin wiedzieli o nakazie rewizji,

podobnie Black, który pojechał do St. Paul po zdjęcia szram na dłoni Rolanda D'Aquili.

- Dlaczego jeszcze nie wchodzimy? - spytała Sherrill, kiedy sadowili się w boksie. Knajpa nazywała się „Grey Kitten”. Zjawiała się pośpiesznie kelnerka, zostawiła na stoliku przykrytym czerwonym winylem cztery karty dań i poszła dalej.

- Bo chcę to zrobić pod koniec dnia - wyjaśnił Lucas, kiedy kelnerka się oddaliła. - Kiedy ludzie wychodzą do domów. Trudniej będzie jej zatrzymać całą sprawę, kiedy już wszystko ruszy z miejsca. Może też będzie trochę bardziej zmęczona. O której przyszła do pracy? O siódmej?

Obok ich stolika przesunął się inny policjant, mundurowy, miał akurat wolny dzień. Był ubrany w szorty ze śladami trawy i t-shirt z wizerunkiem łosia. Uśmiechnął się do Sherrill.

- Cześć, Marcy.

- Cześć, Tobe - odparła. - Trochę się pobrudziłeś. Popatrzył na swoje szorty i skinął głową.

- Grałem w softball.

- Dobrze, dobrze - powiedziała i skierowała wzrok z powrotem na Franklina.

- Okej, do zobaczenia - rzucił Tobe i oddalił się.

Lucas zerknął ciekawie na Sherrill, a ta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dotarła do biura na siódmą - wyjaśnił Franklin, który pracował w zespole obserwacyjnym. - Światło w jej mieszkaniu zapaliło się za piętnaście szósta.

- A więc wkroczymy do biura o trzeciej i o tej samej godzinie postawimy człowieka przed drzwiami jej mieszkania - oświadczył Lucas. - Pozostaniemy w biurze do jakiejś piątej, potem przeniesiemy cały interes do niej. Mieszkanie i gabinet mają być dokładnie przeszukane. Sprawdzić wszystko w komputerach, rozmowy telefoniczne, rachunki, numery skrytek bankowych, wszystko.

- Będziemy potrzebować nowego nakazu, żeby dostać się do skrytek - zauważył Sloan.

- Do tego czasu, a mam na myśli poniedziałek, albo ją załatwimy, albo się kompletnie wkopiemy - powiedział Lucas. - Ale tak czy

inaczej będziemy potrzebować nakazu. Jeśli znajdziemy coś w skrytce, to będzie można ją jeszcze bardziej przycisnąć.

- Naprawdę sądzisz, że pojedzie za tobą? - spytał Franklin.

Nic nie wiedział o naboju, który Lucas kiedyś znalazł; wiedział tylko, że Lucas ma podrzucić jakiś i udawać, że go znalazł.

Lucas wzruszył ramionami.

- Myślę, że coś zrobi. Jeśli rozegramy to prawidłowo, to poczuje się przyciśnięta do muru - a jedynym wyjściem będzie odzyskanie naboju.

Zjawiła się kelnerka po zamówieniu. Kiedy poszła, Franklin spytał:

- Czy ktoś z was uczestniczył w jednej z tych akcji, kiedy wszystko poszło tak, jak się spodziewaliście?

Zastanawiali się nad tym przez chwilę, wreszcie Lucas potrząsnął głową, a Sherrill oświadczyła:

- Nie zdarzyło się.

O trzeciej zespół obserwacyjny zlokalizował Carmel w jej gabinecie. Lucas wysłał dwóch ludzi pod drzwi jej mieszkania.

- Nikomu nie wolno tam wejść bez mojego pozwolenia - ostrzegł.

- I jeśli będzie ktoś w środku, jak dojedziecie na miejsce, to nie wolno mu wyjść, dopóki nie zobaczę go na własne oczy.

Potem ruszył na czele zespołu do biura Carmel, trzy przecznice dalej. Dwóch innych funkcjonariuszy pojechało furgonetką, na wypadek gdyby trzeba było przewieźć materiał skonfiskowany na potrzeby śledztwa.

Carmel przebywała akurat w pokoju innego prawnika, kiedy Lucas pokazał nakaz rewizji sekretarce przy wejściu i zaczął rozstawiać ludzi po gabinecie Carmel. Z sąsiednich pokoi zaczęli wyglądać prawnicy.

- Hej, co wyprawiacie, dupki? - krzyknął jeden.

- Przeszukanie - wyjaśniła Sherrill.

- Macie nakaz?

- Pewnie. Już go pokazywaliśmy.

- Jesteście dupki - wrzasnął prawnik, po chwili inny zaczął buczeć, i w pięć sekund później całe biuro rozbrzmiewało niesamowitą kakofonią kocich wrzasków, pohukiwań i syków. W chwilę potem przez tłum przepchnęła się Carmel i stanęła w bojowej postawie przed Sherrill.

- Zjeżdżaj z drogi - warknęła.

- Wpuszczę cię do środka, ale nie wolno ci niczego dotykać ani przeszkadzać w jakikolwiek sposób - uprzedziła Sherrill. Jeśli nie posłuchasz, wyrzucę cię.

- Tak? - Carmel przysunęła się do niej. Prawie stykały się pierściami.

- Tak - potwierdziła Sherrill, która nawet nie drgnęła. - I jeśli mnie tkniesz, posadzę cię na tyłku i zawlokę do komendy pod zarzutem czynnej napaści na funkcjonariusza policji.

Carmel niemal zatkało.

- Nie wierzę - rzuciła.

- Powiesz to swoim zębom, jak będziesz je wygrzebywać sobie z gardła - doradziła Sherrill. Odczekała moment i odsunęła się na bok.

- Nie dotykać, nie przeszkadzać.

Carmel minęła ją, a kilku prawników na korytarzu zaczęło wiwatować: „Brawo, Carmel”. Zobaczyła Lucasa, który stał z dłońmi w kieszeniach spodni i przyglądał się, jak jeden z jego ludzi wsuwa dyskietkę do komputera Carmel.

- Co to jest? - syknęła.

- Przeszukujemy twoje biuro, chodzi nam o jakąkolwiek informację czy przedmiot dotyczący twojego udziału w zabójstwie Hale'a Allena i innych. Kiedy skończymy, zabierzemy się do twojego mieszkania.

- Mojego mieszkania? - Chwyciła się za gardło.

- Twojego mieszkania. Chwilowo jest zapieczętowane. Możesz być obecna, kiedy będziemy tam wchodzić. Jeśli chcesz.

Po długim, pełnym zdumienia milczeniu, Carmel powiedziała:

- Zwariowaliście.

- Nie, ale obawiam się, że ty tak - odparł Lucas. - Wiemy już co nieco o twoim związku z Louise Clark.

- Nie mam nic wspólnego z Louise Clark. Nic. Możecie spytać...

- I przypadkiem pojechałaś do Zihuatanejo w tym samym czasie co ona?

- Co? - wyrzuciła z siebie zdumiona Carmel. - Nigdy jej nie widziałam w Zihuatanejo. Nigdy bym tam nie pojechała z jakąś... sekretarką. Byłam tam sama.

Lucas przyglądał jej się długą chwilę. Potem odwrócił się, mrużąc pod nosem:

- Pewnie.

Jeden z policjantów z obyczajówki znalazł w kołonotatniku Carmel nazwisko Louise Clark, wyrwał kartkę i schował do plastikowego woreczka. Inny znalazł długą relację z procesu narkotykowego D'Aquili, i też ją schował. Prawnicy na korytarzu zaczęli skandować „Pieprzcie się”. Jeden z właścicieli kancelarii zszedł na dół i próbował ich uciszyć. Nie posłuchali. Skandowanie się nasiliło. Mężczyzna uśmiechnął się leciutko, wzruszył ramionami i wrócił do siebie. Pracownicy kancelarii nigdy jeszcze nie otrzymali od swych zwierzchników równie dobitnego przyzwolenia. Dwie minuty później zjawiała się następna grupa prawników, z innej kancelarii w tym samym budynku, i przyłączyła się do hałaśliwego protestu.

- Myślicie, że zamordowałam Hale'a? - przekrzykiwała wrzawę Carmel. - Mieliśmy się pobrać. Byłam tu tej nocy, kiedy go zamordowano. Zajrzyjcie do naszych wykazów telefonicznych, dupki, dowiedcie się, że dzwonił do mnie, rozmawialiśmy dziesięć minut... hej, dupku, mówię do ciebie...

Prawnicy na zewnątrz zaczęli skandować „Dupek, dupek, dupek...”.

Sherrill zaczynała się wściekać, ale Lucas dotknął jej ramienia i uśmiechnął się szeroko.

- Nie bawiłem się równie dobrze od czasu, jak załatwiliśmy tego wieśniaka w Oksfordzie.

- Czego się śmiesz, dupku? - darła się Carmel.

A Lucas wybuchnął głośnym, donośnym śmiechem. Skandujący na korytarzu prawnicy stukali w szybę oddzielającą ich od sekretariatu biura Carmel i patrzyli, jak policjant zanosi się od śmiechu...

O piątej, pozostawiając w biurze trzech detektywów z zadaniem przejrzenia reszty materiałów, Lucas ruszył do mieszkania Carmel. Jechała za nim swoim krwawoczerwonym jaguarem, który też został dokładnie przeszukany na służbowym parkingu kancelarii. Lucas był już z czterema innymi policjantami w windzie, kiedy wjechała do garażu.

Wsiadła do windy w towarzystwie człowieka, którego w biurze przedstawiła jako Dane'a Carltona, osobistego adwokata. Lucas znalazł go, wysokiego, szczupłego, szpakowatego mężczyznę o chłodnym sposobie bycia i lodowatych błękitnych oczach za okularami w złotych oprawkach. Miał na sobie niebieski garnitur, białą koszulę i krawat koloru wina.

- Pieprzę cię - zwróciła się do Lucasa.

Ten westchnął i spojrzął na Carltona.

- Powinien pan powiedzieć swojej klientce, żeby uważała na słowa.

- Jestem jej adwokatem, nie opiekunem - odparł sucho Carlton.

- Wywierci ci drugą dziurę w tyłku, jak już to się skończy - odgrażała się.

Lucas popatrzył na Carltona.

- Tak?

Carlton skinął nieznacznie głową.

- Tak.

Kiedy adwokat i Carmel wysiedli z windy na jej piętrze, Sherrill popatrzyła w ślad za nimi i powiedziała na ucho Lucasowi:

- Mam wrażenie, że jest do tego zdolny.

- Owszem. Znam go - odparł Lucas.

Policjanci prowadzili rewizję metodycznie i starannie. Szukali broni, amunicji, zapisków, notatek, listów - wszystkiego, co mogłoby powiązać Carmel z ludźmi, których zamordowano. Znaleźli sześć wiadomości i e-maili do Hale'a Allena, na ogół chodziło o randki.

Franklin, który włożył białe gumowe rękawiczki, podał jedną z kartek Lucasowi.

- „Spróbuj pieprzyć się za moimi plecami, a zabiję cię” - przeczytał głośno Lucas.

Carlton zerknął na Carmel, która przewróciła tylko zniecierpliwiona oczami. Ale Lucasowi przyszło do głowy, że jest coraz bardziej wściekła, przy pierwszej nadarzącej się okazji, gdy Carmel znów zaczęła wrzeszczeć, zaskoczył ją informacją o zadrapaniach na dłoni D'Aquili.

- Niszczycie mi cholerne ubrania, te ciuchy są warte więcej, niż możecie zapłacić... Dane, zażądamy odszkodowania, oni rujną mi mieszkanie.

- Oczywiście, Carmel - zapewnił Carlton i zwrócił się do Lucasa. - Panie Davenport, dajmy spokój tej szaradzie. Nie istnieją żadne dowody, że Carmel miała cokolwiek wspólnego z którymś z tych zabójstw. Próbuje pan coś znaleźć - i dowiemy się w końcu dlaczego. Wszystko to wygląda na osobistą krucjatę przeciwko jednemu z najbardziej szanowanych obrońców w tym stanie. Czy przegrał pan kiedyś sprawę z Carmel? Co takiego kryje pańska przeszłość...

- Nie mam nic przeciwko Carmel - przerwał mu Lucas, nadając swojemu głosowi odrobinę twardszy ton. - Podziwiałem ją poniekąd. To twardy adwokat. Ale przestałem ją podziwiać, kiedy Rolando D'Aquila, którego torturowano, a potem zamordowano, wydrapał sobie własnymi paznokciami na dłoni nazwisko Carmel.

Carlton uśmiechnął się leciutko.

- Pierwszy raz w życiu słyszę coś równie nieprawdopodobnego.

- Będzie pan jeszcze bardziej zdumiony, kiedy zobaczy pan te zadrapania. Albo dziury; to musiało być dla niego równie bolesne jak przewiercanie kolan. I nie ograniczył się tylko do jej inicjałów. Rola wydrapał sobie na skórze jej nazwisko: C. Loan. Długie na pół centymetra rowki na dłoni...

Carlton zerknął na Carmel, która skamieniała na dźwięk nazwiska D'Aquila.

- Nie wierzę w to - oświadczył w końcu Carlton.

- Mamy ciało D'Aquili, leży w lodówce w St. Paul, razem z krwią, która zaschła mu na rękach i dłoniach, kiedy wycinał sobie jej nazwisko. Możecie tam pojechać i je zobaczyć. Jestem pewien, że znajdziecie patologa, który zbada zwłoki...

Carmel chciała coś wtrącić, ale Carlton uciszył ją gestem dłoni i zwrócił się do Lucasa, spuszczać nieco z tonu. Lucas doskonale wiedział, o co adwokatowi chodzi: szukał informacji, czegoś, co mogłoby w przyszłości nakreślić linię obrony.

- Zajmiemy się tym oczywiście; cokolwiek jest wycięte na dłoni pana D'Aquili, nie może być nazwiskiem Carmel.

- I upiera się pan przy tym, nie widząc tych śladów? - spytał Lucas z niedowierzaniem.

- Oczywiście; bo to nie może być nazwisko Carmel.

- Okej - powiedział spokojnie Lucas. - Skoro pan tak utrzymuje.

- Owszem, i nie zmienimy zdania - zapewnił Carlton.

Rewizję kontynuowano: Sloan, jeden ze spokojniejszych i łagodniejszych policjantów wydziału zabójstw, powiedział mimochodem Carmel, że wie o jej związkach z Clark na uniwersytecie. Lucas, stojąc pod drzwiami sypialni, gdzie Sloan i Carmel rozmawiali, słyszał wszystko.

- Była tylko sekretarką, na litość boską - wykrztusiła Carmel.

- Daj spokój, wiemy, że chodziła tam na kurs w tym samym czasie co ty - dowodził Sloan.

- Nawet jeśli chodziła, to nic o tym nie wiem.

- Daj spokój - nie dawał za wygraną Sloan. - Wy, dziewczyny, znałyście się od dawna. Organizowałyście nawet wspólnie ten bal na Halloween. Wasze nazwiska są w programie.

- Jezu... „wy, dziewczyny”.

Zaczynała się bać. Gniew wciąż brał górę, ale pojawił się już strach.

O szóstej, kiedy Carlton spoglądał na zegarek mniej więcej co dwie minuty, ekipa prowadząca rewizję zaczęła powoli się zbierać. Wezwano wcześniej techników policyjnych, którzy pobrali próbki z łóżek w sypialni Carmel i pokoju gościnnym, a także odciski palców. Kiedy

przystąpili do pakowania sprzętu, Sloan powiedział Lucasowi, że idzie do domu. Po chwili wyszło dwóch kolejnych funkcjonariuszy.

- Przypuszczam, że nie szykujecie już niczego równie spektakularnego? - upewnił się Carlton. - Żadnych nowych nakazów...

Lucas potrząsnął głową.

- Nie. Skończyliśmy mniej więcej. Rozejrzę się jeszcze trochę.

Carlton podszedł do Carmel.

- Mam zebranie o siódmej. Poradzisz sobie?

- Pewnie. Już po wszystkim.

Sherill spytała Lucasa przyciszonym głosem:

- Masz ten nabój?

- Tak. Zmywaj się stąd, gdy tylko Carlton wyjdzie.

- Będę po drugiej stronie ulicy ze Sloanem. Franklin i Del jadą już do twojego domu.

Carlton wyszedł, a Sherrill spojrzała na zegarek.

- Chcesz, żebym została? - zwróciła się do Lucasa. - Trochę się spieszę.

- Zmykaj - odparł. - Pożegnaj się z Carmel i sprawdzę, czy nikt niczego nie zostawił.

- Krzyż na drodze! - wrzasnęła Carmel za odchodzącą Sherrill. - Pieprz się...!

Sherrill pokazała jej ponad ramieniem wyprostowany palec. Oczy Carmel rozszerzyły się, zrobiła krok w stronę policjantki, ale Lucas zastąpił jej drogę.

- Hej, hej... - rzucił ostrzegawczo, a do Sherrill powiedział, mrugając jednocześnie: - Daj sobie spokój, dobra?

- Dobra, dobra... - odparła i wyszła, a Lucas i Carmel zostali sami w jej wspaniałym mieszkaniu.

- Masz mikrofon? - spytała Carmel. Wciąż stali w salonie, obok otwartych drzwi do holu.

- Nie. A powinienem? - zainteresował się Lucas i zamknął drzwi.

- Nie obchodzi mnie to - przyznała Carmel. - Dorwę cię za to, Davenport, przysięgam. Poświęcę na to całe życie.

- To rzeczywiście będzie wymagało poświęcenia, jeśli powędrujesz za kratki na trzydzieści lat - zauważył Lucas.

Zrobiła się czerwona ze złości, a Lucas mógłby przysiąc, że dostrzega jej obnażone kły.

- Nie pójdę do żadnego więzienia - oświadczyła. - To nie dla mnie. Może dla ciebie, jak skończymy z tobą. Nic na mnie nie masz.

- Właśnie omawiają to w prokuraturze. - Pokiwał głową. - Niektórzy uważają, że mamy na ciebie dość, inni, że nie. Na dwoje babka wróżyła.

Ruszył przez salon, wsunął głowę do pokoju gościnnego, potem skierował kroki do sypialni.

- Czego tam szukasz? - dopytywała się.

- Kończę rewizję i sprawdzam, czy nikt niczego nie zostawił - odparł. Nabój leżał już między dwoma butami w otwartej części garderoby. - Coś ci powiem, Carmel. Tak między nami. I guzik mnie obchodzi, czy masz w tej chwili założony mikrofon. Wiem, że maczałaś palce w tych zabójstwach. Po prostu. Wiem, że byłaś zamieszana w sprawę Barbary Allen, i podejrzewam, że zrobiłaś to, bo pragnęłaś Hale'a. Pieprzyłaś się z nim, zanim jeszcze pochowano jego żonę.

- Nie wiesz tego.

- Wiem. Powiedział mi.

- Hale? - spytała zdumiona.

- Tak. Odbyliśmy bardzo długą rozmowę. Wiem o tobie wszystko; wiem o twoich upodobaniach seksualnych, wiem, o czym lubisz rozmawiać w łóżku. Coś ci powiem. Wystraszyłaś Hale'a jak cholera. Nie miał odwagi, żeby cię powstrzymać, ale miał odwagę przyjść do mnie

i pogadać, a ja to nagrałem. Jego opowieść o tym, jak nienawidziłaś Barbary, jak trzymała go przy sobie, jak odetchnął, kiedy się wreszcie od niej uwolnił. Lucas trochę fantazjował, ale był pewien, że to prawda.

- To skurwysyn - powiedziała tylko.

- Nie. Był tylko głupi. Pracował ciężko, lubił kobiety, nie miał za wiele pod sufitem. Nie miał też może jaj, ale starał się jakoś przebrnąć przez życie. Odczuwał wyrzuty sumienia z powodu Louise Clark, ale przecież mnóstwo facetów, którzy kochają swoje żony, ma romans na boku. A Louise była niesamowita. Potrafiła wyssać soki z uschniętej gałęzi, jak to określili. Powiedział, że w porównaniu z nią byłaś jak rzymska armia, ścierałaś go po prostu na proch.

- Nigdy tego nie powiedział! - krzyknęła Carmel, ale po jej twarzy płynęły teraz łzy, za które się nienawidziła, i znów krzyknęła, tym razem głośniej: - Hale nigdy tego nie powiedział!

- Owszem, powiedział, i myślę, że doskonale o tym wiesz, bo to wygląda na prawdę - zauważył Lucas. Czuł się nieswojo w tej zimnej, profesjonalnie urządzonej sypialni, sam na sam z tą zapłakaną kobietą, trzymając dłonie w kieszeniach spodni, niemal zakłopotany. Czuł się prawie jak sadysta. - Powiedział, że przypominałaś maszynę, która po nim przejeżdżała, ale bał się odrzucić twoje zaloty, ponieważ... właśnie się bał. Ponieważ sądził, że mogłaś zamordować jego żonę.

- To Louise Clark ją zabiła... i on.

- Och, daj spokój. - Lucas machnął ręką. Zdawało mu się, że mówi jak aktor w telewizyjnej komedii. - Louise Clark miała go. Zamierzał się z nią ożenić, jak tylko by się ciebie pozbył. A Louise Clark pasowała do niego, jeśli chcesz wiedzieć. Dość bystra, choć niekoniecznie geniusz. Miła, sympatyczna kobieta. Dobra w łóżku. I jak utrzymują ludzie, którzy ją znali, nigdy w życiu z niczego nie strzelała. Do chwili kiedy znaleźliśmy ją w samym środku tej lipnej inscenizacji samobójstwa.

- Pieprz się, Davenport - rzuciła wściekle Carmel, krzyżując ramiona na piersiach. - Wynoś się z mojego domu.

- Tak, tak, idę już. Rzucę jeszcze okiem... - Wydawało się to trochę sztuczne, nie zrobił tego, jak należy, grymas na twarzy, nagle zaskoczenie, ale Carmel była zmęczona, bez formy. - A co to takiego?

- Co? - zainteresowała się, wyraźnie nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Tutaj - pokazał. Przepisnął się obok niej i odsunął do końca drzwi garderoby, by dokładniej obejrzeć but. - Cholera.

Wyprostował się, wziął Carmel za ramię i ze słowami „wyjdz stąd” pociągnął ją w stronę salonu.

- Puść mnie... - Starła się uwolnić.

- Chcę tylko, żebyś poszła ze mną do salonu - wyjaśnił, a gdy weszli do pokoju, zawołał: - Halo? Jest tu ktoś? Do diabła...

Carmel zrobiła krok w stronę sypialni.

- Nie - powiedział Lucas twardo i Carmel znieruchomiała. Rozejrzał się wokół, wszedł do kuchni, wziął z blatu szafki rolkę ręcznika papierowego i ruszył z powrotem do sypialni. Carmel podążyła za nim. Przykłęknął obok drzwi garderoby, odsunął but na bok i podniósł z podłogi nabój, trzymając go przez papier. Popatrzył na nią. - Dwudziestkadwójka. Pieprzona dwudziestkadwójka.

- Podrzuciłeś ją tam - powiedziała.

- Bzdura. Wiesz, że tego nie zrobiłem. Powiem ci więcej - mogę się założyć, że są na niej twoje odciski palców. Że wszystko się potwierdzi, jak zrobią analizę metalurgiczną. Co się stało, wrzuciłaś pudełko amunicji do garderoby? Wypadł ci magazynek czy coś w tym rodzaju? Jak ten nabój znalazł się w twojej garderobie, Carmel?

Zdawało jej się, że Davenport niknie. Górował nad nią w rzeczywistej przestrzeni, ale odczuwała tak ogromne ciśnienie, że zdawał się kurczyć, aż w końcu zaczął przypominać małego człowieczka, na którego patrzy się przez wizjer w drzwiach. Jej mózg jakby przestał funkcjonować; dłużej nie mogła już tego znieść. Coś powiedziała do Luca, ale sama nie wiedziała co, i wyszła na sztywnych nogach z sypialni.

Mówił do niej, próbował ją zatrzymać, ale odtrąciła jego rękę.

Krzyczała na niego, ale jakaś wyizolowana, odrębna część jej umysłu zdawała się rozumować w miarę normalnie. Przeszła zdecydowanie przez salon, wzięła ze stolika w przedpokoju pęk kluczy i wyszła z mieszkania, zostawiając za sobą otwarte drzwi, podczas gdy Davenport patrzył w ślad za nią, mówiąc coś niezrozumiale do jej pleców...

Za drzwiami, korytarzem, do windy, wciskając na ślepo guziki, potem wprost na piątą kondygnację garażu, do niebieskiego volvo, do bagażnika, do torby sportowej, wyjąć broń.

Bo tam właśnie wsadziła broń, którą dostała od Rinker: do samochodu zarejestrowanego na nowe nazwisko zamężnej matki, do samochodu, którego nikt nie znał, nikt nawet nie spojrział na taki absolutnie zwyczajny, absolutnie niepasujący do Carmel pojazd.

Wycofała się z garażu, napędzana wściekłością, i weszła do windy, mocno ściskając broń.

Lucas patrzył, jak wychodzi z sypialni. Dobra, pomyślał. Ruszył za nią, trzymając w dłoni nabój. Musiał jej powiedzieć, że zabiera go ze sobą, powinna widzieć, że chowa go do kieszeni. Ale miała w sobie coś niesamowitego, była jak robot, kiedy tak szła przez salon. Nagle przestraszył się, że doznała jakiegoś wylewu, i zawołał:

- Carmel? Carmel? Wszystko w porządku?

Zniknęła gdzieś w głębi korytarza. Stał przez chwilę niepewnie w drzwiach sypialni, spodziewając się, że być może wróci, potem wyjął telefon komórkowy i połączył się szybko z Sherrill.

- To ja - powiedział, kiedy odebrała. - Chyba coś jej się stało. Wyszła stąd jak nieprzytomna.

- Chcesz, żebyśmy wrócili?

- Nie, ja... dobra, może i tak. Tak. Wróćcie. Wykombinujcie jakiś powód, a ja sprawdzę, co z nią jest.

Lucas przeszedł przez salon i wyjrzał na korytarz - zniknęła.

Albo weszła do klatki schodowej, albo do windy. Lucas podszedł do wind i nacisnął guzik. Kołysał się przez chwilę na palcach, zastanawiając się, czy zajrzeć na klatkę schodową, potem pomyślał o drzwiach do mieszkania i zawrócił czym prędzej, by sprawdzić, czy są zamknięte. Były otwarte. W tym właśnie momencie usłyszał, jak winda stuknęła cicho na piętrze - ding - i zrobił krok w jej stronę.

- Carmel?

Wyszła z windy. Lucas nie dostrzegł tego przedmiotu w jej dłoni, nie rozpoznał go od razu, w tej konkretnej sytuacji, i wtedy...

Carmel strzeliła do niego, gdy muszka pistoletu znalazła się w jednej linii z jego twarzą, i zobaczyła na niej zaskoczenie, jej broń szarpnęła, i Davenport osunął się na bok i w dół, poczuła pragnienie zabijania, wodziła lufą w ślad za padającą sylwetką, strzeliła jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz...

Lucas poczuł, jak pierwszy pocisk użądlił go w szyję, i rzucił się błyskawicznie do mieszkania, poczuł następny pocisk przesywający mu ramię, a w sekundę później turlał się po wspaniałym dywanie salonu, gdy wściekle jak rój szerszeni odłamki pocisku odbijały się rykoszetem od framugi, ledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej. Kiedy zmagął się z sobą, by wstać i odzyskać orientację, coś użądliło go w policzek, potem coś uderzyło go w udo, po chwili ujrzał broń we własnej dłoni i Carmel stojącą w drzwiach...

Lucas oddał jeden strzał i Carmel zdawało się, że dostała w bok kitem bejsbolowym. Pocisk kalibru .45 wyrwał jej spod żeber kawał skóry wielkości pięści; zatoczyła się do tyłu. Zabolało. Porządnie. Szpital, przemknęło jej przez myśl. Wciąż trzymała w lewej dłoni kluczyki do obu samochodów. Odwróciła się i ruszyła chwiejnie do

wind. Drzwi się właśnie zamykały, wcisnęła gwałtownie guzik, zaczęły się otwierać, spojrzała za siebie, ujrzała Lucasa wyglądającego zza framugi i strzeliła ponownie, potem runęła do windy.

Lucas strzelił jeszcze dwa razy, ale celowanie utrudniały zamykające się drzwi windy; jeden pocisk je trafił, drugi być może wśliznął się do środka... Podczołgał się i wcisnął guzik z napisem „dół”.

- Słysząc strzały - powiedziała Sherrill do Sloana w holu, oboje sięgnęli natychmiast po broń. - Duży kaliber.

- Czekaj na windę, zjeżdża! - zawołał Sloan. - Ja wejdę po schodach.

- Za wysoko, za wysoko - powtarzała Sherrill, ale Sloan już biegł.

- Muszę zablokować wejście do garażu!

- Uwważaj! - krzyknęła za nim.

- Wezwij pomoc! - odkrzyknął.

Sherrill wyciągnęła komórkę, połączyła się z dyspozytorem w komendzie i zaczęła krzyczeć do słuchawki, podczas gdy podświetlone numery nad windą doszły już do piątki. Potem się zatrzymała. Sherrill podbiegła do drzwi na klatkę schodową i zawołała głośno:

- Winda stanęła na piątym, uważaj na garaż.

- Zrozumiałem! - odkrzyknął z góry Sloan.

Druga winda jechała w górę i Sherrill bez zastanowienia wcisnęła „górze”. Pierwsza, ta, która stanęła na piątym piętrze, ruszyła w dół. Ale druga sunęła uparcie w górę, aż na dwudzieste siódme, gdzie się zatrzymała. Sherrill znów podbiegła do schodów i krzyknęła do Sloana:

- Winda jest na dwudziestym siódmym!

W tym momencie pierwsza dotarła na dół.

- Wyłącz windę! - wrzasnęła do przerażonego strażnika. - Zatrzymaj ją. Możesz zatrzymać ją na tym piętrze? Zatrzymaj ją!

Podbiegł do windy w chwili, gdy drzwi zaczęły się rozsuwać, i niemal się zachwiał, przystając gwałtownie.

- O Boże, tu jest krew...

Sherrill odsunęła go na bok i zobaczyła kałużę krwi na środku dywanika.

- Jak ją tu zatrzymać? - spytała.

- Niech pani pociągnie ten czerwony uchwyt.

Odnalazła go wzrokiem, czerwony uchwyt wielkości jej kciuka, i pociągnęła.

- Wystarczy?

- Tak, to... - Strażnik urwał i spojrzął na zmieniające się cyfry nad drzwiami windy. - Druga zjeżdża.

- O kurwa. Pyskaj na bok - rozkazała i odsunęła się od drzwi windy, trzymając broń na wysokości biodra. Przypomniała sobie rymowanekę: Dwie kule w brzuch i jedna w głowę, facet się wali i jest gotowy...

Po chwili drzwi windy otworzyły się i Sherrill zobaczyła Lucasa leżącego na podłodze z bronią wymierzoną w jej pierś. Oczy miał zalane krwią.

- Lucas, Lucas, Jezu...!

Zdawało się, że winda sunie złośliwie powoli; Carmel dźwignęła się na nogi i uświadomiła sobie, że pali ją ramię; spojrziała po sobie i zobaczyła krew. Jej ciało płonęło ogniem. Wytoczyła się na piątym piętrze i ruszyła do garażu, przechodząc przez klatkę schodową. Ktoś wchodził na górę. „Pieprz się!” - wrzasnęła na mężczyznę. Widziała jego ramię, trzy piętra niżej. Przystanął i podniósł głowę, a wtedy ona strzeliła do niego dwa razy.

Sloan przywarł do ściany. Pokonał dopiero trzy piętra i nie bardzo wiedział, co się dzieje. Carmel? Oba strzały chybiły, wycelował na ślepo i strzelił jeden raz.

Carmel, wolna już od jakiegokolwiek strachu, czerpiąc siłę z bólu, oddała jeszcze jeden strzał, potem następny, za trzecim razem usłyszała suchy stuk iglicy. Zużyła cały magazynek. „Pieprz się”, wrzasnęła znowu i wtoczyła się chwiejnie do garażu. Jeszcze tylko dwanaście

kroków i oto stała przy krwawoczerwonym jaguarze, który czekał posłusznie na swoim miejscu. Mocowała się z kluczykami. Ogień, palił ją ogień.

Wycofała się z zatoczki, skręciła w stronę wyjazdu i wcisnęła pedał gazu.

Ktoś zatrzasnął drzwi prowadzące na parking. Sloan spojrzął w górę i cofnął się, potem znowu i pobiegł na następną kondygnację. Usłyszał pisk opon jaguara. Policjant zdołał już pokonać czwarte piętro, był w drodze na piąte. Zbiegł niżej, pchnął drzwi na czwartym, usłyszał, jak nadjeżdża. Uniósł broń i gdy wypadła zza zakrętu, strzelił w przednią szybę. Bez rezultatu, tyłem wozu tylko lekko zarzuciło, gdy Carmel znów wcisnęła gaz do dechy. Sloan strzelił jeszcze raz, celując w okno po stronie kierowcy, kiedy go mijala; nie był jednak dość szybki, kula przeszła przez tylną szybę, i po chwili wóz popędził w dół, znikając za zakrętem.

Sloan wbiegł z powrotem na schody i ruszył na trzecie, ale Carmel już je minęła, popędził więc na drugie, ale już nadjeżdżała i zrozumiał, że się spóźnił, biegł więc dalej, wreszcie wpadł do holu na parterze i krzyknął do Sherrill: „Zjeżdża!”.

Pędząc do drzwi wejściowych, zauważył Lucasa na kolanach, krew, Sherrill z bronią w ręku, a w sekundę później czerwonego jaguara, który staranował drewniany szlaban przy wyjeździe z parkingu i wypadł z piskiem opon na ulicę, zarzucając tyłem, oddalając się od niego, i Sloan wybiegł na ulicę pełną ludzi, gdzie nie mógł użyć broni...

Lucas sprawdził szybko, co mu jest, i teraz krzyczał: „Nie najgorzej, nie najgorzej”, próbując się podnieść, a Sherrill wołała: „Połóż się, jesteś ranny, połóż się”, ale Lucas odsunął ją szorstko na bok i powłókł się do drzwi wejściowych, a tam zobaczył Sloana biegnącego ulicą i jaguara, który właśnie zniknął za rogiem.

- Nie przyszło mi do głowy... - powiedział, próbując się uśmiechnąć do Sherrill. Z kącika ust spływała mu krew... - że to zrobi. Pękła.

- Lucas, musisz usiąść, trzeba wezwać karetkę...

- Pieprzyć karetkę.

Zobaczyli, jak ludzie przy następnym skrzyżowaniu odwracają zaniepokojeni głowy.

- Wraca, objechała budynek i wraca! - krzyknęła ostrzegawczo Sherrill.

Lucas ruszył biegiem w stronę skrzyżowania, kulejąc na jedną nogę. Sherrill go wyprzedziła z pistoletem w dłoni, krzycząc na ludzi: „Policja, odsunąć się, policja...!”.

Lucas zobaczył, jak zatrzymuje się przy krawężniku, podnosi broń... jaguar wyjechał zza zakrętu i Sherrill skierowała lufę w niebo, gdy jaguar przemknął obok.

- Jezu Chryste, grzeje prawie dwieście na godzinę - powiedział zdyszany, kiedy ją dogonił.

Carmel nie czuła zbyt wiele: jakiś milczący upór, pragnienie całkowitej swobody. Skręciła na ostatnim skrzyżowaniu, uświadomiła sobie, że jedzie ulicą jednokierunkową pod prąd, że w ogóle zmierza w złym kierunku, ponieważ szpital miała w tej chwili za plecami. Zamiast zawrócić, skupiła uwagę na Target Center, wielkiej hali, gdzie Minnesota Timberwolves rozgrywali mecze koszykarskie. Wlepiła wzrok w budynek i wcisnęła gaz do dechy.

Przy pierwszym skrzyżowaniu osiągnęła ponad setkę, sto pięćdziesiąt przy drugim, kiedy Davenport ją zobaczył. Wóz osiągnął maksymalną szybkość przy czwartym, około dwustu kilometrów na godzinę. Jechała wzdłuż białej linii oddzielającej dwa pasma ruchu, inne samochody uciekały na bok, widziała w przelocie migające białe twarze, dostrzegane na wpół świadomie, zastygłe. Uderzyła jakiegoś tęgiego czarnoskórego mężczyznę z torbą na zakupy, w której było mleko, pierniki i dwanaście pomarańczy. Nie dostrzegł jaguara, przechodząc po pasach, zaglądał akurat do torby i zastanawiał się, czy

otworzyć paczkę z piernikami. Był za tęgi, nie powinien ich kupować, żona go zabije... Nie dostrzegł nadjeżdżającej Carmel, która uderzyła go samym środkiem maski. Mężczyzna przeleciał ponad samochodem, jakby uniesiony przez anioły.

Przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę Carmel najechała na krawężnik przed Target Center i jaguar poszybował w powietrze, obracając się bezładnie...

Lucas i Sherrill patrzyli w osłupieniu, jak samochód uderza najpierw czarnoskórego mężczyznę, a potem wpada na betonową ścianę.

Mężczyzna zginął w ułamku sekundy; co najwyżej zdążył poczuć strach. W przypadku Carmel przejście z życia do śmierci dokonało się tak nagle, że nawet tego nie poczuła.

W ciszy, która zapadła po rozdzierającym huku, dwanaście pomarańczy rozsypało się, skacząc po asfalcie; były jasne i pełne obietnicy, niczym najlepsze chwile przerwanego życia.

28

Charlie Ross i jego przemądrzali kumple z Merchants Bank w Portland w stanie Oregon wymyślili nową skalę, według której ocenia się kobiety. Skalę negatywną, nie pozytywną. Jedna kaczka oznaczała babkę, którą od biedy można zaakceptować. Dziesięć kaczek oznaczało prawdziwą brzydulę.

Ross przeglądał wykaz podań o wynajęcie skrzynek depozytowych na ten miesiąc, rzucając przy okazji okiem na stanowisko koleżanki, która wyszła na lunch, kiedy zbliżyła się do niego jakaś klientka. Od razu przyznał jej sześć kaczek. Była fatalna. Nawet gdyby człowiek chciał ją zerznąć z litości, musiałby najpierw zarzucić jej na głowę koc. Wszystko to przemknęło przez maleńki mózdzek Rossa, gdy ruszył się z za swego biurka i zawlókł tłusty tyłek za kontuar.

Kobieta była niska, ciemnowłosa i odznaczała się oliwkową cerą. W kąciu ust miała pieprzyk, dość wyraźny, prawie czarny, drugi

obok nosa. Nosiła wielkie okulary, z rodzaju tych, co to robią się ciemne w blasku słońca, ale w pomieszczeniach nadają oczom żółty kolor. Wręczyła mu klucz, wziął go od niej, sprawdził jego autentyczność, odszukał jej kartę i położył na kontuarze do podpisu.

Ale ona nie patrzyła już na niego, tylko na ekran telewizora, który zainstalowano pod sufitem, by współmałżonkowie albo krewni klientów przebywających akurat w skarbcu nie nudzili się zbyt. Odbiornik był nastawiony wyłącznie na wiadomości CNN i właśnie pokazywano wrak krwawoczerwonego jaguara, który wbił się do połowy w betonową ścianę jakiegoś budynku.

- Proszę pani? - spytał Ross. - Proszę pani? Mogę w czymś pomóc?

Kobieta najwyraźniej go nie słyszała; podeszła bliżej telewizora, patrząc uważnie na ekran. Miała lekko rozchyłone usta.

- To z zeszłego wieczoru - wyjaśnił usłużnie. Oglądał tę scenę już ze dwanaście razy. Brzydkie kaczątko nie odrywało wzroku od ekranu, dopóki nie pojawił się nowy temat - pies, któremu strażak podawał tlen - i obróciła się z powrotem w stronę kontuaru. Ross zmienił klasyfikację z sześciu na cztery kaczkę: miała naprawdę ładny tyłek, trochę jak gimnastyczka. Sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Mam nadzieję, że to nikt z pani znajomych - dodał.

- Nie, nie. Wolałabym tylko, żeby nie pokazywali takich strasznych rzeczy w telewizji - wyjaśniła Rinker. Podpisała kartę i podsunęła mu.

Zauważył, że drży jej dłoń. Miał nadzieję, że nie cierpi na jakąś dziwną i egzotyczną chorobę.

Lucasa opatrzonego na ostrym dyżurze i odesłano do domu. Było z tym trochę roboty: kula drasnęła go w szyję, pozostawiając głęboką szramę, którą zaszyto. Odłamek ołowiu. Lucasa zasypał ich grad - przebił skórę za uchem, ale nie naruszył kości. Lekarz wyjął go pęsetą i założył w tym miejscu dwa szwy.

- Zupełnie jak Drewniana Głowa - zauważyła rozbawiona Sherrill. Rozchmurzyła się, gdy jej powiedziano, że nie jest poważnie ranny.

Inny odłamek uderzył go w biodro, co również przyprawiło ją o wesołość.

- Oberwałeś w tyłek - orzekła.

- W biodro.

- Mnie to wygląda na wielki tyłek. Biodra masz gdzie indziej.

Więcej kawałków usunięto mu z boku i nogi. By dostać się do jednego, tuż nad nerką, doktor musiał wykonać dodatkowe, niewielkie cięcie. Rany na nodze były powierzchowne, ale paskudne; na trzy założono szwy. Kiedy było po wszystkim, Lucas otrzymał opakowanie ibuprofenu i przestrozę, by w najbliższy weekend dać sobie spokój z koszykówką.

- To wszystko? - zdziwił się niezadowolony. - Nie grać w koszykówkę?

- Wyrażamy również nasze najgłębsze współczucie - zapewnił lekarz.

Lucas wstał ze stołu zabiegowego, podciągnął spodnie i poczłapał do wyjścia.

- Wiesz, co boli najbardziej? - spytał Sherrill. - Skoczyłem do jej mieszkania na łeb, na szyję. Strzelała do mnie jak wariatka, a ja walnąłem się w łokieć i żebra. Będzie mnie nasuwać przez tydzień.

- Lepsze to niż być trupem - zauważyła.

Bolało go przez tydzień, bał się też, że lada chwila puszcza szwy. Na szczęście wytrzymały do czwartku, a w piątek, kiedy Malone przyjechała do miasta z zespołem agentów FBI, zaczął wracać do formy.

- Ani śladu Rinker - powiedziała Malone, która usiadła po drugiej stronie jego biurka. Włożyła niebieski kostium i czerwony krawat. - Ale ją dorwiemy.

- Nie byłbym taki pewien. - Lucas potrząsnął głową. - Jest sprytna, miała też dziewięć czy dziesięć lat, by przygotować sobie idealną

kryjówkę. Może być teraz w USA, w Kanadzie, Australii, Indiach, na Karaibach albo, z jej hiszpańskim, gdziekolwiek w Ameryce Południowej. Bóg jeden wie, ile zarobiła przez ten czas.

- W każdym razie wyrzuciliśmy ją z interesu. Szkoda, że mnie nie było przy tej strzelaninie z Carmel.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Rozumiesz, gdybym została ranna tak jak ty... wiesz, niezbyt poważnie, ale żeby musiała jechać do szpitala...

- Przepraszam, ale chyba zostawiłaś mózg za drzwiami.

- Jesteś tylko tępym lokalnym gliną - odparła Malone. - Wiesz co to znaczy być agentem FBI, który został ranny na służbie? Kiedy się jest w dodatku kobietą? Boże, dostałabym awans.

- Na podzastępcę zastępcy dyrektora czy coś w tym rodzaju.

- Przynajmniej - zapewniła. - No dobra... jak się czujesz?

- Nieźle. Dałbym pewnie radę odstawić fokstrota, gdyby ktoś mnie do tego zmusił.

- W takim razie czuj się zmuszony - powiedziała.

W poniedziałek Sherrill poszła do biura FBI złożyć zeznanie. Kiedy wróciła, zajrzała do gabinetu Lucasa i usadowiła się na krześle.

- Właśnie rozmawiałam z Malone - poinformowała.

- Tak? - zainteresował się. Akurat zaglądał do grubego niebieskiego tomu. Doszedł do strony pięćset dwudziestej dziewiątej, zostało mu niecałe sto. Praca w kamieniołomach było drobnostką w porównaniu z lekturą raportu. - Wciąż sądzi, że uda jej się złapać Rinker?

- Nie wiem, co właściwie myśli - wyznała Sherrill. - Kiedy rozmawiałam z nią w piątek po południu, wydawała się taka zasadnicza i trzeźwa. Kierownicza. Tego właśnie słowa mi brakowało. Naprawdę skupiona, rozumiesz.

Lucas przewrócił stronę, nie przerywając lektury.

- Ale dziś rano była już odrobinę odprężona. Włosy miała trochę w nieładzie i nie uwierzysz, raz nawet zachichotała. Szminka też była położona krzywo.

Teraz Lucas poniósł wzrok.

- Co?

- Zachichotała. Jak nastolatka. Prawdę powiedziawszy, przypominała kogoś, kto zupełnie stracił głowę w szaleństwie fokstrota.

- Detektywie Sherrill, nie macie nic do roboty? Muszę przeczytać ten raport.

- Tak właśnie myślałam. - Sherrill pokiwała głową.

Komisja składała się z dziewięciu członków: przewodniczącego, czyli powoli schodzącego ze sceny polityka imieniem Bob, znanego niegdyś w Kongresie z etyki, później wykpionego bezlitośnie w tej samej instytucji za utratę fotela na rzecz dwudziestosześcioletniego nowicjusza; siedmiu przedstawicieli okręgów wyborczych; wreszcie Lucasa. Po tradycyjnym otwarciu zebranie przekształciło się w gorszącą awanturę. Chodziło o to, czy uzupełnienie listy określonych mniejszości o nowe pozycje nie wpłynie na jej znaczenie... Lucasowi w każdym razie się zdawało, że coś takiego usłyszał.

Nie był pewien. Wcześniej tego samego dnia kupił w księgarni najnowszą książkę Parkera, którą ukrył między kartkami raportu. Nim zebranie dobiegło końca, doszedł do połowy. Rozdział kończył się słowem „dupek”. Lucas tylko przytaknął.

Noc była żywcem wyjęta z jakiejś piosenki country, jeden z tych cudownych i ciepłych wieczorów w sam raz na zabawę z wiejską dziewczyną. Nawet ruch uliczny był jakby mniejszy, wydawało się, że ludzie zostawili samochody, by pospacerować.

W okolicy domu Lucasa panował spokój, czasem tylko po bulwarze oddzielającym jego dom od nabrzeża Missisipi przemknął jakiś wóz. Kiedy skręcił na podjazd, uświadomił sobie, że potrzebuje mleka i płatków zbożowych na rano; dostrzegł u siebie lekką otyłość w pasie, którą należało jak najszybciej zlikwidować, a jedzenie w knajpie temu

nie służyło. Przemyslał sprawę i postanowił zostawić samochód na podjeździe. Pchnął drzwi, odwrócił się, wziął z tylnego siedzenia raport razem z książką i zaczął wysiadać z samochodu...

I zobaczył, jak się zbliża.

Nadchodziła szybko, zza narożnika garażu. I choć było ciemno i późno, wiedział doskonale, kto to jest. Poznał po tym niewysokim wzroście, po płynności ruchów - nieduża kobieta, zwinna jak tancerka. Sytuację utrudniał jej samochód; musiała go obejść. Spodziewała się, że wjedzie do garażu i że będzie miała go w pułapce, między por-sche a dużą terenówką chevroleta, która stała już z jednej strony. Była jednak przygotowana na każdą okoliczność i Lucas dostrzegł broń w jej dłoni, sięgnął rozpaczliwie po swoją czterdziestkępiątkę, rzucając przed siebie gruby raport, i w tym momencie rozległy się strzały, błysk rozdarł nocną ciemność.

Padął, wyrzucając w górę plik kartek, raport wyleciał mu z dłoni, i Lucas skupił się na wyciągnięciu broni z kabury, która nie ułatwiała mu zadania, po chwili opanował własne ruchy i pierwszy strzał oddał na ślepo. Pocisk trafił pod kątem w samochód i przebił przednią szybę. Lucas rzucił się na ziemię i przeturlał, strzelił ponownie, wciąż niemal na ślepo, próbując ją powstrzymać, przerazić, zobaczył kolejny błysk, poczuł, jak pocisk szarpie mu ubranie, strzelił prosto w ten błysk, przeturlał się z powrotem w stronę wozu i strzelił pod podwoziem, celując w miejsce, gdzie powinna się akurat znajdować, wyczuł, że się przesunęła, strzelił ponownie...

Biegła.

Wyczuł to, może usłyszał - później trudno mu było w to uwierzyć; huk strzałów, których nawet wtedy nie słyszał, musiał być ogłuszający - i wypalił, celując z grubsza tam, gdzie pobiegła, lecz pocisk trafił fronton domu.

Po chwili ruszył za nią, pędząc przez cudowną i ciepłą noc. Była cała w czerni, ale widział jej twarz w świetle okien i ganków - biegła jak szalona przez jego podwórze, przedzierając się przez krzaki, wreszcie przeskoczyła ogrodzenie z siatki. Biegł ile sił w nogach,

przeszkadzały mu jednak eleganckie pantofle; jeden zsunął mu się ze stopy, gdy przesadzał ogrodzenie, a ona odwróciła się w tym momencie i oddała do niego dwa szybkie strzały, bez zastanowienia, lecz uskoczył, wiedziony wyłącznie instynktem, po chwili uniósł broń, zobaczył jednak za muszką rozświetlone okno i zrezygnował, nie zatrzymując się nawet na sekundę. Pokonała następne ogrodzenie, tym razem wyższe, dzieliło go teraz od niej tylko jakieś trzydzieści metrów i wtedy...

Wdrapała się po drabinie na dach niskiej szopy, pchnęła drabinę w bok i ruszyła przed siebie. Tym razem zaryzykował strzał - pocisk mógł w najgorszym razie wylądować w Missisipi albo na drugim brzegu - ale nie trafił; po chwili zeskoczyła z dachu i zniknęła mu z oczu. Chciał pobiec wzdłuż bocznej ściany domu, ale wpadł na wiadro ze śmieciami i przewrócił się, wstał, zrobił kilka kroków i wałnął w kosiarkę, znów się przewrócił, wstał i wbiegł na trawnik...

Uciekła.

Właściciel domu stał w drzwiach i coś krzyczał. Lucas zawołał do niego:

- Wezwać policję. Była strzelanina, dzwonić na 911!

Musiał zdecydować się na jakiś kierunek i wybrał północ, ponieważ cały czas zmierzała właśnie tam. Biegł z wysiłkiem przez trzydzieści metrów, stracił drugi but, przystanął na rogu, rozejrzał się pośpiesznie, ruszył na zachód, zawrócił...

Nikogo nie dostrzegł.

Zniknęła.

Policjanci z St. Paul zjawili się trzy minuty później.

Malone, znów ubrana oficjalnie, w lekkiej, starannie wyprasowanej tweedowej marynarce i plisowanej bluzeczce przekonywała:

- ...to naprawdę istotna informacja. Wiemy, że wciąż jest w Stanach, co dowodzi, przynajmniej moim zdaniem, że nie planowała ucieczki. Dostaniemy ją.

- Może - zgodził się Lucas, bawiący się żółtym ołówkiem; od kiedy

technicy z laboratorium zabrali mu raport, nie miał czym zająć rąk.

- Wykaż więcej entuzjazmu - powiedziała Malone. - W końcu jesteś jedynym facetem, który przeżył spotkanie z tą kobietą.

- Och, to była klęska - zauważył Lucas. - Strzeliłem do niej pięć razy i nie trafiłem. Ona oddała jeszcze więcej strzałów i też nie trafiła. Przez kilka sekund dzieliło nas pewnie z półtora metra.

- Narzekasz, że źle strzelała!?

- No...

- Wpakowałyby ci w głowę dwa pociski, gdybyś nie miał akurat tego raportu i nie zdążył go podrzucić.

- Pieprzony raport - mruknął Lucas. - Brakuje mi teraz tego cholerstwa. Oberwał za mnie dwa razy.

Malone wstała z miejsca.

- Słuchaj, wracam do Waszyngtonu.

- Naprawdę? Myślałem, że posiedzisz tu trochę.

- Za dużo dzieje się na moim podwórku - wyjaśniła. - Wylatuję jutro rano.

- O Jezu - zmartwił się wyraźnie. - Hm, słuchaj, może znalazłabyś trochę czasu dziś wieczorem? Poszlibyśmy potańczyć.

Powrót do rutyny.

Malone, pożegnalny pocałunek na lotnisku. Czujność nocą.

Carmel, potem Clara Rinker. Nigdy więcej w jego życiu, miał nadzieję.

W tydzień po nocnej wizycie Clary Lucas siedział w swoim gabinecie, czytając notatkę służbową od Dela. Dawni przyjaciele skierowali do niego jakąś kobietę, utrzymującą, że jej mąż, który zresztą ją prześladował, to w rzeczywistości rosyjski szpieg, wtyczka. Kiedy Del sprawdził jego życiorys, okazało się, że historia tego faceta sięga tylko do 1974. Miał nazwisko chłopaka z Montany, który zmarł w 1958. Co z tym robić?

Cholera, nie miał pojęcia. Zadzwoń do Departamentu Stanu?
Odezwwał się telefon i Lucas podniósł słuchawkę.

- Odrobinę trwało, zanim udało mi się z tobą połączyć - powiedziała Rinker.

Od razu rozpoznał ten akcent; niemal wyczuwał zapach frytek i piwa w jej barze.

- Biurokracja - wyjaśnił Lucas. - Wszystko w porządku?

- Tak, ale śmiertelnie mnie przeraziłeś. Oberwałam w ramię kawałkiem szkła, kiedy strzeliłeś w szybę w samochodzie.

- Cóż mogę powiedzieć?

Nie było sposobu, by namierzyć ją w tym momencie; zadzwonić, poinformować kogokolwiek, że rozmawia z pierwszą osobą na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców.

- Nie drasnęłam cię nawet, co? - spytała.

- Nie, ale zniszczyłaś mi marynarkę od Ermenegildo Zegny - odparł Lucas. - Muszę znaleźć kogoś, kto mi ją zaszyje. No i miałem jeszcze te włoskie spodnie, są do wyrzucenia.

- Fatalnie. Słuchaj, zaskoczył mnie błysk twojej broni. Co to było, czterdziestkapiątka?

- Zgadza się.

- Oślepiło mnie. Chowałam się za tymi twoimi krzewami, tymi koło garażu...

- Za jałowcem.

- Właśnie. Oczy tak mi przywykły do ciemności, że kiedy strzeliłeś do mnie... mogłam tylko walić do ciebie na ślepo. Nic nie widziałam. Nigdy tego nie brałam pod uwagę, ale cholera, pierwszy raz uczestniczyłam w takiej strzelaninie.

- Miałaś szczęście. To nie ty postawiłaś tam drabinę? Tak na wszelki wypadek?

- Nie. Zbieg okoliczności.

- O mało się nie zabiłem, kiedy próbowałem okrążyć dom. Wpadłem na kosiarkę, zdarłem sobie z goleni kawał skóry wielkości dolara.

- Daj spokój, Lucas, bez przerwy narzekasz.

- Chodzi mi o to, że gdybyś tamtędy pobiegła, to też byś się wyłożyła. Miałbym cię jak w banku.

- I nie siedziałbyś teraz w swoim gabinecie, tylko leżał w kostnicy.

- Może nie - odparł Lucas nieco twardszym tonem.

Po chwili milczenia Rinker spytała:

- A ta babka z FBI, z którą przyszedłeś do mojego baru? Widziałam ją w telewizji.

- No i co?

- Powiedziała, że jestem potworem.

- Czyżbyś poczuła się obrażona?

- Nie, skądże... zrobiłeś jej w końcu dobrze?

- Jezu - westchnął Lucas, a potem odparł: - Tak mi się wydaje.

- Gratulacje. Wyglądało na to, że tego jej trzeba.

- Nie bądź złośliwa - uprzedził Lucas. - To miła kobieta. Prawdę mówiąc, rozmawialiśmy o tobie ostatnio. Gdzie, u licha, jesteś?

- I tak się dowiesz.

- Nie dowiem się.

Oczywiście, że by się dowiedział.

- W Filadelfii. Właśnie opróżniłam swoją skrytkę depozytową w banku. Mój ostatni przystanek. Pomyślałam, że zadzwonię, skoro jestem przy automacie. - W tle słychać było ruch uliczny. - Musisz wiedzieć, że naprawdę byłam wkurzona tą historią z Carmel. Mogła być dobrą przyjaciółką. Nie mam ani jednej.

- Nie wydaje mi się. - Lucas potrząsnął głową. - Carmel traktowała przyjaciół raczej instrumentalnie. Przypomnij sobie Hale'a Allena. Chryste, myślała, że jest w nim zakochana i nagle bum! Zabiła go... a może to ty?

- To ona. Pieprzył się na boku.

- Daj spokój, Claro, ona prawie go gwałciła. Facet nie miał siły się opierać. Zabiła go bez chwili wahania i z tobą zrobiłaby to samo. Prędej czy później.

- Może i racja - przyznała Rinker. Po chwili milczenia spytała: - Wciąż mnie ścigasz?

- Jeśli tu wrócisz, zabiję cię - uprzedził Lucas.

- Może. A jak nie wrócę?
- Nie będę cię ścigał, ale pozostają jeszcze agenci.
- Kto?
- FBI. Zdrowo cisną Drewnianą Głowę.
- Mam nadzieję, że wsadzą go na sto pieprzonych lat — powiedziała Rinker. - Próbował mnie załatwić.
- Trochę się tym martwiłem - przyznał Lucas. - Znaleźliśmy krew na podłodze twojego mieszkania. Pomyśleliśmy, że twoi kumple z mafii uznali cię za osobę niepożądaną.
- Owszem, ale im to wyperswadowałam.
- Znajdziemy ich kiedykolwiek?
- Kogo?
- Dwóch facetów w tweedowych garniturach - wyjaśnił Lucas.
- Zignoruję to pytanie.
- Okej. Tak naprawdę to nie wierzyłem, że nie żyjesz. Nie przyszło mi tylko do głowy, że wrócisz. Po mnie. Uważam, że to było trochę... nieprofesjonalne.
- Naprawdę? Mój psycholog w Wichicie powiedział, że jestem zbyt skupiona na jednym celu. Postanowiłam, że tym razem zapomnę o celu, to znaczy o dobrej kryjówce, i po prostu pójdę na całość. Wyrażę samą siebie. W imieniu przyjaciółki. Dla uczczenia jej pamięci.
- Bardzo ładnie z twojej strony - zauważył Lucas. Po chwili wybuchnął śmiechem. - Wiesz co...
- Co?
- Piętnastu ludzi szukało cię na pogrzebie Carmel.
- Naprawdę? Byłam półtora tysiąca kilometrów dalej - wyznała, ale sprawiała wrażenie wyjątkowo zadowolonej.
- Nie chcieliśmy ryzykować. Wyglądało jak przed pokazem sztucznych ogni, wszędzie gliniarze, którzy starali się nie rzucać w oczy, a faceci z telewizji ich filmowali... wszędzie wielkie teleobiektywy. Włożyłem kamizelkę kuloodporną, myślałem, że dostanę udaru z gorąca.
- Pochlebia mi to. - Westchnęła. - No cóż, muszę lecieć. Mam jeszcze mnóstwo roboty.
- Dokąd się wybierasz? Kostaryka, Meksyk, Chile? To trzy najbardziej prawdopodobne miejsca, jakie wytypowało FBI.

- Nieźle, ale powinni uwzględnić wybrzeże Wenezueli. Mnóstwo tam Americanos, wszystko jest tanie. Miło się tam żyje.

- Powiem im.

- Zrób to. Muszę lecieć. - Zanim odłożyła słuchawkę, dodała: - Jestem szybsza od ciebie.

- Nie ma mowy, złotko.

Roześmiała się cicho niczym piękna, dobrze wychowana dama z Południa. Jej śmiech przerwał trzask odkładanej słuchawki.

Gdzieś w Filadelfii, pomyślał Lucas, dokładnie w tej minucie, wsiada do nierzucającego się w oczy samochodu i rusza w nieznanym kierunku. Numer jeden na liście najbardziej poszukiwanych ludzi. Najszybsza w całym kraju.

Numer jeden.